

editioblack

MORGAN DANE #3

KOŚCI NIE

*Morgan Dane
i jej przyjaciel Lance Kruger
na tropie zbrodni sprzed lat*

*Kto i dlaczego nie chce,
by dawne tajemnice wyszły na jaw?*

KŁAMIA

BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

MELINDA
LEIGH

Melinda Leigh

Kości nie kłamią

Tytuł oryginału: *Bones don't Lie*

Data wydania: 2020-02-25

Tłumaczenie: Olga Kwiecień



Tytuł oryginału: Bones Don't Lie (Morgan Dane #3)

Tłumaczenie: Olga Kwiecień

Cover Design by Eileen Carey

ISBN: 978-83-283-5356-5

Text copyright © 2018 by Melinda Leigh

All rights reserved.

No part of this book may be reproduced, or stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise, without express written permission of the publisher.

Amazon, the Amazon logo, and Montlake Romance are trademarks of Amazon.com, Inc., or its affiliates.

This edition is made possible under a license arrangement originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration with Graal, SP. Z. O. O.

Polish edition copyright © 2019 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo postaci i zdarzeń opisanych w książce do rzeczywistych osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

http://editio.pl/user/opinie/konkla_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52

O autorce

Dla Rayny

— za dziesięć lat motywowania mnie, klepania po plecach, kopania w tyłek i naprawiania luk w moich opowieściach.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze dziękuję w pierwszej kolejności mojej agentce Jill Marsal i całemu zespołowi Montlake Romance, zwłaszcza mojej redaktorce prowadzącej Anh Schlupe, redaktorce Charlotte Herscher i bogini od spraw technicznych oraz mistrzyni popędzania pisarzy w jednym, Jessica Poore.

Szczególne podziękowania składam moim przyjaciółkom po piórze Leanne Sparks, Raynie Vause, Kendrze Elliot, Toni Anderson, Selenie Laurence, Amy Gamet i Jill Sanders za dodawanie mi motywacji, koniecznej do skończenia tej książki.

ROZDZIAŁ 1

10 sierpnia 1994

Z wnętrza bagażnika buicka dochodziły łomoty i krzyki. Stojąc w krzakach obok auta spojrzął na zamkniętą klapy.

Wciąż żyje.

Cóż, trudno. Źle to skalkulował. To nie miało jednak znaczenia. Wkrótce będzie po wszystkim.

— Wypuść mnie! Pomocy!

Rozejrzał się dookoła. Nikogo nie było w pobliżu. Przed nim na kilometry w każdą stronę rozciągały się mętne wody Grey Lake, atramentowoczarne w ciemności. Rosnący księżyc rzucał blade światło na falującą powierzchnię. Brzegi porośnięte były gęstym lasem. W pobliżu nie było żadnych zabudowań, ale zawsze mogło się zdarzyć, że ktoś obozował w lesie. Omiótł spojrzeniem brzegi jeziora, lecz nie dostrzegł nigdzie odbicia ognia, żadnych jaskrawych namiotów, żadnych śladów ludzkiej aktywności.

Publiczna plaża, park i przystań dla łódek znajdowały się o trzy kilometry na południe. Północny skraj jeziora był bardziej dziki i niewiele się tu działo.

Na jego ramieniu wylądował komar. Strzepnął go, jednak jego miejsce natychmiast zajęły trzy nowe.

Ciepły sierpniowy dzień przechodził w chłodny wieczór, jednak powietrze nadal wydawało się gęste niczym ciepła zupa. Słyszał rechotanie żab, w pobliżu jakieś niewielkie zwierzę plusnęło w wodzie. Wysokie trawy wokół jeziora roiły się od insektów. Dla miliardów meszek i komarów, które tu żyły, jego ciepłe ciało było jak darmowy posiłek.

— Nie możesz tego zrobić!

Błagania i wołanie o pomoc nie wywoływały w nim żadnego poczucia winy. Nie czuł ich też w związku z serią wydarzeń, która doprowadziła go do tego momentu. Żałował tylko kłopotów i niewygod, które w ten sposób na siebie ściągnął.

Był pozbawiony sumienia i to właśnie sprawiło, że znalazł się tutaj w środku nocy.

Tego dnia zrobił coś, czego nie mógł cofnąć. Gdyby ktoś się dowiedział o jego

postępkach, zrujnowałoby mu to życie. Jego jedyną możliwością było więc posprzątanie bałaganu.

Skłamałby twierdząc, że zabicie człowieka nie było ekscytujące. Nie planował zrobić tego znowu, jednak w głębi duszy czuł podniecenie, rozkoszne poczucie władzy, które wyrastało ze zgaszenia życia innego człowieka.

Z bagażnika nadal dobiegały łomoty. Samochód zakołysał się i po chwili coś metalowego uderzyło o pokrywę od środka. Klucz do opon? Tak jakby można było tym cokolwiek zdziałać.

— Proszę. Proszę, wypuść mnie.

Błaganie było rozpaczliwe.

Pełne paniki.

Były ku temu dobre powody.

Zignorował krzyki, otworzył drzwi od strony kierowcy i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik, opuścił szybę i zapatrzył się na jezioro przed sobą. Brzeg opadał stromo. Wiedział, że dno jeziora również opada pod podobnym kątem. Woda szybko robiła się głęboka. Na powierzchni migotało odbicie srebrnego sierpa księżyca.

Dziesięcioletni silnik buicka klekotał i stukał na luzie. Zawahał się, trzymając stopę na hamulcu i otwarte drzwi.

Spojrzał na cegłę na podłodze. Gdy będzie gotowy, wystarczy do przytrzymania pedału gazu.

Czy naprawdę gotów był to zrobić?

To miała być kolejna chwila, której nie da się odwrócić ani zatrzeć. Nie będzie odwrotu. W odróżnieniu od jego impulsywnego działania wcześniej tego wieczoru, ta decyzja była wynikiem zimnej kalkulacji. To było świadome.

Wyrachowane.

Zimne.

Morderstwo.

Ale jaki miał wybór? Przyznać się do winy? Iść do więzienia? Zrujnować całe swoje życie?

Nie, do diabła!

Miał plany.

A to oznaczało, że naprawdę nie miał wyboru.

Pochylił się do przodu, położył cegłę na pedale gazu, następnie wyprostował się i

przełączył bieg. Gdy puścił hamulec, samochód ruszył w dół zbocza w stronę jeziora. Jednak nie jechał dość szybko, by rozpęd pozwolił mu skryć się całkowicie pod wodą. Docisnął pedał gazu i samochód skoczył naprzód.

Z bagażnika dobiegł go stłumiony okrzyk.

Odepchnął się i wyskoczył z jadącego pojazdu. Jak tylko trafił ramieniem w podłoże, przeturlał się. Gruba trawa złagodziła upadek. Przetoczył się kilka razy, trafiając łokciem w kamień. Przeszył go chwilowy ból. Zatrzymał się, usiadł i sprawdził całość kończyn, poruszając nimi ostrożnie. *Wszystko w porządku.* Najwyraźniej uda mu się przeżyć tę noc, wynosząc na pamiątkę jedynie kilka sińców i zadrapań.

Buick tymczasem chlusnął w wodę. Rozpęd poniósł samochód kilka metrów od brzegu. Przez kilka minut dryfował, podskakując na wywołanych przez siebie falach.

Cieżar silnika pociągnął przód w dół. Samochód zaczął tonąć, zanurzając się najpierw maską w wodę, podczas gdy jego tył unióś się w powietrze.

Gdy wnętrze wypełniło się wodą, samochód zaczął tonąć szybciej. Nie był pewny, czy słyszał jeszcze wołanie o pomoc, czy tylko to sobie wyobraził. Prawdopodobnie był zbyt daleko, ale i tak poczuł podniecenie wywołane poczuciem władzy.

Wstał i obserwował. Woda sięgała już do tylnego okna, potem do bagażnika, który w końcu też zniknął pod wodą. Zerknął na zegarek, otrzepał rękawy.

Minęło dziesięć minut.

Wokół panowała cisza, przerywana tylko odgłosami przyrody. Sowy, insekty, ptaki. Żadnych ludzkich dźwięków.

Było po wszystkim.

Panująca wokół cisza wydawała się przeciwieństwem kulminacji po wcześniejszych burzliwych wydarzeniach. Jedyną oznaką tego, co się wydarzyło, był wygnieciony przez samochód ślad wśród traw. Odrosną wkrótce. Jedna dobra burza na dobre zmyje wszystkie ślady dzisiejszego postępu.

Odwrócił się od jeziora i ruszył w górę w stronę drogi, znajdującej się powyżej w odległości mniej więcej długości boiska. Gdy wszedł na górę, stanął, by złapać oddech. Mimo miłego wieczornego chłodu spocił się. To była noc błędów, próby naprawienia ich i odkrywania mrocznej strony swojej natury.

Będzie musiał nauczyć się ją kontrolować. Dzisiejsza katastrofa nie mogła się powtórzyć.

Miał mnóstwo szczęścia, że to się potoczyło w ten sposób.

Teraz jednak było już po wszystkim. Po raz pierwszy od kilku godzin wzięł głęboki oddech. Zapach letniej nocy, sosen i wody z jeziora wypełnił jego nozdrza, chłodny, wilgotny i odświeżający.

Spojrzał na jezioro.

Jego powierzchnia znowu była gładka, nie było śladu po wcześniejszych falach. Nie widać było, co skrywało się pod powierzchnią mętnej wody.

ROZDZIAŁ 2

Dwadzieścia trzy lata później

Niektóre sekrety nigdy nie powinny wyjść na jaw.

Lincoln Sharp stał na poboczu drogi przebiegającej obok Grey Lake. Wciągnął powietrze. Lodowate zimno zakłuło go w płucach tysiącami szpilek. Była dopiero połowa listopada, jednak zima spadła na stan Nowy Jork niczym zamarznięty młot.

Kilkanaście metrów od brzegu chybotąca się łódź z nurkami z wydziału szeryfa hrabstwa. Woda wokół łodzi odbijała ołowiane niebo niczym lustro, nie pozwalając dojrzeć, co kryło się pod jej taflą.

Sharp czuł, że ma przed sobą odpowiedź na pytania, które zadawał sobie od dziesięcioleci, jednak nie był w stanie ruszyć z miejsca, gdzie stał wśród przysypanych śniegiem chwastów.

Co z nim było nie tak? Czekał na przełom w tej sprawie od ponad dwudziestu lat. Teraz, gdy odpowiedź znajdowała się przed nim, omal nie zapragnął, by zatonąła z powrotem i została tam na zawsze.

Fale wywołane tym odkryciem będą zataczać coraz większe kręgi, burząc wody, które uspokoiły się lata temu.

Budząc głosy milczące od dziesięcioleci.

Zaburzając porządek w życiu ludzi, którym wreszcie zaczęło się układać.

Poczuł niepokój w trzewiach.

Jednak nie mógł zrobić niczego, by temu zapobiec. Może, ale tylko może, wszystko się jakoś ułoży, uda się rozwiązać starą sprawę i rodzina wreszcie odnajdzie spokój, wiedząc co się stało. Wypuścił powietrze, które uniosło się niczym dym z jego ust.

Na otwartej przestrzeni zgrzyt metalu o metal niósł się szerokim echem. Przenikliwy dźwięk ranił uszy i sprawiał, że Sharpowi włosy jeżyły się na karku. Zwrócił się ku temu, co działo się na brzegu. Wyciągarka, zamocowana na lawecie wywlekała z wody przerdzewiały wrak samochodu osobowego, znacząc szlak wśród wysokich trzcin. Jak tylko wraz zatrzymał się w miejscu, otoczyło go grono funkcjonariuszy policji.

Sharp poczuł, jak oddech więźnie mu w gardle.

To był wrak buicka century z połowy lat osiemdziesiątych.

Taki sam model, jakim jeździł Victor Kruger dwadzieścia trzy lata temu, tej nocy, gdy wyskoczył wieczorem na zakupy i zaginął, zostawiając żonę i dziesięcioletniego syna. Sharp, który wówczas pracował w policji Scarlett Falls, prowadził tę sprawę. Wracał do niej aż do czasu, gdy pięć lat temu przeszedł na emeryturę i otworzył własne biuro detektywistyczne. Nigdy nie trafił nawet na ślad Victora.

Aż do dzisiaj.

Sharp minął kilka samochodów telewizyjnych. Tuż za przyczepioną do kępy sosen taśmą, oddzielającą miejsce zbrodni, stało dwóch reporterów z mikrofonami. Kręcący się w tle pracownicy wydziału szeryfa stanowili dramatyczne tło dla ich relacji.

Na warcie stał samotny młody funkcjonariusz.

— Lincoln Sharp — przedstawił się Sharp. — Muszę porozmawiać z szeryfem.

Funkcjonariusz potrząsnął głową.

— Szeryf powiedział, żeby nikogo nie wpuszczać.

— Ze mną będzie chciał porozmawiać — upierał się Sharp. Skrzyżował ramiona na piersi. Ta sprawa była zbyt istotna, by się wycofać. — Poczekam tutaj.

Funkcjonariusz zastanowił się przez chwilę, po czym poszedł porozmawiać ze swoim szefem.

Szeryf Paul King przewyższał wszystkich pozostałych mężczyzn o głowę. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a w swoim szarym kowbojskim kapeluszu wydawał się jeszcze wyższy. Pochylił głowę, żeby wysłuchać swojego niższego podwładnego, po czym skierował zirytowane spojrzenie na Sharpa i zmarszczył brwi. Irytacja sprawiła, że jego twarz obwisła niczym u basseta.

Funkcjonariusz wrócił na swoje stanowisko i odchrząknął.

— Szeryf powiedział, że może pan wejść, tylko ma kurewsko uważać, żeby niczego nie ruszać.

Sharp nie wątpił, że był to dosłowny cytat.

— Dzięki — powiedział, nurkując pod żółtą taśmą. Przedarł się przez gęstą trawę.

Cienka warstewka lodu i śniegu chrupała mu pod butami. Podszedł do wyłowionego pojazdu. Mimo że przeżarty rdzą, buick wydawał się w zaskakująco dobrym stanie jak na to, ile lat przeleżał na dnie jeziora.

Szeryf spojrział na niego oskarżycielsko.

— Kto cię tu wezwał, Sharp?

— Wieści słyhać już w całym mieście. — Sharp skinął głową w stronę dziennikarzy. Nie chciał kłamać, więc wolał zasugerować, że to w taki sposób się dowiedział. Nie miał zamiaru wsypać swojego kumpla z wydziału szeryfa, który zadzwonił do niego z tą informacją. Dwadzieścia pięć lat służby w policji sprawiło, że Sharp miał lojalnych znajomych w każdej placówce służb w promieniu czterdziestu kilometrów.

— Dzwoniłeś do swojego partnera? — Szeryf odwrócił się tyłem do buicka.

— Próbowałem. — Sharp zerknął na swój telefon, jednak jego młodszy współpracownik, Lance Kruger, nie oddzwonił jeszcze w odpowiedzi na jego wiadomość.

— Więc jeszcze nie wie, że znaleźliśmy samochód jego ojca?

Gdzie jesteś, Lance?

— Nie. — Sharp rozejrzał się po polanie. Nie chciał, by Lance dowiedział się o tym z mediów. — W jaki sposób potwierdziliście, że to samochód Victora Krugera?

— Nurek wyłowił tablicę rejestracyjną zanim jeszcze wyciągnęliśmy samochód. — Szeryf wskazał na leżącą obok samochodu tablicę. Cyfry i litery wciąż były widoczne na przerdzewiałej blasze. — Rozpoznałem nazwisko i zajrzałem do akt sprawy. Nie zaskoczyło mnie, że ty ją prowadziłeś. To nie było śledztwo wydziału szeryfa, ale mgliście pamiętam tę sprawę. — King w tym czasie piastował stanowisko zastępcy szeryfa.

— Wtedy nie było takiej przestępczości.

— To prawda. — Szeryf wyprostował się. — W jakim wieku był Lance, gdy jego ojciec zaginął?

— Dziesięć lat.

Matka Lance'a, Jenny, cierpiała na chorobę psychiczną, którą zaginięcie męża zaostrzyło. Gdy wszelkie ślady w sprawie ostygły i stało się jasne, że Jenny Kruger nie jest w stanie poradzić sobie z sytuacją, Sharp nie mógł zostawić dzieciaka samemu sobie. Nie udało mu się odnaleźć Victora, więc mógł przynajmniej zająć się Lance'em, który nie miał w życiu nikogo innego. Niewątpliwie jego opieka wpłynęła na Lance'a, który też wstąpił do policji w Scarlett Falls. Poprzedniego lata został postrzelony na służbie, odszedł z policji i przyłączył się do Sharp Investigations, biura detektywistycznego Sharpa.

— Niektóre sprawy nie dają ci nigdy spokoju — zauważył Sharp.

Funkcjonariusz stojący po jego prawej skinął poważnie głową. Każdy gliniarz miał co najmniej taką jedną taką sprawę, która zapadała mu w duszę. Przesłębstwo, którego ofiary zostawały w jego pamięci na zawsze. Dla Sharpa taką sprawą było zaginięcie Victora Krugera.

— Kto znalazł samochód? — zapytał Sharp, spoglądając znowu na wrak.

— Grupa poszukiwawcza policji stanowej testowała swój nowy sonar. Gdy wykryli pojazd, zadzwonili do nas, a my ściągnęliśmy nurków. — Szeryf wskazał na podskakująca na falach łódkę. — Zwrócę się o akta sprawy do policji Scarlett Falls, ale skoro już tu jesteś, czy możesz mi powiedzieć, co pamiętasz o tej sprawie?

Każdy. Cholerny. Szczegół.

Sharp wsunął dłonie do kieszeni kurtki.

— Około dziewiątej wieczorem w środę dziesiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, trzydziestopięcioletni Victor Kruger, znany wśród przyjaciół jako Vic, wyszedł z domu do sklepu spożywczego i nigdy nie wrócił.

— Jakież ślady przestępstwa?

— Żadnych. — Sharp nigdy nie znalazł żadnej porządnej poszlaki. Naprawdę wyglądało na to, że ten człowiek rozpułnął się w sierpniowym powietrzu.

— Samobójstwo? — Szeryf wyciągnął z kieszeni parę rękawiczek i naciągnął je na dłonie.

— Brak oznak depresji lub innej choroby psychicznej — powiedział Sharp.

Przynajmniej u Victora. Matka Lance'a to inna historia.

Szeryf obszedł samochód i przyjrzał się masce i zderzakowi.

— Romans? A może po prostu miał dość swojego życia i postanowił zniknąć?

— Nie sądzę. Według wszystkich, z którymi rozmawialiśmy, Victor cenił rodzinę i nigdy nie porzuciłby żony i dziecka. — Sharp przysunął się bliżej. Szeryf nie zaprotestował.

— Jedno, czego można się nauczyć w tej robocie, to że każdy ma jakieś sekrety — zauważył szeryf.

Sharp wiedział, że to prawda, jednak nie udało mu się odkryć żadnych brudnych sekretów w życiu Victora Krugera.

Pochylił się i zajrzał przez okno na siedzenie pasażera. Wnętrze było pełne mułu, roślin i innych śmieci. Zauważył plastikową butelkę po coli na podłodze za

siedzeniem.

Tym, czego nie widział, były kości.

— Jakieś ludzkie szczątki? — zapytał.

W wodzie, zwłaszcza latem, ciało bardzo szybko rozkładało się. Victor Kruger zaginął w sierpniu, woda była ciepła. Bakterie, insekty wodne i inni mieszkańcy jeziora szybko zamieniłyby jego szczątki w szkielet.

— Jeszcze ich nie znaleźliśmy. — Szeryf obszedł samochód, zaglądając przez wszystkie okna do środka.

— Gdyby był w samochodzie, powinniśmy znaleźć kości — powiedział Sharp.

— Kto wie? Okno kierowcy było opuszczone. Drzwi otwarte. Prąd mógł wynieść ciało ze środka. Mieliśmy w ostatnim dwudziestoleciu kilka powodzi, które mogły przemieścić wrak.

— Może.

— Nawet nie wiemy, czy znajdował się w samochodzie, gdy ten wjechał do wody. — Szeryf wetknął głowę do auta przez otwarte drzwi kierowcy, po czym ją wyciągnął. — W środku nie ma niczego poza śmieciami i jakimiś resztkami z jeziora.

Funkcjonariusz podszedł do bagażnika.

— Możemy już otworzyć? — upewnił się.

Szeryf machnął ręką w powietrzu.

— Jasne.

Funkcjonariusz podszedł z łomem. Przerdzewiałe zawiasy otworzyły się ze skrzypieniem rodem z filmu grozy.

Szeryf zajrzał do środka i skrzywił się.

— Cholera.

Sharp stanął za nim i poczuł, jak ściska mu się serce. Wewnątrz przerdzewiałego bagażnika leżał ludzki szkielet. Kości były wymieszane jak puzzle w pudełku. Czaszka leżała wewnątrz koła zapasowego, obok czegoś, co Sharp uznał za kość udową, biorąc pod uwagę jej grubość i rozmiar. Jego wprawne oko dostrzegło także strzęp tkaniny, która była zbyt brudna, by można było ją określić i zamek błyskawiczny. Vic miał na sobie szorty bojówki, gdy zaginął.

Jak Lance przyjmie tę wiadomość? Czy lepiej wiedzieć, że jego ojciec prawdopodobnie został zamknięty w bagażniku i wrzucony do jeziora, czy lepiej byłoby sądzić, że dobrowolnie odszedł z jego życia?

Niestety najlepszą wiadomością w tym przypadku byłoby, gdyby Victor Kruger już nie żył, gdy został zamknięty w bagażniku.

Nie, żeby ktokolwiek miał tu jakiś wybór. Było, jak było. Przynajmniej dla Lance'a ta sprawa wreszcie się zakończy. Przez większość życia niósł na barkach ciężar zniknięcia ojca. W wieku dziesięciu lat musiał wziąć na siebie odpowiedzialność dorosłego. Został w Scarlet Falls, by zajmować się matką, rezygnując z możliwości awansu w innym miejscu w imię odpowiedzialności za rodzinę.

Jednak minionego lata Lance spotkał Morgan Dane i wszystko się zmieniło. Lance zaczął mieć życie osobiste.

A teraz to...

To będzie świeża rana.

Victor Kruger nie zostawił rodziny ani nie popełnił samobójstwa.

Został zamordowany.

ROZDZIAŁ 3

Morgan przeciskała się przez zatłoczony korytarz sądowy. W drugim jego krańcu prywatny detektyw Lance Kruger stał w towarzystwie około czterdziestoletniej kobiety. Ubrany w marynarkę Lance górował nad nią wyraźnie. Kobieta przyciskała do załzawionych oczu chusteczkę.

Niebieskie oczy Lance'a wyłowiły z tłumu zbliżającą się Morgan. Gestem wskazał na Morgan i na kobietę.

— Nino, to jest Morgan Dane, adwokat, o której ci mówiłem.

— Dziękuję za przyjście. — Nina stłumiła szloch. — Nie wiedziałam, co obić.

— Syn Niny to Eric McCain z mojej drużyny hokejowej. — Lance trenował grupę trudnej młodzieży. — Wczoraj wieczorem Eric i sześciu chłopców zostało aresztowanych. Nie wiem, jakie dokładnie zostały im postawione zarzuty, ale ma to jakiś związek z nagraniem przedstawiającym ich kolegę i koleżankę z klasy uprawiających seks.

Większość nastolatków albo nie zdawała sobie sprawy, że wysyłanie zdjęć i nagrań tego typu podpadało pod rozpowszechnianie pornografii dziecięcej, albo o tym nie myślała.

— Zatrzymali go na noc w więzieniu. — Nina pociągnęła nosem i otarła go chusteczką.

Morgan dotknęła dłonią jej przedramienia.

— Zadzwoń do biura prokuratora, porozmawiam z Erikiem i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. Proszę się nie martwić. Dzisiaj odbędzie się tylko wstępne przesłuchanie. Eric może się przyznać do winy lub nie, a sędzia wyznaczy kaucję. Naszym celem jest wydostanie go z więzienia.

Tę noc Eric na pewno spędził w areszcie śledczym, Morgan jednak nie chciała, żeby trafił do prawdziwego więzienia. Jej poprzedni młody klient, który był niewinny, został w nim poważnie ranny.

— Dziękuję — powiedziała Nina.

Morgan znalazła ustronny kąt i zadzwoniła do prokuratora, jednak rozmowa nie uśmierzyła jej niepokoju. W stanie Nowy Jork, w przypadku gdy nie było to działanie

świadomie wymierzone na czyjąś szkodę, dzieciaki przyłapane na sextingu były zobowiązane do wzięcia udziału w programie edukacyjnym i to wszystko. Jednak Erikowi miano postawić zarzuty posiadania nielegalnych materiałów i groziło mu nawet do czterech lat więzienia. Czy prokurator usiłował go nastraszyć?

Nie uznawała wymówek w stylu „to tylko chłopcy”, jednak wysyłanie nastolatków do więzienia wydawało się jej przesadą. Wolała obowiązkowe programy edukacyjne i prace społeczne.

Jak mawiał zawsze jej dziadek, *zmęczone nastolatki mają mniej czasu na wybryki*.

Morgan ruszyła w stronę miejsca w pobliżu sali sądowej, gdzie Eric został przetransportowany dziś rano i oczekiwał na przesłuchanie. Poprosiła o widzenie ze swoim klientem i usiadła na pustej ławce w korytarzu, czekając na zwolnienie się rozmównicy. Wyjęła z torby notes i zaczęła robić notatki.

— Pani Dane?

Uniosła głowę. Stał nad nią mężczyzna w dobrze skrojonym szarym garniturze. Mógł być koło trzydziestki, miał gęste czarne włosy, oliwkową cerę i czarne oczy o nieprzeniknionym wyrazie.

— Jestem Anthony Esposito, nowy asystent prokuratora okręgowego — przedstawił się.

— Słyszałem, że reprezentuje pani Erica McCaina.

Po telefonie do prokuratury wiedziała, że do sprawy Erica został przydzielony nowy asystent prokuratora okręgowego. Zamknęła notes i wstała.

— Tak, jestem obrońcą pana McCain’a.

W butach na obcasie miała około metra osiemdziesięciu i górowała wyraźnie nad swoim rozmówcą.

Skrzywił się.

— Sprawa jest oczywista, jednak w imię oszczędzania czasu i pieniędzy jesteśmy skłonni zaoferować ugodę. Jeśli McCain przyzna się do winy, zgodzimy się na wyrok w zawieszeniu.

Większość spraw kończyła się ugodą, więc Morgan nie była zaskoczona.

— Czy będzie musiał się zarejestrować w bazie przestępców seksualnych?

— Tak.

— Jako że jeszcze nie znam szczegółów, może mnie pan wprowadzi — poprosiła. Esposito skinął głową.

— Pan McCain trzy dni temu dostał e-mail, w załączniku znajdowało się nagranie dwojga nieletnich zaangażowanych w akt seksualny. Tak jak mówiłem, sprawa jest dość oczywista.

Może. Z drugiej strony Esposito nie wskazywałby przecież na żadne luki w swojej sprawie.

— Przekażę pańską ofertę klientowi i skontaktuję się z panem. — Morgan wzięła swoją torbę i zrobiła krok, by wyminąć Esposita.

Ten zacisnął usta i zablokował jej drogę.

— To jednorazowa oferta. Jeśli pani klient będzie dzisiaj utrzymywał, że jest niewinny, wycofam ją.

— Jeszcze nawet z nim nie rozmawiałam. — Morgan chciała usłyszeć wersję Erica. Esposito mógł sobie twierdzić, że jego sprawa jest solidna niczym góra Rushmore, jednak to nie oznaczał, że naprawdę tak było.

Esposito nachylił się, wkraczając w jej przestrzeń osobistą.

— Pani klient pójdzie do więzienia. Czy wspominałem, że mam pisemne przyznanie się do winy?

Cholera.

Jak miała sprawić, by ten dzieciak nie trafił *ani* do więzienia, *ani* do rejestru przestępców seksualnych?

— Skontaktuję się po rozmowie z moim klientem. — Zrobiła krok wprost w jego stronę, nie dając mu innego wyjścia, jak tylko ustąpić jej z drogi. Gdy pracowała jako prokurator, zdarzało jej się przesłuchiwać gwałcicieli i morderców. Nie pozwoli, by jakiś asystent prokuratora okręgowego z przerośniętym ego ją onieśmielił.

Cofnął się o krok, sztywno wyprostowany.

Morgan przeszła obok niego, nie starając się zostawić mu miejsca. To był typ człowieka, któremu nie można było ustąpić nawet na milimetr. Podeszła do rozmównicy, która przypominała otwarty z przodu i z tyłu boks z bocznymi ściankami, które dawały nieco prywatności.

Strażnik przyprowadził Erica, który opadł na krzesło po drugiej stronie stołu. Jarzeniówka u sufitu oświetliła ciemny siniec na jego policzku. Następnego dnia zapewne będzie miał podbite oko.

— Pani Dane? Co pani tutaj robi? Powiedzieli mi, że na przesłuchanie przydzielą mi prawnika z urzędu.

— Lance do mnie zadzwonił — powiedziała Morgan. — Skąd masz tego siniaka na policzku?

Eric zdmuchnął grzywkę z czoła.

— Uderzyłem twarzą w podłogę, gdy szeryf zakuwał mnie w kajdanki.

— Czy stawiałeś opór przy aresztowaniu? — zapytała Morgan.

Eric odwrócił wzrok.

— Tak naprawdę to nie.

Co trudno uznać było za stanowcze zaprzeczenie.

Morgan przeszła dalej.

— Nie mamy dużo czasu. Asystent prokuratora zaoferował ugodę. Jeśli przyznasz się do winy, dostaniesz wyrok w zawieszeniu.

Eric wyprostował się gwałtownie.

— Ale ja nic nie zrobiłem.

— Ktoś wysłał ci e-mail z pornograficznym filmikiem z udziałem nieletnich.

— Dziewczyna Spencera z nim zerwała. Wysłał filmik z nagraniem, jak to robią, wszystkim w szkole. — Eric prychnął z niesmakiem. — Jak mogę powstrzymać kogoś od wysłania mi e-maila?

Dobre pytanie. Jednak gdyby każdy, u kogo na komputerze znaleziono e-maile zawierające pornografię dziecięcą mógł się bronić w ten sposób, skazywanie pedofilów stałoby się niemożliwe. Morgan mogła powołać się na to, że Eric nie miał żadnych złych zamiarów, jednak wynik zależałby od sędziego.

— Jeśli to trafi do sądu i zostaniesz skazany, grozi ci wyrok maksymalnie czterech lat więzienia.

Eric zbladł.

— Cztery lata? Bo głupi Spencer wysłał mi e-mail?

— Tak.

— Ale ja tego nie chciałem! — Eric zmrużył oczy w zdumieniu.

Morgan pękało serce. Wcześniej, jako prokurator, była twarda, jednak śmierć jej męża w Iraku i to, że została samotną matką trójki córek pozbawiło ją tej twardej skorupy.

— Przykro mi, że znalazłeś się w takiej sytuacji.

— Nie chcę iść do więzienia. — Eric zaczął obgryzać skórki przy kciuku.

— Jeśli przyznasz się do winy, będziesz musiał się zarejestrować w bazie

przestępców seksualnych i będziesz miał na koncie wyrok za przestępstwo, co zostanie w twoich aktach na zawsze.

— To nie fair! — Jego oczy zamgliły się. Pochylił głowę i otarł twarz dłonią. — Co powinienem zrobić?

— Sęk w tym, że asystent prokuratora powiedział, że to jednorazowa oferta i wycofa ją, jeśli nie przyznasz się do winy.

— Co za ku... palant.

— Nie wiemy jeszcze, jakimi dowodami dysponuje. Jeśli nie przyznasz się do winy, będzie je musiał przedstawić. To nazywa się postępowaniem dowodowym.

— Wiem, oglądałem z mamą film *Mój kuzyn Vinny*. — Spojrzał na nią błagalnie. — Jeśli przyjmę tę ugodę, to moje życie będzie skończone. Co się stanie, jeśli się nie zgodzę?

— Jeśli powiesz, że jesteś niewinny, sędzia ustali wysokość kaucji i spróbujemy cię stąd dzisiaj wydostać.

— Nie będę musiał spędzić kolejnej nocy w więzieniu? — Eric pojaśniał. — Bo to miejsce jest naprawdę popie. nieprzyjemne.

— Taki jest plan.

Na jego twarzy mignął wyraz ulgi.

Morgan wciąż jeszcze była świeża w roli obrońcy, ale zaczynała doceniać to, jaka to ważna rola. Gdy pracowała w biurze prokuratora w Albany, nie martwiła się, czy wysyła niewinnych ludzi do więzienia. Teraz zastanawiała się, czy kiedykolwiek się jej to zdarzyło.

— Prokurator mówi, że ma pisemne przyznanie się do winy — powiedział.

— Do niczego się nie przyznawałem! — Eric uniósł głos.

— Ale coś podpisałeś...

— Tak. — Eric przeczesał swoje kędzierzawe włosy palcami. — Szeryf kazał mi podpisać zeznanie. Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, sędzia będzie dla mnie surowszy.

— Czy wcześniej przeczytał ci prawa Mirandy?

— Tak. — Eric skinął głową. — Ale powiedział, że dzwonienie po prawnika sprawi, że wyjdę na winnego i może nie będę mógł wyjść za kaucją i musiałbym zostać w więzieniu.

Morgan miała już wcześniej do czynienia z szeryfem hrabstwa Randolph, Kingiem.

Słysnął z zamiłowania do ostrych metod.

— Będziemy argumentować, że szeryf zmusił cię do popisania przyznania się do winy. Powiedziałeś, że wszyscy w szkole mają to nagranie. Czy przesłałeś je do kogokolwiek?

— Nie. — Eric wydał wargi. — Wiedziałem, co to jest. Usunąłem to natychmiast, jak tylko zobaczyłem to w skrzynce.

Morgan zamarła.

— Nie otworzyłeś e-maila?

— Nie. — Eric uniósł głos, po czym rozejrzał się dookoła i zapytał ciszej. — A co?

Strażnik dał Morgan znak.

— Czas nam się kończy. — Morgan odłożyła biuro. — Nic się nie martw, postaram się cię stąd wyciągnąć.

Strażnik odprowadził Erica, a Morgan skierowała się do biura prokuratora, mieszczącego się w drugim skrzydle. Poprosiła o spotkanie z Espositem. Recepcjonistka skierowała ją do sali konferencyjnej. Weszła do środka i położyła torbę na stole.

— Witaj, Morgan — prokurator okręgowy Bryce Walters wszedł do środka, uśmiechając się drapieźnie białymi zębami. Bryce omal nie został jej szefem, jednak gdy dwa miesiące temu zdecydowała się bronić swojego sąsiada w medialnej sprawie o morderstwo, przyćmiła prokuratora i straciła wszelkie szanse na pracę u niego. Można powiedzieć, że nie tylko spaliła za sobą mosty, ale wysadziła je w powietrze bombą atomową.

— Bryce, nie spodziewałam się zobaczyć ciebie. Sądziłam, że Esposito prowadzi tę sprawę.

— Chciałem tylko sprawdzić, jak mu idzie. — Wyciągnął dłoń nad stołem i uściskał jej rękę, po czym odsunął sobie krzesło.

Bryce zazwyczaj dobrze ukrywał emocje, jednak teraz widać było w jego oczach błysk satysfakcji.

Morgan poczuła gniew i starała się oddychać głęboko, by się uspokoić. Bryce sądził, że sprawa Erica pozwoli mu wyrównać z nią rachunki.

— Jak ci idzie w prywatnej praktyce? — zapytał.

— Bardzo dobrze, dziękuję. — Usiadła i oparła przedramiona na stole. — Podoba

mi się to, że sama ustalam godzin swojej pracy i wybieram sprawy, którymi chcę się zająć.

Niemal każdego wieczoru była w stanie zjeść kolację razem z córkami i miała życie osobiste. Gdyby pracowała dla Bryce'a miałyby szczęście, docierając do domu o ósmej. Jednak to jego nadmierne zadowolenie z siebie sprawiało, że cieszyła się, iż sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

To nie była gra. Na szali leżało życie młodego człowieka. Niezależnie od tego, jak agresywnie traktowała przestępców, nigdy nie uznawała ich za pionki w swojej grze.

Do sali wszedł Esposito i nonszalanckim gestem rzucił teczkę na stół.

— Gotowa na ugodę?

Morgan splotła palce.

— Mój klient nigdy nie obejrzał tego nagrania. Usunął e-mail bez czytania.

Cisza.

Esposito otworzył usta ze zdumienia, po czym zamknął je gwałtownie. Jego oczy stały się zimne i lśniące z tłumionej wściekłości. Bryce zacisnął szczęki i marszcząc brwi spojrzał na Esposita.

— Wymuszone zeznania są często fałszywe. Gdy następnym razem szeryf podsunie wam takie zgniłe jajo, sprawdźcie najpierw szczegóły. — Morgan wstała. Pochyliła się do przodu, opierając obie dłonie na stole. — Spodziewam się, że zarzuty zostaną wycofane, a mój klient natychmiast zwolniony z aresztu. — Odepchnęła się od stołu, wzięła swoją torbę i płaszcz. — Do widzenia panom.

ROZDZIAŁ 4

Lance wszedł za Morgan do biura mieszczącego się w bliźniaku z biznesowej dzielnicy Scarlet Falls. Jego szef mieszkał w górnej części domu, podczas gdy dolna pełniła rolę siedziby Sharp Investigations. Dwa miesiące temu Morgan zaczęła od nich wynajmować wolny pokój na swoją kancelarię prawną.

Przeszli korytarzem.

— Czy Sharp jest w biurze? — zapytała Morgan.

Lance wetknął głowę do gabinetu szefa.

— Nie.

Morgan zatrzymała się w swoim biurze, żeby odwiesić płaszcz, następnie przyłączyła się do Lance'a w kuchni. Podeszła do zlewu, zwilżyła ściereczkę i potarła nią płamkę na swojej spódnicy.

Lance wyjął telefon, by sprawdzić wiadomości i odkrył, że bateria wyczerpała się. Otworzył szufladę kuchenną, wyjął z niej ładowarkę i podłączył telefon.

— Dziękuję, że zgodziłaś się pomóc Ericowi i jego mamie. Pewnie nie będą w stanie zapłacić zbyt dużo.

— Wiem, ale to było tylko kilka godzin mojego czasu, a nie mogłabym pozwolić, by Eric trafił do więzienia, niezależnie od wszystkiego.

— Nie możesz ciągle pracować *pro bono*.

— Wiem. — Potarła płamkę energiczniej. — Ale w tej chwili mam tylko sprawę o prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, nic więcej. Mam czas.

A nawet gdyby było inaczej, Morgan nie mogłaby ich zostawić samych sobie. Lance był prawdziwym szczęściarzem.

Przeszedł przez pokój i ujął jej twarz w dłonie.

— Może znajdę jakiś sposób, by odwdzińczyć ci się za twój czas.

Wyrzuciła ręcznik papierowy do kosza.

— Co też masz na myśli?

Pocałował ją, przyciągając do siebie i obejmując ramionami.

— Dzisiaj byłaś prawdziwą twardzielką. — Odchylił się do tyłu. Widząc rumieniec, który zabarwił jej policzki, drażnił się z nią jeszcze chwilę. — Miałem

ochotę pocałować cię wcześniej, gdy wyszliśmy z Ericiem z sądu, ale wiem, że jesteś pruderyjna, jeśli chodzi o publiczne okazywanie uczuć.

— Pruderyjna? — Kącik jej ślicznych ust uniósł się górę. — Nazywasz moją chęć, by zachowywać się profesjonalnie, pruderią?

— Tylko trochę. Ale podoba mi się, gdy jesteś taka zasadnicza. Czuję się wtedy jak niegrzeczny chłopiec. — Lance znowu ją pocałował, czując jak Morgan uśmiecha się.

— Nie chcę cię rozczarować, ale jesteś bardziej harcerzykiem niż niegrzecznym chłopcem. Zawsze postępujesz właściwie.

— Och, czyżby? — Ujął dłonią tył jej głowy i przechylił do tyłu. Trochę przeszkadzał mu jej kok, więc wyjął szpilki i pozwolił, by jej długie czarne włosy opadły na ramiona.

— Zawsze to robisz.

— Lubię, jak masz rozpuszczone włosy. — Mówiąc ściślej, lubił, gdy to on je rozpuszczał. Przesunął ustami od jej ust do szyi. Nigdy nie mógł się nasycić jej smakiem.

Jęknęła cicho, wtulając się w niego. Była wysoka i jej ciało idealnie wpasowywało się w niego.

— Cóż, dzisiaj harcerzyk gotów jest wcześniej urwać się z pracy. — Zerknął na zegar ścienny. — Całe *piętnaście* minut wcześniej. Czy jest szansa, byś wpadła do mnie, nim pojedziesz do domu?

— Całe piętnaście minut? — Odgięła się do tyłu. Oczy jej lśniły. — Nie wiedziałam, że potrafisz aż tak łamać zasady.

— Sprawię, żeby ci się to opłaciło. — Położył jej dłoń na krzyżu i przyciągnął jej biodra do swoich.

Potrząsnęła głową, chociaż w jej oczach zapłonął płomień pożądania.

— Nie mam dużo czasu. Chcę wrócić do domu na obiad. Dzisiaj Stella zajmuje się dziadkiem. Może wpadniesz zamiast tego do nas?

Morgan mieszkała ze swoim dziadkiem, który niedawno poważnie złamał nogę. Jej siostra Stella i jej chłopak pomagali mu się nim zajmować.

— Nie potrzebuję dużo czasu. — Objął ją w tali ramionami, łącząc dłonie za jej plecami.

— Wiem, gdzie są wszystkie istotne punkty.

Uśmiechnęła się.

— To prawda.

Biorąc pod uwagę jej wracającego do zdrowia dziadka, troje dzieci i chorobę psychiczną jego matki, nie mieli zbyt wiele czasu tylko dla siebie. Lance gotów był wykorzystać każdą chwilę sam na sam, na jaką miał szansę.

Położyła dłonie na jego piersi.

— Tylko się przebiorę. Nie wiem, czym upaprałam tę spódnicę, ale muszę ją podrzucić do pralni w drodze do domu.

Patrzył, jak odchodzi, ciesząc się tym widokiem. Jej dopasowany, kobaltowy kostium podkreślał jej ciemne włosy, jasną karnację i niebieskie oczy, a dopasowane do stroju buty na obcasie eksponowały jej idealne nogi.

— Może potrzebujesz pomocy, żeby ją zdjąć?

Zerknęła przez ramię i uniosła jedną brew w udawanym oburzeniu.

— Zachowuj się. Jeszcze jesteśmy w biurze.

— Pospiesz się. Czas nas goni. — Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o blat.

To, że przyspieszyła kroku, sprawiło, że poczuł się absurdalnie szczęśliwy.

Ona sprawiała, że czuł się absurdalnie szczęśliwy.

Jego telefon, leżący na blacie, zawibrował. Lance odebrał.

— Hej, Sharp.

— Gdzie byłeś? — zapytał Sharp. — Od godziny usiłuję się do ciebie dodzwonić.

— Teraz nie czas na pracę, Sharp, właśnie wychodzę. — Lance wziął kluczyki.

— Lance...

— Och, daj spokój. Już prawie koniec dnia pracy. Czy to nie może poczekać do jutra?

— Nie. — Ton Sharpa był nietypowo poważny i Lance zaczął słuchać uważniej.

— Co się stało? — zapytał.

Morgan pojawiła się w drzwiach w dżinsach i grubym wełnianym swetrze z płaszczem przerzuconym przez ramię. Zmarszczyła brwi.

— Czy coś się stało?

Sharp wziął głęboki oddech. Jego wydech był słyszalny nawet ponad dobiegającymi gdzieś z otoczenia głosami i wyciem wiatru. Gdzie on był?

— Chodzi o twojego ojca.

To proste zdanie niemal podcięło Lance'owi nogi. Usiadł na najbliższym krześle.

— Podczas lunchu jeden z moich dawnych kumpli powiedział mi, że wydział szeryfa wyciągnął z Grey Lake buicka century z 1984 roku — powiedział Sharp. — Przykro mi, Lance. To samochód twojego ojca.

Morgan stanęła u jego boku. Pochyliła się i objęła go za ramiona. Najwyraźniej usłyszała, co powiedział Sharp.

Lance przymknął oczy i wtulił się w nią. Jasne światło przeświecało przez jego powieki, malując je na czerwono. Już zadając pytanie, znał na nie odpowiedź. Sharp nie brzmiałby tak ponuro, gdyby pojazd był pusty.

— Czy on był w środku?

Sharp znowu odetchnął ciężko.

— W bagażniku znaleziono ludzkie szczątki.

Przez Lance'a przetoczył się szok, pozostawiając go odrętwiałym.

W bagażniku?

Jego ojciec został zamordowany.

— Nie wiem, dlaczego odczuwam zaskoczenie — powiedział wreszcie. — Wiedziałem, że nigdy by nas nie zostawił.

Zalała go fala wspomnień. Jego ojciec, uczący go, jak łapać piłkę, kosić trawnik... Wożący go na treningi hokeja. Był porządnym, dobrym człowiekiem. Kto mógłby go zabić? I dlaczego? Gorycz podплыnęła Lance'owi do gardła.

Gdy już przyswoił słowa Sharpa, na pierwszy plan wybiło się główne zmartwienie.

— Jak powiem o tym mojej matce?

Ramiona Morgan zacisnęły się mocniej wokół niego. Chwycił jej dłoń.

— Poprosiłem szeryfa, żeby na razie nie podawał informacji o tożsamości twojego ojca, dopóki z nią nie porozmawiamy — powiedział Sharp. — Zgodził się, ale nie mamy wiele czasu. Tablica rejestracyjna samochodu była dostatecznie wyraźna, by ją odczytać, więc mediom nie zajmie długo dotarcie do informacji, na kogo był zarejestrowany samochód.

— To ją załamie. — Lance potarł twarz dłonią. — A tak dobrze sobie ostatnio radziła.

Jego matka w ostatnim czasie znalazła sobie chłopaka. Oprócz cotygodniowych sesji terapii grupowej rozmawiali ze sobą wyłącznie online, jednak była to pierwsza relacja z kimkolwiek, jaką nawiązała od dziesięcioleci. Zaczęła też pomagać w zbieraniu informacji dla Sharp Investigations. Lubiała być przydatna i podobała jej się

detektywistyczna robota. Ogólnie rzecz biorąc, w ostatnich miesiącach poczyniła ogromne postępy.

— Tak, to przywoła wszystko z powrotem — zgodził się Sharp.

Prawdopodobnie naruszy to też znowu jej kruche zdrowie psychiczne, co z kolei wpłynie też na życie osobiste Lance'a, właśnie teraz, gdy szczęście wydawało się w zasięgu ręki.

— Jeśli chcesz zobaczyć samochód, musisz tu przyjechać — powiedział Sharp.

— Zaraz ruszam — Lance zakończył połączenie.

Morgan rozmawiała przez telefon.

Lance przeszukał kolejną szufladę w poszukiwaniu ładowarki samochodowej, po czym podłączył ją do telefonu.

— Muszę pojechać nad jezioro. Do zobaczenia jutro.

Morgan opuściła telefon i wsunęła go do kieszeni.

— Jadę z tobą.

— Przecież musisz jechać do domu. — Ostatnim, czego by pragnął, byłoby, żeby jego problemy wpłynęły negatywnie na trzy córki Morgan.

— Jadę z tobą — powtórzyła Morgan wyraźniej. — Zadzwońłam do Stelli i powiedziałam jej, że się spóźnię. Zostanie u mnie, aż wrócę do domu.

Zarówno jej ton, jak i determinacja w niebieskich oczach powiedziały mu, że nie ma sensu się sprzeczać. A jeśli miał być ze sobą szczery, był wdzięczny za jej wsparcie.

— Dobrze. — Lance ruszył ku drzwiom.

Morgan szła tuż za nim. Po drodze zabrała płaszcz ze swojego pokoju.

Dotarcie nad Grey Lake zajęło im pół godziny. Droga stawała się coraz węższa i gorsza w miarę, jak się zbliżali na miejsce. Gdy Lance zaparkował na poboczu za dwoma samochodami z wydziału szeryfa, było już całkiem ciemno. Wraz z Morgan wysiedli z jeepa. Pomiędzy drzewami łopotała żółta policyjna taśma. Na brzegu jeziora, pod przenośnymi reflektorami przerdzewiały samochód właśnie był ładowany na lawetę.

Widok zniszczonego samochodu sprawił, że Lance'owi ścisnęło się gardło. Morgan wzięła go za rękę i mocno uściśnęła.

Sharp dostrzegł jeepa i odłączył się od grupy umundurowanych mężczyzn, wychodząc im naprzeciw.

— Patolog właśnie odjechał. Samochód zostanie przewieziony na policyjny parking. — Sharp spojrzał na Lance'a. — Wszystko w porządku?

Lance jedynie skinął głową, nie wiedząc, czy uda mu się wykrztusić słowo.

— Sprawę prowadzi szeryf? — zapytała Morgan.

— Tak — powiedział Sharp. — Wprawdzie pierwotne zgłoszenie zaginięcia trafiło do policji w Scarlett Falls, jednak komendant Horner nie będzie się kłócił z szeryfem o tak starą sprawę, a Grey Lake i tak znajduje się poza jego jurysdykcją.

Lance sam nie wiedział, czy powinien czuć ulgę czy rozczarowanie, że to nie Horner będzie prowadził tę sprawę. Horner był bardziej politykiem niż policjantem, ale szeryf też nie był łatwy we współpracy.

— Horner wyśle kopie akt i umyje ręce. Jego wydział i tak ma braki kadrowe, a stare sprawy jedynie pochłaniają zasoby ludzkie i czasowe.

— Jednak teraz nie jest to już jedynie sprawa zaginięcia dorosłej osoby bez żadnych śladów przestępstwa — zauważył Sharp.

— Nie. — przyznał Lance. — To morderstwo. Jednak czy szeryf będzie w stanie rozwiązać tę sprawę? Próbowaleś znaleźć mojego ojca od lat.

— Nigdy wcześniej nie miałem żadnych fizycznych dowodów — powiedział Sharp. — Teraz je mamy.

Jego ojciec znajdował się w bagażniku swojego samochodu na dnie jeziora przez te wszystkie lata.

Ktoś go tam wsadził. Czy już nie żył zanim bagażnik wypełnił się wodą?

Lance'owi zrobiło się niedobrze.

Szeryf King skinął mu poważnie głową, gdy się zbliżyli.

— Co może mi pan powiedzieć? — zapytał Lance, nie odrywając wzroku od starego buicka. Przez umysł przelatywały mu wspomnienia o tym, jak jeździł nim razem z ojcem. Odepchnął je od siebie.

Nie teraz.

— W tym momencie jeszcze niewiele można powiedzieć — stwierdził szeryf. — Patolog zabrał szczątki.

— Czy wysłał pan nurków, żeby przeszukali dno jeziora? — zapytał Lance.

Szeryf potrząsnął głową.

— Jeszcze nie. Najpierw zbadamy samochód. Cokolwiek tam leży, leży tam od dwudziestu trzech lat. Dzień lub dwa niczego nie zmienią.

Podwodne miejsca zbrodni wiązały się z wyjątkowymi kosztami i wyzwaniem. Przestępstwo wydarzyło się zbyt dawno, by znaleźć jakiegokolwiek dowody na brzegu. Po takim czasie zresztą szanse na znalezienie czegoś na dnie jeziora też były znikome. Samochód i kości stanowiły klucz do rozwiązania zagadki. Lance rozumiał brak pośpiechu ze strony szeryfa, ale i tak mu się to nie podobało. Cóż jednak mógł zrobić? Nie był już policjantem, a nawet gdyby był, Grey Lake znajdowało się w Grey's Hollow, które leżało w jurysdykcji szeryfa.

— Poinformuję pana i pańską matkę, gdy patolog oficjalnie zidentyfikuje zwłoki — powiedział szeryf.

— Prosiłbym, żeby uprzedził mnie pan, nim porozmawia z moją matką. — Lance zastanawiał się, co może powiedzieć szeryfowi. — Nie czuje się dobrze. Ta wiadomość może wpłynąć na stan jej zdrowia.

— Wezmę to pod uwagę, Sharp też mnie o tym uprzedzał — powiedział szeryf, co jednak nie było tego rodzaju zapewnieniem, na jakie liczył Lance.

— Czy ktoś w ogóle odwiedza ten obszar? — Lance omiół okiem jezioro, drzewa i trawy nad wodą.

— Tylko w sezonie polowań. Większość plażowiczów i obozowiczów wybiera południową stronę jeziora, gdzie znajduje się publiczna przystań. Są tam też niezłe miejsca do połowu sumów. — Szeryf wskazał w kierunku wody. — Ten kraniec jeziora jest mulisty i prawdopodobnie dlatego nikt nie zauważył samochodu przez tyle lat.

Lance cofnął się od buicka. Gapienie się na niego było bezcelowe, poza tym, że wbijało mu w głowę jeszcze mocniej, że jego ojciec nie żyje i to od dawna.

Laweta ruszyła z rykiem silnika i odjechała.

Szeryf skinął im głową i skierował się do swojego samochodu.

— Zadzwoń jutro do patologa i zapytam, jak długo zajmie mu oficjalna identyfikacja ofiary — powiedział Sharp, gdy szeryf już oddalił się poza zasięg słuchu.

— Nie, ja to zrobię — powiedział Lance. — To mój ojciec.

Czuł, jak napływają do niego wspomnienia, gromadząc się w bańce poniżej mostka. Coraz trudniej było mu odepchnąć od siebie myśli o przeszłości.

Lance wysunął rękę z uścisku Morgan.

— Muszę jechać do mamy. Szeryf powiedział, że da mi znać wcześniej, ale nie

ufam mu.

— Chcesz, by jedno z nas pojechało z tobą? — Sharp wskazał na siebie i na Morgan.

Lance potrząsnął głową.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedę sam.

Nie wiedział, jak jego matka zareaguje. Morgan jeszcze nigdy nie widziała Jenny Kruger w szponach jej choroby. Stan matki Lance'a był stabilny od kilku miesięcy i Morgan nie miała pojęcia, jak źle może to wyglądać.

I Lance pragnął, by tak pozostało.

Nie chciał wciągać Morgan w nieprzewidywalność choroby psychicznej swojej matki. Żałował, że musi powiedzieć matce o znalezieniu samochodu ojca, ale nie miał wyboru. Cierpiała na lęk przestrzeni i prowadziła życie online. Gdyby jej nie powiedział i tak by się tego dowiedziała. Liczył na to, że lepiej przyjmie tę wiadomość od niego.

— Dobrze. — Sharp odwrócił się w stronę drogi. Jego ruchy zdradzały zmęczenie, jakby wydarzenia tego dnia wyssały jego energię. Zazwyczaj miał jej więcej niż niejeden dwudziestolatek.

Lance potarł czoło dłonią. Po wizycie u matki będzie miał tylko jedno zadanie: dowiedzieć się, kto zabił jego ojca.

ROZDZIAŁ 5

Morgan z bolącym sercem obserwowała udrękę Lance'a. Z jednej strony pragnęła, żeby on i jego matka dowiedzieli się w końcu, co stało się z Victorem Krugerem i mogli zamknąć tę sprawę. Z drugiej strony wiedziała, że takie zakończenie ma swoją cenę. Stare rany zostaną rozdrapane na nowo. Ból buchnie ze świeżą siłą — mogła tylko mieć nadzieję, że będzie krótkotrwała.

— Jestem teraz zły na siebie, że nie zajrzałem do tych akt, które dałeś mi we wrześnie — zwrócił się Lance do Sharpa.

— Wtedy to była dobra decyzja — pocieszył go Sharp. — Nie chciałeś wyciągać przeszłości wtedy, gdy były niewielkie szanse na rozwiązanie tej sprawy. Teraz pojawiły się nowe ślady.

A przeszłość miała powrócić niezależnie od tego, co zrobiłby Lance.

Skrzyżował ramiona na piersi i zapatrzył się w jezioro. Morgan podążyła za jego spojrzeniem. Nie było widać księżyca i woda miała różne odcienie czerni. Przeniosła spojrzenie na jego twarz, która teraz była zamknięta i bez wyrazu.

Jeszcze niedawno obejmowali się, szczęśliwi i beztroscy.

Teraz wszystko się zmieniło.

— Podwieziesz Morgan do biura? — zwrócił się Lance do Sharpa. — Jej minivan tam stoi.

— Oczywiście — powiedział Sharp.

— Dasz nam chwilę, Sharp? — zapytała Morgan.

— Zaczekam w samochodzie. — Sharp ruszył w kierunku auta, dając Lance'owi i Morgan chwilę prywatności.

Przeszła przez wysokie trawy, żeby znaleźć się przed nim i położyła mu dłonie na ramionach. Jego mięśnie były napięte, sztywne ze zdenerwowania.

— Jak ty sobie z tym radzisz?

— Nie wiem. — Spojrzał ponad jej ramieniem. Laweta zniknęła za nim w oddali. Lance mrugnął i spojrzał na nią. — To wydaje się nierzeczywiste.

— Przykro mi, że ci się to przydarzyło. — Zsunęła dłonie w dół, żeby ująć go za rękę. — Jesteś pewien, że nie chcesz, bym ja lub Sharp pojechali z tobą do domu

twojej mamy? Wiem, że jesteś w stanie poradzić sobie sam, ale nie musisz.

— Jestem pewny. — Lance westchnął ciężko. — Nie wiem, jak zareaguje. Jeśli będę potrzebował pomocy, mogę zadzwonić do Sharpa. Już ją widział w jej najgorszym wydaniu.

Jego słowa zabolą ją, chociaż wiedziała, że to z jej strony przewrażliwienie. Sharp był obecny w życiu Krugerów od ponad dwudziestu lat. Relacja Morgan z panią Kruger była stosunkowo świeża. Mimo że Morgan uważała już Lance'a za część swojej rodziny, on jeszcze najwyraźniej nie włączał jej w swoją.

Nie naciskała jednak. Nie przetrwałaby śmierci swojego męża bez wsparcia dziadka i siostry. Jednak Lance nie miał nikogo oprócz Sharpa od wielu lat i był bardziej przyzwyczajony do radzenia sobie samemu.

— Rozumiem. — A przynajmniej próbowała. — Zadzwonisz do mnie później?

— Postaram się. Zależy, jak przyjmie tę wiadomość. Zostanę u niej na noc.

— Oczywiście. — Skinęła głową. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Potrząsnął głową.

— Ale dziękuję, że pytasz.

To zabrzmiało tak... z dystansem.

Uścisnęła jego dłonie, próbując nawiązać z nim kontakt.

— Zadzwon do mnie, nieważne, która będzie godzina.

Skinął głową, skierował się w stronę swojego jeepa i odjechał.

Morgan poszła w stronę drogi, gdzie zaparkowany był samochód Sharpa. Szeryf King stał przy otwartych drzwiach swojego terenowego wozu.

Gdy go minęła, zmrużył oczy.

— Słyszałem, że dzisiaj popołudniu uwolniłaś jednego z tych chłopaków — powiedział niskim, głębokim głosem pełnym odrazy.

Morgan zatrzymała się i zwróciła w jego stronę.

— Eric był niewinny. Nie przeszkadza panu, że spędził noc w więzieniu za coś, czego nie zrobił?

— Biorąc pod uwagę nagranie, które rozsyłali jego koledzy, jestem pewien, że ma coś na sumieniu. — Szeryf wzruszył ramionami, co było równie wiele mówiące, co jego słowa. Zsunął z głowy kapelusz i przyglądał przyprószone siwizną włosy. — Te bogate dzieciaki muszą się nauczyć, że ich działania mają konsekwencje.

— Trudno zaliczyć Erica do bogatych dzieciaków, a nawet gdyby nim był, to nie

jest to powód, by niewinnego chłopaka wsadzać za kratki. — Morgan wciągnęła w płuca powietrze, mając nadzieję, że zawarta w nim wilgoć uśmierzy jej gniew. — Eric ma siniaka na twarzy.

Szeryf nasadził kapelusz z powrotem na głowę.

— Stawiał opór przy aresztowaniu.

Morgan przewidziała, że szeryf powie coś takiego.

— Mógł zginąć. Trudno nazwać wasz areszt bezpiecznym.

Skrzyżowali spojrzenia na kilka sekund. Zmrużył oczy na wzmiankę o ataku na jej poprzedniego klienta.

— Więzienie to niebezpieczne miejsce. — Zgrzytnął zębami szeryf. — Teraz pani klient o tym wie. Może będzie kroczył odtąd ścieżką sprawiedliwości.

— *Już* kroczył ścieżką sprawiedliwości — odpaliła Morgan. — Nasz system prawny zakłada niewinność do udowodnienia winy. Eric nie zasługiwał na sińca na twarzy.

— Nie powinien stawiać oporu. — Szczęka szeryfa przesuwiała się w przód i w tył, jakby coś przeżuwał. Morgan odwróciła się, nie mając nic więcej do powiedzenia. Szeryf King był twardzielem starej daty. Uważał, że jego praca polega na tym, by jak najwięcej osób wsadzić za kratki. Wiedziała, że się nie zmieni.

— Tyler Green wyszedł za kaucją — powiedział nagle.

Morgan zamarła w miejscu, czując jak jej dłonie robią się zimne. Odwróciła się powoli.

— Poważnie?

— Tak. Udało mu się uzyskać kolejne posiedzenie w sprawie. — Szeryf nacisnął kapelusz mocniej na głowę. — Uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć, biorąc pod uwagę, że się pani odgrażał.

Dwa miesiące wcześniej agencja Sharp Investigations została zatrudniona, żeby odnaleźć niepłacącego alimentów ojca. Morgan była zaangażowana w jego aresztowanie — zaatakował ją i w odróżnieniu od byłej żony, która zanadto się go bała, żeby przeciwko niemu zeznawać, Morgan wysunęła zarzuty i Tyler Green trafił do więzienia.

Tymczasowo.

— Sądziłam, że nie stać go będzie na kaucję. — Morgan potarła szyję. Mimo że jej sińce już zniknęły, miała wrażenie, iż wciąż jest w stanie poczuć dłonie Tylera na

swojej szyi.

— Nie mam pojęcia, co się stało. — Szeryf wzruszył ramieniem. — Ja wpakowałem go za kratki. Nic nie poradzę na to, że system uznał, iż jest niewinny do czasu udowodnienia winy.

Biorąc pod uwagę informację, której jej udzielił, postanowiła zignorować tę złośliwą uwagę.

— Dziękuję, że powiedział mi pan o Tylerze. — Morgan nie była zaskoczona tym gestem. Szeryf King mógł być szorstki w obyciu, jednak jego maniery były równie staroświeckie jak podejście do wymiaru sprawiedliwości.

— Nie ma za co. Proszę na siebie uważać, pani mecenas. — Szeryf wszedł do samochodu i odjechał.

Morgan podeszła do samochodu Sharpa. Skóra mrowiła ją ze zdenerwowania i czuła za uszami nadchodzący ból głowy. Wślizgnęła się na siedzenie pasażera.

— Czego chciał szeryf? — zapytał Sharp, uruchamiając silnik.

Morgan streściła wcześniejsze wydarzenia z sądu i rozmowę z Kingiem.

— Czepiał się, że przeze mnie zarzuty przeciwko Ericowi zostały wycofane.

— To neandertalczyk. W ostatnich wyborach napisałem na swojej karcie *Myszka Miki*.

Morgan stłumiła śmiech. W poprzednich wyborach szeryf nie miał kontrkandydata.

— Ostrzegł mnie też, że Tyler Green wyszedł za kaucją — dodała.

Sharp zawrócił i skierował auto w stronę Scarlet Falls.

— Kto zapłaciłby kaucję za tego pasożyta? Istnieje ryzyko, że ucieknie.

— Może ci sami członkowie rodziny, którzy go wcześniej ukrywali, uniemożliwiają dostarczenie wezwania do sądu.

— Słuszna uwaga — przyznał Sharp. — Wszystko w porządku?

Morgan wyjęła z torby butelkę wody i poruszała ramionami, by uwolnić się od napięcia.

— Tak. Lance naprawił nasz system zabezpieczeń, powiem rodzinie, żeby uważali na siebie. Mam nadzieję, że Tylerowi spodoba się wolność i będzie mnie unikał.

— Nie liczyłbym na to, że Tyler będzie dokonywał rozsądnych wyborów.

— Coś w tym jest. — Morgan potarła poszarpany brzeg paznokcia. — Ale teraz bardziej martwię się o Lance'a.

Sharp skinął głową.

— Wiem. Próbowałem mu pomóc w miarę możliwości, ale przyzwyczał się do radzenia sobie samemu w bardzo młodym wieku. Nie oznacza to, że to właśnie jest dla niego najlepsze, ani nawet, że tego właśnie chce. Po prostu to zna najlepiej.

Gdy ludzie cierpieli, wracali na utarte szlaki zachowania.

— Dzięki, Sharp — powiedziała Morgan. — Zapamiętam to.

Wygrzebała z torby buteleczkę z ibuprofenem. Odkręciła nakrętkę i połknęła dwie tabletki.

Sharp zmarszczył brwi.

— Nie powinnaś ich brać na pusty żołądek.

— Nie biorę. — Morgan wyciągnęła z torby batonik.

Biorąc pod uwagę wyraz przerażenia na jego twarzy, równie dobrze mogłaby trzymać broń nuklearną.

— Odłóż to. — Otworzył schowek, wyjął coś z niego i podał jej. — Zjedz to.

— To to jest? — W ciemnościach była w stanie odczytać na opakowaniu tylko słowo *organiczny*.

— Batonik proteinowy. Jesz słodczyce, a podejrzliwie traktujesz coś zdrowego. — Sharp potrząsnął głową. — Miałabyś więcej energii, gdybyś nie jadła tyle cukru.

— Prawdopodobnie. — Morgan schowała czekoladowy batonik z powrotem do torby, rozwinęła batonik, który podał jej Sharp i skosztowała. — Smakuje jak kurz.

— Potrzebujesz białka — westchnął Sharp.

Jak zwykle Sharp miał rację. Nim dojechali do biura, jej ból głowy ustąpił. Sharp zaparkował, a potem poczekał, aż Morgan wsiądzie do swojego samochodu i zablokuje drzwi, nim zniknął we wnętrzu budynku.

Morgan wyjechała z niewielkiej dzielnicy biznesowej w Scarlett Falls. Kilka minut później zwróciła uwagę na światła, odbijające się w jej wstecznym lusterku. Samochód znajdował się zbyt daleko, by mogła rozpoznać jego markę, zwłaszcza w ciemności. Przejechała przez dwa zakręty. Samochód wciąż znajdował się za nią, nie zbliżając się jednak na tyle, by mogła go uważnie obejrzeć. Zatrzymała się na czerwonym świetle i czekała, aż samochód do niej dojedzie, jednak trzymał się z tyłu. Gdy światło zmieniło się na zielone, ruszyła przez ciemne miasto, czując narastającą podejrzliwość.

Było po dziewiątej wieczorem. Życie na ulicach i chodnikach Scarlett Falls

zamierało o ósmej.

Auto wciąż jechało za nią, gdy minęła wąską drogę, prowadzącą do domu jej dziadka na Scarlet River. Morgan wyłowiła z torby telefon z zamiarem zadzwonienia do swojej siostry, która pracowała w policji. Samochód za nią zapewne znalazł się tam przypadkiem, po prostu ktoś jechał w tym samym kierunku, co ona, Morgan jednak nie chciała ryzykować i wołała, by siostra gdzieś po nią wyjechała.

Zwłaszcza, że Tyler był na wolności.

W czasie, gdy szukała numeru siostry, samochód za nią zniknął. Morgan odetchnęła z ulgą.

Masz paranoję.

Zawróciła i pojechała do domu. Gdy wysiadła z minivana, owiało ją zimne powietrze. Zadrżała i poczuła, jak włoski na jej karku jeżą się, jakby ktoś ją obserwował.

Rozejrzała się, lecz nie dostrzegła nikogo. Teren przed domem był jasno oświetlony, nie było tam żadnych wysokich krzewów, za którymi ktoś mógłby się ukryć. Psy szczekały w oknie.

Podbiegła do schodków i odetchnęła dopiero, gdy znalazła się w domu. Pomijając witające ją psy, w domu panowała cisza. Dziewczynki dawno już spały. Morgan zamknęła drzwi i przekręciła w nich zamek.

— Hej. — Z kuchni wyszła jej siostra, Stella. — Co się stało? — spytała zaniepokojona, przyjrzawszy się jej twarzy.

Morgan opowiedziała jej o Tylerze.

— Pewnie sobie wmówiłam, że ktoś mnie śledził. Informacja o tym, że wyszedł, sprawiła, że jestem nerwowa.

Snoozer, jej buldog francuski domagał się uwagi, jednak przygarnięta Rakieta podbiegła do okna od frontu. Jej biało-pomarańczowe łaty i krótki ogon wyglądały jak u buldoga, jednak miała szczupłe i zwinne ciało, które musiała dostać w spadku po jakiejś zupełnie innej rasie. Z jej piersi wydobył się niski warkot, a włosy na karku zjeżyły się.

— Co jest, mała? — Morgan przyklękła przy niej i położyła jej dłoń na grzbiecie. Pies zeszywniał i zaszczekał. Morgan pogładziła ją po głowie.

Stella wyjęła z kieszeni telefon.

— Pies coś wyczuł. Poproszę, żeby patrol sprawdził okolicę.

Morgan poklepała psa po łopatkach.

— Dobra dziewczynka.

Wstała, rzuciła płaszcz na krzesło i poszła do kuchni. Obydwa psy poszły za nią. Dziadek siedział w wózku inwalidzkim przy stole nad szklanką mleka i kawałkiem chleba bananowego. Jego złamana noga, zapakowana w gips, leżała na podwyższeniu, a dziadek starał się wsunąć pod gips rozprostowany metalowy wieszak.

— Lekarz mówił, że masz tego nie robić. — Morgan zabrała mu wieszak. — Jeśli się skaleczysz, może wdać się infekcja.

— Strasznie swędzi — poskarżył się dziadek.

Morgan pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Wiem i wiem też, że nudzisz się jak mops. Jeszcze dwa tygodnie. Wtedy zdejmą ci gips i będziesz mógł znowu się opierać na tej nodze.

Serce ścisnęło jej się na wspomnienie tego, że omal go nie stracili podczas operacji.

— Jakoś to przeżyję. — Poklepał ją po ramieniu. — Co z tym psem?

Morgan powtórzyła swoją opowieść o Tylerze i samochodzie, który wydawał się jechać za nią. Otworzyła lodówkę i naląła sobie szklankę mleka.

— Cieszę się, że Rakietka jest z nami. Alarm powie nam, gdyby ktoś próbował się włamać do domu, jednak pies da nam znać, jeśli ktoś choćby o tym pomyśli.

Dziadek rzucił suzce kawałek chleba. Pochwyciła go w powietrzu, kłapiąc mocnymi szczękami niczym aligator.

— Niech szlag trafi tę nogę. Nie jestem tak użyteczny, jak mógłbym.

Morgan uśmiechnęła się. Dziadek był emerytowanym policjantem, a nogę złamał, broniąc jej i jej córki.

— Dobrze sobie poradziłeś.

— A poza tym jak ci minął dzień?

Morgan opowiedziała o wydarzeniach z sądu i przeszła do opisu sceny nad Grey Lake.

— A więc pokonałeś nowego asystenta prokuratora okręgowego, *kolejny raz* wygrałeś z Brycem Waltersem i na dodatek naskarżyłeś na szeryfa, że brutalnie potraktował więźnia, żeby wydobyć zeznania?

— Tak. — Morgan sączyła mleko, nagle żałując, że to nie wino. — To był długi dzień.

— Niezły sposób na wpływanie na ludzi i znajdowanie nowych przyjaciół. — Dziadek potrząsnął głową. — Jak się miewa Lance?

— Nie wiem. — Morgan zerknęła na telefon. — Jest teraz u mamy.

— Musi być im ciężko.

— Tak.

I nie zadzwonił do niej.

— Patrol niczego nie zauważył — powiedziała Stella, stając w drzwiach. — Przejadą się jeszcze po okolicy później.

— Dziękuję — powiedziała Morgan.

— Mogę zostać — zaproponowała Stella.

— Siedziałaś tu cały dzień, wracaj do Maca. Mamy alarm, psa i będę miała w pogotowiu broń — powiedziała Morgan, myśląc, że może to seksistowskie, ale wolałaby, by Lance był tu dzisiaj z nimi.

— Dobrze. — Stella wyjęła kluczyki z kieszeni. — Mac nie ma jutro zajęć. Przyjdzie tu o ósmej, by pomóc dziadkowi umyć się i ubrać.

Morgan wyszła z psami odprowadzić Stellę do samochodu. Psy załatwiły się, podczas gdy Stella wsiadła do samochodu i odjechała. Policyjny wóz patrolowy przejechał ulicą. Morgan weszła do domu. Sprawdziła drzwi i okna, nastawiła alarm, po czym poszła do sypialni i otworzyła sejf, w którym trzymała broń. Wyjęła swojego glocka i położyła go na wysokiej komodzie.

Następnie umyła zęby, nałożyła piżamę i położyła się, nie planując spać. Jej rodzina znowu znalazła się w niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ 6

Lance wsunął klucz do połowy w zamek drzwi domu swojej matki i zawahał się. Wiedział, że gdy już wejdzie do środka, nie będzie odwrotu. Nie będzie mógł cofnąć słów, które wypowie. Nie będzie mógł z powrotem naprowadzić matki na tory ku wyzdrowieniu, którymi teraz podążała.

Ale nie miał wyboru.

Przekręcił klucz i wszedł do środka.

— Lance? Czy to ty? — dobiegł go głos matki z tyłów domu.

Przeszedł przez wysprzątnany dom do jej biura. Jego matka cierpiała na zaburzenia lękowe, depresję i zbieractwo od czasu zaginięcia jej męża. W pewnym momencie, gdy Lance był młody, dom był tak zagracony, że z pomieszczenia do pomieszczenia można było się przedzierać jedynie wąskimi przejściami.

Jego matka siedziała za swoim biurkiem w kształcie litery L. Niegdyś nauczała informatyki na uczelni, teraz dawała lekcje online, jak również zajmowała się projektowaniem, utrzymywaniem i zabezpieczaniem stron internetowych. Na biurku stały trzy monitory i laptop. Kot otarł się Lance'owi o łydki. Drugi z kotów pogardliwie spoglądał na niego z parapetu okna.

Jego matka wyglądała jakoś inaczej... Jej oczy. Miała na sobie makijaż!

Lance zamaskował zdumienie kaszlnięciem. Nie widział swojej matki pomalowanej od. chyba nigdy.

Machnęła ręką.

— Chodź tutaj, chcę, żebyś kogoś poznał.

Online?

Lance obszedł biurko, położył dłoń na szczupłym ramieniu matki i cmoknął ją w policzek. Skóra opinająca kości jej dłoni była niemal przezroczysta i pocięta niebieskimi żyłami. Lata choroby wyniszczyły ją i postarzyły ponad biologiczny wiek. Wyglądała na starszą niż swoje sześćdziesiąt lat. Jednak jej nastrój poprawił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Widok jej szczęśliwej po tylu latach był dla niego gorzko-słodki.

— To Kevin Munro — powiedziała, wskazując największy z monitorów.

Z ekranu pomachał do niego siwowłosa mężczyzna w wieku sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat.

— Miło mi cię poznać, Lance.

— Hm, mnie również miło cię poznać. — Lance widział go już wcześniej, gdy odwoził matkę na sesje terapii grupowej. Terapia i wizyty u psychiatry stanowiły jedyne okazje, gdy jego matka wychodziła z domu.

Kevin zarumienił się i poprawił kołnierzyk swojej koszuli w kratkę.

Cisza w pokoju stała się niezręczna i Lance uświadomił sobie, że zapewne to spotkanie stanowiło dla jego matki i Kevina odpowiednik randki.

Lance wycofał się. Nie chciał jej psuć tej chwili.

— Nie chciałem wam przeszkadzać. Będę w kuchni. Gdy skończycie, chciałbym z tobą porozmawiać.

— Kevin, porozmawiamy później — powiedziała. Kevin pożegnał się i matka zamknęła okienko rozmowy, po czym odwróciła się na krześle w stronę Lance'a. W jej oczach pojawił się wyraz niepokoju. — Czy coś się stało z Morgan lub Sharpem?

— Nie, nic takiego. — Lance czuł, że już to spartolił. — Chodzi o tatę.

— Co takiego? — Drgnęła.

Lance wziął głęboki oddech, przykucnął i ujął jej dłonie w swojej.

— Wydział szeryfa wydobyl samochód taty z Grey Lake.

Jego matka zbladła jak ściana, jednak nie zemdląła ani nie zaczęła histeryzować. Wyraz jej twarzy był zupełnie obojętny, zanadto pozbawiony emocji, tak że zastanawiał się, czy w ogóle dotarło do niej to, co powiedział.

— Jesteś pewny?

— Sam widziałem ten samochód. — Przełknął ślinę. — Należał do taty.

Patrzyła przez kilka sekund na ich złączone dłonie, po czym spojrzała na niego ostrożnie.

— Czy on był w środku?

Lance zawahał się. Jak powinien jej o tym powiedzieć?

— Tak sądzą.

— A więc nie są stuprocentowo pewni, że to był Vic. — Jej głos opadł do szeptu, gdy wypowiedziała imię jego ojca.

— Nie, ale identyfikacja nie powinna potrwać długo. W aktach są jego dane dentystyczne. — Lance potarł jej palce kciukami. — Powiedz mi, co teraz czujesz.

— Sama nie wiem. — Zmarszczyła czoło. — Z jednej strony, to zaskoczenie. Po tych wszystkich latach nie spodziewałam się, że kiedykolwiek dowiemy się, co się stało. Z drugiej strony, nie jestem zdziwiona, bo zawsze wiedziałam, że musiało mu się przydarzyć coś strasznego. Nigdy by nas nie zostawił.

— Ja też tak zawsze uważałam.

— Czy to był wypadek? — Po jej policzku spłynęła łza. — Zjechał z mostu czy coś takiego?

— Nie. W tej okolicy, gdzie znaleziono samochód, nie ma żadnych mostów. Samochód musiałby zjechać lub zostać zepchnięty z brzegu. — Lance urwał. Czy była na to gotowa? Czy miał inny wybór niż powiedzieć jej prawdę? Była bardzo inteligentną kobietą. Jeśli jej nie powie, sama dowie się szczegółów. — Sądzę, że ktoś go zabił.

Wyrwała mu jedną dłoń i zakryła usta.

— Jesteś pewien?

— Jeszcze nie. Szeryf będzie prowadził śledztwo. — Tak samo jak Lance.

Otarła łzy z policzków, jej twarz zamarła w tragicznym uśmiechu.

— Sądziłam, że wypłakałam już wszystkie łzy za twoim ojcem, ale chyba jednak nie.

— Zostanę dziś na noc. — Lance miał niezbędne rzeczy w swoim dawnym pokoju na wszelki wypadek. — Czy jutro możesz zostać na kilka godzin sama?

— Lance, nie potrzebuję niańki.

— Mamo — zaprotestował. — Nie o to...

— Nie — powiedziała stanowczo. — Przepraszam, wiem, że chcesz pomóc, ale poświęciłeś całe życie na opiekowanie się mną.

— Nie przeszkadza mi to.

— Wiem, że nie. — Wydęła usta w smutnym uśmiechu. — Ile mówiłam ci o nowej terapeutce, która prowadzi naszą terapię grupową od dwóch miesięcy?

— Mówiłaś, że jest arogancka i nie lubisz jej.

— Na początku tak było. Byłam przyzwyczajona do poprzedniego terapeuty. Prowadził grupę tak samo od dwunastu lat. Wiesz, że zmiany są dla mnie trudne, a niektóre rzeczy, do których zachęca mnie dr Blake, są poza moją strefą komfortu. — Matka zarumieniła się. — Zaczęłam medytować i uprawiać jogę.

Medytować? Uprawiać jogę?

Czy to w ogóle jest moja matka?

— Nie łudzę się, nigdy nie będę w stanie pojechać do sklepu na zakupy ani pójść do kina ani załatwiać spraw jak inni ludzie, ale *mogę* być bardziej niezależna. Nie muszę izolować się mentalnie, skoro mam ograniczenia fizyczne. To wybór, nie konieczność. Mogę utrzymywać kontakt z ludźmi ze swojego domu.

— Jak z Kevinem — powiedział Lance.

Skinęła głową.

— Masz pracę i własne życie. Gdy zobaczyłam cię z Morgan, uświadomiłam sobie, że byłam egoistką.

— Nie jesteś egoistką.

Uniosła dłoń do góry.

— Jak każdy pacjent cierpiący na przewlekłą chorobę, muszę się nauczyć sobie z nią radzić. — Wyprostowała swoje kruche ramiona. — Muszę to zrobić.

Wyglądała na zdeterminowaną i opanowaną bardziej niż kiedykolwiek. Może rzeczywiście mogła stać się bardziej niezależna. Jednak w głębi ducha obawiał się, że jeśli poniesie klęskę, będzie to oznaczało zaprzepaszczenie tych postępów, które uczyniła przez lata i szczęścia, które udało jej się wypracować.

Dotknęła jego twarzy.

— Lance, nie chcę być dla ciebie ciężarem. I tak poświęciłeś dla mnie już zbyt dużą część swojego życia.

— Jeśli czujesz, że możesz sama sobie z czymś poradzić, to wspianale i będę cię wspierał — powiedział. — Ale pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Czy mogę ci pomóc?

— Dowiedz się, co naprawdę stało się z twoim ojcem. — Matka opuściła rękę i objęła się ramionami, rozcierając je, jakby było jej zimno. — Chciałabym zostawić tę sprawę za sobą. Wiem, że proszę o wiele. To był twój ojciec. Może nie chcesz grzebać w jego prywatnym życiu.

— I tak planowałem znaleźć jego zabójcę.

— W takim razie zrób to. Ja sobie poradzę. — Matka przycisnęła dłoń do ust i pociągnęła nosem. Jej ramiona skuliły się, cała jej postawa wyrażała jej niepokój, któremu przeczyły słowa. Opuściła rękę i przełknęła ślinę. — Oboje go kochaliśmy, ale musimy ruszyć do przodu. Chciałabym zostawić jego śmierć za nami.

— Dobrze — powiedział Lance. Jutro zaczniesz od odzyskania szczątków ojca.

ROZDZIAŁ 7

JOHN H. ROGERS

Kapitan Armii Stanów Zjednoczonych

Irak

14.11.1982 — 10.07.2015

Ukochany mąż i ojciec

Morgan zapatrzyła się w nagrobek. Jakaś część niej miała się ochotę rzucić na grób Johna. Druga część miała ochotę uciec jak najdalej, nim smutek na nowo ją ogarnie.

— Gdzie jest tatuś? — zapytała trzyletnia Sophie, marszcząc brwi. — Powiedziałaś, że tu będzie.

Pytanie córki dodało jeszcze pięćdziesiąt kilogramów do bagażu, który Morgan dźwigała na karku.

— Przykro mi, skarbie. — Morgan szukała właściwych słów. Czy powiedziała córce, że John leży w drewnianej skrzyni półtora metra pod ziemią? Myśl o jego ciele rozkładającym się samotnie w trumnie sprawiła, że zadrżała. Smutek osaczał ją, powodując klaustrofobię.

Spojrzała w niebo, którego jaskrawy błękit wydawał się zdradą, tak jakby świat nie powinien być tak piękny bez Johna. Tak jakby zawsze powinien być jakiś mały, widoczny znak żałoby, który pasowałby do ciernia, który na zawsze utkwiał w jej sercu.

Była zdeterminowana, by żyć dalej, jednak wiedziała, że nigdy go nie zapomni. Przyjście tu było jak zdrapanie strupka z rany, zanim pod nim uformowała się blizna.

— Tatusia tu nie ma — powiedziała Morgan. — To jego nagrobek. Umieściliśmy go tu, żeby o nim pamiętać.

— Tatuś nie żyje. — Ava niosła białe pudełko z piekarni. Najstarsza, sześćioletnia córka Morgan, jako jedyna pamiętała ojca. Zazwyczaj, gdy wyjaśniała coś młodszym siostronom, mówiła to przemyślającym tonem, teraz jednak spojrzała na Morgan swoimi brązowymi oczami, tak podobnymi do oczu Johna, szukając u niej potwierdzenia. Ava najlepiej z dzieci rozumiała pojęcie śmierci. Wiedziała, że tatuś już nigdy nie wróci.

— Tak, kochanie — potwierdziła Morgan. — masz rację.

Owiał je zimny wiatr, który w jakiś sposób wydał jej się kojący.

Morgan zauważyła różową czapczkę na trawie. Podniosła ją i stanowczo nasadziła na jasnobrażową czuprynę najmłodszej córki.

— Mamusiu — powiedziała Sophie. — Potrzebujemy świeczek.

— Jest za silny wiatr — stwierdziła Ava.

Sophie zmarszczyła brwi i rzuciła się na kolana na zimną trawę.

— Musimy zaśpiewać. Nie można zjeść tortu, jeśli się nie zaśpiewa.

Pięcioletnia Mia pociągnęła Morgan za rękę. Jej poważne czoło zmarszczone było w głębokim namyśle.

Morgan przykucnęła i wsunęła kosmyk włosów pod fioletową czapczkę Mii.

Mia pochyliła się jej do ucha i wyszeptwała.

— Czy powinno być mi smutno?

Morgan mrugnęła, starając się powstrzymać gorące łzy napływające jej nagle do oczu. Zmrużyła oczy przed porannym jaskrawym słońcem. Smutek, który wydawała się mieć pod kontrolą, znowu się budził, grożąc, że wciągnie ją pod wodę niczym kamień.

— Ty jesteś smutna — powiedziała Mia.

— Jestem trochę smutna — przyznała Morgan przez zaciśnięte gardło. — Ale ty masz prawo się czuć tak, jak się czujesz.

Mia otarła nos rękawem. Z zimna jej nasek i policzki przybrały różową barwę.

— Nie jestem smutna.

— To dobrze. — Morgan wyłowiła z torby chusteczkę i podała ją Mii. — Tatus nie chciałby, żebyś była smutna.

— Mamusia nie jest smutna przez cały czas, tak jak kiedyś — zauważyła Sophie, zrywając z grobu źdźbło trawy i przeplatając je między palcami.

— Gdzie twoje rękawiczki? — zapytała ją Morgan.

Jej najmłodsza córka spojrzała na nią z wyrazem twarzy, który mówił: „Jakie rękawiczki?”.

— Kiedy będziemy mogły zjeść babeczki?

— Teraz. — Morgan zdjęła z ramienia koc, rozłożyła go na trawie przy nagrobku i uklękła na nim. Patrzyła na rząd nagrobków załzawionymi oczami. Poświęcenie, złamane serca, równo w wojskowym szeregu. To wszystko było zbyt czyste, zbyt idealne, by reprezentować ból i zamęt, jaki każda z tych śmierci po sobie pozostawiła.

Zniszczone życia, pęknięte serca, światy wywrócone do góry nogami. Pragnęła, by przyszło tornado, wywróciło wszystko i potrząsało, tak by te identyczne nagrobki były tak samo zniszczone, jak życie ludzi, którzy zostali osieroceni.

Kilka rzędów dalej nad grobem stała starsza para. Powiew wiatru uniósł wokół nich suche liście, które potoczyły się po poza tym idealnie czystym cmentarzu, przypominając, że zawsze istnieć będą rzeczy, których nie można kontrolować.

Dziewczynki zgromadziły się wokół niej. Sophie zaczęła śpiewać *Happy Birthday*, lekko sepleniąc, jednak zadziwiająco mocno i melodyjnie. Starsza para odwróciła się w ich stronę i obserwowała ich. Mężczyzna ujął kobietę za rękę. Morgan wiedziała, że płaczą, chociaż nie była w stanie tego dostrzec przez własne łzy.

Czuła zimno promieniujące od ziemi do jej kolan przez koc i materiał dzinsów. Reszta jej ciała była jakby odrętwiała.

Wzięła głęboki oddech i podała dziewczynkom babeczki, jednak nie była w stanie zjeść swojej. To był błąd. Tak dobrze sobie radziła przez ostatnie dwa miesiące. Jednak jak mogła odmówić po tym, jak Ava zobaczyła w jej kalendarzu, że dziś przypadały urodziny Johna? Smutek przeszył ją jak gorączka, przypominając jej o mrocznych dniach, które więziły ją jeszcze kilka miesięcy temu. Prawie zapomniała, jak bardzo to było wyczerpujące. Nic dziwnego, że tak niewiele udało jej się zrobić w czasie dwóch lat bezpośrednio po śmierci męża.

Zmusiła się do skosztowania lukru. Słodczy, intensywna i jasna niczym słońce, wybuchła na jej języku.

— Sophie ma lukier we włosach — powiedziała z obrzydzeniem Ava.

Morgan wyjęła z torby paczkę mokrych chusteczek. Podała je Avie i Mii, po czym zwróciła się do najmłodszej córki. Odrobina niebieskiego lukru przyczepiła się do jej warkocza. Miała też umazany nos, usta i dłonie. Jakim cudem udało jej się ubrać buty? Morgan wyciągnęła kolejną chusteczkę i zaczęła wycierać małą. W myślach słyszała śmiech Johna. Zamiast wycierać Sophie, na pewno umazałby własną twarz, byleby rozśmieszyć córki.

John nie chciałby, żeby Morgan była smutna. List, który zostawił, mówił o tym jasno.

— Kto zje babeczkę tatusia? — zapytała Sophie.

— Zabierzemy ją do domu dla dziadka — postanowiła Morgan. — Jesteście gotowe?

Trzy małe główki skinęły energicznie.

— Zimno mi. — Ava zadrżała.

— Wszystkiego najlepszego, tatusiu — powiedziała Mia. Ava i Sophie powtórzyły za siostra.

Morgan schowała chusteczki do torby i pozbierała śmieci. Wstała i położyła dłoń na nagrobku. Kamień pod jej dłonią był zimny.

Wszystkiego najlepszego, John.

Uniosła dłoń, po czym odwróciła się i zaczęła oddalać się z córkami od grobu.

Dzisiaj postanowiła skoncentrować się na tych rzeczach w życiu, za które była wdzięczna. Miała dzieci, rodzinę i drugą szansę na miłość.

Będzie szczęśliwa choćby nie wiem co.

Szybkim krokiem wróciły do minivana. Morgan zauważyła przy przednim kole jedną niebieską rękawiczkę. Rozejrzała się po parkingu i kucnęła, by zajrzeć pod samochód w poszukiwaniu drugiej. Zamiast tego jednak zauważyła przebitą oponę.

Włosy zjeżyły jej się na karku. Obróciła się powoli, jednak nie dostrzegła niczego na otwartej przestrzeni cmentarza. Drzewa otaczały pobliskie pola. Mimo wszystko Morgan miała wrażenie, że jest obserwowana.

Uspokój się.

Odkąd szeryf powiedział jej, że Tyler Green znalazł się na wolności, miała jakieś paranoidalne obawy. Biorąc pod uwagę, że wyszedł za kaucją i już miał sprawę o napaść, Tyler miał wszelkie powody, żeby trzymać się od niej z daleka.

— Dziewczynki, złapałyśmy gumę. Wsiadajcie do auta, tam jest cieplej, a ja uporam się z oponą.

Zapięła dzieci w fotelikach, zaciągnęła hamulec. Zanim wydobyla zapasowe koło ze schowka i wywlekła je spod auta, pociła się jak mysz i klęła na wszystkich producentów samochodów na świecie, obiecując sobie, że w końcu zacznie ćwiczyć. Poluzowanie śrub okazało się kolejnym zadaniem wymagającym fizycznej siły, której jej brakowało. Gdy wreszcie udało jej się odkręcić koło, reszta była zadaniem brudnym, lecz niespecjalnie kłopotliwym.

Gdy wrzuciła przebitą oponę do bagażnika, wytarła dłonie mokrymi chusteczkami i wsiadła do samochodu.

— Jestem głodna — powiedziała Sophie.

Wyjechały z domu wcześniej i żadna z dziewczynek nie zjadła porządnego

śniadania. Morgan wyjechała z cmentarnego parkingu.

— Więc poszukajmy czegoś do jedzenia.

Kwadrans później znalazła bar. Dziewczynki wcinały naleśniki, Morgan, wciąż zdenerwowana, zadowolona się kawą. Ava i Mia zjadły do czysta i nawet niejadek Sophie nie oparła się naleśnikom obficie polanym syropem. Gdy dzieci były już syte i zadowolone, zaprowadziła je z powrotem do auta i zapięła w fotelikach.

Usiadła na siedzeniu kierowcy i włożyła kluczyk do stacyjki. Zatrzasnęła drzwi. Nagle poczuła ciężki, metaliczny zapach i poczuła zimną wilgoć przesączającą się przez spodnie. *Co u licha?*

Morgan wsunęła rękę pod pośladki i wyjęła ją umazaną ciemnoczerwoną cieczą.

Krew?

Serce zaczęło walić jej jak młotem. Wyskoczyła z samochodu. We wnętrzu było ciemno, jednak teraz dostrzegła plamę. Całe siedzenie było przesiąknięte.

Tak samo jak teraz Morgan.

Czy zamknęła samochód? Zawsze to robiła, ale biorąc pod uwagę, że była z trójką głodnych dzieci, mogła zapomnieć w zamieszaniu.

— Mamusiu, co się stało? — zawołała Ava z tylnego siedzenia.

— Znowu mamy problem z samochodem, skarbie. — Morgan rozejrzała się po parkingu, lecz nikogo nie zauważyła. Parking był zapełniony najwyżej w jednej czwartej. Inne samochody wydawały się puste. — Chodźmy do środka, zadzwonię po Maca.

Morgan zaprowadziła dzieci z powrotem do jadłodajni, szeptem wyjaśniła kelnerce, co się stało. Kelnerka dała dzieciom papier i kredki, podczas gdy Morgan zadzwoniła na policję i do Maca.

— Mac już jedzie — wyjaśniła córkom, nie przestając jednym okiem obserwować parkingu, a drugim pozostałych gości. Nigdzie nie dostrzegła Tylera Greena.

— Czy chce pani iść się obmyć? — zapytała kelnerka.

Morgan niczego nie pragnęłaby bardziej niż zdjąć z siebie brudne dżinsy i sweter i wyszorować skórę szczotką, jednak na pierwszym planie było bezpieczeństwo jej dzieci.

— Poczekam, dziękuję. — Moran nie miała zamiaru zostawiać córek samych nawet na chwilę. Nic jej się nie przewidziało, powinna była słuchać swojego instynktu. Była pewna, że dziura w oponie też nie była przypadkiem. Ktoś robił coś

więcej niż tylko obserwowanie jej.

Ktoś ją prześladował.

ROZDZIAŁ 8

Lance zapakował swojego jeepa przed biurem patologa, mieszczącym się w zespole budynków municypalnych.

Bywał w tym miejscu już wcześniej za swoich policyjnych czasów, teraz jednak był tu w roli członka rodziny ofiary. To było dla niego nowe doświadczenie i czuł się z nim mniej więcej tak samo komfortowo, jakby miał na sobie garnitur z trującego bluszczu.

Zapach przypalonej kawy, unoszący się we wnętrzu, nie pomógł na jego mdłości. Podał swoje nazwisko recepcjonistce.

— Doktor Jenkins zostawił mi rano wiadomość, żebym przyszedł.

Telefon zadzwonił, gdy Lance był pod prysznicem.

Proszę do mnie zajrzeć, mam kilka pytań.

Czy to oznaczało, że Frank potrzebował więcej informacji, by móc zidentyfikować szczątki jego ojca?

— Doktor Jenkins jest w sali prosektoryjnej numer trzy — powiedziała. — Mówił, że może pan wejść.

Lance przełknął ślinę. Miał nadzieję, że doktor Jenkins będzie w swoim biurze.

Przypomniał sobie, że w najgorszym wypadku zobaczy kości. Nie będzie zapachu zgnilizny, rozkładającego się mięsa, spuchniętego ciała. Nie będzie źle, ponieważ w przeciwnym wypadku Frank nie zaprosiłby go do środka, prawda?

Prawda?

Doktor Frank Jenkins nie słynął jednak ze swoich umiejętności interpersonalnych.

Lance nałożył ubranie ochronne w przedsionku. Fartuch, buty, rękawiczki. Plastikową osłonę twarzy trzymał w ręku, bo wiedział, że pod tym cholerstwem twarz strasznie się poci i nie zamierzał jej nakładać, o ile nie będzie to absolutnie konieczne.

Otworzył drzwi i zawahał się w progu. Pocił się nawet bez maski. Większość stołów była pusta. Nie widział żadnych ciał, jednak zapach rozkładu i formaliny wisiał w powietrzu, ciężki, lepki, przylegający do gardła. Lance miał wrażenie, że zaraz się zadławi.

— Lance, wchodź, wchodź. — Frank machnął zapraszająco. — Chcę ci coś

pokazać.

Lance wstrzymał oddech i wszedł do środka.

Miejmy to z głowy.

Stół z nierdzewnej stali przykryty był prześcieradłem, na którym leżały luźno ułożone kości.

Frank okrążył stół, skoncentrowany na szczątkach.

— Poprosiłem asystenta o ułożenie szkieletu. Brakuje niektórych niewielkich kości, jednak i tak mamy ich dość dużo, mam nadzieję, że wystarczająco, by dokonać identyfikacji.

Nadzieję?

Lance podszedł bliżej.

— Czyli nie udało się zidentyfikować mojego ojca?

— Nie. — Frank uniósł głowę z zaskoczonym wyrazem twarzy. Światło odbiło się od jego plastikowej maski. — Szeryf King do ciebie nie dzwonił?

— Nie.

Frank wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak „dupek”.

— Bardzo mi przykro, Lance. Powinienem być do ciebie zadzwonić wczoraj, po tym, jak dzwoniłem do szeryfa Kinga. To nie jest twój ojciec.

Zaraz. Co?

Krew odpłynęła Lance'owi z głowy i zachwiał się.

— Słucham?

— To nie jest twój ojciec.

Lance spojrział na czaszkę. Szczęka nie wyglądała na uszkodzoną, większość zębów była na miejscu. Zaczerpnął powietrza przez usta, jednak smak powietrza z prosekatorium sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej.

— Masz jego kartę dentystyczną?

— Nie potrzebowałem ich. — Frank wskazał na kości. — To szkielet kobiety.

Lance poczuł, jakby ktoś go uderzył.

— Jesteś pewien?

Frank uniósł brew z irytacją. Westchnął, po czym wskazując na kości, rozpoczął wyjaśnienia.

— Po pierwsze, rozmiar i grubość kości, zwłaszcza kości udowej, ramiennej i promieniowej, wskazują, że to kobieta. — Przesunął się nieco, bliżej środkowej części

szkieletu. — Po drugie, żeńska miednica jest szersza niż u mężczyzn. I wreszcie — wskazał na czaszkę — czaszka i żuchwa również sugerują, że ofiara to kobieta.

Lance gapił się na kości, próbując to zrozumieć.

— Czy jesteś pewny, że wszystkie te kości należą do tej samej ofiary?

Frank skinął głową.

— Udało nam się zebrać mniej więcej osiemdziesiąt pięć procent szkieletu. Brakuje głównie drobnych kości: palców dłoni i stóp, niektórych kręgów. Wszystkie kości są proporcjonalne pod względem rozmiaru, nie znaleźliśmy żadnych duplikatów, które sugerowałyby, że druga ofiara również znajdowała się w bagażniku samochodu.

Patolog odsunął się od stołu i uniósł maskę.

— Kości nie kłamią, Lance. To nie jest twój ojciec.

Minęło kilka sekund, gdy Lance przyswajał słowa Franka.

To nie mój ojciec.

To było ostatnie, czego spodziewał się usłyszeć.

I co teraz?

Ktoś zamknął w bagażniku samochodu jego ojca kobietę i zepchnął auto do jeziora.

Kto? Dlaczego?

Cholera.

Gdzie jest mój ojciec?

Jego wizyta u Franka miała przynieść mu odpowiedzi na pytania, a nie dać kilka tuzinów nowych.

Poczuł ból w skroniach. Z oczywistych powodów wolał przyjść do patologa z pustym żołądkiem. Teraz jednak poczuł, jak z głodu robi mu się słabo.

— Nie wiesz, kim ona była? — zapytał Lance. Ta niezidentyfikowana kobieta była kluczem do wyjaśnienia zaginięcia jego ojca.

— Nie — powiedział Frank. — Jeszcze nie. Zaczniemy od miejscowych dziewcząt, które zagięły w 1994.

Lance'owi zaczęło dzwonić w uszach. Przesunął wzrokiem po szczątkach, dopiero teraz dostrzegając, że kości faktycznie były kobieco drobne.

— Czy możesz mi cokolwiek o niej powiedzieć?

Frank zerknął na podkładkę z klipsem, do której miał przyczepione notatki.

— Pomiar miednicy wskazuje, że miała mniej więcej metr sześćdziesiąt pięć

wzrostu, plus minus dwa centymetry.

— W jakim mogła być wieku?

Frank wskazał na zdjęcia rentgenowskie przyłączone do podświetlanej tablicy.

— Miała zatrzymane zęby mądrości, więc najprawdopodobniej miała co najmniej osiemnaście lat.

— Fakt, że nie zostały one usunięte mógł też oznaczać, że nie była objęta opieką dentystyczną — zauważył Lance. — Albo nie było ją stać na ten zabieg.

— Tak. — Frank machnął ręką nad kośćmi. — Niektóre, lecz nie wszystkie płytki wzrostu są już zamknięte. Jako ostatnie przestają rosnać obojczyki. Proces kostnienia w końcu przyśrodkowym nie jest jeszcze zakończony, co oznacza, że była przed trzydziestką. — Frank wziął szkło powiększające i przyjrzał się zębom. — Zakończenia żeber zmieniają się, gdy ludzie się starzeją. Na podstawie tego, jak gładka jest ta kość, powiedziałbym, że była tuż po dwudziestce.

— Czy wiadomo coś o przyczynie śmierci?

— Tak. — Frank znowu spojrział na podkładkę, po czym odłożył ją i wrócił do stołu. Wskazał na kość w kształcie litery U, leżącą poniżej czaszki. — Kość gnykowa jest złamana.

Kość gnykowa znajdowała się w szyi, pomiędzy podbródkiem, a tarczycą.

— Została uduszona — stwierdził Lance.

— Najprawdopodobniej — Frank skinął głową. — Mamy szczęście, to zdarza się mniej więcej w jednej trzeciej przypadków śmierci z powodu uduszenia.

Ona nie miała szczęścia.

Lance zapatrzył się na drobną, tak wiele znaczącą kość.

— A więc już nie żyła, gdy zamkniętą ją w bagażniku?

— Można przeżyć złamanie kości gnykowej, ale mam nadzieję, że w jej przypadku tak nie było. — Frank zmarszczył brwi.

— Ja też. — Lance zadrżał. Śmierć przez uduszenie była okropna, ale nawet nie chciał sobie wyobrażać alternatywy.

— Czy przychodzi ci do głowy ktokolwiek odpowiadający temu rysopisowi, kto byłby obecny w życiu twojego ojca? Czy twój ojciec miał jakieś przyjaciółki lub koleżanki z pracy? — Frank krążył wokół tematu, jednak oczywiste było, że zastanawia się nad niewiernością.

— Nie wiem. — Lance nie chciał rozważać możliwości, że ojciec zdradzał matkę,

ale zaczął szukać w pamięci. — Nie, moi rodzice mieli kilku przyjaciół, ale byli mniej więcej w tym samym wieku, co moi rodzice. W dziewięćdziesiątym czwartym byliby po trzydziestce.

— Jeśli przyjdzie ci ktokolwiek do głowy — Frank machnął dłonią w rękawiczce ponad kośćmi — to daj mi znać.

— Jasne — odpowiedział Lance.

Frank zdjął rękawiczki.

— Jeśli pochodziła stąd i ktoś zgłosił zaginięcie, powinienem być w stanie ją zidentyfikować. Jeśli nic nie znajdziemy, sprowadzę antropologa sądowego.

— Powodzenia. — Lance wyszedł z prosektorium, po drodze wrzucając odzież ochronną do pojemnika. Idąc w stronę swojego jeepa na parkingu czuł, jak żołądek mu się zaciska.

Gdzie był jego ojciec?

ROZDZIAŁ 9

Wiatr chłostał twarz Morgan, gdy przeszła przez parking do swojego minivana, obok którego w otwartych drzwiach swojego SUV-a stał Mac.

— Dzięki, Mac. — Morgan zawięła górny skrawek papierowej torby, w której znajdowały się jej dżinsy przesiąknięte krwią, teraz już zaschniętą. Mac przywiózł jej czystą parę do przebrania.

— Nie ma za co. — Mac przełożył foteliki dziewczynek do swojego samochodu i właśnie kończył je mocować na tylnym siedzeniu. — Trochę ciasno, ale damy radę. Co zamierzasz zrobić ze swoim samochodem?

— Wezwałam lawetę. — Nie było mowy, by usiadła w kałuży krwi, by pojechać do warsztatu. Poza tym chciała, by auto przeszło gruntowny przegląd na wypadek, gdyby ktoś jeszcze coś w nim uszkodził.

— Ktokolwiek włamał się do twojego samochodu, zniszczył zamek — stwierdził Mac, dopinając fotelik.

Morgan przycisnęła dłoń do czoła.

— Nie zauważyłam, gdy do niego wsiadałam.

Zadowolony z zamocowania fotelików, Mac odszedł od otwartych drzwi samochodu.

— Samochód wciąż ćwierka, gdy naciskasz guzik pilota, ale centralny zamek nie działa.

— Czy możemy już jechać? — Sophie pociągnęła Morgan za rękę.

Morgan przykucnęła przy niej.

— Tak, muszę tylko zamienić kilka słów z policjantem. Zostań tu z Makiem.

— Dobrze — powiedziała Sophie, opuszczając główkę. Tego ranka obudziła się wcześniej i Morgan wiedziała, że mała zaśnie, jak tylko samochód ruszy.

Morgan podeszła do policjanta spisującego raport na przednim siedzeniu samochodu patrolowego. Wskazał długopisem na przenośny zestaw do identyfikacji plam, który leżał na siedzeniu pasażera. W okienku kontrolnym widać było tylko jeden pasek.

— To nie była ludzka krew.

— W takim razie zwierzęca. — Morgan zerknęła w tył na swój samochód. Zwierzęca krew była wprawdzie nieco mniej przerażająca, ale wciąż budziła niepokój. Policjant wysiadł z samochodu.

— Udało się panu uzyskać nagrania z kamer bezpieczeństwa? — zapytała Morgan.

— Nie, proszę pani. — Policjant wskazał na kamerę zamocowaną na ulicznej latarni. — Kamera jest pokryta pianą. Sądząc z zapachu, jest to sprej na szerszenie.

Morgan podeszła do latarni i spojrzała w górę. Pociągnęła nosem, wyczuwając zapach środka owadobójczego.

— Sprytne, można tym prysnąć z odległości paru metrów.

— Tak, proszę pani — zgodził się policjant. — Jest też lepki i dobrze się trzyma, więc kompletnie zasłonił obiektyw. Może będziemy mieli więcej szczęścia z odciskami palców zdjętymi w pani samochodzie.

Morgan nie sądziła, by tak było. Skoro ten ktoś był na tyle sprytny, by unieszkodliwić kamerę, nie zostawiłby po sobie odcisków palców.

— Sprawdźcie, gdzie podziewa się Tyler Green? — zapytała.

— Rozmawiałem z szeryfem Kingiem — powiedział funkcjonariusz. — Powiedział, że ściągnie go na rozmowę. Kopia raportu będzie dostępna za parę dni. — Funkcjonariusz podał jej wizytówkę.

— Dziękuję. — Morgan wsunęła ją do torby i wróciła do rodziny. Dzieci wczepiły się w Maca. Jej siostra naprawdę miała szczęście, to był dobry człowiek.

Na parking zajęła laweta. Morgan zatrzymała się, by porozmawiać z kierowcą i wydać mu instrukcje. Następnie sprawdziła, czy nie zostawiła w samochodzie niczego istotnego, po czym wsiadła do samochodu Maca.

Wyczerpana wydarzeniami poranka niemal nie zasnęła w drodze do domu. Mac zajął dzieci w kuchni, a Morgan wzięła prysznic i przebrała się w garsonkę. Musiała jechać do sądu później. Nawet gorący prysznic i czyste ubrania nie uwolniły jej całkowicie od uczucia wstrętu. Wyjęła z sejfu pistolet i przyczepiła go do paska, nim wyruszyła do biura lincolnem swojego dziadka.

Co za człowiek mógłby wlać zwierzęcą krew do jej samochodu?

Przypomniała sobie, że Tyler Green bił swoją żonę, ukrywał się, unikając płacenia alimentów i usiłował udusić Morgan. Wlanie krwi do jej samochodu nie byłoby dla niego niczym szczególnym.

Przejeżdżając obok zwróciła uwagę na cukiernię. Przez prześladowcę zwykła wizyta na cmentarzu zabrała jej cały poranek i była już pora lunchu. Podły poranek i tępy ból głowy mówił jej, że potrzebuje kawy i cukru. Zrobiła zakupy przez okienko drive-through, po czym pojechała do biura. Trzymając kawę, torebkę z cukierni i swoją olbrzymią torbę, otworzyła frontowe drzwi Sharp Investigations. Po emocjonalnie burzliwym poranku panująca w środku cisza była jak balsam na jej duszę. Czuła ogólne zmęczenie w mięśniach.

Weszła do swojego pokoju, zostawiła tam płaszcz i teczkę, po czym skierowała się do kuchni. Pusto. Wróciła do swojego pokoju i usiadła za biurkiem z kawą. Otworzyła torbę z cukierni i poczuła apetyczny zapach gorących pączków. Westchnęła i zjadła pierwszego w trzech kęsach, popijając kawą. Wzmocniwszy się w ten sposób, zaczęła sprawdzać e-maile, powoli jedząc drugiego pączka.

Kroki w korytarzu oznajmiły przyjście Sharpa, który po chwili stanął w jej drzwiach. Rzuciła okiem i w duchu przyznała, że jego organiczna, głównie roślinna dieta, na którą starał się nawrócić wszystkich wokół, naprawdę działała. Jedynym, co wskazywało na to, że miał pięćdziesiąt trzy lata, były szpakowate włosy i kurze łapki wokół jego szarych oczu, mających wyraz, jakby widziały już wszystko. W dzinsach i koszuli wyglądał lepiej niż większość mężczyzn o połowę od niego młodszych.

Zerknął na białą torebkę na jej biurku.

— Nawet nie zapytam, co dzisiaj jadłaś.

— Tak będzie najlepiej. — Morgan zlizwała cukier z palców.

— Jesz tyle cukru, że nawet słoń dostałby od tego cukrzycy. — Przeniósł spojrzenie na jej twarz, która prawdopodobnie była czerwona i spuchnięta. — Wszystko w porządku?

Od czego w ogóle zacząć?

— Dzisiaj byłyby urodziny Johna — powiedziała i walcząc z łzami opowiedziała mu o swoim poranku. Teraz, gdy już było po wszystkim, a dziewczynki były bezpieczne w domu z Makiem, czuła, że jej samokontrola wisi na włosku.

Albo może Sharp miał rację i powinna ograniczyć kofeinę.

Zastanowiła się nad trzecim pączkiem, ale doszła do wniosku, że Sharp mógłby dostać udaru, gdyby zjadła go przy nim. Poza tym zapewne miał rację, że cukier sprawiał, iż czuła się gorzej. Przyptyw energii zaczynał już opadać i zrobiło jej się odrobinę niedobrze.

— Ktokolwiek zaprojektował to auto w taki sposób, żeby koło zapasowe znajdowało się pod samochodem, powinien zostać wychłostany. A poza tym ktoś mnie prześladowuje. Generalnie nie był to najlepszy poranek.

I nadal miała ochotę na pączka.

— Przykro mi — powiedział. — Jak się czujesz?

— Ujdzie — odparła. — Wydarzenia poranka były wprawdzie niepokojące, ale skoro wiem o zagrożeniu, mogę podjąć kroki, żeby chronić moją rodzinę.

Poza tym smutek, który przygniół ją na cmentarzu, złagodniał. Wiedziała, że zawsze będzie tęsknić za Johnem i żałować, że zbyt wcześnie zabrano go od niej i od dziewczynek. Przy każdej rocznicy te uczucia miały powracać, ale nie pozwoli, by znowu wciągnęły ją w dół. Nie mogła na to pozwolić.

— Chcesz poszukać Tylera Greena? — zapytał Sharp, mrużąc oczy w sposób, który sugerował, że nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności.

Morgan potrząsnęła głową.

— Nie mamy żadnych dowodów, że to był on, a jest dostatecznie sprytny, żeby złożyć skargę na nękanie, jeśli zaczniemy go śledzić. Wydział szeryfa musi sobie z tym poradzić. Mac lub Stella będą u mnie w domu, gdy mnie tam nie będzie, tak więc moja rodzina jest bezpieczna.

Sharp skinął głową.

— Ja lub Lance będziemy ci towarzyszyć stale, dopóki ten prześladowca nie zostanie złapany.

— Dobrze. — Morgan była niezależna, lecz nie głupia.

— Masz jakieś wieści od Lance'a? — zapytał Sharp.

— Dzwoniłam do niego dziś rano — Morgan opowiedziała Sharpowi o tym, jak się czuje Jenny. — Miał pojechać do patologa.

— Chciałbym, żebyś znalazła czas na omówienie ze mną sprawy Victora Krugera. Szukałem jakichkolwiek wskazówek przez ponad dwie dekady. Chcę, byś spojrzęła na to świeżym okiem.

— Oczywiście — zgodziła się Morgan.

— Przygotuję ci shake'a. Już pora lunchu. Potrzebujesz białka, by zrównoważyć cały stres i te wszystkie świństwa, którymi się napychasz. — Sharp wyszedł z jej biura, mamrocząc pod nosem. — Nie mam wątpliwości, że nie zjadłaś dzisiaj niczego, co byłoby choćby trochę pożywne.

— Dzięki. — Morgan nawet nie próbowała się sprzeciwić, wiedząc, że i tak przygotuje jej shake'a. Potrzebowała porządnego posiłku, ale zjadła trzeciego pączka, gdy Sharpa nie było w pokoju.

Popiła go kawą i zawołała w stronę kuchni.

— Gdzie są akta sprawy?

— W biurku Lance'a — odpowiedział Sharp.

Z kuchni zaczął dobiegać warkot blendera. Morgan weszła do pokoju Lance'a, w którym biurko było jedynym porządnym meblem. Akta leżały w dolnej szufladzie. Gdy je wyciągnęła, zakręciło jej się w nosie od unoszącego się kurzu. Zniosła teczkę do swojego pokoju i położyła na biurku.

Kilka minut później Sharp przyniósł jej obrzydliwie wyglądający koktajl.

Pociągnęła ostrożnie łyk. Ananas i jagody.

— Biorąc pod uwagę kolor i to, co wrzucasz do środka, zawsze się dziwię, że nie smakują obrzydliwie.

— Nawet nie czuć smaku liści. — Najnowszą obsesją Sharpa były organiczne liście batatów. Usiadł na krześle naprzeciwko Morgan. — To będzie trudne dla Jenny, i dla Lance'a, niezależnie od tego, co mówi.

— Wiem. — Przyjrzała się mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko niej. Rzadko mówił o swojej przeszłości, nie licząc pracy w policji. — Czy byłeś kiedyś żonaty, Sharp?

— Tak — odparł.

Dlaczego to ją zaskoczyło?

Spojrzał zamyślony w okno.

— To małżeństwo było katastrofą od samego początku. Chciałem mieć dzieci, ona nie. Nie chciała być żoną policjanta, ja nie chciałem być kimkolwiek innym. Rozwiedliśmy się i nie rozmawiałem z nią od czasu podpisania papierów. Ostatnie, co o niej słyszałem, to że ponownie wyszła za mąż i wyprowadziła się do Bostonu.

— Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

— To było dawno. Byłem młody — zbył ją Sharp, jednak smutek w jego oczach zdradzał, że klęska jego małżeństwa wciąż wywoływała w nim uczucia, do których nie był gotowy się przyznać.

— Kiedy się rozstaliście?

— W lutym dziewięćdziesiątego czwartego.

Kilka miesięcy przed tym, jak zaginął Vic Kruger. Sharp musiał się czuć samotny. Morgan wyobraziła sobie, jak rzuca się w śledztwo i przygarnia pod swoje skrzydła równie samotne dziecko. Może jego relacja z Lancem nie była tak jednostronna, jak Morgan do tej pory sądziła.

— Tak czy siak, nigdy później nawet się nie zbliżyłem do myśli o małżeństwie. — Sharp poklepał biurko. — Dość już o mnie, możesz mnie przesłuchać innym razem.

Morgan wpatrzyła się w akta, grube i ciężkie od implikacji.

Zanim zaczęli, usłyszeli jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Po chwili w progu stanął Lance. Rzucił okiem na twarz Morgan i od razu zapytał.

— Co się stało? Gdzie twój samochód?

Opowiedziała mu o wydarzeniach poranka.

W jego oczach błysnął gniew.

— Mam ochotę osobiście dopaść Tylera.

— Szeryf się nim zajmie — powiedziała. — Szeryf King to wrzód na tyłku, ale żyje dla tego typu sytuacji.

— To prawda, możemy liczyć na to, że utrudni Tylerowi życie. — Lance obszedł jej biurko, pochylił się i przytulił ją. — Przykro mi, że miałaś taki okropny poranek i że nie było mnie przy tobie.

Wątpiła, że gdyby z nią był, jej prześladowca nie byłby tak zuchwały. Matka, zajęta trójką swoich dzieci, była łatwym celem.

— Miałaś dość na głowie dziś rano — powiedziała Morgan.

Lance puścił ją i wyprostował się.

— Widziałeś się z patologiem? — zapytał Sharp.

— Tak — odparł Lance, poruszając szczęką do przodu i do tyłu. — Właśnie od niego wracam. Nie uwierzycie w to, ale te szczątki nie należały do mojego ojca.

— Co? — zdumiał się Sharp.

— To szkielet kobiety. — Lance zmarszczył brwi.

W powietrzu zawisła ciężka cisza.

Kobiety?

Czy Lance cieszył się, że zwłoki nie należały do jego ojca? Czy raczej denerwował się pytaniami, jakie przynosiło to ze sobą?

— Czy Frank już wie, kim była? — zapytał Sharp.

— Nie. — Lance uniósł zatroskane spojrzenie. — Nie powiedziałem jeszcze o tym

matce. Przyjęła informacje o odnalezieniu szczątków ojca lepiej niż się spodziewałem, ale nie wiem, jak zareaguje, gdy dowie się, że nadal jest zaginiony. A poza tym prowadzi to do oczywistych przypuszczeń, że tata mógł być w jakiegoś rodzaju związku z tą młodą kobietą. — Lance podszedł do drugiego krzesła, które stało naprzeciwko biurka Morgan, usiadł na nim i opowiedział o rozmowie z matką.

To było typowe dla Lance'a, że bardziej się martwił swoją matką, podczas gdy ta informacja była tak samo trudna dla niego.

Sharp wstał i wyszedł do kuchni. Po chwili usłyszeli warczenie blendera i za moment wrócił z kolejnym koktajlem. Podał go Lance'owi.

— Nie jestem tak naprawdę głodny. — Jednak Lance przyjął szklankę z westchnieniem.

— Boli cię głowa i pewnie nie spałeś zbyt dobrze — powiedział Sharp. — Białko pomoże.

— Wiesz, że zawsze ma rację w tych kwestiach. — Morgan przyjrzała się wyczerpanej twarzy Lance'a. Co *on* odczuwał w związku z tym, że los jego ojca nadal był nieznany?

— Wiem. — Skinął głową Lance.

Wypił koktajl. Przełknął ostatni łyk, odstawił szklankę i jakby zebrał się w sobie.

— Zaczynamy. Chcę mieć więcej informacji, nim porozmawiam z matką. Patolog nie zamierza jeszcze rozmawiać z prasą, chce najpierw zidentyfikować szczątki i powiadomić rodzinę ofiary. Gdy wychodziłem, jego asystentka przeszukiwała bazę osób zaginionych.

Sharp pochylił głowę i położył dłoń na karku.

— Co teraz robimy?

Tylko jedna rzecz mogła pomóc Lance'owi. Znalezienie odpowiedzi.

Morgan otworzyła teczkę na swoim biurku.

— Teraz zaczniemy jeszcze raz od początku.

ROZDZIAŁ 10

Lance zwrócił się w kierunku białej tablicy, zawieszanej na ścianie. Tablica na razie była pusta, ale co znajdą, gdy zagłębią się w tę sprawę?

Niezależnie od tego, co by to mogło być, najwyższy czas, żeby się z tym zmierzył.

Morgan podsunęła Sharpowi akta, ale najwyraźniej nie były mu potrzebne. Odchylił się do tyłu na krześle i zaczął mówić.

— Wiemy, że Vic wyszedł z domu mniej więcej o dziewiątej wieczorem, by zrobić jakieś zakupy spożywcze. Gdy nie wrócił do jedenastej, jego matka zadzwoniła do jego najbliższych przyjaciół, Stana Adamsa i Briana Leeda, mając nadzieję, że jeden z nich będzie mógł jej pomóc, jednak żadnego z nich nie było w domu. Przejechała drogę od domu do sklepu spożywczego, myśląc, że może samochód Victora się zepsuł. Gdy go nie znalazła, pojechała do Baru Sportowego PJ-a, gdzie czasem przesiadywał z Brianem i Stanem. Nie znalazła tam żadnego z nich i nikt nie widział tam tego wieczoru Victora.

Sharp wstał i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

— Jenny zadzwoniła na policję przed północą. Funkcjonariusz pojechał do jej domu i spisał pierwszy raport. Victor nie miał żadnych chorób fizycznych ani umysłowych, nic nie wskazywało na to, by był szczególnie narażony na niebezpieczeństwo, chociaż nie było dla niego typowe, że nie wracał do późna. Funkcjonariusz spisał raport o zaginięciu i wprowadził Victora Krugera i jego samochód, buicka century z 1984 do rejestru poszukiwanych.

Sharp zatrzymał się i zwrócił w kierunku tablicy. Podniósł marker i zaczął rysować oś chronologiczną.

— Funkcjonariusz z patrolu rozsądnie zakładał, że Victor po prostu się gdzieś zatrzymał lub pojechał inną drogą. Może samochód mu się zepsuł. To były czasy przed tym, nim każdy miał telefon komórkowy przyrośnięty do ciała. Ludzie wciąż używali gotówki do płacenia. Nie było jeszcze elektronicznego systemu poboru opłat drogowych. Nie było niczego dziwnego w tym, że ktoś zniknął z radaru na jeden wieczór.

Sharp przyczepił magnesem do tablicy stare zdjęcie Victora Krugera i dwóch

innych mężczyzn. Stali przy boisku do baseballu. Mieli na sobie amatorskie stroje z logo lokalnego sklepu elektronicznego. Lance'owi ścisnęło się serce, gdy patrzył na szeroki uśmiech swojego ojca.

— To zdjęcie musiało zostać zrobione podczas meczu. — Lance pamiętał, jak oglądał mecze na trybunach. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie ojca, jak uczył go gry w baseball. — Mój ojciec uwielbiał baseball.

— Kim są pozostali dwaj mężczyźni? — zapytała Morgan.

Lance wskazał na nich kolejno.

— Brian Leed i Stan Adams, jego najbliżsi przyjaciele.

Po krótkiej pauzie Sharp mówił dalej.

— Przejąłem sprawę rano następnego dnia. Pierwsze, co zrobiłem, to poszedłem do sklepu spożywczego i przejrzałem nagrania z kamer. Vic nie był w sklepie tego wieczoru. Jego samochód nie wjechał tego wieczoru na parking. Objechałem pobliskie stacje benzynowe i sklepy, pokazywałem w różnych miejscach jego zdjęcia, sprawdzałem nagrania z kamer bezpieczeństwa tam, gdzie były dostępne. Nie znalazłem po nim śladu.

— Zazwyczaj niewyjaśnione zaginięcia osób dorosłych nie są traktowane priorytetowo. Jednak pani Kruger była wyjątkowo niespokojna, ja wtedy miałem stosunkowo niewiele spraw i uznałem, że to zniknięcie zasługuje, żeby mu się bliżej przyjrzeć. W czasie kolejnych dni odwiedziłem miejsca, w których bywał Victor. Dzwoniłem do szpitali, kostnic, posterunków policji i szeryfów, sprawdziłem stacje autobusowe i kolejowe oraz lotnisko. Rozmawiałem z jego szefem, współpracownikami i bliskimi przyjaciółmi. Wszystkie notatki z tych rozmów znajdziecie w aktach, jednak ogólnie wszyscy zgadzali się, że Vic nigdy nie zostawiłby swojej rodziny. Im więcej osób przesłuchałem, tym bardziej byłem przekonany, że Victor Kruger nie wyjechał z miasta z własnej woli. Przeszukałem jego dom i biuro. Wydawało się, że nie zabrał ze sobą niczego, nie licząc kluczyków od samochodu i portfela. Prowadziłem wcześniej śledztwa w sprawach osób, które odeszły, uciekły lub zostały uprowadzone od rodziny, jednak w całej mojej dwudziestopięcioletniej karierze w policji Victor był jedynym człowiekiem, który naprawdę zaginął bez śladu. To nie jest wielkie miasto. Ludzie zazwyczaj wracają z wyprawy do sklepu.

Lance przyglądał się tablicy, próbując zachować obiektywizm. Jak do tej pory

żaden ze szczegółów nie był szokujący. Pierwotne śledztwo Sharpa prowadzone było zgodnie z zasadami sztuki. Jednak... gdy zaginioną osobą był twój ojciec, szczegóły sprawy powinny budzić jego niepokój.

Lance jednak czuł się tak samo zdystansowany jak w 1994. Wtedy też ta sprawa nie wydawała mu się rzeczywista. Matka angażowała wtedy wszystkie jego emocje. Szybko załamała się wtedy nerwowo, zostawiając Lance'owi wszystko na głowie. Miał wrażenie, że jego życie wtedy przypominało próby sklejenia rozbitego wazonu, gdy nie ma się wszystkich kawałków. Żadna ilość kleju nie mogła sprawić, by z powrotem stał się całością. Cóż innego mógł zrobić niż głęboko zakopać własne uczucia?

— Od czego zaczniemy? — zapytała Morgan.

Sharp wzruszył ramionami.

— Przez lata aktualizowałem informacje o sprawie i bazy zaginionych, ale nie robiłem tego, odkąd przeszedłem na emeryturę. Niestety nie mamy dostępu do krajowej bazy informacji kryminalnej, ale możemy założyć, że szeryf skorzysta z niej, żeby poszukać podobnych spraw.

Krajowa baza informacji kryminalnych była prowadzona przez FBI i dostęp do niej mieli tylko przedstawiciele oficjalnych służb, nie prywatni detektywi.

— Wydaje mi się, Sharp, że śledztwo w sprawie zaginięcia prowadziłeś prawidłowo. — Morgan przyjrzała się zawartości tablicy. — Oznacza to, że powinniśmy się skupić na nowych informacjach.

— Martwej kobiecie. — Lance wstał i poszedł do swojego biura. Wrócił po chwili ze swoim laptopem. — Możemy zacząć od NamUs. Jeśli była z okolicy i zgłoszono zaginięcie, jej dane powinny zostać wprowadzone do systemu.

NamUs, czyli Krajowy System Osób Zaginionych i Niezidentyfikowanych, był należącą do Departamentu Sprawiedliwości ogólnodostępną bazą danych. Umożliwiał wyszukiwanie odnalezionych niezidentyfikowanych szczątków na terenie całego kraju, jak również osób zgłoszonych jako zaginione.

Lance próbował nie myśleć o tym, jakie są szanse na znalezienie jego ojca. W Stanach Zjednoczonych znajdowało się ponad czterdzieści tysięcy niezidentyfikowanych szczątków ludzkich, rozproszonych po ponad dwóch tysiącach kostnic i prosektoriów na terenie całego kraju. Mimo że profil jego ojca zawierał informacje o DNA, istniała możliwość, że jego ciało zostało odnalezione lata temu, a

NamUs istniał dopiero od 2009 roku. Doczesne szczątki Victora Krugera mogły znajdować się w jakiejkolwiek kostnicy w kraju, mogły też zostać pogrzebane lub skremowane dawno temu bez wcześniejszego zidentyfikowania ich.

Skup się na zadaniu.

Lance zaczął pisać na komputerze.

— W stanie Nowy York NamUs wymienia dwieście trzydzieści sześć zaginionych kobiet. Sharp oparł się o tablicę i skrzyżował ramiona.

— Będą wymienione zgodnie z tym, kiedy były ostatnio widziane. Zaczniemy od okresu od lipca do września 1994 roku. Następnie zawężymy je według lokalizacji.

— W tym czasie zgłoszono zaginięcie czterech kobiet — Lance przewinął listę. — Dwie z nich to dziewczyny z okolicy. Laura Dennis z Albany miała dwadzieścia dwa lata, gdy zaginęła. Ostatni raz widziano ją pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Druga to Mary Fox z Grey's Hollow. Jej opis mówi, że miała metr sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i ważyła pięćdziesiąt dwa kilogramy.

— Dziewczyna stąd, o wzroście odpowiadającym temu, jak Frank ocenił wzrost ofiary — zauważył Sharp.

Lance mówił dalej.

— Jej zaginięcie zgłoszono dwudziestego piątego sierpnia, jednak w uwagach jest zapis, że nie widziano jej już tydzień lub dwa wcześniej. Mieszkała z matką i ojczymem, jednak matka nie była pewna dokładnej daty, gdy dziewczyna zniknęła. Pokłóciły się, a Mary zdarzało się wcześniej mieszkać przez kilka dni u przyjaciółki.

— Nikt nie zgłosił jej zaginięcia przez dwa tygodnie. — Morgan robiła notatki w swoim notesie. — To straszne.

— Kto prowadził śledztwo? — zapytał Sharp.

— Departament szeryfa hrabstwa Randolph — odparł Lance.

— W dziewięćdziesiątym czwartym King nie był jeszcze szeryfem. — Krzesło Morgan skrzypnęło, gdy odchyliła się do tyłu i skrzyżowała nogi.

— Nie. — Sharp potrząsnął głową. — Wtedy był nim Bob O'Reilly. Umarł podczas pełnienia obowiązków służbowych na rozległy zawał serca w dwa tysiące pierwszym. King był głównym zastępcą, kandydował na urząd, wygrał i jest szeryfem od tamtej pory.

— Zaraz otworzę tę sprawę — powiedział Lance. — Wydrukuję zdjęcie Mary.

Drukarka zamruczała i wypluła kartkę. Sharp wziął ją i przypiął do tablicy. Mary miała brązowe oczy i długie do ramion brązowe włosy.

— Czy wygląda znajomo? — zwrócił się Sharp do Lance'a.

Ten potrząsnął głową.

— Nie.

Sharp zapisał imię i nazwisko Mary nad zdjęciem.

— Lance, może zadzwonisz do Franka? Skoro nam tak łatwo przyszło znalezienie jej, on zapewne też już ma jej nazwisko.

Sharp znowu zaczął chodzić niespokojnie po pokoju, tak jakby pomagało mu to myśleć.

Patolog nie odbierał. Lance nagrał wiadomość i odłożył telefon.

— W czasie, gdy czekamy, powinniśmy starannie przejrzeć akta i zrobić listę ludzi, których powinniśmy odnaleźć i przesłuchać. — Sharp wrócił do tablicy. — Morgan, chcę, żebyś ty sprawowała nadzór nad całością i sprawowała pieczę nad aktami. Jako jedyna z nas zaczynasz od nowa, bez uprzednich opinii.

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym skopiować akta dla mojego dziadka — powiedziała Morgan. — Ma wieloletnie doświadczenie i aż za dużo czasu.

— Doceniam to. — Sharp narysował kolejną kolumnę, którą zatytułował „Rozmowy”. Pod spodem zapisał nazwiska Stana Adamsa i Briana Leeda. — Vic pracował dla UpState Insurance. Firma zbankrutowała w dwa tysiące dwunastym. Jego szef nazywał się Phil Dryer. Phil był typem lojalnego pracownika, który całe życie związał z jedną firmą. Jego ostatni znany adres jest w aktach. Sekretarka, Dorothy Finch, miała sześćdziesiąt lat w dziewięćdziesiątym czwartym i przeszła na emeryturę, gdy firmę zamknięto. Gdy ostatnio sprawdzałem, mieszkała w domu opieki.

Lance pracował na laptopie.

— Stan i Brian nadal mieszkają w miasteczku, od pięciu lat nie zmieniali adresu. Znalazłem nekrolog Dorothy Finch. Phil Dryer nie mieszka już pod starym adresem.

Sharp narysował kolumnę „Odnaleźć” i wpisał w niej nazwisko Phila Dryera.

Morgan jak zawsze wolała prowadzić własne notatki.

— Co jeszcze robił Vic? Musiał mieć jakieś hobby, znajomych. Czy on i Jenny udzielali się w tym czasie towarzysko?

— Stan i Brian byli tak naprawdę jedynymi znajomymi Vica. — powiedział

Sharp. — Grywali w baseball i spotykali się w knajpie PJ-a.

— Czy to ten sam lokal, który nadal jest na Fletcher Avenue? — zapytała Morgan.

— Ten sam — potwierdził Sharp, kiwając głową. — Nadal działa i nadal należy do tej samej rodziny.

— Co pamiętasz na temat znajomych ojca? — zwróciła się do Lance'a Morgan.

— Niewiele — przyznał Lance. — Stan był kawalerem, a żona Briana miała na imię Natalie. Ich dzieci były młodsze ode mnie i jeszcze nosiły pieluchy, gdy je ostatnio widziałem. — Lance potrząsnął głową, zaciskając usta na wspomnienia dojmującej samotności, która stała się jego udziałem po zniknięciu ojca. — Gdy tata zniknął, kontakty się urwały.

Sharp wziął głęboki oddech.

— Nigdy nie rozmawialiśmy o niektórych sprawach. W tym czasie byłeś jeszcze dzieckiem, miałeś dość na głowie i nie chciałem cię dodatkowo obciążać. Teraz jeśli naprawdę chcesz pogrzebać w sprawie zaginięcia ojca, musisz przygotować się na mniej przyjemne informacje.

Lance wyprostował się. Przez chwilę spoglądał Sharpowi w oczy, po czym skinął głową.

— Wiem, że nie mówiłeś mi o wszystkim. Może zresztą nie chciałem poznać prawdy, gdy nie było realnej szansy, by go odnaleźć. Teraz jednak jest i już czas.

W poprzednich latach świadomie unikał poznania szczegółów sprawy, niemal jakby obawiał się, że poznanie faktów zmieni jego wspomnienia z dzieciństwa. Nie wątpił, że postrzegał okres przed zniknięciem ojca przez różowe okulary, co zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jakim piekłem stały się dla niego kolejne lata.

— Dobrze. — Sharp wziął głęboki oddech. — Przyjaciele twojego ojca, Stan i Brian, mówili, że Victor martwił się stanem psychicznym swojej żony. Zdradzała już objawy niepokoju i depresji. Uczyła jeszcze wtedy w college'u, jednak miała z tym coraz większe problemy. Mówili też, że firma, w której pracował, miała problemy finansowe, i martwił się, że może zostać zwolniony. Na dodatek wydatki twojej mamy zaczynały się wymykać spod kontroli.

Lance przetrawił te informacje. Jakieś fragmenty wspomnień przesunęły się i wskoczyły na miejsca niczym w kostce Rubika.

— A więc to nie jego zniknięcie wywołało chorobę.

— Nie — zgodził się Sharp. — Ale spowodowało raptowne pogorszenie.

Biorąc to pod uwagę, małżeństwo Krugerów nie było taką sielanką niczym z serialu *Leave it to Beaver*, jak to Lance zawsze sobie wyobrażał. Teraz gdy o tym myślał, ta wersja wydawała się bardziej realistyczna.

— Stan i Brian twierdzili, że Vic był nieszczęśliwy — powiedział Sharp. — Nie wiedział, jak poradzić sobie z problemami Jenny. Za dużo pił.

Lance odwrócił się od Sharpa w stronę tablicy. Wiedział, że nie wcześniej nie miał pełnego oglądu tej sprawy, jednak nic z zasłyszanych informacji nie wyjaśniało, skąd w bagażniku samochodu jego ojca wzięła się młoda kobieta.

— Podzielmy zadania — zaproponował Sharp. — Poszukam danych na temat dawnego szefa Vica, Phila Dryera i sprawdzę, czy wydano akt zgonu. Wykonam też kilka telefonów i dowiem się, czy wokół tej sprawy krążyły jakieś interesujące plotki. — Sharp znał wszystkich lokalnych policjantów, którzy pracowali dłużej niż pięć lat. — Potrzebujemy na nowo sprawdzić wszystkich zaangażowanych i z oczywistych względów tym razem nie możemy prosić Jenny o pomoc.

— Ja się tym zajmę. Nie jestem tak szybki, jak moja matka, ale potrafię to zrobić — zaproponował Lance.

— Ktoś musi pojechać do biura hrabstwa i sprawdzić księgi. Musimy się dowiedzieć, czy Phil wciąż żyje, jeśli tak to chcę z nim porozmawiać. Może teraz, gdy już nie pracuje dla UpState Insurance będzie bardziej skłonny do dzielenia się informacjami niż wtedy. Naprawdę chciałbym wiedzieć, czy posada Victora była zagrożona. Phil nigdy nie chciał odpowiedzieć wprost na pytania dotyczące kondycji finansowej firmy.

— Czy akty cywilne nie powinny być dostępne online? — zapytała Morgan. — Jeśli zmarł, powinieneś znaleźć akt zgonu w systemie.

— W hrabstwie Randolph można złożyć wniosek o wydanie ich online, ale można na nie czekać tydzień, miesiąc... albo wieczność — powiedział Sharp.

Morgan skinęła głową.

— Muszę pojechać do sądu, żeby złożyć wniosek o przyspieszenie sprawy prowadzenia samochodu po pijanemu, którą prowadzę. To sprawa Esposito i biuro prokuratora nie spieszy się z przesyłaniem mi informacji.

— Co za palant. — Sharp potrząsnął głową. — Lance, jedź z Morgan do sądu. Sprawdzisz akty stanu cywilnego w czasie, gdy Morgan będzie załatwiała swój wniosek. Nie chcę, by gdziekolwiek jeździła sama, dopóki jej prześladowca jest na

wolności.

ROZDZIAŁ 11

Morgan złożyła wniosek o przyspieszenie postępowania, po czym zjechała windą na parter i wędrowała labiryntem korytarzy prowadzącym do urzędu stanu cywilnego, mieszczącego się w drugim skrzydle budynku.

Szła szybkim krokiem i minęła zakręt, gdy nagle na jej drodze stanął jakiś mężczyzna.

Wpadła na niego, zachwiała się i upuściła swoją torbę. Na szczęście była zapięta i jej zawartość nie wysypała się.

— Przepraszam — Cofnęła się.

Esposito.

Ostatni człowiek, którego miałaby ochotę spotkać.

Pochyliła się, by podnieść torbę.

— Przepraszam — powiedziała, prostując się.

Esposito stanął jej na drodze, blokując przejście.

— Zawsze taka skoncentrowana. Co pani tu robi, pani Dane?

Ugryzła się w język, żeby nie odparować mu złośliwie. Robienie sobie z niego wroga w niczym jej nie pomogła, jednak jego arogancja uwierała ją niczym wielka drzazga.

— Spieszę się. Czy potrzebuje pan teraz coś omówić? — zapytała w końcu.

— Powinna pani uważać na ten swój charakterek.

— *Ja* powinnam uważać?

Czarne oczy Esposito zmrużyły się złowieszczo. Rozejrzał się po korytarzu i powiedział cicho.

— Potrzebuje pani mojej współpracy.

Morgan poczuła, jak jej brwi ze zdumienia podjeżdżają jej do góry. *Co jest z tym gościem?*

— Mogę pani bardzo utrudnić życie. — Zbliżył się do niej zanadto. Przydałby mu się też odświeżacz do ust. — Nawet proste sprawy możemy bardzo przeciągać.

Co za dużo, to niezdrowo.

Morgan wyciągnęła przed siebie dłoń, aby nie pozwolić mu się zbliżyć bardziej.

Nie cierpiała gierek, chciała tylko wykonywać swoją pracę.

— Po pierwsze, proszę się cofnąć.

Nie zrobił tego. W jego oczach zabłysło rozbawienie, gdy przesunął swój ciężar ciała jeszcze bardziej do przodu, tak że jego pierś oparła się o jej dłoń.

— Nie jest pani już prokuratorem. Jest pani nic nie znaczącym adwokatem, na samym dole łańcucha pokarmowego. Pani klienci to najgorsze szumowiny.

— Jak ten niewinny dzieciak, któremu próbował pan wcisnąć niekorzystną ugodę? Jego twarz poczerwieniała.

— Czego pan chce? — zapytała ostro, czując, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Niech pani więcej nie próbuje sprawiać, bym wyszedł na durnia.

Morgan usztywniła dłoń, żeby oprzeć się naciskowi jego piersi.

— Nic nie musiałam robić, sam pan sobie to zrobił. Następnym razem, gdy chce pan zgrywać twardziela, proszę najpierw sprawdzić słuszność swoich przesłanek i dowodów. Blef to hazard. Tym razem się nie opłaciło.

— Ostrzegam panią, pani mecenas.

— Ostrzega mnie pan przed czym? — zapytała Morgan. Nie miała *najmniejszego* zamiaru mu ustępować, bo to oznaczałoby koniec jej kariery. — Traktuję prawo bardzo poważnie. Moi klienci zasługują na najlepszą obronę, jaką mogą im zaoferować. Będę pana zmuszała, żeby za każdym razem poparł pan akt oskarżenia faktami.

Uniósł wargę, odsłaniając zęby.

— Popełnia pani błąd.

Próbował zrobić krok do przodu, żeby jeszcze bardziej wtargnąć w jej przestrzeń osobistą, jednak Morgan ułożyła dłoń poziomo, tak że czubki jej palców znalazły się w zagłębieniu u podstawy jego szyi. Jego ruch do przodu sprawił, że jej palce nacisnęły na wcięcie szyjne i zatopiły się w miękkim ciele.

Zakrztusił się i szarpnął do tyłu.

— Ty suko!

Zobaczyli błysk światła, po czym usłyszeli głos Lance'a:

— Hej, Esposito, czemuż to prawie włączysz na panią? Mam nadzieję, że nie próbujesz w ten sposób zastraszać obrońcy, bo na to mi to wygląda?

Lance wyciągnął przed siebie telefon komórkowy. Jego kpiący ton stał w

sprzeczności z gniewnym skrzywieniem ust i drugą dłonią, którą zacisnął w pięść przy boku.

Wciąż pokaszując, Esposito szybko się cofnął.

— Pani Dane i ja po prostu omawialiśmy sprawę.

Morgan nie odezwała się. Zazwyczaj dobrze nad sobą panowała, jednak mężczyźni tacy jak Esposito naprawdę działali jej na nerwy. Jego prostackie i niezdarne próby zastraszenia jej zdziwiły ją. Dlaczego sądził, że takie zachowanie ujdzie mu na sucho? Czy inni ludzie pozwalają mu się tak traktować?

— Da się rozmawiać o sprawie, nie dysząc komuś w twarz. — Lance stanął obok niej, wykorzystując swoje imponujące rozmiary do onieśmielenia przeciwnika.

Esposito próbował ją zastraszyć, ale wiedziała, że nigdy by nie spróbował tego z kimś, czyj biceps miał większy obwód niż jego głowa. Lance, w swoich bojkówkach i obcisłym czarnej koszulce nie wyglądał na kogoś, z kim warto zadzierać.

— Porozmawiamy później. — Esposito skinął głową i odwrócił się. Gdy mijał zakręt, Morgan zobaczyła, że pociera podstawę szyi.

— Dziękuję — zwróciła się do Lance'a.

Mimo gniewu, w jego oczach błysnęło rozbawienie.

— Nie ma za co, chociaż wyglądało na to, że miałaś go pod kontrolą.

— To taki...

— Dupek? — podsunął Lance.

— Tak. — Spotkanie z Esposito pozostawiło ją z uczuciem niesmaku.

Lance odwrócił się za znikającym Esposito.

— Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o nowym asystencie prokuratora.

— Jestem pewna, że Bryce go dokładnie sprawdził, jest bardzo staranny pod tym względem.

— A jednak. — Lance zmarszczył brwi. — nie lubię go.

— Bryce to polityk. Ledwie mu się udało wygrać wybory, nie może sobie pozwolić na zatrudnienie kogoś o wątpliwej przeszłości.

Lance nie wyglądał na przekonanego.

Morgan skierowała go w kierunku wyjścia.

— Znalazłeś Phila Dryera?

— Tak. — Lance otworzył przed nią drzwi. — Nie żyje. W akcie zgonu był błąd: użyli inicjału zamiast pełnego drugiego imienia.

— Dlatego nie udało nam się znaleźć tej informacji przez internet. W takim razie możemy go wykreślić z listy świadków. Zostaje nam Stan, Brian i jego żona Natalie.
— Jeśli uda się zidentyfikować szkielet, lista bez wątpienia się wydłuży.

— Owszem — zgodził się Lance.

Przeszli przez parking i wsiedli do jego jeepa.

Po zamknięciu drzwi Lance pochylił się i pocałował ją.

— Wszystko w porządku? Miałem ochotę strzelić Esposito w tą jego zadowoloną z siebie gębę.

— Nic mi nie jest. Zdarzało mi się odwiedzać w więzieniu brutalnych przestępców. Jeden asystent prokuratora z temperamentem nastoletniego chuligana mnie nie wystraszy.

— Złożyłaś swój wniosek?

— Tak. — Morgan zapięła pas. — Co jednak jest frustrujące, to że Esposito *naprawdę* może nam utrudnić życie. Może przeciągać proces, może opóźniać dostarczanie istotnych dowodów, tak by obrona miała jak najmniej czasu na zapoznanie się z nimi. Mogę oczywiście z tym walczyć, ale to kosztuje mój czas i zwiększa koszty moich klientów. W przypadku obrońców z urzędu sprawy przedstawiają się jeszcze gorzej: są zdecydowanie przeciążeni liczbą spraw i nie mają czasu na składanie głupich wniosków o przyspieszenie postępowania i granie na zwłokę.

— A więc jego taktyka się sprawdzi. — Lance otworzył schowek i wyjął ich pistolety. Do sądu nie można było ich wnosić. Morgan wzięła swoją broń i przypięła kaburę do paska.

— Tak. Będzie wygrywał sprawy tylko dlatego, że obrońcy z urzędu są przeciążeni. Cały wymiar sprawiedliwości jest przeciążony. Dodatkowa papierologia nie ułatwi spraw. Albo jego ego jest nadmiernie rozbuchane, albo próbuje się wykazać poprzez agresywne działanie i dużą liczbę wygranych spraw. — Morgan wzięła głęboki oddech. — Tak czy siak, nic nie mogę zrobić z trudnym asystentem prokuratora. Gdzie teraz?

— Musimy odwiedzić szeryfa. Patolog do mnie nie oddzwonił, a musimy poznać tożsamość kobiety, która została znaleziona w bagażniku samochodu mojego ojca.

— Och, świetnie. Jeszcze jedna osoba, która nie będzie zachwycona na mój widok.

— Jeśli wolisz, mogę cię podrzucić do biura. — Lance wyjechał z parkingu.

— Nie, chcę pojechać z tobą. — Morgan rozsiadła się wygodniej. — Szeryf nie jest tak zły, jak Esposito.

— Jest jego dokładnym przeciwieństwem. Esposito chce wydłużyć postępowanie. Szeryf King chce pominąć tak wiele kroków prawnych, jak to możliwe i wysłać do więzienia wszystkich bez mijania startu i odbierania dwustu dolarów.

Telefon Lance'a zawibrował.

— O wilku mowa — powiedział zerkając na ekran. Odebrał. — Kruger.

Morgan nie słyszała słów szeryfa, ale cokolwiek powiedział starło z twarzy Lance'a wszelkie ślady żartobliwego nastroju.

— Nie. Moja matka nie wychodzi z domu, będzie pan musiał pojechać do niej. — Kilka sekund później Lance zakończył połączenie. Zacisnął palce wokół telefonu, jakby chciał go znieść.

— Coś nie tak? — zapytała Morgan.

Lance rzucił telefon w uchwyt na kubek.

— Szeryf King jest w drodze, by porozmawiać z moją matką. Chcę tam dotrzeć przed nim. — Lance wcisnął gaz i jeep skoczył do przodu. — Zastanawiam się, czy to oznacza, że zidentyfikowali ciało.

ROZDZIAŁ 12

Lance usiadł przy kuchennym stole naprzeciwko swojej matki z poczuciem ulgi, że udało im się zdążyć przed szeryfem. Jego matka miała pod oczami ciemne obwódki, a jej skóra sprawiała wrażenie pergaminu, jakby była odwodniona.

— Podasz jej szklankę wody? — spytał, zerkając na Morgan.

— Oczywiście. — Morgan napełniła szklankę wodą z kranu i postawiła ją na stole. Usiadła obok jego matki. — Jadłś dzisiaj lunch, Jenny?

Jego matka skinęła głową.

— Tak, jadłam lunch o dwunastej. Dzisiaj jest wtorek. Zjadłam kanapkę z sałatką z tuńczykiem.

— Szeryf King jest w drodze tutaj, żeby zadać ci kilka pytań na temat ojca. Zanim jeszcze przyjedzie, muszę ci o czymś powiedzieć. — Lance sięgnął przez stół i nakrył dłonią rękę matki. — Szkielet w bagażniku nie należał do ojca, lecz do jakiejś młodej kobiety.

Na jej twarzy odbił się szok.

— Dlaczego jakaś młoda kobieta znalazła się w bagażniku samochodu twojego ojca? I gdzie on jest?

— Tego właśnie wszyscy chcemy się dowiedzieć — powiedział Lance. — Pamiętasz może kobietę, która nazywała się ę...

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Lance zostawił Morgan ze swoją matką i poszedł otworzyć drzwi. W progu stał szeryf King. Lance wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

— Moja matka cierpi na agorafobię i nasilone zaburzenia lękowe. — Lance przeszedł od razu do rzeczy. — Od lat nie wpuściła do domu nikogo nieznanego.

— Zapamiętam to. — King skinął głową.

Lance wprowadził go do domu i do kuchni.

— Mamo, to szeryf King — powiedział.

W szarmanckim geście rodem z dawnego westernu szeryf zdjął z głowy kapelusz i przycisnął go do piersi.

— Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać, madame.

Szeryf usiadł na krześle naprzeciwko Jenny.

Ta odchyliła się do tyłu, kuląc ramiona. Zerknęła na szeryfa spod zasłony swoich siwych włosów.

— Wygląda pan znajomo, czy widziałam pana w telewizji?

Szeryf skinął głową.

— Czasem biorę udział w konferencjach prasowych.

— Przyszedł pan w sprawie Victora. — Matka Lance'a splotła dłonie na podolku, przyciskając ramiona do tułowia, jakby usiłowała fizycznie utrzymać się w jednym kawałku.

— Tak, proszę pani. — Ton szeryfa złagodniał. Może nie był jednak taki zły. — Kiedy ostatnio widziała pani swojego męża, Victora Krugera?

— Dziesiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku — odpowiedziała.

— I od tej pory nie miała pani z nim żadnego kontaktu? Żadnych telefonów, listów, e-maili?

Jenny potrząsnęła głową.

— Nie, nic.

— Czy mówi coś pani nazwisko Mary Fox? — zapytał szeryf.

Jenny zmarszczyła brwi.

— Chyba nie.

— To było dwadzieścia trzy lata temu — uściślił szeryf.

— Nie jestem pewna — powiedziała Jenny. — Przykro mi.

Szeryf pochylił się o cal bliżej nad stołem.

— Mary pracowała jako kelnerka u PJ-a.

Lance zeszywniał. Mieli rację. Szczątki należały do Mary Fox.

Matka Lance'a ściągnęła brwi.

— Chodziliśmy tam na burgery. Vic częściej tam bywał niż ja. Parę razy w tygodniu umawiał się na piwo ze Stanem i Brianem.

Lance'owi zakręciło się w głowie.

Jego ojciec znał zmarłą dziewczynę. Aczkolwiek fakt, że pracowała w jego ulubionej knajpie, mógł oznaczać, iż ich znajomość była całkowicie niewinna.

Szeryf wyciągnął z kieszonki zdjęcie i przesunął je po stole.

Matka Lance'a sięgnęła po nie, uważając, by nie dotknąć więcej niż koniuszka.

— Wygląda znajomo, czy to Mary?

— Tak — powiedział szeryf. — Wczoraj wyciągnęliśmy z jeziora Grey Lake samochód pani męża. Przepraszam, że nie przyjechałem od razu. Lance powiedział, że lepiej będzie, jeśli to on panią zawiadomi. Chcieliśmy też sprawdzić, czy znaleziony w środku szkielet należał do niego czy nie.

— Lance mi mówił. — Jej palce zacisnęły się na stole.

Morgan wzięła ją za rękę.

— Jednak w bagażniku samochodu pani męża znaleźliśmy szczątki Mary. — Szeryf mówił uprzejmym tonem, jednak uważnie przyglądał się jej twarzy, czekając na reakcję.

Matka Lance'a jedynie mrugnęła.

— Nie rozumiem? Skąd ona się tam wzięła? I gdzie jest Vic? — Jej głos stał się wyższy, gdy przeszła od zdumienia do niepokoju.

— Tego właśnie staramy się dowiedzieć. — Szeryf postukał palcem w zdjęcie. — W tę noc, gdy pani mąż zaginął, czy wspominał, że chce wstąpić do PJ-a?

— Nie, miał tylko pojechać do sklepu spożywczego. — Jenny potrząsnęła głową.

— Czy miał telefon komórkowy? — zapytał szeryf.

— Nie. — Jenny zacisnęła palce na dłoni Morgan, aż kostki jej pobieleły. — Wtedy były drogie. Zasięg tutaj był tak słaby, że nie było warto wydawać pieniędzy. Jednak Vic zadzwoniłby do mnie od PJ-a, gdyby się tam zatrzymał. Zawsze pilnował, żebym nie musiała się martwić. — Spojrzała w dół i rozluźniła uścisk na dłoni Morgan. — Zawsze miałam skłonności do zamartwiania się.

— A więc liczył się z innymi — stwierdził szeryf.

— Vic był dobrym człowiekiem. — Po policzku Jenny spłynęła łza.

— Co pani robiła tej nocy, gdy Vic zaginął? — zapytał szeryf.

— Gdy Vic nie wrócił do domu, wsiadłam w samochód i jeździłam po okolicy, szukając go. Zadzwoniłam do wszystkich, którzy przychodzili mi do głowy, ale nikt go nie widział. — Otarła łzę. — Gdzie on jest?

— Jeszcze nie wiem, ale się dowiem — zapewnił ją szeryf. — Może mi pani pomóc, przypominając sobie tyle informacji, ile to możliwe. Czy Vic bywał gdzieś regularnie poza knajpą PJ-a?

— Nie wiem. — Ręce Jenny zaczęły się trząść jeszcze mocniej i zaczęła skubać skórki wokół paznokci.

— To będzie trudne pytanie i bardzo mi przykro, ale muszę je zadać. — Głos szeryfa był łagodny, niemal przeprasający. — Z tego co pani wiadomo, czy pani mąż miał romans?

Lance poczuł, jak w żołądku zaczyna palić go gniew. Z drugiej strony jednak rozumiał konieczność zadania tego pytania. Zamiast więc uderzyć szeryfa w twarz, zacisnął ręce na krawędzi blatu.

Jego matka energicznie potrząsnęła głową.

— Nie, on nigdy by...

Szeryf oparł przedramiona na stole.

— Czy miała pani jakieś dziwne telefony? Lub ktoś dzwonił i rozłączał się?

— Nie — wyszeptała Jenny.

— Ile czasu spędzał u PJ-a?

Jenny oderwała skórę przy paznokciu i pojawiła się odrobinka krwi.

— Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem — powtarzała monotonnym głosem, niemal niesłyszalnie.

Szeryf odchylił się do tyłu i spojrzał pytająco na Lance'a.

— Myślę, że wystarczy. To był dla mojej matki wielki szok. — Lance wstał i ruszył w jej kierunku, jednak Morgan już obejmowała ją ramionami, a Jenny wtulała się w nią.

Szeryf wstał i Lance odprowadził go do drzwi. Wyszli razem na schodki przed domem.

— Dziękuję, że był pan wobec niej delikatny. — Lance zamknął za nimi drzwi.

— Nie miałem ochoty jej przesłuchiwać. — King skinął głową.

— Jako że podał nam pan nazwisko Mary, zakładam, że zawiadomił pan jej rodzinę.

— Dziś rano — potwierdził szeryf i odwrócił wzrok. Przez sekundę, nie dłużej, na jego twarzy pojawił się wyraz żalu. Lance'a też niejednokrotnie musiał zawiadamiać o śmierci członków rodziny, gdy jeszcze pracował w policji. Zwykle miało to miejsce po wypadkach. Mówienie komuś, że jego bliski zginął, było jednym z najgorszych obowiązków w policji.

Jednak ta utrata żelaznej kontroli trwała tylko chwilę. Szeryf zacisnął szczęki i wszelki ślad słabości zniknął.

— Będę musiał jeszcze porozmawiać z pana matką.

— Jeśli będzie w stanie — zastrzegł Lance. Jego matka była dla niego ważniejsza niż śledztwo. — Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, co się stało z moim ojcem, jednak nie poświęcę mojej matki, by dowiedzieć się czegoś, co zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu.

Każdy odkryty sekret wymagał poświęcenia. Pytanie sprowadzało się do tego, czyje to będzie poświęcenie. O ile jego matka nie zostanie aresztowana, nie była zobowiązana, by rozmawiać z Kingiem, chociaż miała zamiar współpracować. *Ona* też pragnęła odpowiedzi. Jednak czy była w stanie zapłacić za nie cenę?

— Rozumiem pańskie obawy. — Szeryf nasadził kapelusz na głowę/ — Jednak to śledztwo w sprawie o morderstwo. Mary Fox i jej rodzina zasługują na taki sam szacunek jak pańska rodzina.

Lance nie znalazł na to odpowiedzi. Szeryf miał rację.

King wsiadł do swojego samochodu i wycofał się z podjazdu.

Lance zamknął drzwi i wrócił do kuchni. Jego mama wciąż trwała w objęciach Morgan. Przykucnął przed nimi.

— Mamo? Wszystko w porządku?

Wciągnęła drżący oddech i wyprostowała się.

— Nie mam pretensji do szeryfa. Wykonuje tylko swoją pracę, zadaje pytania, które musi zadać. — Przeciągnęła dłonią pod okiem, ocierając łzę. — Nie mogę uwierzyć, że Vic mógłby mnie zdradzić. — Jej spojrzenie powędrowało do okna, jednak tak naprawdę nie widziała co jest za nim, zagłębiona we wspomnieniach. — Kochał mnie.

Lance jednak wiedział już, że jego własne wspomnienia nie były do końca dokładne. Czy pamięć jego matki była równie zawodna?

Jeśli jej choroba psychiczna zaczynała się już wtedy, to mogła nie dostrzec, że jej mąż zaczął ją zdradzać. Jej choroba ją pożerała wielkimi kęsami, niszczyła jej zainteresowanie światem zewnętrznym. Może jego ojciec czuł się samotny.

— Zadzwoń do Kevina. — Jenny wstała i spojrzała najpierw na Morgan, następnie na Lance'a. — Proszę, dowiedzcie się, co się stało. Nie próbujcie tego przede mną ukrywać. Muszę się zmierzyć z prawdą, nawet jeśli będzie to trudne.

Wyszła z kuchni powolnym krokiem, jakby z ogromnym wysiłkiem, tak jakby od przybycia szeryfa postarzała się o dwadzieścia lat. Drzwi jej biura zamknęły się za nią z cichym kliknięciem.

— Jak na razie jestem pod wrażeniem, jak dobrze sobie z tym radzi — powiedział Lance ze wzrokiem utkwionym w pusty korytarz.

— Wydaje się zdeterminowana — przytaknęła Morgan. — Co teraz?

— Teraz musimy się dowiedzieć wszystkiego, co możliwe, o Mary Fox.

— Zadzwońię do Sharpa. — Morgan wyciągnęła telefon, ruszając do wyjścia. Wybrała numer w czasie, gdy Lance zamykał drzwi. Wsiedli do jeepa i Lance uruchomił silnik.

Morgan zakończyła rozmowę i streściła jej przebieg.

— Sharp chce, byśmy porozmawiali ze Stanem Adamsem i Brianem Leedem, ale chce być obecny przy rozmowie z matką Mary. Mówi, że potem się spotka z nami u niej.

— Dobrze. — Lance ruszył spod domu matki, jednak nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju, że ją zostawia samą.

ROZDZIAŁ 13

— Czy powinnam zadzwonić do Stana i Briana? — zapytała Morgan, sprawdzając godzinę na tablicy rozdzielczej. — Jest dopiero trzecia, mogą wciąż być w pracy.

— Nie. — Potrząsnął głową Lance. — Zaskoczmy ich. Jeśli nie będzie ich w domu, wrócimy później. Możemy zacząć od Stana. Jego dom jest najbliżej.

W czasie jazdy Morgan przeczytała notatki z pierwotnego przesłuchania, które prowadził Sharp i streściła Lance'owi najważniejsze informacje.

— Stanley Adams ma pięćdziesiąt osiem lat. Jest założycielem firmy Adams & Booker. Pochodzi ze Scarlet Falls. Dziesięć lat temu ożenił się z Abigail Snyder, która ma trzydzieści sześć lat. Nie mają dzieci.

Lance skręcił w nową uliczkę i zaparkował przed nowoczesnym pseudodworkiem.

— Wygląda, że Stan dobrze sobie radzi w życiu.

Na podjeździe stał nowy model mercedesa w kolorze czarnym. Lance i Morgan wysiedli i ruszyli w stronę drzwi frotowych. Schodki z czerwonego kamienia otoczone były kutą czarną balustradą. Ozdobne krzewy, przycięte w wyrafinowane kształty zdradzały rękę architekta krajobrazu.

Morgan sięgnęła w stronę dzwonka, jednak piskliwy jazgot małego pieska zdradził ich przybycie zanim zdążyła go nacisnąć.

Drzwi otworzyły się. Szczupły, wysportowany mężczyzna pod sześćdziesiątkę trzymał na rękach małego kudłatego pieska.

— Cicho, Imbirek. — Wzniósł oczy do nieba. — Czym mogę służyć?

— Jestem Lance Kruger — powiedział Lance.

— Och. — Oczy Stana rozszerzyły się. Zaprosił ich gestem do środka. — Wejdźcie, proszę.

Drugi piesek wybiegł zza jego nóg i kłapnął zębami przy nogawce Lance'a. Stan zablokował mu drogę stopą, po czym podniósł go drugą ręką. Cofnął się i ruchem głowy wskazał im drogę.

— Przepraszam za nie. Już je zamykam w drugim pokoju. Wejdźcie i rozgośćcie się. — Machnął psem w stronę sklepionego przejścia, za którym znajdować się musiał pokój dzienny. Usłyszeli odgłos zamykanych drzwi.

Morgan weszła do pokoju dziennego, urządzonego bardzo elegancko i formalnie. Na grubym białym dywanie stały dwie białe kanapy ustawione naprzeciwko siebie. Między nimi stał szklany stolik kawowy. Delikatne szklane rzeźby stały we wnękach w ścianach. Wszystko w tym pokoju było śliczne — i drogie. Znać było, że Stan nie ma małych dzieci.

Morgan usiadła na jednej z sof i wyjęła z torby notes i pióro. Lance niecierpliwie krążył po pokoju.

Stan dołączył do nich po chwili.

— Moja żona uwielbia te psiaki. — Jego mina mówiła, że on nie podziela tej miłości. Podał Lance'owi dłoń. — A więc teraz jesteś prywatnym detektywem?

— Tak. — Lance uścisnął jego rękę. — To moja współpracowniczka, Morgan Dane.

— Czy mogę coś wam zaproponować? Kawy, wody? — zapytał Stan.

— Nie, dziękuję. — Lance usiadł obok Morgan na sofie. — Dziękuję za spotkanie, nie byliśmy pewni, czy będziesz w domu.

— Staram się robić sobie wolne, gdy tylko mogę. — Stan usiadł na sofie naprzeciwko nich. — Gdy zacznie się sezon podatkowy, nie będę miał na to czasu. — Uśmiechnął się do Lance'a. — Co mógłbym dla ciebie zrobić?

— Chciałbym zadać kilka pytań dotyczących mojego ojca — powiedział Lance.

Stan odchylił się w tył i położył kostkę jednej nogi na kolanie drugiej. Jego postawa była zrelaksowana i otwarta.

— Chciałbym pomóc, ale jak wielokrotnie mówiłem oficerowi Sharpowi, nie wiem, co się stało z Victorem. Chciałbym to wiedzieć.

— Wyszły na jaw nowe informacje, które nie były wtedy dostępne — poinformował go Lance.

Stan zeszywniał.

— Naprawdę?

— Oglądał pan wczoraj wiadomości? — zapytała Morgan.

— Nie. — Stan potrząsnął głową.

— Samochód mojego ojca wyłowiono z Grey Lake — wyjaśnił Lance.

— Co takiego? — Stan wyprostował się. Jego stopa uderzyła o podłogę z tupnięciem. Otworzył na chwilę usta, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

Lance pochylił się i oparł ramiona na kolanach.

— Najwyraźniej samochód tam właśnie leżał przez te wszystkie lata.

— O, mój Boże. — Stan przygładził dłonią rzednące włosy. Nagle jego dłoń znieruchomiała. Spojrzał na Lance'a jakby uderzony jakąś myślą. — Czy Vic był w środku?

Morgan w swojej karierze rozmawiała z setkami świadków i zazwyczaj jej wewnętrzny wykrywacz kłamstw jej nie zawodził, jednak nie potrafiła odczytać Stana. Nie potrafiła tego sprecyzować, jednak wyczuwała w nim nieszczerłość.

— Nie. — Lance potrząsnął głową. — Ale ktoś inny tak. Czy pamiętasz Mary Fox?

Stan zmarszczył brwi. Jego spojrzenie powędrowało na kilka sekund ku podłodze. Czy zastanawiał się czy też ukrywał spojrzenie?

— Chyba nie.

— Pracowała u PJ-a — odpowiedziała Morgan.

— Och. — Stan znowu spojrzał na Lance'a. — Była tam taka kelnerka, która miała na imię Mary. Czy to o nią chodzi?

Lance opuścił złączone dłonie między kolana.

— Teraz ją pamiętasz?

— Tak — odparł Stan. Przez kilka sekund utrzymywał kontakt wzrokowy, po czym odwrócił wzrok. — Nie znałem jej nazwiska. Mary zapadała w pamięć, to fakt. Vic, Brian i ja spotykaliśmy się na piwo u PJ-a. Czasami nas obsługiwała.

— Dlaczego zapadała w pamięć? — zapytała Morgan. Dopóki w rozmowie nie padła wzmianka o Mary, odpowiedzi Stana wydawały się niemal wyuczone. Teraz wydawał się o wiele mniej swobodny.

— Hm. — Spojrzenie Stana wędrowało od Morgan do Lance. Przeniósł dłonie przed pierś i złączył je, jakby coś zgarniając. — Szczerze mówiąc, była szczerze wyposażona i nie kryła się z tym.

— To znaczy? — naciskała Morgan.

— Gdy nalewała napój, pochylała się nad stolikiem. Nie dało się tego nie zauważyć, miało się je tuż przed twarzą. — Na twarzy Stana pojawił się rumieniec. — Miała opinię bardzo towarzyskiej, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Morgan domyślała się.

— Mógłby pan być bardziej szczegółowy?

Policzki Stana poczerwieniały jeszcze bardziej.

— Puszczala się. Raz widziałem, jak robiła facetowi laskę na parkingu. Plotka głosiła, że gdy była w nastroju i nie miała na rachunek za prąd, gotowa była zrobić wszystko z każdym za pięćdziesiąt dolców.

Morgan poczuła smutek na myśl o dwudziestoletniej dziewczynie, która sprzedawała seks, by mieć na rachunki.

— Była prostytutką? — zapytał Lance.

— Nie wiem. — Stan zbył pytanie machnięciem ręki, jednak zamarł w połowie gestu. — W jakimś sensie chyba tak. Jakoś nie myślałem o tym w ten sposób. Gdy się myśli o dziwkach, ma się w głowie pewien obraz kobiety, która chodzi po ulicy na wysokich obcasach i ubraniach z lycry.

Lance zmienił pozycję.

— Czy kiedykolwiek... ?

— Nie. — Stan potrząsnął głową. — Nigdy nie kręciły mnie odgrzewane dania. — Mrugnął i uśmiechnął się do Morgan przepraszająco. — Jednak niektórym mężczyznom to nie przeszkadzało.

Morgan zadała trudne pytanie.

— Czy Vic kiedykolwiek spotykał się z Mary?

— Nie — odparł Stan, znowu się rozluźniając. — Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Vic zrobił coś takiego.

— Czy zwróciłeś uwagę, żeby ktoś poświęcał Mary szczególną uwagę w dniach przed zniknięciem Victora? — Twarz Lance'a nie wyrażała emocji i Morgan zastanawiała się, w jaki sposób udaje mu się stłumić swoje uczucia. Nie chciałyby prowadzić tego typu rozmowy o swoim nieżyjącym ojcu.

— Wielu facetów korzystało z jej oferty. — Stan wzruszył ramionami. — Nie przypominam sobie żadnych konkretnych nazwisk.

Nie wie, czy nie chce powiedzieć?

— Czy wiedział pan cokolwiek o życiu osobistym Mary? — zapytała Morgan.

Stan potrząsnął głową.

— Nie. Wstyd się przyznać, ale nazywaliśmy ją Puszczalską Mary. Patrząc wstecz, myślę, że to smutna historia. Nie miała szacunku do siebie. — Stan przyglądał się przez chwilę swoim paznokciom. — To zabawne, jak wiek i życie zmieniają nasze spojrzenie na wiele spraw.

— To prawda — zgodziła się Morgan. — A co z Victorem? Czy w tygodniach

poprzedzających jego zniknięcie działa się z nim coś szczególnego?

Stan zerknął na Lance'a.

— Twój ojciec martwił się twoją matką. Jej zachowanie stawało się coraz bardziej nieprzewidywalne. Nie chodziła do pracy, wydawała pieniądze jak szalona. Victor poświęcał wiele czasu na pilnowanie jej. Kiedyś graliśmy w lidze baseballowej, ale Vic parę tygodni wcześniej odszedł z drużyny. Powiedział, że musi więcej być w domu i że czuje się, jakby musiał pływać w morzu dwadzieścia kilometrów od brzegu i że jak tylko przestanie się poruszać, to utonie.

— Czy twoim zdaniem możliwe jest, że mój ojciec odszedł? — Lance zacisnął usta. — Może już nie mógł znieść tego stresu?

Stan zastanowił się.

— Nie. Nie sądzę, by mógł zostawić *ciebie*.

Tym razem w głosie Stana zabrzmiała szczerłość.

— Czy mógł popełnić samobójstwo? — Głos Lance załamał się, jakby nie chciał zadawać tego pytania.

— Nie mam wątpliwości, że był w depresji, ale sądzę, iż ty dawałeś mu siłę do życia. Powiedział mi raz, że gdyby nie ty... — Stan skinął głową w kierunku Lance'a — pozwoliłby sobie zatonać.

Jabłko Adama na szyi Lance'a poruszyło się, gdy przełknął ślinę. Jego niebieskie oczy zamglily się smutkiem. Odchrząknął.

— Czy pamiętasz, gdzie byłeś tej nocy, gdy mój ojciec zaginął?

Stan skinął głową i odwrócił wzrok.

— Nie zliczę, ile razy Sharp zadawał mi to pytanie przez te wszystkie lata. — Głos Stana znowu zmienił barwę, stając się mechaniczny. — Brian i ja byliśmy na boisku do baseballu. Porzucaliśmy trochę piłek, potrenowaliśmy, ale głównie chodziło o to, by wypić parę piw i spuścić trochę pary. Dzwoniliśmy do twojego ojca, ale powiedział, że nie może przyjść.

— O której poszliście z boiska? — zapytał Lance.

Stan uniósł dłonie.

— Koło jedenastej. Twoja matka zostawiła wiadomość, gdy mnie nie było. Szukała Victora. Oddzwoniłem do niej, ale nie było jej w domu.

Jenny w tym czasie jeździła po mieście szukając męża.

— Dziękuję za twój czas, Stan. — Lance wstał. — Czy możemy zadzwonić,

gdybyśmy mieli więcej pytań?

— Oczywiście. — Stan uściskał im po kolei dłonie. — Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, co stało się z twoim ojcem.

— Dzięki. — Lance wyszedł z domu jako pierwszy i podszedł do jeepa. — Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też odpowiedzi Stana wydawały ci się wyćwiczone?

— Były takie, ale pamiętaj, że odpowiadał na te pytania wielokrotnie.

— Masz rację. Sharp nie przestawał drążyć tej sprawy.

— Jak się czujesz? — zapytała Morgan, gdy już wsiedli do środka i zapięli pasy.

— W porządku — odparł Lance, patrząc przez przednią szybę. — Stawiałem ojca na piedestale. Zawsze dzieliłem moje życie na dwa odrębne etapy: przed i po jego zaginięciu. Przed było idealnie, a zniknięcie mojego ojca był tym pojedynczym wydarzeniem, które sprawiło, że życie zmieniło się w piekło. Ale to nie była prawda. Moi rodzice mieli swoje problemy jeszcze zanim zginął. Teraz muszę ustalić, czy te problemy mają związek z jego zaginięciem. — Lance urwał. — Lub morderstwem Mary. Nie możemy zapominać, że tej nocy zginęła młoda kobieta i jej śmierć łączy się w jakiś sposób z moim ojcem.

ROZDZIAŁ 14

— To Brian Leed. Jest przedstawicielem handlowym producenta wyposażenia gabinetów stomatologicznych. — Lance rozpoznał mężczyznę, który grabił liście przed domkiem w stylu Cape Cod na zamieszkałych przez klasę średnią przedmieściach.

Morgan zerknęła na zdjęcie w swojej teczce.

— Ile ma lat?

— Za dużo, by nosić obcisłe dżinsy — stwierdził Lance. Znad paska obcisłych spodni Brianowi zwisał niewielki brzuszek.

— Może dzieci mu je kupiły.

Lance zaparkował przy krawężniku i wysiedli z samochodu.

Mężczyzna przerwał grabienie i podszedł do nich.

— Czy mogę wam w czymś pomóc?

— Brian Leed? — zapytał Lance.

— To ja. — Brian oparł się na grabiach i zmrużył oczy. — Czy my się znamy?

— Jestem Lance Kruger.

Brian wyprostował się.

— Rany. Trochę ci się urosło.

Lance uściśnął mu dłoń.

— To moja współpracowniczka Morgan Dane. Chcielibyśmy ci zadać kilka pytań o mojego ojca.

— Oczywiście. — Brian odwrócił się i wskazał im gestem, by poszli za nim. — Wejdźmy do środka.

Drzwi garażu były otwarte. Brian odwiesił grabie na miejsce, mijając długi, niski samochód przykryty plandeką. Jeden narożnik był podwinięty, ukazując lśniący czarny zderzak sportowego samochodu. Weszli do domu przez krótki korytarzyk prowadzący do kuchni.

W odróżnieniu od swojego męża Natalie Leed nie próbowała walczyć z mijającym czasem. Przytyła, jej krótkie blond włosy były poprzetykane siwizną. Niebieski fartuszek głosił, że jest „Najlepszą Babcią Świata”.

Brian przedstawił Morgan swojej żonie, po czym zapytał:

— Nat, pamiętasz Lance’a Krugera?

Usta Natalie ułożyły się w zdziwione kółeczko, gdy uścisnęła dłoń Lance’a.

— Och, łał. Wyrósł z ciebie niezły przystojniak.

— Chce porozmawiać o Vicu — powiedział Brian.

— Oczywiście. — Zaprosiła ich gestem do stołu. — Siadajcie, proszę. Właśnie zrobiłam świeży dzbanek kawy.

Wślizgnęli się za dębowy stół. Natalie podała im kawę w wykwintnych filiżankach ze złożonym brzegiem. Morgan łyknęła swojej i przymknęła oczy z uznaniem.

Natalie Leed postawiła na stole termos z kawą, następnie podeszła do blatu i otworzyła słoik na ciastka w kształcie koguta. Nałożyła ciastka na talerz.

— Staram się trzymać formę, ale Natalie po prostu zbyt dobrze piecze. — Ramiona Briana były umięśnione, co sugerowało, że spędza trochę czasu na siłowni.

Dom Leedów, w odróżnieniu od pretensjonalnej i chłodnej rezydencji Stana Adamsa, wydawał się ciepły i przytulny. Na stoliczkach i półkach z książkami stało mnóstwo zdjęć dzieci i bibelotów, z których niektóre wyglądały jak niezdarnie lepiące przez dzieci figurki z prac plastycznych w szkole. Nigdzie nie widać było nawet odrobiny kurzu.

Lance był już kiedyś w tym domu, lata temu. We wspomnieniach widział słoneczny dzień, stoliki w ogrodzie, kolorowe baloniki przywiązane do oparcia krzeseł, biegające i śmiejące się dzieci. *Przyjęcie urodzinowe?*

Mimo jednak tego jak przytulny wydawał się dom, zachowanie Briana i jego nieco rozbiegane spojrzenie wzbudziło podejrzenia Lance’a.

— Czy to państwa wnuki? — Morgan wskazała na szkolne zdjęcia wiszące na ścianie.

— Tak. — Wokół oczu Natalie pojawiły się kurze łapki, gdy uśmiechnęła się dumnie. — Joshua ma sześć lat, a Kayla pięć.

— I Natalie ich rozpieszczą — powiedział krytycznie Brian.

— Taka moja rola. — Natalie rzuciła mu spojrzenie, które zdradzało, że ich małżeństwo nie jest wcale tak idealne, jak Lance to sobie wyobrażał. — Od tego są babcie.

Brian zmarszczył brwi z irytacją, po czym spoważniał.

— Widzieliśmy w wiadomościach, że policja wyciągnęła samochód twojego ojca

z jeziora. Zakładam, że dlatego tutaj jesteś?

— Tak — przyznał Lance.

— Nie słyszeliśmy potem żadnych kolejnych wieści. — Brian zniżył głos. — Podobno w samochodzie było ciało, czy to był Vic?

— Nie — powiedział Lance. — Czy któreś z was znało Mary Fox?

Brian zapatrzył się w talerz ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

— Nie wydaje mi się.

Natalie potrząsnęła głową.

— To nazwisko nie wydaje mi się znajome.

— Była kelnerką u PJ-a — podsunął Lance.

Brian bawił się widelcem.

— U PJ-a pracowało kilka kelnerek. Możesz ją opisać?

— Mogę zrobić coś lepszego. — Morgan sięgnęła do swojej stojącej obok krzesła torby, położyła ją sobie na kolanach i wyciągnęła z bocznej kieszonki zdjęcie. — To Mary.

Natalie wzięła zdjęcie.

— Pamiętam ją. — Zmarszczyła brwi i przekazała zdjęcie Brianowi.

Brian zerknął na nie i poruszył szczęką.

— Och, *ta* Mary. A więc miała na nazwisko Fox? Tak, pamiętam ją, a czemu? — Oddał Morgan zdjęcie, jakby chcąc się go pozbyć jak najszybciej.

Lance rzucił bombę.

— Jej szkielet został odnaleziony w bagażniku samochodu mojego ojca.

— To nie ma sensu — stwierdził Brian.

— Czy wydawała się mieć jakąś specjalną relację z Vikiem? — Morgan przesunęła notes na kolanach i zapisała coś.

Brian odwrócił wzrok.

— Nie sądzę — powiedziała Natalie. — Ale ja chodziłam do PJ-a jedynie od czasu do czasu. Brian, Stan i Vic bywali tam regularnie. — Natalie odchrząknęła, składając usta w pruderyjny dzióbek. — Nie chciałabym mówić źle o zmarłych, ale ona nie była zbyt miłą dziewczyną. Wydaje mi się, że lubiła flirtować z żonatymi mężczyznami i to na oczach żon.

Brian zapatrzył się w swój talerz.

— Flirtowała ze wszystkimi. Taka po prostu była.

— Czy wiadomo wam było, żeby w barze nagabywała klientów?

— Wcale by mnie to nie zdziwiło — prychnęła Natalie.

— Były takie plotki — przyznał Brian, krzywiąc się.

— Czy którekolwiek z was zwróciło uwagę, gdy Mary nagle przestała pracować u PJ-a? — zapytała Morgan.

— Nie. — Natalie odłamała kawałek ciastka. — Pracowały tam zresztą też inne kelnerki, Mary nie było tam za każdym razem, gdy tam przychodziłam.

— Nie. Może. — Brian unikał spojrzenia Lance'a. Czy ukrywał coś, czy też Lance był nadmiernie podejrzliwy? — Tak jak mówiła Natalie, nie zwracaliśmy zbyt dużej uwagi na zmiany wśród obsługi.

Lance zmienił temat.

— Czy zauważyłeś coś niezwykłego w zachowaniu mojego ojca w tygodniach przed jego zniknięciem?

Brian bawił się ciasteczkiem.

— Martwił się twoją mamą. Wydawała się stale przytłoczona.

Morgan zwróciła się do Natalie.

— Jak dobrze pani znała Jenny Kruger?

— Niezbyt dobrze. Zapraszałam ją na spotkania klubu książki, prezentacje Tupperware i tego typu rzeczy. Nie wydawała się zbyt zainteresowana zacieśnieniem znajomości. — Natalie rzuciła Lance'owi współczujące spojrzenie. — Po zniknięciu Vica kilka razy próbowałam się z nią skontaktować, ale nigdy nie odpowiadała i przykro mi stwierdzić, że nie nalegałam, a powinnam była. Powinnam była sprawdzić, co się u was dzieje. Przepraszam. Założyłam, że miała rodzinę lub innych bliskich przyjaciół.

Nie miała.

Lance'a wypełnił smutek, gdy pomyślał o wszystkich tych istotnych momentach, których jego ojciec nie był świadkiem. Nie przychodziło mu do głowy więcej pytań. Emocje i wspomnienia nie pozwalały mu jasno myśleć.

— Dziękuję za wasz czas.

Wraz z Morgan pospiesznie wyszli z domu. Lance czuł, jak wypełnia go gniew i frustracja.

Morgan wzięła go pod ramię, gdy szli do jeepa. Jej uścisk był pewny i mocny.

— To musiało być dla ciebie trudne.

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć.

Puściła go, gdy doszli do samochodu zaparkowanego przy krawężniku, ale nie porzuciła tematu.

— Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co czujesz.

— Nie wiem.

— Natalie niby była taką idealną matką, ale nie zainteresowała się dzieckiem, które potrzebowało pomocy. — Morgan trzasnęła swoimi drzwiczkami. — Prowadzi idealny dom. Pewnie gotuje każdy posiłek od zera. Ale nie zrobiła tej jednej rzeczy, którą powinna.

— Na pewno nie jest zła — powiedział Lance w nagłym olśnieniu. — Moja matka nigdy nie miała bliskich przyjaciół z tego co pamiętam. Pewnie odepchnęła od siebie Natalie — i wszystkich innych.

— Czy twoja matka nie ma żadnej rodziny?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Lance.

Morgan postukała palcami w podłokietnik.

— Co? — zapytał.

— Jak na faceta, który ponoć uwielbia wypieki swojej żony, to Brian był zupełnie nie zainteresowany swoim ciasteczkiem. — Jej palce znieruchomiały. — Widocznie kłamstwa odbierają mu apetyt.

— Też to zauważyłaś?

— Na pewno kłamał. — Morgan złączyła palce obu dłoni.

— Ale na jaki temat?

— Chyba musimy się dowiedzieć.

Telefon Sharpa zawibrował. Lance przeczytał na głos wiadomość od Sharpa.

— Matka Mary nazywa się Crystal Fox. Sharp chce, żebyśmy spotkali się u niej pod domem za godzinę.

— Powinniśmy zatrzymać się, żeby coś zjeść — stwierdziła Morgan. — Może wstąpimy do tych delikatesów na Oak Street?

Lance był zbyt zajęty myślami, by mieć ochotę na jedzenie, ale nie lubił, gdy Morgan pomijała posiłki. Zawrócił jeepa i ruszył w odpowiednią stronę.

Może Crystal Fox udzieli mu tych informacji, których potrzebował.

ROZDZIAŁ 15

Tajemnice.

Tak wiele tajemnic.

Szepczących w lesie, utopionych w jeziorze, grożących, że wyłonią się z przeszłości i schwycą go za gardło.

Nie pozwoli się wciągnąć nad dno. Zbyt ciężko pracował, żeby ukryć swoje błędy. Jednak szczerze mówiąc, było ich też zbyt wiele, żeby zakopać je w jednym miejscu.

Sądził, że udało mu się wszystko zakończyć, teraz jednak okazywało się, że niektóre sprawy wymknęły się spod kontroli. Musi natychmiast to ukrócić albo jego problemy będą się rozrastać.

Które pędy trzeba przyciąć?

Kto co pamiętał?

Nie mógł ryzykować. Wszyscy muszą zginąć.

Poczynając od...

Przejechał obok jej domu jeszcze raz. Niezbyt wolno, nie chciał zwracać na siebie uwagi, chociaż od przeszło kilometra nie napotkał żadnego innego samochodu. Opuścił okno. Poranny wiatr przyniósł ze sobą szczekanie psa.

Nienawidził cholernych psów.

Ćwierć kilometra dalej zwolnił i zawrócił. Potrzebował planu, nie impulsywnych decyzji. Nie mógł działać, nie rozważywszy najpierw konsekwencji.

Nie pozwoli, żeby jeden błąd zniszczył mu życie. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Nigdy.

Nadal widział jej skrzynkę na listy, chociaż drzewa osłaniały dom od strony ulicy. Mógłby zaparkować na jej podjeździe i nikt by się o tym nie dowiedział. Jej najbliższy sąsiad mieszkał od niej na tyle daleko, że nawet szczekanie psa nie powinno mu zbyt wiele przeszkadzać. Skręcił za skrzynką pocztową i zaparkował za gęstym szpalerem sosen. Przed domem stał zaparkowany stary ford aerostar.

Wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku drzwi frontowych. Po drugiej stronie drzwi jazgotał niewielki piesek. Zapukał. Może uda mu się ją namówić, żeby wpuściła go do środka, a potem ją zaskoczy. Jednak nikt nie otwierał drzwi. Biorąc pod uwagę

szczękanie psa, albo świadomie zignorowała pukanie do drzwi, albo była pod prysznicem.

Ta druga możliwość była podniecająca.

Przekradł się wokół domu. Pies w środku podążał za jego ruchami, nie przestając ujadać w drodze z pokoju do pokoju. Dom od tyłu ogrodzony był płotem z siatki. Furtka zaskrzypiała, gdy ją otworzył, więc nie zawracał sobie głowy zamykaniem jej. Przedarł się przez zarastające ogród chwasty do tylnych drzwi. Nałożył parę rękawiczek i spróbował otworzyć przesuwne drzwi na taras, jednak były zamknięte. Przyłożył dłoń do oczu i spróbował zajrzeć przez szybę do środka, jednak panowała tam ciemność. Obszedł dom, sprawdzając po kolei okna, aż znalazł takie z popsutym zamknięciem.

Ktoś potrzebował pouczenia o prawidłowym utrzymaniu domu.

Podniósł okno i nasłuchiwał. Doszło go czyjeś chrapanie i brzęczenie medalików przy psiej obroży. Wspiął się na parapet i wszedł do pokoju, zagraconego kartonami i różnymi rupieciami. Przez kilka sekund nasłuchiwał, jednak miarowe chrapanie nie ustawało.

Psiak warcząc podbiegł i chwycił go za nogawkę. Kopnął go. Zwierzak pisnął, jednak rzucił się ponownie. Drugi kopniak rzucił go w kąt pomieszczenia. Gdy pies próbował się wymknąć z pokoju, chwycił go za kark i wyrzucił przez okno.

Co z oczu, to i z głowy.

Puls mu przyspieszył, gdy wyszedł z pokoju. Adrenalina zaczęła krążyć mu w żyłach, wywołując erekcję. Minęły lata, odkąd zabił człowieka. Jak mógł zapomnieć to podniecenie?

Deska w podłodze zaskrzypiała pod jego ciężarem, gdy skradał się w kierunku sypialni. Chrapanie ustało. Zamarł tuż pod drzwiami.

Jak to możliwe, że zbudziły ją jego kroki, skoro wcześniej przespała jazgot psa?

Usłyszał szelest pościeli. Wstrzymał oddech. Rozluźnił się dopiero, gdy po chwili chrapanie rozległo się ponownie.

Czuł każde uderzenie serca w piersi. Krew roznosiła tlen do wszystkich komórek jego ciała, kończyny go mrowiły, czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek od lat.

Dokładnie od dwudziestu trzech.

Zajrzał do sypialni. Chwila prawdy.

Leżała na plecach, z jednym ramieniem odrzuconym na bok i otwartymi ustami.

Kiedyś była atrakcyjna, jednak ciężkie życie odbiło na niej swoje piętno. Ziemista skóra i poplamione zęby zdradzały brak dbania o siebie, tak samo jak butelka dżinu i szklaneczka stojące na nocnym stoliku.

Może wyrządził jej przysługę? Żyła w ruinie, nie dbała o siebie. Marnotrawiła życie. Gotów jednak był się założyć, że w obliczu zagrożenia śmiercią, będzie walczyć o utrzymanie się przy życiu, która tak marnowała.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Przeszedł przez pokój, wydając z kieszeni linę. Jeden koniec zawiązał już w prostą pętlę. Potrząsnął nią. Pociągnął za wentylator u sufitu, upewniając się, że utrzyma jej ciężar. Lata przedkładania alkoholu nad jedzenia sprawiły, że wychudła.

Przez toaletkę stało krzesło. Chwycił je i ustawił pod wentylatorem.

Podszedł do łóżka i pochylił się.

— Crystal — powiedział.

Poruszyła się na łóżku. Zamknęła usta i przełknęła.

— Crystal — powtórzył i dotknął jej ramienia.

Otworzyła oczy. Zdumienie szybko przerodziło się w przerażenie. Usiadła gwałtownie, otwierając usta do krzyku, tak jakby to mogło cokolwiek zmienić. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to usłyszeć. Zatkaną jej usta dłonią w rękawiczce i ściągnął z łóżka. Obrócił ją tak, że jej plecy spoczywały na jego piersi i przytrzymał ramieniem. Wyrywała się z siłą zaskakującą jak na szczupłą i zniszczoną kobietę w jej wieku. Nie miała jednak z nim szans.

Nałożył jej pętlę na szyję. Teraz nie musiał się już martwić krzykiem. Przestała się ruszać, sparaliżowana strachem. Zaciśnął pętlę.

— Proszę, nie — wycharczała. Sznur zaczynał jej odcinać powietrze i utrudniał mówienie.

Za pomocą liny i ramienia, którym ją obejmował, uniósł ją wyżej. Jej stopy rozpaczliwie szukały oparcia na krześle, by zmniejszyć nacisk na gardło.

Jej głowa znajdowała się pod wentylatorem. Ocenił potrzebną odległość i zawiązał linę wokół mocowania wentylatora, zostawiając kilkanaście centymetrów luzu.

Zaczerpnęła powietrza, korzystając z chwilowego poluzowania się pętli.

Uśmiechnął się.

I kopniakiem usunął spod niej krzesło.

Jej oczy rozszerzyły się, a zwieracze puściły. Mocz rozlał się ciemną plamą na jej

popielatym dresie. Ostry zapach uryny uderzył go w nozdrza. Cofnął się, gdy jej ciało zakołysało się na sznurze. Jej palce wyciągnęły się ku podłodze, ale nie była w stanie jej dosięgnąć. Machała gwałtownie rękami i nogami.

Spanikowana, zdesperowana.

Jej dłonie powędrowały do szyi, paznokcie zaczęły szarpać linę, drapiąc skórę, zostawiając na niej krwawe ślady, jednak nie była w stanie się uwolnić.

Śmierć przyszła minutę czy dwie później. Ciasno zaciśnięta pętla uniemożliwiła przepływ powietrza i krwi. Patrzył, jak jej twarz rozluźniła się, ręce i nogi przestały się poruszać. Światło gasło w jej oczach, aż nie mogła go już dłużej widzieć. Jej ciało kołysało się przez chwilę, wreszcie znieruchomiało.

Po wszystkim.

To było coś, czego musieli doświadczać uzależnieni, gdy wreszcie ulegali swoim zachciankom. Czy heroina dawała podobne doświadczenia?

Powinien się wstydzić. Powinien się czuć winny, jednak naprawdę odczuwał jedynie satysfakcję.

Uciszył ją, nie będzie mogła już nic powiedzieć. Taki był jego cel, ale musiał przyznać, że każda chwila sprawiła mu przyjemność. To jednak nie miało znaczenia tak długo, jak długo będzie w stanie się kontrolować. Wiedział, że w głębi ducha jest mordercą.

Crystal była pierwszą gałązką, którą musiał odciąć. Jednak było więcej pędów, które tego wymagały.

Cofnął się od kołyszącego się ciała, napawając się tym widokiem. Telefon w jego kieszeni wydawał się błagać go, by zrobił zdjęcie, by mógł przeżywać tę chwilę na nowo. Oparł się jednak pokusie. Głupie błędy mogły sprawić, że zostanie schwytany. Zamiast tego po prostu wpatrywał się w nią, zapisując ten obraz w pamięci. Będzie mu to musiało wystarczyć.

Kilka sekund później wyszedł z sypialni i z powrotem podkradł się do otwartego okna. W zarośniętym ogrodzie nie było nikogo. Wymknął się przez okno i wrócił do swojego samochodu na podjeździe.

Nie mógł udawać, że zabijanie nie sprawiało mu przyjemności ani że nie cieszył się na kolejną śmierć.

ROZDZIAŁ 16

Gdy Sharp zamykał oczy, mógł sobie wyobrazić wszystko takim, jakim było w 1994 roku. Jenny z każdą chwilą wpadała w większą histerię, a dziesięcioletni Lance starał się ją uspokoić. Był jeszcze dzieckiem, lecz tej nocy stał się opiekunem swojej matki. Sharp pomagał tyle, ile był w stanie. Jediną inną opcją było umieszczenie Lance'a w rodzinie zastępczej, jednak Sharp widział zbyt wiele dzieci zniszczonych przez ten system i uważał, że o ile dziecko nie znajdowało się w poważnym niebezpieczeństwie, lepiej było mu z własną rodziną.

Jakoś sobie radzili, ale ani Jenny ani Lance nie żyli pełnią życia. Aż do teraz, aż do momentu, gdy pojawiła się Morgan. Dopiero gdy Lance przedstawił ją Jenny, ta uświadomiła sobie, że jej choroba wpływała nie tylko na nią, lecz również na jej syna.

Morgan zmieniła wszystko. I Sharp nie zamierzał za nic pozwolić, by najnowsze odkrycia w sprawie Victora Krugera naraziły nowo odnalezioną miłość w życiu Lance'a na niebezpieczeństwo.

Tym razem zamierzał odkryć prawdę. Tym razem ich nie zawiedzie. Ale co, jeśli prawda będzie bardziej bolesna niż kiedykolwiek sądzili? Samochód Victora znaleziono w jeziorze z ciałem kobiety w bagażniku. Gdyby Sharp miał prowadzić to śledztwo, nie mając wcześniejszych powiązań ze sprawą, mógłby założyć, że Vic zabił dziewczynę i zatarł ślady, zatapiając samochód w jeziorze, a następnie uciekł z miasta ze względu na tę zbrodnię. Gdyby jednak chciał się pozbyć zwłok, Victor mógłby po prostu zatopić je w jeziorze i wrócić do domu. Nikt by się nie dowiedział. Nie było potrzeby komplikowania sytuacji poprzez wykorzystanie własnego samochodu.

Chyba że Vic pragnął również uciec od swojego małżeństwa i stresującej sytuacji. W takim przypadku miałyby to sens.

Cholera.

Czy powinien się podzielić tą teorią z Lance'em? Jeszcze nie. Będzie o niej pamiętał, jednak poczeka, aż sprawdzi, na co wskazują dowody.

Sharp zatrzymał się przed znakiem i skręcił w prawo.

Crystal Fox mieszkała w Grey's Hollow, rolniczej osadzie znajdującej się zaraz na

północ za Scarlet Falls. Wiejska droga prowadziła wśród lasów i zarośli. O szóstej wieczorem słońce już zaszło, jednak nie było jeszcze całkowicie ciemno. W szarości zmierzchu Sharp minął podupadłe gospodarstwo z zapadniętą werandą i podwórzem zarośniętym wysokimi do kolan chwastami.

Jakieś pół kilometra dalej skręcił przy połamanej skrzynce pocztowej i wjechał na wyboisty podjazd. Drzewa pochylały się nad drogą, ocieniając ją.

Przed nim świeciły na czerwono tylne światła samochodu i Sharp dostrzegł jeepa Lance'a. Morgan i Lance dotarli na miejsce przed nim i gdy tylko zaparkował, wysiedli z samochodu i czekali na niego.

Niewielki, jednopoziomowy dom miał brudnobrązowy kolor i wyglądał na zaniedbany. Z drzwi frontowych obłaziła farba, brakowało okiennic i niektórych dachówek. Latarnia pomiędzy podjazdem a domem była ciemna. Światło na ganku również nie było zapalone, a trawnik, nie koszony chyba od lat siedemdziesiątych, przypominał bardziej łąkę.

— To miejsce wydaje się opuszczone — zauważył Sharp, przedzierając się do czegoś, co kiedyś musiało być wyłożoną ceglami ścieżką.

Jego uwagę zwróciło skomlenie.

— Słyszeliście to?

Morgan już szła w stronę dźwięku, przedzierając się przez zarośla w kierunku brudnego wykuszowego okna. Lance zapalił latarkę i wysunął się przed nią. Próby opiekowania się nią wymagały z jego strony pewnego wysiłku — ta kobieta potrafiła się sama o siebie zatroszczyć. Lance zatrzymał ją ramieniem w miejscu, przykucnął, rozdzielił krzewy i zaświecił latarką w zarośla.

Morgan cofnęła się, skrzyżowała ramiona na piersi i przytupywała stopą w bucie na płaskim obcasie.

— Coś widzę. — Lance zanurkował głębiej między krzewy. Suche liście zaszeleściły, gdy coś się poruszyły. — Auć. To pies i właśnie mnie ugryzł.

Morgan pociągnęła go do tyłu.

— Pozwól mi spróbować.

— Uważaj! — Lance potrząsnął dłonią. Z palca kapłała mu krew.

Sharp zerknął na ranę.

— To tylko draśnięcie. Przeżyjesz.

Morgan wyjęła z torby paczuszkę chusteczek higienicznych i podała ją Lance'owi.

Następnie podkasła spódnicę, uklękła i na kolanach wczołgała się między krzewy, przemawiając uspokajającym głosem.

— Już dobrze. Nie skrzywdzę cię. Dobry piesek.

Chwilę później wyłoniła się z powrotem, trzymając w ramionach absurdalnie małego brązowego pieska z włosami związanymi na głowie różową kokardką.

— Waży pewnie ze dwa kilo — parsknął Sharp.

— Ale ma ostre ząbki — stwierdził Lance, owijając krwawiący palec chusteczką.

— To york — powiedziała Morgan.

Sharp pozwolił psu obwąchać swoją dłoń. Pies zawarczał, gdy Sharp odczytywał dane z identyfikatora.

— Nazywa się Groszek. To musi być pies Crystal.

Morgan postawiła psiaka na ziemi. Zrobił krok, powłócząc łapką, po czym uniósł ją do góry.

— Coś mu się stało.

— Sprawdźmy, dlaczego pies Crystal jest na dworze. — Sharp ruszył w kierunku drzwi. Nie widząc dzwonka, zapukał.

Ktoś poruszył się na tyłach domu. Lance przyłożył palec do ust i zaczął biec wokół narożnika. Sharp gestem nakazał Morgan, by została na miejscu, po czym ruszył okrążyć dom z drugiej strony. Rozchwiany płot z siatki okalał ogródek na tyłach. Sharp wszedł do środka przez otwartą furtkę.

Znowu usłyszał jakiś dźwięk. Odsuwając na bok gałąź potężnego rododendronu, zdołał dostrzec, jak jakaś zakapturzona postać wyskakuje przez okno i rusza przez chwasty. Sharp pobiegł za nią. Wciąż potrafił przebiec półtora kilometra w sześć minut i dystans między nim, a intruzem szybko się zmniejszał. Uciekający dotarł do płotu, położył na nim rękę i przeskoczył nad siatką. Sharp zrobił to samo i kontynuował pościg. Usłyszał za sobą ciężkie kroki Lance'a i brzęknięcie siatki, jednak nie spuszczał oka z zakapturzonej postaci. Był to ktoś szczupły i wysoki, jednak najwyraźniej nie był w dobrej formie i zaczynał zwalniać.

Gdy dotarł na skraj łąki pod lasem, Sharp rzucił się naprzód i chwycił uciekiniera za kaptur, ciągnąc go w tył. Prędkość uciekającego pomogła mu — jego nogi nadal poruszały się do przodu i szarpnięty do tyłu upadł na plecy na trawę.

— Nie ruszaj się. — Sharp postawił stopę na jego szyi, chcąc go unieruchomić.

Mężczyzna chwycił jego stopę i pociągnął, przewracając Sharpa do tyłu, po czym

wstał. Sharp poderwał się i ruszył za nim. Po chwili wylądował na uciekinierze. Był w dobrej formie jak na swój wiek, jednak człowiek pod nim był młodszy i silniejszy. Cios wymierzony na oślepa trafił Sharpa w szczękę. Przed oczami rozbłysnęły mu gwiazdy. Po chwili znalazł się na plecach, a napastnik siedział mu na piersi i zaciskał dłonie na jego gardle.

Pochylił się do przodu, odcinając Sharpowi dopływ powietrza.

Sharp skrzyżował ramiona na piersi i za pomocą swoich łokci zmusił napastnika do ugięcia rąk i zmniejszenia nieco nacisku na jego gardło, co pozwoliło mu zaczerpnąć haust powietrza.

Równie nagle, jak ciężar wylądował na jego piersi, tak zniknął. Sharp łapczywie chwycił powietrze, czując, jak płuca go palą. Padł na niego cień.

Lance trzymał napastnika za kołnierz nosząc go do góry tak, że ledwo dotykał stopami ziemi.

— Co się dzieje? — zapytał Lance, nawet nie zdyszany.

Sharp spojrział na niego, rżąc i czując się staro.

Lance potrząsnął dzieciakiem jak kociakiem.

— Dlaczego uciekałeś z domu Crystal?

Chłopak mógł mieć może z osiemnaście lub dziewiętnaście lat, jednak jego szeroko otwarte, pełne paniki oczy sprawiały, że wyglądał młodziej.

— Nie zrobiłem nic złego — zawołał, wymachując ramionami.

Lance postawił go na ziemi i puścił. Sharp usiadł i czekał, aż dzieciak zacznie mówić, ten jednak zacisnął usta. Sharp gotów był się założyć, że nie pierwszy raz się gdzieś włamał.

— Jeśli spróbujesz uciekać... — Sharp wskazał na Lance'a, którego bicepsy wielkości kul do kręgli stanowiły dostateczną groźbę — znowu go na ciebie naśle.

Spojrzenie dzieciaka wędrowało nerwowo pomiędzy Sharpem i Lancem i w końcu skinął głową.

Sharp sprawdził mu kieszenie w poszukiwaniu broni i znalazł portfel. Wyjął z niego prawo jazdy.

— Ricky Jackson — przeczytał. — Dobrze, Ricky, sprawdźmy, od czego tak uciekałeś — Popchnął go w stronę domu Crystal. Schował portfel do kieszeni, na wypadek, gdyby dzieciak znowu spróbował ucieczki.

W zasięgu wzroku nie było żadnych innych domów. W najbliższym sąsiedztwie

znajdowała się zrujnowana farma, którą mijali po drodze. Ricky ociągał się, ale był na tyle bystry — lub doświadczony — by niczego nie zdradzać.

— Jesteście z policji? — zapytał.

— Nie — powiedział Sharp, kładąc rękę na ramieniu dzieciaka.

— To puść mnie. — Dzieciak próbował się wywinąć z jego uścisku.

— Idź — Lance wskazał mu dom Crystal.

Gdy się zbliżyli, Sharp przyjrzał się otwartemu oknu. Poczł coś — jakiś zapach — który wskazywał, że stało się coś naprawdę złego.

— Jestem pewny, że policja chętnie się dowie, dlaczego uciekłeś oknem z domu pani Fox.

Chłopak milczał.

Zaciągnęli go przed dom.

— Co się stało? — zapytała Morgan.

— Przyłapaliśmy go, gdy wymykał się przez okno. — Sharp przekazał dzieciaka Lance'owi i poszedł do samochodu po opaski zaciskowe. Wrócił i związał mu ręce za plecami.

— Hej, nie możesz tego zrobić. — Chłopak znowu próbował się wyrwać.

— Zamknij się. — Sharp zaciągnął Ricky'ego do latarni i drugą opaską przywiązał go do niej. Poklepał go po ramieniu. — Zostań tutaj.

— Jesteś beznadziejny, stary. Pozwę was. — Ricky splunął na ziemię.

— Złapałem cię na włamaniu. To zatrzymanie obywatelskie, mały. — Sharp zerknął na Morgan, która krzywiła się z dezaprobatą. Zignorował to. Jego instynkt podpowiadał mu, że nie spodoba im się to, co znajdą wewnątrz domu i że dzieciak nie miał czystych zamiarów.

Poza tym Grey's Hollow podlegało jurysdykcji szeryfa Kinga. Szeryf może nie był fanem prywatnych detektywów, jednak mogli być pewni, że zaakceptuje zatrzymanie dzieciaka, który włamywał się do domów.

— Miej na niego oko — powiedział do Morgan, następnie gestem wskazał Lance'owi, by weszli do domu. Podeszli do drzwi frontowych. Sharp wyjął z kieszeni rękawiczki i naciągnął je. Lance zrobił to samo. Sharp sprawdził klamkę, jednak drzwi były zamknięte. Wraz z Lance'em ruszyli wokół domu, zaglądając do okien. Próbowali wejścia bocznego i przesuwanych drzwi na taras, po czym zatrzymali się przed otwartym oknem.

Parapet znajdował na wysokości piersi. Sharp zajrzał do pokoju w środku. Ponad różnymi rupieciami widział w drzwiach kolejnego pomieszczenia za korytarzem dyndające tuż nad podłogą stopy.

— Cholera, widzę wisielca.

Lance splótł palce dłoni, robiąc z nich schodek. Sharp postawił na nim stopę i wdrapał się do środka. Przedarł się przez stopy rupieci. Lance wszedł za nim przez okno do środka.

— Pójdę pierwszy. — Lance wysunął się przed niego, trzymając w dłoni pistolet. — Jestem uzbrojony.

Sharp jednak widział już, że nie było powodu do pośpiechu. Kobiecie nie można już było pomóc. Zatrzymał się w progu i zabrakło mu tchu, gdy spojrzał na ciało. Zapach śmierci przypomniawszy mu lata pracy w policji. Ciało nie zaczęło się jeszcze rozkładać, jednak zwieracze puściły.

Wisała na linie zawiązanej wokół wentylatora na suficie, palce jej stóp niemal dotykały dywanu. Oczy wyszły jej na wierzch, spuchnięty język wysuwał się z ust. Przewrócone krzesło leżało na podłodze za nią.

— Sprawdzę dom — powiedział Lance.

Sharp słyszał, jak chodzi po pozostałych pomieszczeniach.

Crystal Fox stanowiła potencjalnie najlepsze źródło informacji w sprawie zniknięcia Vica.

I nie żyła.

— Naprawdę powinieneś nosić swój pistolet — powiedział Lance, stając obok niego.

— Zazwyczaj go nie potrzebuję, a chcę, by ludzie czuli się swobodnie, rozmawiając ze mną — odparł Sharp. — Poza tym, w naszym tandemie to ty jesteś mięśniakiem, a ja mózgiem.

Lance schował pistolet do kabury i wyjął telefon.

— Zadzwoń do szeryfa.

— Nie spiesz się. Za pięć minut nie będzie bardziej martwa niż teraz.

Sharp wyjął z kieszeni aparat i zaczął robić zdjęcia.

— Gdy King tu przyjedzie, nie będziemy mogli tu przebywać. A patolog nie będzie z nami rozmawiał o śledztwie w toku. Szeryf jak zawsze będzie zakładał najgorsze.

— Ale dzieciak wie, że tu jesteśmy. — Upierał się Lance, wyciągając z kieszeni telefon.

— To prawda.

— I mam poczucie, że nic nie sprawiłoby szeryfowi większej przyjemności niż wpakowanie nas obydwu do więzienia.

— To też prawda. King generalnie lubi pakować ludzi za kratki, ale dzisiaj ma Ricky'ego.

To powinno go uszczęśliwić.

Lance wykonał telefon, a Sharp w międzyczasie zrobił jeszcze kilka zdjęć, robiąc zbliżenia liny, węzła i twarzy kobiety.

— To prosty węzeł przesuwny, nie wymagający specjalnych umiejętności.

— Uważasz, że to nie jest samobójstwo? — zapytał Lance, opuszczając dłoń z telefonem. — Szeryf niedawno poinformował ją, że jej córka nie żyje. To wydaje się być wystarczającym motywem.

— Może. — Sharp sfotografował różne części ciała. — Jednak jej córka zaginęła dwadzieścia trzy lata temu. Nie sądzisz, że myśl o tym, że jej córka nie żyje, mogła jej już wcześniej przyjść do głowy?

— Możliwość a rzeczywistość to dwie różne rzeczy — zauważył cicho Lance.

Cholera. Co za głupia uwaga do kogoś, kogo ojciec również zaginał tyle lat temu.

Sharp opuścił aparat.

— Przepraszam. Wiesz to lepiej niż ja.

— Możesz mieć rację. — Lance wzruszył ramieniem. — Nawet moja matka, mimo wszystkich swoich problemów, odczuła niemal ulgę, gdy sądziła, że znaleziono ciało mojego ojca. Bardziej się denerwuje teraz, wiedząc, że to nie był on.

— Rozwiążemy tę sprawę. — Sharp wskazał na fioletowo-czerwone plamy na opuchniętej twarzy nieboszczki. — Przekrwienie twarzy i wybroczyny są spójne ze śmiercią przez uduszenie z powodu powieszenia, ręcznego duszenia lub zadławienia. — Palcem w rękawiczce uniósł skraj nogawki, pokazując kawałek stopy i łydki. — Nie ma jeszcze plam opadowych. — Krew nie spłynęła jeszcze do najniżej położonych części ciała. — Nie może tu wisieć długo.

Sharp skończył oględziny ciała i zaczął rozglądać się po pokoju. Jego spojrzenie wylądowało na toalecie. Szuflady były otwarte, a ich zawartość poprzewracana. Kasetka na biżuterię leżała na boku, biżuteria rozsypana leżała na blacie toaletki.

— Ten szczur ją okradał.

— Co się tu dzieje? — zawołała Morgan przez otwarte okno.

— Nie wpuszczaj jej tutaj — zawołał Lance, patrząc na ciało. — Nie powinna tego widzieć.

— Jest twarda — powiedział Lance. — Poradzi sobie.

— Ale nie musi — cicho wysyczał Lance, po czym odwrócił się i zawołał do Morgan. — Zaczekaj na zewnątrz. Crystal nie żyje. Zadzwoń do szeryfa. Będzie wściekły, że zanieczyściliśmy miejsce zbrodni.

Sharp rzucił mu znaczące spojrzenie.

— Jest bardziej wytrzymała, niż sądzisz.

Tak naprawdę jednak to, że Lance zawsze starał się ją chronić, stanowiło dobry znak. Przez ostatnie dziesięć lat Sharp zastanawiał się, czy jego młodszy przyjaciel kiedykolwiek pozwoli sobie na życie osobiste. Jednak Morgan była wyjątkowa i nie chodziło tu o jej urodę i niebieskie oczy, lecz o inteligencję, zdolność do współczucia i siłę charakteru.

— Szkoda, że nie przyjechaliśmy tu wcześniej. — Sharp poczuł wyrzuty sumienia. Żałował nie tylko śmierci tej kobiety, lecz również tego, że nie zdążył z nią porozmawiać, przez co stracił szansę na pierwszy prawdziwy trop od lat.

Lance patrzył na zwłoki z kamienną twarzą. Sharp odczuwał rozczarowanie, lecz nawet nie był sobie w stanie wyobrazić, jak teraz czuje się Lance.

— Lepiej wyjdźmy na zewnątrz i udawajmy, że wyszliśmy natychmiast, jak tylko natrafiliśmy na zwłoki. — Sharp wycofał się z sypialni. — Rozglądaj się jednak za śladami włamania w drodze do wyjścia.

Wyszli tą samą drogą, którą weszli, starając się nie dotykać parapetu.

Sharp przyjrzał się zamknięciu okna i zrobił kilka zdjęć.

— To okno miało popsute zamknięcie. Sądząc po rdzy, musiało tak być od dawna.

— Jeśli nie popełniła samobójstwa, czy sądzisz, że to Ricky ją zabił? — zapytał Lance.

— Powieszenie kogoś to ciężka praca — zauważył Sharp. — Ricky nie wydaje się typem pracusia.

Obeszli dom i wrócili na podjazd.

— Była już martwa, gdy tam wszedłem! — krzyknął Ricky jak tylko pojawili się na widoku.

Sharp go zignorował i podał Morgan aparat.

— Schowaj go do kieszeni.

— Dlaczego? — zapytała.

— Bo *ciebie* szeryf nie będzie przeszukiwał — powiedział Sharp.

Lance skinął głową, gestykując pomiędzy swoją i Sharpa klatką piersiową.

— *My* go nie onieśmielamy.

Po kilku minutach samochód szeryfa zaparkował przy krawężniku. Dwóch funkcjonariuszy zaparkowało za nim.

King wysiadł i ruszył wzdłuż podjazdu z kamienną twarzą.

— Co się stało?

— Przyjechaliśmy z nią porozmawiać i pukaliśmy do drzwi. Nikt nie otworzył, ale zobaczyliśmy jak ten tutaj — Sharp wskazał kciukiem na Ricky'ego, wciąż przypiętego do latarni — usiłuje wymknąć się przez okno.

— Ja jej nie zabiłem! — wrzasnął Ricky.

Sharp przedstawił szeryfowi bardzo skróconą wersję wydarzeń.

— Lance i ja sprawdziliśmy, czy w domu nie ma nikogo innego, upewniliśmy się, że na pewno nie żyje i zadzwoniliśmy po pana.

Szeryf King oparł dłoń na biodrze i wycelował palcem w Sharpa.

— Powinieneś był do mnie zadzwonić i nie wchodzić do domu.

— A co, gdyby nadal żyła? — zapytał Sharp, chociaż wszyscy wiedzieli, że szanse na to, że ktoś wiszący za szyję żyłby, są znikome.

— Zaczekajcie tutaj — rzucił szeryf z wściekłością.

Poprowadził swoich funkcjonariuszy do drzwi frontowych, sprawdził klamkę, a następnie ruszył wokół domu. Dziesięć minut później wrócił na podjazd.

— Nikt się stąd nie rusza bez mojego pozwolenia. I wszyscy troje macie pojawić się u mnie w biurze o ósmej.

Morgan potrząsnęła głową.

— Nie dam rady przez dziewiątą trzydzieści. Muszę zawieźć córkę do przedszkola i nianię na dializę.

Szeryf poruszał szczęką, jakby przeżuwał gwoździe.

— A zatem o dziewiątej trzydzieści.

Ruszył do swojego samochodu, pochylił się i chwycił krótkofalówkę.

— Jest wściekły — zauważył Lance.

— Hej, my jej nie zabiliśmy. — Sharp wzruszył ramionami. — Ale to chyba dobrze, że mamy ze sobą naszego prawnika.

— Który nie złamał żadnych przepisów — dodała Morgan, wciąż trzymając na rękach rannego psiaka i gładząc go po głowie.

— Właśnie. — Sharp zazwyczaj sam był zwolennikiem przestrzegania przepisów, jednak tym razem było inaczej.

Ta sprawa była osobista.

Zrobi, cokolwiek będzie musiał, by dowiedzieć się, co się stało z Victorem Krugerem. Miał przeczucie, że samobójstwo Crystal Fox byłoby dla kogoś bardzo wygodne. Zbyt wygodne.

ROZDZIAŁ 17

Dwie godziny później Morgan mogła odetchnąć z ulgą, że ani Sharp ani Lance nie trafili do więzienia, chociaż nie wykluczała takiej możliwości w przyszłości. W biurze przygotowała sobie kubek kawy. W czasie, gdy ekspres zaczął gulgotać, przejrzała szuflady biurka w poszukiwaniu batonika.

Sharp wszedł do jej biura z szaro-zielonym koktajlem w dłoni. Miał wilgotne włosy. Poszedł na górę do swojego mieszkania, żeby wziąć szybki prysznic i zmienić ciuchy.

— Może zrobię też dla ciebie? — Sharp pociągnął spory łyk napoju. — Kiedy ostatnio coś jadłaś?

— Lance i ja kupiliśmy kanapki w drodze do domu Crystal Fox — odparła Morgan. Jej ekspres do kawy zapiszczał. Odwróciła się na krześle, żeby wziąć swój parujący kubek energii. — Jeden płynny posiłek dziennie to moja górna granica.

— To cię zabije. — Sharp potrząsnął głową. — Musisz lepiej się odżywiać, więcej spać i przestać polegać na kofeinie, by jakoś przetrwać dzień.

Jednak gorąca kawa pachniała i smakowała bosko.

— Powiedział ktoś, kto nie ma trójki dzieci w wieku poniżej siedmiu lat. — Morgan pociągnęła łyk kawy, czując wdzięczność dla pierwszego człowieka, któremu przyszło do głowy zmiażdżyć i zaparzyć ziarna kawy.

Sharp zerknął na swój telefon.

— Jakież wieści od weterynarza? — zapytała Morgan.

— Jeszcze nie. — Sharp odwiózł psiaka do dwudziestoczworgodzinnej kliniki weterynaryjnej. — Możesz jechać do domu do dzieci.

— Dzwoniłam i dałam im znać, że się spóźnię. — Znowu. Nie cierpiała, gdy musiała zrezygnować ze wspólnej kolacji z dziećmi i kładzenia ich do łóżek, jednak wiedziała, że jej rodzina zajmie się dziećmi i dziadkiem. — Lance mnie potrzebuje, nawet jeśli nie chce się do tego przyznać.

— Masz rację — potwierdził Sharp. — I nie słuchaj, gdy twierdzi co innego.

— Nie będę.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. W korytarzu rozbrzmiały kroki i po

chwili Lance pojawił się w progu jej biura. Podobnie jak Sharp, odczuwał potrzebę wzięcia prysznicą po przebywaniu w bliskości zwłok, więc wstąpił do swojego odległego o sześć przecznic domu, żeby się umyć i przebrać.

Zrobił sobie kawy w ekspresie Morgan.

— Nie wierzę, że masz zamiar to wypić. — Skrzywił się Sharp z dezaprobatą.

— Nie teraz, Sharp — powiedział Lance, pijąc łączywie. — To kiepski dzień. Potrzebuję trochę energii.

— Dalej, trujcie się. — Sharp machnął ręką w powietrzu. — Dobra, bierzmy się do roboty. — Poklepał klapę swojego laptopa, stojącego na biurku Morgan. — Zgrywam zdjęcia z domu Crystal Fox, za chwilę będziemy mogli je przejrzeć.

— Dodaję Crystal i Mary Fox do listy osób, których przeszłość trzeba sprawdzić. Zajmę się tym wieczorem z domu mojej matki — powiedział Lance.

— Dobrze wiemy, że szeryf nie udzieli nam żadnych informacji — stwierdził Sharp. — Co wiemy o Crystal Fox?

— Crystal Fox miała sześćdziesiąt dwa lata — zaczęła Morgan. — Od trzydziestu lat mieszkała pod obecnym adresem. W 1983 roku wyszła za Warrena Foxa. W aktach nie ma wzmianki o rozwodzie.

Sharp notował informacje na tablicy.

— Co wiemy o Mary?

— Miała dwadzieścia jeden lat, gdy zginęła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. W wieku siedemnastu lat porzuciła szkołę średnią. W wieku osiemnastu lat została raz aresztowana za kradzież ze sklepu, a ponownie, gdy miała dwadzieścia lat za nagabywanie i prostytutkę. Przyznała się do winy w obydwu przypadkach. Za pierwszym razem zapłaciła grzywnę, za drugim dostała wyrok w zawieszeniu — Morgan czytała z ekranu. — Pracowała jako kelnerka u PJ-a i dorabiała sobie jako prostytutka.

— Musimy porozmawiać z kimś, kto znał Crystal — orzekł Sharp przyglądając się tablicy z notatkami sprawy, która stała się sprawą morderstwa.

— Mijaliśmy po drodze jeden dom, ale lepiej będzie poczekać do jutra, nim tam zapukamy — stwierdziła Morgan. — Szeryf miał nas na dzisiaj dosyć, musimy się z nim zobaczyć jutro wcześniej rano i wolałabym móc wtedy szczerze twierdzić, że nie wtrącaliśmy się w jego sprawę.

Sharp zerknął na zegar.

— Dobrze, pojedziemy tam po spotkaniu z szeryfem.

Lance odstawił swój kubek. Jego twarz była ściągnięta, oczy podkrążone ciemnymi sińcami. Potrzebował porządnego posiłku i całonocnego snu. Jednak teraz nie mógł sobie pozwolić na ani jedno, ani drugie.

— Musimy dowiedzieć się, w jaki sposób sprawa Mary łączy się z moim ojcem.

— Znali się z PJ-a — powiedział Sharp. — Ale masz rację, to nie wystarcza. Twój ojciec nie był ten nocy u PJ-a. Zarówno twoja matka, jak i policjant, który odebrał tamten nocy zgłoszenie, potwierdzają to.

— Musimy się też dowiedzieć, czy Mary pracowała tej nocy. — Morgan postukała piórem w swój notes. W głębi jej umysłu zaczynało się formować znacznie poważniejsze podejrzenie. Jeśli Vic miał seksualną relację z Mary, to czy to *on* mógł być jej mordercą?

— Złożenie wizyty u PJ-a jest już na liście, chociaż nie sędzę, żeby ktoś z obecnych pracowników pracował tam te wszystkie lata temu. — Sharp zrobił kolejną notatkę na tablicy i sprawdził swojego laptopa. — Zdjęcia się zgrały.

On i Lance przesunęli swoje krzesła i Sharp ustawił komputer w taki sposób, żeby wszyscy mogli widzieć ekran. Morgan wzdrygnęła się na widok zdjęć.

— Na pierwszy rzut oka wygląda to na samobójstwo. — Sharp znalazł zdjęcie przedstawiające węzeł. — Krzesło zostało przewrócone. Trochę się miotala, może kopała nogami.

Sharp zmrużył oczy.

— W kilku samobójstwach przez powieszenie, które widziałem, węzeł znajdował się z boku szyi, zazwyczaj nad uchem z powodu ciężaru ciała. Ten znajduje się z tyłu. To nietypowe, ale nie musi niczego oznaczać.

— Lina wygląda na typowy sznur nylonowy — zauważyła Morgan. — Też mam taki w szopie.

Kobieta miała na sobie spodnie dresowe i znoszony sweter. Jej stopy były nagie.

— Co ma rozmazane pod oczami? — Lance wyprostował się i pochylił w stronę ekranu. — Sharp, masz zbliżenie?

— Owszem — Sharp dotknął touchpada.

— To tusz. Płakała — powiedziała cicho Morgan. — Tego poranka szeryf powiedział jej, że jej córka nie żyje. Obejrzymy cały pokój.

Sharp przewinął zdjęcia.

— Wróciła do łóżka po wyjściu szeryfa. Piła i płakała. — Morgan wskazała paczkę chusteczek na stoliku nocnym, obok butelki ginu i szklanki.

Nie istniała ilość alkoholu, która mogła przytłumić taki ból. Morgan straciła oboje rodziców i męża, jednak nawet nie była sobie w stanie wyobrazić głębi bólu po stracie dziecka.

— Pościel jest połowicznie ściągnięta z łóżka. — Sharp pochylił się w stronę ekranu. — Jednak ogólnie w domu panował nieład, więc trudno stwierdzić, czy to oznaka walki.

— Jeśli była pijana, to nie mogła stawiać dużego oporu — stwierdził Lance.

Przejrzeni resztę zdjęć, jednak nic nie zwróciło ich szczególnej uwagi.

— Nie widzę już na oczy. — Sharp wstał i przeciągnął się. — Sądzę, że teraz wszyscy powinniśmy iść do domów i przespać się trochę. Dzisiaj nic już nie zrobimy. Jutro podzielimy się, by porozmawiać z sąsiadami Crystal i pracownikami u PJ-a.

Morgan wzięła swój kubek po kawie i zaniósła go do kuchni do zmywarki, po czym wróciła do pokoju o swoją torbę.

Lance wyjął kluczyki z kieszeni.

— Muszę pojechać do mamy. Sharp, możesz pojechać za Morgan do domu?

— Jasne, daj mi pięć minut — Sharp wyszedł na korytarz.

Morgan poszła za Lance'em do jego biura. Wpychał swój laptop do futerału.

— A co z *tobą*? — Wyciągnęła rękę i dotknęła jego szczęki. Wiedziała, że pod fasadą siły kryje się wrażliwość i bezbronność.

Przykrył jej dłoń swoją.

— Teraz nawet nie jestem w stanie myśleć o sobie.

I to ją właśnie martwiło.

— Nie odcinaj się ode mnie. Jestem gotowa cię wysłuchać.

— Wiem i dziękuję. — Uwolnił się z jej uścisku. — Przyjadę po ciebie o dziewiątej. Odwieziemy Sophie i Giannę po drodze do biura szeryfa.

— Dobranoc. — Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. — Możesz zadzwonić do mnie kiedy zechcesz, nawet jeśli będziesz potrzebował tylko pogadać.

— Dobrze. — Wyszedł z biura, nie oglądając się.

Ale czy rzeczywiście to zrobi?

Morgan zabrała kopię akt, które zrobiła wcześniej.

— Coś mi przyszło do głowy — zwróciła się do Sharpa w drodze do wyjścia. —

Czy nie pomyślałeś, że to Vic mógł zabić Mary?

Sharp westchnął.

— Pomyślałem. Niestety nic nie wiadomo. Nikt choćby nie wspomniał, by Vic miał wybuchowy temperament lub skłonność do przemocy, wręcz przeciwnie, wszyscy podkreślali, że był miłym człowiekiem.

— Nie ustaliliśmy żadnego związku Vica z Mary poza tym, że on bywał u PJ-a, a ona tam pracowała.

Sharp zatrzymał się przy samochodzie.

— Sprawdźmy, czego uda nam się dowiedzieć na temat poczynań Mary tej nocy, gdy zginęła, a potem zobaczymy.

Jednak *istniała* taka możliwość. Gdyby okazało się to prawdą, zniszczyłoby to Lance'a i jego matkę.

Sharp jechał za Morgan do domu i obserwował z podjazdu, jak wysiada, otwiera drzwi frontowe i macha mu z progu. Dopiero potem odjechał.

Morgan weszła do domu, gdzie obskoczyło ją mnóstwo radosnych stworzeń, z których niektóre miały futerko, a inne nie. Zanim zdążyła zdjąć płaszcz lub odłożyć torbę, musiała zmierzyć się z impetem powitania, które możnaby opisać jako atak.

Psy plątały się wokół jej nóg. Ava chwyciła torbę Morgan i zawlekła ją na krzesło. Gdy tylko Morgan zwolniły się ręce, Sophie wskoczyła jej w ramiona. Spodiewając się tego, Morgan chwyciła ją i nie chcąc, by średnia córka czuła się pominięta, pochyliła się i pocałowała Mię w głowę.

— Dlaczego jeszcze nie śpicie? — zapytała, pozwalając się wciągnąć do kuchni.

— Tęskniłyśmy za tobą. — Sophie cmoknęła Morgan w policzek.

Wszystkie trzy dziewczynki miały już na sobie piżamy, a ich wilgotne włosy pachniały odżywką do włosów.

Gianna stała w korytarzu z ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że jeszcze nie śpią, bardzo chciały cię zobaczyć.

Dziewczyna uśmiechała się szeroko i Morgan z zadowoleniem stwierdziła, że zdrowe zmęczenie na jej twarzy było wynikiem spędzenia dnia na opiece nad trójką aktywnych dzieci, a nie niedożywienia. Gianna nadal potrzebowała dializy trzy razy w tygodniu, jednak ogólnie jej stan ogromnie się poprawił od zeszłego roku, gdy z nimi zamieszkała.

— W porządku. — Morgan odstawiała Sophie i zwróciła się do córek. — Umyłyście już zęby?

Trzy małe główki skinęły.

— W takim razie każda z was może wybrać po jednej książeczce. — Morgan przykucnęła. — Przyjdę do was za pięć minut i wam poczytam.

Pośpiesznie podreptały do ich wspólnego pokoju. W progu Sophie usunęła łokciem Awę z drogi.

Morgan weszła do pokoju dziennego. Dziadek siedział na wózkach, ubrany w czystą piżamę, z nogą w gipsie opartą na poduszce. Jego rzadkie siwe włosy były uczesane. Mac siedział na kanapie z pilotem od telewizora w ręku.

— Potrzebujesz pomocy w położeniu się do łóżka, Art? — zapytał Mac, odkładając pilota i wstając.

— Do diabła, nie — burknął dziadek. — Czuję się, jakbym był jednym z dzieci. Nawet nie potrafię się sam ubrać i umyć.

— Wkrótce zdejmą ci gips — pocieszyła go Morgan, po czym zwróciła się do partnera swojej siostry. — Dziękuję ci, Mac.

Ukochany jej siostry był całkowitym przeciwieństwem Lance'a. Ze swoimi potarganymi włosami i szczupłą budową, Mac zawsze wyglądał trochę jak jedno z tych dzikich zwierzątek, które badał jako biolog.

— Zawsze mogę pomóc. Na pewno nie masz nic przeciwko, by zostać tu na noc samej?

— zapytał.

Morgan przysiadła na oparciu fotela z dwoma psami u stóp.

— Nic nam nie będzie. Snoozer jest kiepskim psem stróżującym, ale Rakieta nie przeoczy niczego.

A poza tym Morgan zamierzała mieć swój pistolet pod ręką.

Jakby słysząc pochwałę Morgan, Rakieta przechyliła głowę w stronę drzwi.

— Dobrze, ale zadzwoń, gdyby cokolwiek cię martwiło. — Mac i Stella mieszkali w odległości kilku minut jazdy. — Odwołałem zajęcia na uczelni do końca tygodnia. Wrócę rano.

— Mac uczył biologii na miejscowym uniwersytecie, jak również udzielał się w lokalnej grupie poszukiwawczo-ratowniczej.

— Nie musiałeś tego robić.

— Nic się nie martw. Po prostu zadawałem studentom więcej lektur i pracę do napisania.

— Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Morgan odprowadziła go do frontowych drzwi.

— Nie wiem, jak poradziłabym sobie bez ciebie w ostatnich czterech tygodniach, Mac.

— Za dwa tygodnie zwykły prysznic nie będzie już takim przedsięwzięciem. — Mac wyszedł na zewnątrz. — Dziesięć minut temu wypuszczałem psy, powinno im wystarczyć do rana. Zamknij drzwi, nastaw alarm i dzwoń, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Morgan zasunęła zasuwę, nastawiła alarm i wróciła do pokoju dziennego.

— Idę poczytać dziewczynkom.

— Nie mogę się doczekać, aż znowu będę mógł się do czegoś przydać — powiedział dziadek.

— A skoro o tym mowa. — Morgan otworzyła swoją torbę i wyjęła z niej akta sprawy. — Sharp prosił, żebyś przejrzał akta sprawy Victora Krugera.

— Poważnie? — Dziadek wyprostował się.

— Poważnie. — Podała mu teczkę. — A gdy już je przejrzysz, Sharp może mieć też dla ciebie kilka nielegalnych zdjęć z miejsca zbrodni, na które mógłbyś rzucić okiem.

Gdy piętnaście minut później wyszła z sypialni dziewczynek, dziadek siedział z otwartą teczką na kolanach, w okularach, całkowicie pochłonięty lekturą.

Tylko Dane mógł się tak ożywić w obliczu sprawy o morderstwo.

ROZDZIAŁ 18

Lance zaparkował przed domem Morgan w momencie, gdy autobus szkolny odjeżdżał. Ava i Mia pomachały mu z okna. Lance stanął obok Morgan na chodniku i odmachał.

Autobus zniknął w oddali, a on wraz z Morgan skierował się do domu. Jej oddech parował w zimnym porannym powietrzu. Rozcierała ramiona.

— Potrzebujesz płaszcza — zauważył.

— Zawsze rano się spieszymy. Autobus przyjeżdża codziennie o tej samej porze, więc teoretycznie powinniśmy być gotowe.

— Przynajmniej dzisiaj założyłaś buty.

W czarnych szpilkach była tylko o kilka cali niższa od niego. Miała na sobie czerwoną garsonkę, a czarne włosy miała związane w jeden z tych formalnych koków, które zazwyczaj nosiła występując w roli prawnika.

— Dziewczynki stęskniły się za tobą — powiedziała Morgan.

— Chciałem dotrzeć tu wcześniej. — Lance zerknął w stronę, w którą odjechał autobus. Czekał, aż jego matka rozpocznie pracę w swoim biurze i zajmie się projektem strony internetowej, nim wyszedł.

Morgan otworzyła drzwi frontowe. Sophie skoczyła na Lance'a. Złapał ją, a ona objęła go chudymi rączkami za szyję.

— Nie widziałam cię przez cały tydzień. Obiecałeś, że weźmiesz mnie na łyżwy.

— Wiem, przepraszam. — Przeszyło go poczucie winy. — Moja mama[^] źle się czuła.

— Tak jak dziadek? — zapytała.

— Tak, coś w tym rodzaju. — Lance uściskał ją. Gdy zaczął umawiać się z Morgan, przerażało go, że ma trójkę małych dzieci. Teraz łapanie jednego z nich w locie wydawało mu się naturalne. Nigdy nie sądził, że będzie cieszył się na chwilę spędzone w lepkiem chaosie, jednak uśmiechy i uściski, jak również akceptacja ze strony dzieci napępiały go poczuciem wdzięczności.

Jak jednak da sobie radę z troszczeniem się o Morgan i jej dzieci oraz opieką nad matką? Niezależnie od tego, jak bardzo Morgan starała się być niezależna, kolejne

życiowe zrządzenie losu mogło w jednej chwili sprawić, że grunt usunąłby się jej spod nóg.

— Czy odwieziesz mnie do szkoły? — Sophie zaczęła się wiercić w jego objęciach.

— Tak — odpowiedział, stawiając ją na ziemi.

— Hulla! — ucieszyła się i zaczęła biec w stronę swojego pokoju. — Ale musimy wyjechać teraz, albo się spóźnię. Nie chcę się spóźnić.

Lance uniósł obie dłonie.

— Hej, *ja* jestem gotowy. Gdzie twój plecak?

Pobiegła do pokoju.

Gianna wyszła z kuchni i sięgnęła po swój płaszcz z wieszaka na ścianie. W torbie zawieszanej na ramieniu miała rzeczy potrzebne na dializę: ciepły koc, termos i iPada, którego kupiła jej Morgan na urodziny. Młoda kobieta wciąż była chora, wciąż uzależniona od leczenia i nadal czekała na przeszczep nerki, ale w jej ruchach pojawiła się energia, a w oczach nadzieja.

— Dziękuję, że mnie dzisiaj odwieziesz, Lance.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Lance. Wyszli na zewnątrz. Morgan zamykała drzwi, a Lance w tym czasie zapakował Sophie do swojego jeepa, upewniając się, że fotelik i pasy w nim są dobrze dopasowane i zapięte.

Gianna usiadła z tyłu obok Sophie, a Morgan na siedzeniu pasażera obok niego i zapięła pas. Odwiózł Sophie do przedszkola. Sophie zmusiła go, żeby wszedł z nią do środka i przedstawiła go swojej nauczycielce, nim odjechał. Następnie zawiózł Giannę na dializę, po czym skierowali się na posterunek szeryfa.

— Sharp spotka się z nami tam? — zapytała Morgan.

— Tak — powiedział Lance. — Chciał jeszcze wcześniej sprawdzić, co z psem.

— Ma strasznie miękkie serce.

— Nie pozwól, żeby usłyszał, jak to mówisz. — Lance podjechał pod posterunek szeryfa, mieszczący się w pobliżu więzienia hrabstwa i budynku municypalnego.

Sharp już czekał na nich w swoim samochodzie przed brzydkim budynkiem z brązowej cegły, w którym mieścił się posterunek szeryfa. Wysiadł z auta.

— Czekałeś na wsparcie? — zażartował Lance, gdy ruszyli w stronę drzwi.

— Nie czekałem na ciebie — parsknął Sharp. — Tylko na mojego prawnika.

— Jak tam pies? — Morgan zrównała z nim krok.

— Ma złamaną łapę, która wymaga operacji, ale za dzień lub dwa będziesz go mogła zabrać do domu.

— Ja? — Roześmiała się Morgan. — Dlaczego ja?

— To ty zbierasz bezdomne stworzenia. — Sharp otworzył szklane drzwi i puścił Morgan przodem.

Weszli do holu, gdzie powitała ich sekretarka szeryfa, czujna niczym pies stróżujący ponad sześćdziesięcioletnia kobieta o spojrzeniu zdolnym przeciąć człowieka na pół. Była ubrana w wygodne buty i granatowy sweter.

— Hej, Margie — powiedział Sharp, opierając się o blat.

Margie oparła obie ręce na biodrach.

— Lincoln Sharp. Od wieków cię nie widziałam.

Sharp wskazał głową w głąb pomieszczenia.

— Jest ku temu powód.

Margie potrząsnęła głową.

— To nic osobistego. On w ogóle nie wierzy w samą ideę prywatnych detektywów. Na twoim miejscu dzisiaj szczególnie bym uważała. — Margie ściszyła głos. — Właśnie musiał odwołać swoją coroczną wyprawę na polowanie z powodu tej sprawy. To pierwszy od piętnastu lat sezon polowań na jelenie, który go ominie. *Nie* jest w dobrym nastroju.

A czy kiedykolwiek był?

— Dzięki za ostrzeżenie, Margie — powiedział Sharp.

Margie nie przestawała potrząsać głową, po czym wskazała kciukiem za swoje ramię.

— Wchodźcie. Czeka na was.

Szeryf powitał ich w korytarzu skinieniem głową i chrząknięciem. King był ogolony, wykąpany i przebrał się w czysty mundur, jednak jego oczy zdradzały zmęczenie. Nie spał dużo, jeśli w ogóle. Wydał polecenie funkcjonariuszowi u swojego boku.

— Sharp do pokoju numer jeden, Kruger do dwójki, panią Dane zapraszam do mojego biura.

Tylko Morgan zasłużyła na zwrot grzecznościowy.

— Rozumie pan, że ani pan Sharp ani pan Kruger nie będą odpowiadać na żadne pytania, jeśli nie będę przy tym obecna — powiedziała Morgan nie ruszając się z

miejsca.

Szeryf wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak „do diabła”.

— Podдай ę się. Włażcie wszyscy tutaj.

Gestem pełnym frustracji wskazał otwarte drzwi po lewej stronie. Lance jako pierwszy wszedł do sali konferencyjnej, dusznej i cuchnącej przypaloną kawą.

Szeryf wszedł za nim. Krzesło skrzypnęło, gdy usiadł na nim swoim okazałym ciężarem.

— Nie wątpię, że tak czy siak mieliście dość czasu, żeby uzgodnić swoje wersje.

— Panowie Sharp i Kruger wczoraj wieczorem złożyli pełne zeznania — zauważyła Morgan. — Czy były w nich jakieś nieścisłości?

— Nie — przyznał szeryf.

— Zanim zaczniemy, mam wam do przekazania wiadomość. — King skinął głową w kierunku Morgan. — Rozmawiałem z Tylerem Greenem o pani problemie z prześladowcą. Twierdzi, że nic mu na ten temat nie wiadomo. Jednak najbardziej interesującą informacją z naszej rozmowy jest to, że zawarł ugodę z prokuratorem.

— Jaką ugodę? — Morgan zeszywniała.

— Jego sprawę przekazano Esposito, który zaoferował mu rezygnację z niektórych zarzutów w zamian za czas, jaki już spędził w więzieniu. — Szeryf skrzywił się mocniej. — Podkreśliłem, że powinien się trzymać od pani z daleka, jeśli chce uniknąć więzienia, jednak Tyler nie jest znany ze zdolności do samokontroli ani inteligencji. Proszę na siebie uważać.

— Dziękuję — powiedziała Morgan. — Doceniam to ostrzeżenie.

King skinął głową i zwrócił się do Lance'a.

— A wracając do sprawy. Czy jako dziecko odwiedzałeś PJ-a?

— Tak — potwierdził Lance.

Szeryf King przechylił głowę.

— Twój ojciec chodził tam kilka razy w tygodniu. Mary Fox tam pracowała, czy pamiętasz ją?

— Nie. — Lance potrząsnął głową. — Miałem dziesięć lat.

Pamiętał tylko, że burgery były ogromne i mógł oglądać telewizję, gdy jadł.

— Przyjaciele twojego ojca pamiętali Mary. Rozmawiałeś z nimi wczoraj, prawda? Brian i Natalie Leedowie i Stan Adams? — zapytał szeryf. — Jak dobrze pamiętasz *ich* ze swojego dzieciństwa?

— Mam jakieś wspomnienia. — Lance zmienił pozycję. Twarde plastikowe krzeselko wrzynało mu się w plecy. — Ale po zaginięciu mojego ojca już ich nie widywałem.

Szeryf pochylił się do przodu.

— Czy przypominasz sobie, że twoja matka zachowywała się wtedy dziwnie?

— Nie — odpowiedział Lance. Jego ojciec dobrze to wtedy ukrywał.

— Czy pamiętasz, że twój ojciec był w depresji? — zapytał szeryf.

— Nie — powtórzył Lance.

— Dzieciaki zazwyczaj nie wiedzą, co się dzieje z ich rodzicami. — Szeryf odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona.

Lance poczuł ucisk w piersi. Do czego zmierzał szeryf, zadając te pytania?

— Twój pierwotny raport wskazywał, że Vic był przygnębiony i zaniepokojony pogarszającym się stanem psychicznym żony. — King zwrócił się do Sharpa.

Sharp skinął głową.

— Mary Fox była wcześniej aresztowana za nagabywanie. — Szeryf przyjrzał się po kolei ich twarzom. — Ale podejrzewam, że już o tym wiedzieliście.

Lance zwinął dłonie w pięści pod wpływem dyskomfortu. Siedząca obok niego Morgan musiała wyczuć jego narastające napięcie i przycisnęła nogę do jego nogi, bez słów prosząc go, by panował nad sobą.

— Do czego pan zmierza, zadając te pytania, szeryfie? — zapytała.

Szeryf King wyprostował się.

— Gdy oczyściliśmy pojazd z błota, znaleźliśmy cegłę na podłodze po stronie kierowcy, tak jakby ktoś użył jej do dociśnięcia pedału gazu, by samochód sam zjechał do jeziora.

Lance poczuł, jak żołądek mu się zaciska. Pragnął, by szeryf przeszedł do rzeczy, jednak nie był w stanie sformułować słów. Miał wrażenie, jakby szeryf bawił się nim, prowadząc go niczym krowę na rzeź. Wiedzieli już wcześniej, że Mary nie wjechała sama samochodem do jeziora.

— Wczoraj ekipa nurków przeszukała dno w miejscu znalezienia samochodu. Nie znaleźliśmy żadnych innych szczątków. — Szeryf pochylił się do przodu, uderzając łokciami o blat. — Czy jesteś pewny, że nie miałeś kontaktu z ojcem przez te wszystkie lata?

— Co? — Szok pozwolił Lance'owi wreszcie wydobyć z siebie głos. — Nie.

— A twoja matka? — King splótł palce. — Czy jesteś pewien, że ona nie miała z nim kontaktu?

— Tak — uciął Lance.

— Daję ci to. — Szeryf wyjął z kieszeni złożoną kartkę i rzucił ją na stół. — To rzeczy, których chcę od twojej matki. Albo je dla mnie zdobędziesz, albo będę zmuszony pojechać do niej. — Jego wielka dłoń wylądowała na kartce. — Naprawdę staram się wziąć pod uwagę jej stan, ale nie mogę pozwolić, by to utrudniało mi śledztwo.

Morgan chwyciła kartkę przed Lancem, który nie odrywał wzroku od szeryfa, gdy Morgan rozwinęła i przeczytała kartkę.

— Chce e-maile i wykaz połączeń twojej matki z ostatnich dwunastu miesięcy.

— Moja matka też jest tu ofiarą! — Złość wyparła uczucie niepokoju u Lance'a. Szeryf uniósł dłoń, przerywając mu.

— Oto, co mogło się wydarzyć. Twój ojciec był przygnębiony i samotny. Zwrócił się po pociechę do Mary, może jej nawet za to płacił. Jednak wszyscy wiedzieli, że Mary nie była dobrym człowiekiem. Może zagroziła, że powie twojej matce. Może Vic udusił ją, wsadził do bagażnika i wysłał na dno Grey Lake. Może dlatego twój ojciec wyjechał z miasta, by nigdy nie wrócić. A jeśli Vic żyje, to muszę zadać pytanie, czy nie skontaktował się z twoją matką przez te wszystkie lata.

Lance zerwał się na równe nogi. Morgan chwyciła go za jedno ramię, Sharp za drugie.

Morgan zaczęła mu szeptać do ucha. Ton jej głosu był uspokajający, jednak Lance nie słyszał słów poprzez ryk furii w swojej głowie.

ROZDZIAŁ 19

Morgan wepchnęła się przed Lance'a, blokując go swoim ciałem.

— Ta rozmowa dobiegła końca, szeryfie.

— Mój ojciec był ofiarą — powiedział Lance zdławionym głosem. Czy szeryf mógł mieć rację? Ile tak naprawdę Lance wiedział o swoim ojcu? Niektóre z jego wspomnień już okazały się fałszywe.

— Czy zadzwonisz w tej sprawie do twojej matki, czy ja mam to zrobić? — zapytał szeryf.

— Zrobię to — wydusił Lance przez zaciśnięte szczęki.

Szeryf rozluźnił się i w jego zmęczonych oczach błysnęła satysfakcja. Nie wycofał się ze swoich słów ani nie zmienił pozycji.

— Uważam, że twój ojciec uciekł z miasta, ponieważ popełnił morderstwo. Muszę wiedzieć, czy twoja matka jest jego współniczką.

Lance nie był pewien, jak opuścił posterunek szeryfa, po prostu nagle znalazł się na dworze. Słońce przebiło się przez chmury, oślepiając go.

Morgan wzięła go pod ramię i poprowadziła przez parking.

— Twoja matka nie musi zgodzić się na żądanie szeryfa. Nie ma nakazu, ani nie ma podstaw do jego uzyskania.

— Da mu, czegokolwiek zechce, i on o tym wie. — Lance położył obie ręce na głowie.

— Powie jej, że jeśli nie da mu tych informacji, to spowolni jego śledztwo. Jednak udzielenie mu dostępu do jej prywatnych dokumentów zdenerwuje ją.

Jego matka nie pragnęła niczego bardziej niż odkrycia prawdy. Czekala ponad dwie dekady, by móc ruszyć naprzód ze swoim życiem.

— Możesz postarać się o pełnomocnictwo i uniemożliwić mu spotkanie się z nią.

Lance potrząsnął głową.

— Musiałbym przekonać jej psychiatrę, że mama nie może sama o sobie decydować i to momencie, gdy praca z nową terapeutką zaczęła przynosić efekty. Nie pójdzie na to. I mama miałaby wrażenie, że ją zdradziłem.

A to byłoby na dłuższą metę większą krzywdą dla niej niż cokolwiek mógł zrobić

szeryf.

— W takim razie pozwól jej to zrobić. — Morgan zatrzymała się obok jego samochodu.

— I tak nic tam nie znajdzie, kręci się w kółko w miejscu.

Lance przełknął kulę gniewu wielkości piłki do siatkówki, która utknęła mu w gardle. Gdyby Morgan nie wywlekła go z biura szeryfa, chyba by spróbował go uderzyć i spędziłby noc w więzieniu. Utrata kontroli nikomu nie pomoże.

Ale czy tracił nad sobą panowanie, ponieważ teoria szeryfa była zbyt odległa od rzeczywistości?

A może dlatego, że brzmiała aż nazbyt logicznie?

Sharp wyszedł z budynku i przeciął parking.

— Szeryf to dupek. Chcesz wyrównać rachunki z tym sukinsynem? Dowiedz się, co się stało z twoim ojcem, zanim on to zrobi. King nigdy się po tym nie pozbiera.

Lance nabrał powietrza i wypuścił je z płuc z gniewnym sykiem.

— Mogę zrozumieć podejrzenie, że to mój ojciec zabił Mary. Gdybym nie był emocjonalnie związany ze sprawą, sam wziąłbym to pod uwagę. Jednak sugestia, że moja matka była jego współniczką, to zbyt wiele.

— Twoja matka nie zrobiła nic złego i nic jej nie będzie — powiedział Sharp. — Wyśle mu kopie swoich e-maili i połączeń telefonicznych. A poza tym, jest lepsza niż jakikolwiek informatyk sądowy, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Nawet gdyby miała kontakt z twoim ojcem, szeryf nigdy nie byłby w stanie znaleźć dowodów na to na jej dysku. Bez wątplenia ta komunikacja odbywałaby się za pośrednictwem jakiegoś serwera w Turcji.

Lance chodził w kółko przed swoim jeepem. Jego matce nic nie groziło ze strony szeryfa Kinga. Prawda?

— Być może jako dziecko miałem zafałszowany obraz relacji moich rodziców — powiedział Lance. — Ale wiem, że moja matka nie miała kontaktu z ojcem od tej nocy, gdy zaginął.

— Oczywiście, że nie. — Sharp machnął lekceważąco ręką. — Cała ta linia dochodzenia to bzdura. Niestety, to przekonuje mnie, że szeryf jest zdesperowany i nie ma żadnych porządných dowodów czy tropów, za którymi mógłby podążyć.

— Czy znaleźliśmy cokolwiek pożytecznego w przeszłości osób związanych ze sprawą?

— zapytał Sharp.

Lance położył dłoń na swoim karku. Długie godziny przed komputerem, jakie spędził poprzedniego wieczoru, sprawiły, że szyja go bolała.

— Zarówno Brian, jak i Stan mają liczne zastawy hipoteczne na swoich domach. Z nich dwóch Stan jest zdecydowanie bardziej zadłużony.

— Brian ma sportowy samochód w garażu. Może ma też inne kosztowne zabaweczki. Stan ma duży dom z bogatym wystrojem i mercedesa, jednak biorąc pod uwagę, że jest partnerem w uznanej firmie księgowej, można by pomyśleć, że jest w stanie sobie na to pozwolić.

— Może firma ma problemy? — zasugerował Lance.

— Warto przyjrzeć się temu bliżej — zgodził się Sharp.

— W takim razie do roboty — powiedziała Morgan. — Lance i ja porozmawiamy z sąsiadem Crystal Fox.

Sharp skinął głową.

— Pojadę do PJ-a, gdy otworzą dziś po południu i sprawdzę, czy uda mi się namierzyć kogoś, kto znał Mary. Sprawdzę, czego uda mi się dowiedzieć o firmie księgowej Stana Adamsa. — Ruszył w kierunku swojego samochodu.

Morgan wyciągnęła rękę po kluczyki.

— Ja prowadzę. Ty jesteś zbyt wściekły, by wsiadać za kółko.

Lance upuścił kluczyki w jej dłoń i wsiedli do środka. Lance zadzwonił do matki i wyjaśnił, czego chce od niej szeryf, nie wdając się w wyjaśnienia, z czego wynika ta prośba.

— Wpadnę później po te dokumenty — powiedział.

Jego matka brzmiała na zaskoczoną, lecz spokojną. Lance opuścił telefon.

— Była zdenerwowana? — spytała Morgan, zerkając na niego.

— Sam już nie wiem. — Oparł głowę o zagłówek. Wiedział, że Morgan chce porozmawiać. Chciała mu pomóc, podzielić z nim jego brzemię i dać mu trochę swojej gigantycznej siły. Lance jednak nie był w stanie poradzić sobie z jeszcze większą ilością emocji i tchórzliwie postanowił udawać, że śpi. Zamknął oczy i nie odezwał się ani słowem, dopóki nie przyjechali na farmę mieszczącą się przy drodze prowadzącej do domu Crystal Fox.

Morgan zaparkowała na poboczu.

Lance uniósł głowę. Dom zapadał się pod ciężarem swoich lat. Konstrukcja

wydawała się chwiejna i niebezpieczna, tak jakby usunięcie jednej belki u podstawy mogło sprawić, że całość runie niczym drewniana wieża z klocków jenga.

— Wygląda jak miejsce, którego mieszkańcy produkują w szopie amfę — mruknął Lance rozglądając się po wysokich zaroślach otaczających farmę. Za domem znajdowały się ruiny stodoły, z belkami sterczącymi niczym kości szkieletu. — Może to błąd.

Jego noga zaczęła pulsować tępym mrowieniem. Kiedyś podchodził do podobnego wiejskiego domu, który wyglądał na opuszczony i to wspomnienie czało się w zakamarkach jego umysłu niczym drapieżnik ukryty w cieniu. Przyjrzał się oknom w poszukiwaniu ruchu, jednak niczego nie zauważył.

Żadnego drgnięcia firanki czy ludzkiej sylwetki. Ani lufy karabinu.

Nie było tu żadnego przestępcy, który chciałby postrzelić go w nogę lub zabić.

— Zadamy tylko kilka pytań — powiedziała Morgan.

Lance potarł nogę. Został postrzelony, gdy zbliżył się do frontowych drzwi z zamiarem zadania kilku pytań. Odsunął od siebie wspomnienie, jak leżał na trawie, wykrwawiając się, jednak blizna po kuli wciąż dawała mu się we znaki.

— Może powinnaś zaczekać w samochodzie.

— Nikt nie otwiera drzwi, gdy ty do nich pukasz — Morgan wysiadła z samochodu.

Lance poszedł w jej ślady.

— Oczywiście że tak.

Morgan potrząsnęła głową.

— Nie wyglądasz zwyczajnie. Wyglądasz na policjanta i onieśmielasz ludzi.

Lance zerknął na swój strój. Czarne spodnie bojówki, koszulka, skórzana kurtka.

— To jest zwyczajny strój.

— Chyba tylko w jednostce specjalnej. Nie ma zresztą znaczenia, co masz na sobie. Masz to spojrzenie no i jesteś górą mięśni. — Osłaniając oczy dłonią, spojrzała na dom. — Wygląda na opuszczony, jednak dokumenty podatkowe mówią, że należy do Elijaha Jacksona. Musi być spokrewniony z Rickym Jacksonem.

Co sprawiało, że odnalezienie tu fabryczki narkotyków było bardziej prawdopodobne.

— Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. — Morgan ruszyła w stronę ganku.

Lance usiłował zapanować nad swoim wewnętrznym zamętem i skupić się na

domu. Porwane rolety wisiały w oknach. Wiatr poruszył zardzewiałymi dzwonkami wietrznymi wiszącymi na ganku. Wysoki metaliczny dźwięk sprawił, że pokrył się gęsią skórką.

Sprawdził broń i wysunął się przed Morgan. Ruszyli podjazdem w stronę zapadającego się ganku.

— Uważaj na siebie — przeprowadził ją wokół dziury w schodku.

Morgan odsunęła się od niego i uniosła dłoń, by zastukać kołatką do drzwi. Lance przesunął ją na bok.

— Nigdy nie stawaj dokładnie pośrodku — wyszeptał jej do ucha.

Na wypadek, gdyby ktoś próbował strzelić przez drzwi.

Mimo zimnego powietrza, pot spływał mu wzdłuż pleców. Jego zmysły były wyostrzone, a blizna mrowiła niczym przesywana prądem.

A może to instynkt go ostrzegał?

System wczesnego ostrzegania zaprojektowany, żeby umożliwić mu przetrwanie.

Morgan stanęła z boku i zastukała do drzwi. Ktoś poruszył się środkiem. Usłyszeli ciężkie stuknięcie i szuranie za drzwiami. Potem kolejne.

Łup. Szur.

Dłoń Lance'a powędrowała w stronę kabury na biodrze, gdy drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem.

Morgan wepchnęła się przed Lance'a, który wyglądał, jakby był gotowy zastrzelić właściciela domu. Drzwi uchyliły się, po czym zablokowały na łańcuszku wewnątrz. Oko, które wyjrzało przez szparę, było niebieskie i przymglone. Stojący obok Morgan Lance zabrał rękę z rękojeści pistoletu. Nie można było powiedzieć, że się rozluźnił, jednak przynajmniej nie wyglądał na gotowego do szturmu.

— Pan Jackson? — uśmiechnęła się Morgan.

— Kim jesteście? — zapytał starszy człowiek.

Morgan przedstawiła siebie i Lance'a i podała swoją wizytówkę przez szparę w drzwiach. Starszy człowiek wziął ją. Kilka sekund później spojrzał zmrużonymi oczami na Lance'a.

— Wyglądasz na policjanta.

— Nie proszę pana, jestem prywatnym detektywem — powiedział Lance.

— Czego chcecie? — zapytał pan Jackson.

— Chcemy tylko zadać panu kilka pytań — wyjaśniła Morgan.

Stary człowiek chrząknął, drzwi się przymknęły, rozległo się zgrzytanie metalu i po chwili drzwi otworzyły się w pełni.

— Jestem Elijah Jackson. — Miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, prawdopodobnie bliżej osiemdziesiątki i obiema dłońmi opierał się na lasce z czterema nóżkami. Ciało, które kiedyś musiało być wysokie i silne, teraz przygięło się pod ciężarem wieloletnich trudów i rozczarowań. — Jeśli bronicie Ricky'ego i chcecie pieniędzy, to trafiliście w niewłaściwe miejsce.

— Zna pan Ricky'ego Jacksona? — zapytała Morgan.

— To mój wnuk. — Pan Jackson skinął głową. — Szeryf był u mnie wczoraj wieczorem.

— Przykro mi — powiedziała Morgan.

— Mi też. — Pan Jackson cofnął się o kilka kroków i dał im znać gestem, by weszli do domu. — Muszę usiąść. To zimno i wilgoć źle wpływają na mój artretyzm.

Morgan i Lance wytarli nogi o szmacianą wycieraczkę i weszli do przedpokoju z drewnianą podłogą. Stary dom wprawdzie wyglądał z zewnątrz, jakby zaraz miał się zawalić, w środku jednak panował porządek i nigdzie nie było widać kotów z kurzu, które fruwały u Morgan po kątach.

Pan Jackson poprowadził ich wąskim korytarzem do dużej, starej kuchni. W przylegającym do nim pokoju dziennym na kominku płonął ogień. Za oknem widać było zarośnięte chwastami podwórze. Za chwiejnym ogrodzeniem z siatki widać było kurnik i kilka kur, grzebiących w ziemi. Obok znajdował się ogrodzony i schludnie utrzymany ogród warzywny.

Pan Jackson wskazał stary, podrapany dębowy stół. Morgan i Lance usiedli na drewnianych krzesłach, podczas gdy pan Jackson napełnił czajnik i postawił go na kuchence.

— Kawa mi się skończyła, ale mam herbatę — powiedział.

— Dziękujemy, jesteśmy już po śniadaniu. — Morgan nie mogła przyjąć prawdopodobnie jednej z ostatnich torebek herbaty, jakimi dysponował ten biedny staruszek.

Oparła przedramiona na blacie. Szaro-brązowa powierzchnia była gładka i śliska po dekadach mycia, szorowania, opierania o nią łokci i stawiania na niej talerzy. Pośrodku pomieszczenia znajdowała się kuchenna wyspa, na której stał koszyk z brązowymi jajkami. W wyszczerbionych ceramicznych miskach widać było

marchewki, buraki, jarmuż i brukselkę.

Duży szybkarz z nierdzewnej stali i rząd pustych słoików sugerowały, że pan Jackson zabierał się do konserwowania swoich zbiorów.

— Jeśli szukacie pieniędzy na kaucję za mojego wnuka, to nic mi nie zostało. Wszystko mi zabrał. — Pan Jackson przysiadł na stołku, postawił swoją laskę i zaczął obierać dorodną marchewkę. — Przygarnąłem go, gdy mój syn zaczął brać narkotyki i zniknął. Karmiłem chłopaka, ubierałem, próbowałem go nauczyć rozumu. Ale jest taki sam, jak jego ojciec. Potrafi myśleć tylko o narkotykach. — Potrząsnął głową. — Heroina wykończy ten kraj. Wykupiłem go dwa razy. Zabrał każdego dolara, którego miałem. Gdyby nie moje kury i ogródek, to umarłbym z głodu. Zanim wyszedł wczoraj wieczorem, opróżnił mój portfel, ale jak widać, to mu nie wystarczyło. Pani Fox nie była jakąś dobrą sąsiadką, ale człowiek nie może upaść o wiele niżej niż okradanie umarłych.

Chyba, że okrada własnego dziadka.

— Nie reprezentuję Ricky'ego — powiedziała Morgan.

Pan Jackson wrzucił obraną marchewkę do pustej miski i zaczął obierać kolejną.

— To po co tu przyszliście?

— Jak dobrze znał pan Crystal? — zapytała Morgan.

— Mieszkała w sąsiedztwie, odkąd pamiętam. — Pan Jackson wzruszył ramionami. — Byliśmy sąsiadami, ale nie powiedziałbym, żebyśmy byli blisko. Crystal miała swoje problemy.

— Czy pamięta pan, jak jej córka zaginęła? — zapytała Morgan.

— Tak. Mary nie była lepsza niż jej matka. — Pan Jackson zaatakował kolejną marchewkę. — Moja Gracie, świeć Panie nad jej duszą, to dopiero była kobieta! Dużo ludzi chodzi do kościoła, ale Gracie naprawdę kroczyła ścieżką prawości. — Jego opalona twarz zmarszczyła się ze smutku. — Pamiętam, jak Gracie usłyszała raz, że Crystal straciła pracę w jednym z tych sklepów „wszystko po dolarze”. Wiedząc, że Crystal ma nastolatkę do wykarmienia, Gracie zaniósła jej zapiekankę i trochę jajek. Crystal kazała jej nie wściubiać swojego wiecie jakiego nosa w nie swoje sprawy i zatrzaskała przed nią drzwi. — Wyraz jego twarzy stwardniał. — Po tym nie miałem czasu ani serca dla Crystal. Nikt nie powinien traktować mojej Gracie w ten sposób. Chciała tylko pomóc.

— A więc nie widział pan Crystal w ostatnim czasie? — zapytała Morgan.

— Widziałem tylko, jak przejeżdżała w pobliżu i machałem do niej, ale nie rozmawialiśmy. Grace byłaby mną rozczarowana, ale uprzejmy dystans był wszystkim, na co potrafiłem się zdobyć w stosunku do Crystal. — Urwał. — Jeśli chcecie wiedzieć, co ostatnio porabiała Crystal, powinniście porozmawiać z Abigail Wright. Gra na organach w kościele. Jest też właścicielką „Motelu Przy Drodze”, koło szosy 99. Crystal tam pracowała.

— Czy ma pan adres lub numer telefonu pani Wright? — zapytał Lance.

Coś za oknem zwróciło uwagę pana Jacksona, który upuścił obieraczkę i marchewkę, chwycił swoją laskę i ruszył w stronę drzwi tak szybko, jak potrafił.

— Co się stało? — Lance zerwał się na równe nogi, natychmiast w gotowości.

— Przekłęty lis, który porywa mi kury! — Pan Jackson otworzył tylne drzwi i wybiegł na zewnątrz. Potknął się o obluzowaną deskę i omal nie upadł na twarz.

Lance chwycił go i pomógł mu odzyskać równowagę.

Morgan wyszła za obydwojema mężczyznami na tylny ganek i zdążyła zobaczyć rudą kity znikającą w wysokich zaroślach wokół farmy.

— Zostało mi tylko dwanaście kur. W zeszłym tygodniu jedną porwał jastrząb. To była jedna z moich najlepszych niosek. — Pan Jackson oparł się na lasce. — Wymieniam się z niektórymi sąsiadami. Jajka i warzywa za chleb i boczek.

Morgan nie była sobie w stanie wyobrazić, jak udawało mu się uprawiać ogródek i zajmować się kurami, skoro ledwo chodził.

— Płot jest przerwany. Ma pan więcej siatki? — zawołał Lance z podwórka.

Pan Jackson machnął ręką w stronę szopy. Lance przeszedł przed podwórko i zniknął w jednym z zabudowań. Kilka minut później wynurzył się ze zwojem siatki i skrzynką z narzędziami. W dziesięć minut naprawił dziurę w płocie i sprawdził resztę zagrody.

— Też kiedyś byłem taki silny — westchnął pan Jackson. — To obraza, jak ciało zwraca się przeciwko nam, gdy się starzejemy.

Gdy Lance skończył zabezpieczanie kur, wrócił na ganek.

— Dziękuję. — Pan Jackson wrócił do kuchni i napełnił kartonik jajkami.

— Nie potrzebuję zapłaty — zaprotestował Lance.

— Proszę je dać Abigail. — Pan Jackson włożył kartonik w dłonie Morgan. Następnie wyjął z szuflady kawałek papieru i coś na nim zapisał. — To jej adres. Powiedzcie jej, że ja was wysłałem. Będzie w stanie powiedzieć wam więcej o

Crystal.

— Czy ma pan numer telefonu do niej? — Lance schował kartkę. — Moglibyśmy najpierw zadzwonić.

Pan Jackson potrząsnął głową.

— To nie ma znaczenia. O tej porze będzie pracować w swoim ogródku. — Odprowadził ich do frontowych drzwi.

Lance i Morgan wrócili do jeepa. Lance skierował się do drzwi kierowcy.

— Jestem już spokojny, mogę prowadzić.

— Dobrze, ale czemu chcesz prowadzić? — Morgan upuściła kluczyki w jego dłoń.

— Lubię mieć kontrolę — przyznał.

Co niewątpliwie miało związek z tym, że miał jej tak mało nad swoim życiem.

Pojechali pod adres, który podał im pan Jackson. Dom Abigail Wright był doskonały w takim stopniu, w jakim dom pana Jacksona był zrujnowany. Białe drewniany płotek otaczał schludny ogródek pełen jesiennych kwiatów. Drewniane deski sidingu i białe obramowania rabatek były świeżo pomalowane. Fioletowe kapusty rosły po obu stronach wykładanego cegłą chodnika. Morgan pierwsza weszła na trzy drewniane schodki prowadzące na przednią werandę. Wiatr kołysał białą huśtawką stojącą na drugim krańcu ganku. Obok w plamie słońca siedziały dwa koty, ignorując ich zupełnie.

Trzymając kartonik z jajkami, Morgan zadzwoniła do drzwi. Cofnęła się nieco i podziwiała intensywny fiolet jakichś przypominających stokrotki kwiatów w kwietniku na ganku.

— Są śliczne.

Lance ledwo zerknął na kwiaty, jednak odkąd wyszli z domu pana Jacksona, rozluźnił się.

Nikt nie otworzył drzwi, jednak przed domem stał zaparkowany czerwony sedan.

— Spróbujmy od tyłu. Pan Jackson mówił, że będzie pracowała w ogrodzie. — Morgan ruszyła ceglana ścieżką wokół domu, wołając głośno: — Pani Wright?

Lance zrównał z nią krok.

Słońce późnego poranka nieco łagodziło zimny wiatr i Morgan czuła jego ciepło na głowie i ramionach.

Przeszli pod treliazem. Obok kamiennej ławki w poidelku kapały się sójki. Po

ciemnych i przygnębiających wieściach ostatnich kilku dni, Morgan miała ochotę zatrzymać się i cieszyć się przez chwilę słońcem na twarzy jednak oparła się pokusie. Obeszli dom i wypatrywali na podwórku za domem starszej pani.

— Stać i nie ruszać się! — rozległ się głos z szopy stojącej kilka metrów dalej.

Morgan uniosła ręce razem z kartonikiem jajek. Drzwi szopy były uchylone i ze szpary wyglądała na nich lufa dwururki.

Lance chwycił Morgan w pasie i obalił na ziemię. Upadła boleśnie, a Lance na nią, zakrywając ją swoim ciałem. Przetoczył ich za kamienną ławkę i wydobył pistolet z kabury.

ROZDZIAŁ 20

— Odłóż broń! — wrzasnął Lance. Uniósł głowę i znad ławki rozejrzał się po podwórku. Nie był w stanie dostrzec, kto znajdował się w szopie. Ławka była solidna i zapewniała dobrą osłonę.

Chyba że strzelec by się przemieścił.

Morgan pod nim zarzęziła. Ześlizgnął się z niej i wzięła głęboki oddech.

Przypomniała mu się strzelanina, która zakończyła jego pracę w policji i omal go nie zabiła. Pot lał się z jego piersi i pleców, a serce łomotało, jakby przed chwilą podlegało działaniu defibrylatora.

Z pistoletem w dłoni znowu wyjrzał zza ławki, trzymając wolną rękę na ramieniu Morgan i przyciskając ją do ziemi.

— Trzymaj głowę nisko — upomniał ją.

Słońce odbijało się od ciemnego metalu lufy wystającej z uchylonych drzwi szopy.

— Pani Wright! — krzyknął Lance. — Chcemy tylko porozmawiać.

Drzwi uchyliły się odrobinę szerzej i dostrzegł przez chwilę siwe włosy.

Morgan chwyciła karton z jajkami, które upadły na ziemię, gdy Lance ją przewrócił. Złote żółtka skapywały z opakowania. Pomachała kartonikiem ponad ławką.

— Elijah Jackson przysłał nas z jajkami dla pani!

Drzwi szopy otworzyły się i wyszła z niej drobna, siwowłosa kobieta. Miała na sobie spodnie khaki i gumowce. Skórzane rękawiczki, kapelusz z szerokim rondem i schludny kok dopełniały jej wyglądu. Gdyby nie strzelba w jej dłoni, można by pomyśleć, że wybiera się na spotkanie związku działkowców.

— To czemu nie mówiliście tak od razu? — Wetknęła strzelbę pod pachę i ruszyła w ich stronę.

— Proszę odłożyć broń, pani Wright — powiedział Lance, wstając.

— Jesteśmy na moim terenie, więc to ty powinienes odłożyć broń pierwszy, młody człowieku. — Zachichotała. — Nie bój się, nie zastrzelę was. Możesz się uspokoić.

Lance zastanowił się. Nie wyglądała, jakby miała stanowić zagrożenie. Puls jednak walił mu niczym bęben basowy na koncercie Iron Maiden. Jego ciało

pamiętało postrzał i nie życzyło sobie powtórki.

Wciąż trzymając kartonik z jajkami, Morgan uniosła dłonie w klasycznym geście poddania się. Kropla żółtka spadła na ziemię.

— Mówcie mi Abigail — powiedziała pani Wright.

Lance spał się, gdy podeszła bliżej.

Spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem.

— Schowajże tę broń.

Mimo że instynkt kazał mu zrobić coś przeciwnego, Lance wsunął pistolet do kabury.

Abigail skinęła głową z aprobatą.

— A teraz: kim jesteście i czego chcecie?

Morgan powoli wyjęła wizytówkę z kieszonki swojej torby i przedstawiła ich.

— Pan Jackson powiedział, że będziesz nam w stanie powiedzieć więcej o Crystal Fox.

Lufa strzelby skierowała się w stronę ziemi, gdy Abigail wzięła wizytówkę i przyjrzała się jej.

— Słyszałam, że Crystal się powiesiła.

Na wsi plotki rozchodziły się z szybkością pożaru.

— Nie jesteśmy pewni, co się wydarzyło — powiedziała Morgan. — Czy dobrze ją znałaś?

Abigail odwróciła się i ruszyła w stronę tylnego ganku.

— Wejźmy do środka.

Poszli za nią do domu. Tyłne drzwi otwierały się na sień. Abigail postawiła strzelbę w kącie, zawiesiła kurtkę na kołku przy drzwiach, a następnie zdjęła rękawiczki i poprowadziła ich do pokoju, który — Lance był tego pewien — musiała nazywać *bawialnią*. Kwiaty pokrywały każdą powierzchnię. Wypełniały wazony, zdobiły tapetę i dywaniki, były wyrzeźbione w drewnianych meblach. Pokój był pełen bibelotów i wymyślnych, wyglądających na niewygodne, mebli. Lance oparł się o futrynę, spoglądając na pękatą sofę tak, jakby miała go zaatakować. Zagracone pomieszczenie robiło klaustrofobiczne wrażenie.

— Uroczy dom. — Morgan przysiadła na skrawku niebieskiego atlasowego krzesła.

— Uwielbiam kwiaty. — Abigail usiadła na sofie, niemal znikając za olbrzymią kompozycją pomarańczowych kwiatów na stoliku. — Przepraszam za tę strzelbę. Mam trochę paranoję z powodu tego okropnego wnuka Elijaha, który włamał się tutaj w ubiegłym miesiącu. Złapałam go, gdy wyłaził przez okno z moim srebrnym świecznikiem. Napędziłam mu niezłego stracha. Mało brakowało, a strzeliłabym mu ze śrutówki w tyłek.

— To okropne. — Morgan rozpięła płaszcz, postawiła torbę na podłodze i wyjęła swój notes.

— Straszna szkoda. Był uroczym dzieckiem. Ale gdy już ktoś raz wpadnie w szpony heroiny, nie można mu ufać. — Abigail potrząsnęła głową i cmoknęła z dezaprobatą. — A więc co chcecie wiedzieć o Crystal?

— Jak długo pracowała dla ciebie? — Lance stłumił kichnięcie. Zmieszany zapach różnych kwiatów dławił go w gardle.

— Sprzątała pokoje w motelu od ponad dwudziestu lat z przerwami. — Abigail splotła dłonie na kolanach. — Miewała lepsze prace, ale nie potrafiła ich utrzymać. Zawsze wracała do mnie. To brudna praca. Nie mam żadnych złudzeń co do mojego interesu ani moich klientów.

Jakiego rodzaju motel prowadziła Abigail?

— Czy Crystal była dobrym pracownikiem? — Morgan wyjęła z włosów liść i dyskretnie wsunęła go do kieszonki torby.

— Absolutnie nie. — Roześmiała się Abigail. — Ale zazwyczaj przychodziła do pracy. Płaciłam jej na koniec dnia roboczego. Gdybym dała jej wypłatę za cały tydzień, kolejne trzy dni spędziłaby w barze.

Lance rozpiął kurtkę, robiło mu się gorąco.

— Pamiętasz jej córkę, Mary?

— Tak. — Abigail skinęła głową. — Crystal próbowała ją namówić na pracę w motelu, ale Mary nie chciała o tym słyszeć. Była leniwą dziewczuchą i kręciła nosem na sprzątanie po innych ludziach. Wolała pracować na plecach.

— Sądziłam, że była kelnerką. — Morgan skrzyżowała nogi w kostkach.

— Pracowała u PJ-a na część etatu, ale wykorzystywała pracę kelnerki do znajdowania klientów dla swojego bardziej dochodowego zajęcia.

— Skąd wiesz, że była prostytutką? — Lance pociągnął za kołnierzyk koszulki. W jego żyłach wciąż krążyła adrenalina i ciepło panujące w domku dusiło go.

— Regularnie przyprowadzała klientów do mojego motelu. Nigdy nie wiedziałam, czy robi to, ponieważ miałam najtańsze pokoje w okolicy, czy po to, by wkurzyć swoją matkę — Abigail pokiwała chudym, delikatnym palcem w stronę Lance'a. — To była niedobra dziewczyna.

— Czy rozpoznałabyś jednego z jej klientów po tych wszystkich latach? — Lance poczuł, jak ściska go w piersi.

Czy Abigail potwierdzi, że mój ojciec sypiał z Mary?

— Być może — zmrużyła oczy.

— Czy możemy wrócić ze zdjęciami? — zapytał Lance. *Dlaczego nie pomyślał, żeby zabrać ze sobą zdjęcie ojca?*

W głębi ducha nie chciał przyznać, że szeryf może mieć rację.

Abigail zastanowiła się przez chwilę.

— Czy Abigail naprawdę popełniła samobójstwo?

— To będzie musiał ustalić patolog — powiedział Lance.

— Słyszałam, że odnaleziono ciało jej córki. — Abigail wzięła ze stolika niewielkie nożyce ogrodowe i ucięła martwą główkę kwiatu z kompozycji stojącej przed nią. — Dziennikarz w wiadomościach twierdził, że to dlatego to zrobiła.

— Wygląda na to, że ty w to nie wierzysz — zauważyła Morgan.

— Crystal nie była zbyt dobrą matką — stwierdziła Abigail. — Nigdy nie stawiała potrzeb Mary ponad własnymi. Przez większość czasu dziecko było na dalszym planie. Mary nie było od kilku tygodni, nim Crystal zgłosiła jej zaginięcie. Mało prawdopodobne, żeby przez dwie dekady opłakiwała swoją zaginioną córkę.

— Mary została zamordowana — podkreślił Lance. — To sprawę jej śmierci badamy.

Abigail zamarła, jej nożyce zawisły w powietrzu.

— Wszyscy sądziliśmy, że Mary po prostu wyjechała w poszukiwaniu szczęścia. Nigdy jej się tu nie podobało i ciągle mówiła o tym, że chce wyjechać z miasteczka.

— Czy przychodzi ci do głowy ktoś w życiu Crystal lub Mary, kto w tym czasie mógłby być dla nich zagrożeniem? — zapytał Lance.

— Przychodzi mi do głowy mąż Crystal, Warren. — Abigail znalazła kolejny zwiędły kwiat i odcięła go. — Crystal wyszła za niego, gdy Mary miała jakieś dziesięć lat. Zawsze miałam wrażenie, że Warren żywi niestosowne zainteresowanie dziewczynką, jeśli wiecie co mam na myśli.

Lance poczuł, jak robi mu się niedobrze.

— Sądysz, że Warren wykorzystywał Mary?

Warren Fox znalazł się na szczycie listy podejrzanych w głowie Lance'a.

— Tak, i powiedziałam to Crystal. — Abigail potrząsnęła nożycami w stronę Morgan. — Ale ta kobieta była zbyt skoncentrowana na sobie. Nie wiem, czy nie chciała w to uwierzyć, czy też zbytnio jej to nie obchodziło. Warren pracował wtedy jako kierowca ciężarówki, przynosił do domu pieniądze, a pieniądze uszczęśliwiały Crystal.

Morgan uniosła głowę znad notatnika.

— Dlaczego sądzisz, że Warren molestował Mary?

— To, jak patrzył na to dziecko, sprawiało, że włos mi się jeżył na głowie. — Abigail zmarszczyła brwi i przestawiła kwiaty w wazonie. — Mary robiła wszystko, żeby być poza jego zasięgiem. Zaczęła się źle zachowywać wkrótce po tym, jak się wprowadził, opowiadała seksualne żarty, których w ogóle nie powinna jeszcze rozumieć. Dodałam dwa do dwóch. To nie było szczególnie trudne. Poza tym, gdy prowadzi się podrzędny motel, jak ja, ma się dość dobry wykrywacz zbrodni.

Można się założyć, że tak.

Lance'owi ścisnął się żołądek. Jeśli to była prawda, to może Mary groziła, że doniesie na Warrena.

— Co się stało z Warrenem? — Nie przypominał sobie, by widział męskie ubrania lub inne przedmioty osobistego użytku w domu Crystal.

— Kilka lat temu zwolnili go za picie w pracy. Oczywiście zaczął pić więcej i bić Crystal. Wyrzuciła go w domu. W pewnym momencie miał nawet zakaz zbliżania się do niej, ale już się przedawnił. Pracuje teraz na wysypisku. — Abigail obcięła kolejną zwiędłą główkę kwiatu, która opadła na blat.

— Czy Mary kiedykolwiek powiedziała coś, co potwierdziłoby, że Warren ją molestował? — Morgan zamarła z długopisem nad kartką.

— Nie — Abigail potrząsnęła głową. — ale nie zdziwiłabym się, gdyby Mary próbowała go szantażować. To był ten typ dziewczyny.

Morgan zanotowała jeszcze coś.

— Czy w tygodniach poprzedzających jej śmierć, Mary przyprowadzała kogoś do motelu częściej niż innych klientów?

— Miała stałych klientów. — Skinęła głową Abigail. — Pracowałam wtedy

czasami w recepcji. Może i jestem stara, ale moja pamięć nadal jest dobra.

Lance zastanawiał się, czy chytra Mary mogła próbować szantażować jeszcze innych klientów.

— Czy którykolwiek z klientów Mary miał skłonność do przemocy? Czy kiedykolwiek widziałaś, by miała potem siniaki?

— Był taki jeden. Mary mówiła, że lubił ostro, i zawsze wyglądała na wstrząśniętą, gdy z nią kończył. Jak też mu było? — Abigail postukała nożycami w otwartą dłoń. — Większość klientów Mary używała fałszywych nazwisk. Nie macie pojęcia, ilu klientów w moim motelu rejestruje się jako Smith.

— Nie sprawdza pani prawa jazdy? — zapytała Morgan.

— Skarbie... — Ton Abigail mówił „jakaś ty naiwna”. — Większość ludzi, którzy wynajmują pokoje na godziny, woli anonimowo płacić gotówką.

— Co pamiętasz o tym mężczyźnie? — zapytał Lance.

— Używał jakiegoś absurdalnego fałszywego nazwiska, wyróżniało się. — Przycisnęła palec wskazujący do ust i jej twarz po chwili rozpogodziła się. — Pan Joshua. — Przewróciła oczami w wyrazie politowania. — Filmy z serii *Zabójcza broń* były wtedy na topie, tak samo jak wszystkie te sztuki walki. Ten facet jednak nie wyglądał, jakby był w stanie walczyć z kimkolwiek. Był zbyt wymuskany.

Morgan pochyliła się do przodu.

— Rozpoznałaby go pani po zdjęciach?

— Możliwe — potwierdziła Abigail.

— Zaginięcie Mary zgłoszono w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Chcielibyśmy wiedzieć, jakich klientów miała w tym miesiącu. Czy ma pani te księgi? — zapytał Lance.

— Tak — potwierdziła Abigail. — Wtedy wciąż jeszcze prowadziłam je na papierze i mam je wszystkie w składziku. Miałam go posprzątać, bo nie ma powodu, by trzymać tak stare archiwa, jednak jakoś nigdy się za to nie zabrałam, mimo że jestem tam przez większość wieczorów.

Zaskoczenie musiało się odbić na twarzy Lance'a.

— Tak. Jestem za stara, by pracować przez wiele godzin, ale jak mówiłam, nikomu nie można ufać w dzisiejszych czasach. Myślałam o tym, by sprzedać ten motel. Świat schodzi na psy w zastraszającym tempie. Nawet moi klienci z półświatka są coraz gorsi. Kiedyś musiałam się martwić jedynie o wymiotujących pijaków i

zdradzających mężów, a teraz. W zeszłym roku dwie osoby przedawkowały w moich pokojach. Nie potrzebuję takiego stresu w życiu.

— Czy moglibyśmy po drodze wstąpić do motelu i sprawdzić stare rejestry? — zasugerował Lance.

— Zazwyczaj jestem tam między szóstą wieczorem a północą — powiedział Abigail. — Wtedy mamy największy ruch.

— Dziękuję — Morgan wstała.

— Nie ma za co. Mary nie miała zbyt wielkiej szansy, mając Crystal za matkę, i zdecydowanie nie zasługiwała na to, by ktoś ją zamordował. — Abigail odprowadziła ich do wyjścia.

Gdy wrócili do jeepa, Lance uruchomił silnik i zapatrzył się przez okno.

— Szeryf sądzi, że mój ojciec był jednym z klientów Mary. Miał rację, mówiąc, że Mary nie była miłą osobą. Może nie myli się również co do mojego ojca. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie powiedzieć to mojej matce.

Czy to możliwe, by Lance *do tego stopnia* mylił się co do swojego ojca?

Jego telefon zawibrował i na wyświetlaczu pojawiło się słowo *MAMA*.

— Mamo? — odebrał, jednak jego matka mówiła tak szybko i nerwowo, że nie był w stanie jej zrozumieć. — Poczekaj. Uspokój się. Co się stało?

Jego matka głośno i łapczywie zaczerpnęła powietrza.

— Szeryf jest w telewizji. Powiedział, że Vic jest podejrzanym w sprawie śmierci Mary Fox.

— Zaraz przyjadę. — Lance odłożył telefon, włączył bieg i zrelacjonował Morgan rozmowę.

— O, nie — Morgan zapięła swój pas. — Jedźmy.

— Nie musisz odebrać Sophie i Gianni? — zapytał Lance, wycofując się z podjazdu.

Morgan potrząsnęła głową.

— Zadzwoń do Maca. Odbierze je.

Lance wyjechał na drogę i wcisnął gaz.

— Ale będzie musiał zostawić dziadka samego.

Morgan zwróciła się w jego stronę i wzięła go za rękę.

— Nie szkodzi. Dziadek potrafi się zachowywać przez pół godziny. Moja rodzina zawsze sobie pomaga. Tak robimy. Pomagamy sobie, nawet jeśli czasem nasze

obowiązki przypominają tę samą talię kart, która zostaje przetasowana i rozdana wśród tych samych osób każdego ranka.

— Ale ja też chciałbym móc pomóc tobie i dziewczynkom — powiedział sfrustrowany Lance. — a nie zabierać cię rodzinie.

— Życie nie jest takie proste. Rodzinne zobowiązania nie są zawsze rozdzielone idealnie równo. Spójrz na moją rodzinę. Mieszkam z dziadkiem, a Stella mieszka w pobliżu. Tak więc my się nim zajmujemy. Mac jeszcze nie należy do rodziny, ale robi dla dziadka więcej niż mój brat Ian lub moja siostra Peyton, ponieważ mieszka w pobliżu.

Lance nie był w stanie wyrazić swoich uczuć, tego, jak bardzo chciałby być częścią jej rodziny, ponieważ obawiał się, że koniec końców będzie to niemożliwe.

ROZDZIAŁ 21

Trzydzieści minut później Lance stał w biurze swojej matki, ponad jej ramieniem spoglądając w ekran komputera. Na ekranie widać było stojącego przy mównicy szeryfa. Po chwili obraz zmienił się, ukazując zdjęcie Vica Krugera, zmienione tak, by pokazywać, jak mógłby wyglądać obecnie.

— Pan Kruger zaginął dziesiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Obecnie jest jedną z osób, które mogą być powiązane ze śmiercią Mary Fox. — Szeryf pochylił się w stronę mikrofonu. — Jeśli ktokolwiek ma informację na temat miejsca jego pobytu, proszę zadzwonić do wydziału szeryfa.

U dołu ekranu pojawił się pasek z numerem telefonu. Szeryf zakończył konferencję prasową i zszedł z mównicy. Filmik zatrzymał się.

— Przepraszam, mamó. Nie mogę uwierzyć, że ogłosił to, nie uprzedzając nas.

Ale tak naprawdę nie był zbyt zaskoczony. Lance pozwolił, by kilka przypadków, gdy szeryf zachował się przyzwoicie, uspiło jego czujność, jednak wiedział, że King robił to, co mu pasowało.

— Nie masz za co przepraszać. — Poklepała jego dłoń. Jej paznokcie były ogryzione niemal do krwi, podobnie jak skórki przy nich. — Szeryf po prostu wykonuje swoją pracę, chociaż zapędził się w ślepą uliczkę. Twój ojciec nigdy nie skrzywdziłby tej dziewczyny.

Lance jednak nie był tego aż taki pewien. Już się przekonał, że niektóre jego spostrzeżenia z dzieciństwa były całkowicie błędne.

— Mówię poważnie, Lance. Twój ojciec był dobrym człowiekiem. — Ciało jego matki zeszywniało. Wyglądała na bardziej rozgniewaną niż zdenerwowaną. — Szeryf strzela w ciemno i marnuje czas nas wszystkich.

Morgan zajrzała przez drzwi.

— Lunch gotowy.

— Kochana jesteś. — Matka Lance'a wstała z krzesła i poszła za Morgan do kuchni. — Ale nie wiem, czy dam radę coś zjeść.

— Powinnaś spróbować. — Morgan objęła ją ramieniem. Zagrzała zupę pomidorową i zrobiła grzanki z serem dla trzech osób. Lance wiedział, że to jeden z

ulubionych zimowych posiłków jego matki. Morgan zawsze zwracała uwagę na takie drobiazgi.

Jego matka westchnęła i usiadła przy stole.

— Dobrze.

— Czy opowiadałam ci, co Sophie zrobiła dziś rano? — Morgan zaczęła opowieść o tym, jak Ava naskarzyła na Sophie, że ta pomalowała kredkami ścianę, a Sophie z zemsty obcięła włosy jej lalce.

Zajęta opowieścią, Jenny zjadła połowę grzanki.

— Niemal spodziewałam się, że podrzuci Avie do łóżka głowę zabawkowego konika — zachichotała Morgan.

— Sophie to niezłe ziółko — zauważyła matka Lance'a, zanurzając łyżkę w zupie.

— Jest — Lance skończył grzankę nawet nie czując jej smaku.

— Chciałabym poznać twoje dzieci — powiedziała Jenny do Morgan.

Lance rzucił serwetkę na opróżniony talerz. Jego matka funkcjonowała dzięki rutynie. Dwie starsze córki Morgan zachowywały się przewidywalnie, jednak Sophie była niczym wcielenie chaosu. Czy jego matka była w stanie sobie z tym poradzić?

Przyjrzał się jej uniesionej brodzie i wyrazie stanowczości. Może. Może i mogła. Wydawała się zdeterminowana, by poprawić jakość swojego życia.

Jednak zbyt wcześnie było, by spekulować o przyszłości. Najpierw musieli przetrwać obecny kryzys.

— Jeśli chodzi o te e-maile i wykazy połączeń, których chciał szeryf. — Jego matka wstała i wzięła z kuchennej szuflady kartkę i długopis. — Jak wiesz, zarówno internet jak i telefon mam od tego samego operatora. To jest login i hasło do mojego konta. — Podała mu kartkę. — Szeryf może czytać moje osobiste maile aż z nudów dostanie zeza. Nie dałam mu dostępu do kont związanych z moją pracą. Będzie musiał się postarać o nakaz. Nie zamierzam narażać prywatności moich klientów.

Czasami w całym tym szaleństwie zapominał o inteligencji swojej matki. Wyprawa do sklepu spożywczego ją przerastała, jednak potrafiła projektować i utrzymywać strony internetowe, zajmowała się zabezpieczeniami w sieci i uczyła informatyki.

Lance wziął kartkę, mając nadzieję, że te informacje wystarczą szeryfowi.

— Nie martw się. Niczego nie znajdzie w moich e-mailach — powiedziała jego matka.

Lance miał nadzieję, że się nie myli.

— Przekażmy tę informację szeryfowi i wracajmy do pracy — powiedział, zwracając się do Morgan.

Mieli pierwszy przełom w sprawie. Przyszedł czas, by odnaleźć Warrena Foxa.

ROZDZIAŁ 22

Morgan usiadła na siedzeniu pasażera w jeepie, rozmawiając z Sharpem przez zestaw głośnomówiący. Jednym okiem zerknęła na Lance'a, siedzącego za kierownicą. Ścisnęła ją, jakby miał zamiar ją wyrwać z deski rozdzielczej.

Morgan pochyliła się w stronę głośnika.

— Daliśmy szeryfowi login i hasło do konta pocztowego i telefonicznego Jenny.

I to był jeden z powodów, dla których Lance wyglądał, jakby był gotowy odgryźć komuś głowę.

— Mamy dwóch możliwych podejrzanych — Morgan podsumowała informacje, które przekazała im Abigail Wright na temat męża Crystal, Warrena Foxa oraz tajemniczego klienta Mary, pana Joshuy. — Planujemy odwiedzić Abigail w motelu o siódmej. Do tego czasu zamierzamy spróbować odnaleźć Warrena Foxa.

— Dobrze, jedźcie pogadać z Warrenem — powiedział Sharp. — Ja jestem w drodze do PJ-a. Przyjedźcie do biura po rozmowie z Warrenem, porównamy notatki.

Morgan zakończyła rozmowę. Lance pojechał na wysypisko hrabstwa Randolph. Nieruchomość otoczona była niemal dwumetrowym płotem z siatki. Lance podjechał pod bramę. Tabliczka na niej głosiła, że centrum otwarte jest od siódmej rano do trzeciej po południu od poniedziałku do piątku. Zatrzymali się przed niewielkim budynkiem z napisem „Biuro”, za którym znajdowały się rzędy koszy na śmieci. Na terenie rozrzuconych było jeszcze kilka niewielkich zabudowań. Jedynym pojazdem w zasięgu wzroku była czarna furgonetka zaparkowana przy biurze. Morgan zapisała numery rejestracyjne.

Wysiedli z samochodu. Obcasy Morgan natychmiast zapadły się w nierównym żwirze i pożałowała, iż nie przebrała się z garsonki w coś wygodniejszego i bardziej wytrzymałego.

Lance zajrzał do biura.

— Tu go nie ma. Rozejrzę się wokół.

Odwrócił się i ruszył wokół budynku.

— Ja zostanę. Muszę zmienić buty, zanim skręcę sobie kostkę. — Morgan pochyliła się do wnętrza samochodu i wyjęła parę butów na płaskim obcasie, które

zawsze ze sobą wozila. Opierając się jedną ręką o otwarte drzwiczki, przebrała buty. Wyprostowała się i nagle odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Poczula niepokój i powoli obróciła się w kółko.

W drzwiach jednego z zabudowań stał mężczyzna. Miał na sobie oliwkowozielony kombinezon i uśmiech, który nawet z tej odległości wydał się Morgan obleśny. Zamknęła drzwiczki i zwróciła się do mężczyzny.

— Szukam Warrena Foxa.

Wyszedł z cienia i przeszedł po żwirze w jej stronę.

— To ja jestem Warren.

Kwaśny zapach alkoholu emanował ze wszystkich jego porów, tak jakby pił od tygodni.

— Morgan Dane — podała mu swoją wizytówkę.

Przyjrzał się jej i uśmiech na jego twarzy znikł, wyparty przez wściekłość.

— Kolejna pieprzona prawniczka. — Jednym ruchem chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej. — Możesz powiedzieć tej przeklętej suce, mojej żonie, że nic ode mnie nie dostanie.

Jego palce wpijały się w jej biceps. Morgan poczuła, jak wściekłość i zdenerwowanie zaczynają krążyć jej w żyłach.

To odpowiada na moje pytanie, czy Warren byłby w stanie skrzywdzić kobietę.

— Zabieraj łapy. Ale już! — Morgan wsunęła dłoń pod płaszcz, by znaleźć pistolet na prawym biodrze. Miała już dość grózb w tym tygodniu. Warren nigdy nie próbowałby fizycznie zaatakować Lance'a, ale ponieważ Morgan była kobietą, zakładał, że będzie w stanie ją w ten sposób onieśmielić, tak samo jak Esposito.

— Nie zapłacę tej suce ani centa. — Warren zmrużył oczy.

Albo Warren nie wiedział, że Crystal nie żyje, albo naprawdę był niezłym aktorem.

— Już mówiłeś, ale nie chodzi mi o pieniądze. A teraz puść mnie, zanim pożałujesz — Wyjęła z kabury glocka.

— A co? Pozwiesz mnie? Nie mam ani centa. *Pieprzona* Crystal wykopała mnie z mojego *pieprzonego* domu i jeszcze ma czelność domagać się *pieprzonych pieniędzy!* — Zacisnął palce na jej ramieniu jeszcze mocniej. — Nie zamierzam podpisywać żadnych *pieprzonych* papierów rozwodowych i nie dam jej nawet *pieprzonego* miedziaka! — Pochylił się nad jej twarzą. Jego oddech tak cuchnął alkoholem, że

musiał być łatwopalny. Zapalona zapalka sprawiłaby, że stanąłby w płomieniach niczym grill podlany zbyt wielką ilością rozpalaki. — Wy, suki, wszystkie trzymacie się razem.

Morgan odwróciła głowę.

— Skręcę ci tę śliczną szyjkę. — Puścił jej ramię i złapał ją za szyję. Nie złapał jej na tyle mocno, by ją dusić, ale nacisk na tchawicę sprawił, że się zadławiła. Poczowała strach a jej puls przyspieszył.

Dość!

Morgan wyciągnęła pistolet i przycisnęła lufę do jego brzucha.

Zamarł w bezruchu. Jego uścisk rozluźnił się i Morgan przełknęła ślinę.

— Powiedziałam: puść mnie. — Teraz czuła, że potrzebuje umyć szyję. Najlepiej środkiem odkażającym.

Idiota wydawał się rozważać możliwość przejęcia pistoletu.

— Nie rób tego. Mój ojciec był policjantem. Mój dziadek był policjantem. Moja siostra jest policjantką. Mój brat pracuje w nowojorskiej jednostce specjalnej. Jeśli choćby drgniesz w kierunku mojej broni, *odstrzelę* ci klejnoty.

Puścił ją i unióśł obie ręce do góry. Zanim zdążył zrobić krok w tył, jego ciało uniosło się w powietrze. Jednym szybkim ruchem Lance odrzucił Warrena z dala od Morgan, podciął mu nogi i zapoznał jego twarz ze żwirem na podjeździe.

— Czy kiedykolwiek ktoś ci tłumaczył, że zanim dotkniesz kobiety, powinieneś zapytać o pozwolenie? — Lance wykręcił Warrenowi obie ręce za plecami. Zerknął na Morgan. — Wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest. — Włożyła broń z powrotem do kabury i roztarła szyję. — Poza tym, że mam ochotę na prysznic.

Jak zwykle pod wpływem nerwów i adrenaliny robiło jej się niedobrze.

— Zejdź ze mnie. — Warren rzucał głową, patrząc na nich z wściekłością. Mięśnie jego szczęki drgały.

— Zamknij się. — Lance oparł się kolanem na jego krzyżu.

— Crystal nie żyje — powiedziała Morgan.

— Co? — wychrypiał Warren.

Lance unióśł się nieco, zmniejszając nacisk.

— Czy policja cię nie zawiadomiła? — zapytała Morgan. — Nadal jesteś jej mężem.

— Tak. — Coś mignęło na twarzy Warrena. — Wczoraj wieczorem pukał do mnie jakiś policjant, ale ja nie otwieram psom drzwi.

Ciekawe, dlaczego.

— Przykro mi z powodu twojej straty — powiedziała Morgan z przyzwyczajenia. — Myślałam, że wiesz.

— Mówisz poważnie. — Na twarzy Warrena odbiło się zdumienie. — Ona nie żyje?

— Tak — przytaknęła Morgan.

— Jasny gwint! — Warren zaczął się wyrywać. — Czy jestem aresztowany?

— Nie — powiedział Lance z żalem.

— W takim razie pozwól mi wstać — jęknął Warren. — Złamiesz mi kręgosłup.

Morgan roztarła swój biceps.

— A będziesz grzeczny? — zapytał Lance.

Warren skinął głową i Lance poderwał go na nogi.

— Jeśli choćby spojrzysz na nią w sposób nie wyrażający należnego szacunku, wylądujesz z powrotem na ziemi.

— Pieprzona brutalność policji — zaczął narzekać Warren. — Powinienem was pozwać.

— Wiesz co, Warren? — warknął Lance. — Nie jestem policjantem.

— A kim jesteś? — Warren przełknął ślinę.

— Pracuję dla niej — powiedział Lance. — A ona jest prawniczką.

Niskie czółko Warrena zmarszczyło się w namyśle.

— Jak zginęła Crystal?

Morgan pstryknęła długopisem.

— Znalaziono ją powieszoną w jej domu.

— Zabiła się? — zdumiał się Warren.

Morgan nie odpowiedziała.

— Czy to cię dziwi?

— Crystal jest... była... zbyt egoistyczna, by się zabić — parsknął Warren.

— Czy oprócz ciebie jest ktoś, kto mógłby pragnąć ją zamordować?

Warren pobladł i zrobił dwa kroki w tył.

— Nie tknąłem jej! Nie widziałem jej od miesiący!

Korzystając z tego, że Warren był już wytrącony z równowagi, Morgan zadała

kolejny cios.

— Kiedy po raz ostatni widziałeś Mary?

— Mary? — Na twarzy Warrena odbiło się niezrozumienie. — Wyjechała z miasta ponad dwadzieścia lat temu.

— Opowiedz nam o swojej relacji z Mary — naciskała Morgan.

Warren wbił wzrok w ziemię.

— Nie ma o czym mówić. Nigdy mnie nie lubiła.

— Ile lat miała Mary, gdy ożeniłeś się z Crystal? — zapytała Morgan.

— Dziesięć — odpowiedział ostrożnie Warren.

Morgan zanotowała coś.

— Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

— Nie wiem. — Warren unikał kontaktu wzrokowego.

Kłamca.

— Mary też nie żyje. — Morgan obserwowała jego oczy. — Czy wiedziałeś o tym?

— Nie. — Warren znowu spojrzał jej w oczy. — Myślałem, że wyjechała z miasta.

Może mówił prawdę. Niektórzy ludzie kłamali tak często, że mieli problem ze szczerością. Morgan miała wrażenie, że Warren jest jedną z tych osób. Doświadczeni kłamcy wiedzieli, że trzeba odpowiadać krótko i bez ozdóbek.

— Mary została zamordowana — powiedziała Morgan.

Warren zrobił kolejny krok w tył.

— Ja tego nie zrobiłem.

Jednak wiadomość o tym, że jego pasierbica nie żyła, nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia.

Lance zablokował mu drogę, tak jakby obawiał się, że Warren może próbować uciec.

— Dlaczego mielibyśmy myśleć, że zabiłeś swoją pasierbicę?

— Bo tu jesteście. — Warren zacisnął usta w płaską kreskę i skrzyżował ramiona na piersi w geście oporu. — Nie będę odpowiadał na więcej pytań.

Morgan i Lance nie mieli sposobu, żeby go do tego zmusić, jednak mogli przekazać szeryfowi informacje o tym, czego się dowiedzieli o Warrenie.

Warren oddalił się. Siedząc w samochodzie, Morgan patrzyła, jak znika w szopie.

— Cytując szeryfa Kinga — Lance zniżył głos i zaczął przeciągać samogłoski, dość udatnie naśladując szeryfa — na pewno ma coś na sumieniu.

ROZDZIAŁ 23

W drodze powrotnej Morgan uzupełniała swoje notatki z rozmowy. Lubiła zapisać szczegóły, dopóki miała je świeżo w pamięci.

Sharp był w biurze, gdy przyjechali. Zanim Morgan zdążyła dotrzeć do ekspresu do kawy, wręczył jej kubek z zieloną herbatą.

— Dzięki temu nie będzie cię bolała głowa.

Zaczęła ją saczyć w drodze do swojego pokoju.

— Dobrze, ale proszę nie narzekajcie, jeśli będę mniej bystra niż zwykle.

Poszedł za nią, chichocząc.

— Nie ma takiego ryzyka.

Morgan odwiesiła płaszcz na wieszak i postawiła torbę na biurku.

Lance wszedł do pokoju, trzymając w dłoni kubek i spojrzał na białą tablicę.

— A więc na czym stoimy?

— Mamy podejrzanych! — Sharp zatarł ręce. — Wreszcie!

— To zdecydowanie lepsze od sytuacji gdy ich nie mieliśmy — zgodził się Lance.

— Do roboty! — Sharp poruszał palcami w geście mówiącym „dawajcie ich tutaj”.

Morgan zerknęła w swoje notatki.

— Numer jeden: Warren Fox.

— Kim on jest i dlaczego sądzimy, że mógł zabić Mary? — Sharp sięgnął po marker.

— Warren był ojczymem Mary. Abigail Wright, która jest właścicielką motelu, w którym czasami pracowała Crystal, podejrzewała, że Warren ją molestował. — W głosie Morgan zabrzmiało obrzydzenie. — Mary miała dziesięć lat, gdy Warren ożenił się z jej matką.

Sharp napisał pod nazwiskiem Warrena „molestował Mary?”.

— Gdy powiedzieliśmy, że Mary nie żyje, nie zadał ani jednego pytania. — Lance oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał się tablicy.

— Nie zapytał, jak zginęła Mary ani czy odnaleziono jej ciało. — Morgan przerzuciła stronę w notatniku. — Nie był w ogóle zainteresowany sprawą

morderstwa swojej pasierbicy.

— Albo go to nie obchodzi, albo już to wszystko wiedział — stwierdził Sharp. —
Możliwy motyw?

Lance westchnął.

— Może Mary próbowała go szantażować i zabiła ją, by utrzymać to w tajemnicy.

— W jaki sposób twój ojciec został w to wciągnięty? — zapytał Sharp.

— Ogniwem, łączącym mojego ojca i Mary jest knajpa PJ-a. Może zobaczył tam kłótnię Mary i Warrena? — Lance zmarszczył brwi. — To nie wydaje się dostatecznym powodem. Czy jest możliwe, że mój ojciec zobaczył, jak Warren ją morduje lub zmusza, żeby wsiadła do jego samochodu?

Sharp zapisał pytania na tablicy, następnie zwrócił się znowu do nich.

— A podejrzany numer dwa?

Morgan znowu zajrzała do swoich notatek.

— Jeden z klientów Mary, tajemniczy pan Joshua.

— Powód? — Marker Sharpa zawisł nad tablicą.

— Lubił ostry seks — powiedział Lance. — Może zbyt ostry. Mary została uduszona. To śmierć wymagająca bezpośredniego, może intymnego kontaktu. Może go poniosło albo Mary zrobiła coś, co go zirytowało i ją udusił?

Sharp skinął głową.

— Nie byłaby pierwszą prostytutką uduszoną przez klienta.

— Szantaż mógłby być motywem również w tym przypadku — dodała Morgan. — Nie znamy prawdziwej tożsamości pana Joshuy. Mógł być żonaty lub mógł istnieć inny powód, dla którego ujawnienie jego stosunków z prostytutką zagrażałoby jego stylowi życia.

Sharp nałożył zatyczkę na marker.

— Byłem dziś wieczorem u PJ-a. P.J. Hoolihan nadal jest właścicielem restauracji. Za barem stoi teraz jego syn. P.J. miał wylew i kilka lat temu przeszedł na emeryturę. Kupił dom i kawałek ziemi w Grey's Hollow. Dzisiaj wieczorem jadę, żeby z nim porozmawiać.

— Morgan i ja jedziemy wieczorem do motelu Abigail, żeby przejrzeć jej stare księgi meldunkowe.

Sharp zerknął na swoją komórkę.

— Mamy teraz godzinę lub dwie luzu, powinniśmy zrobić sobie przerwę na obiad.

Nie możemy pracować na pełnych obrotach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. To niezdrowe i nie wiemy, jak długo będzie się ciągnąć ta sprawa.

— Masz rację — przyznała Morgan. — Jadę do domu zobaczyć się z dziewczynkami i zjeść z nimi obiad.

Lance skinął głową.

— Powiniennem wstąpić na lodowisko i pomóc Zachowi z treningiem. Ostatnio zaniedbywałem dzieciaki.

Telefon Morgan zawibrował. Zerknęła na ekran.

— To Mac, przepraszam, muszę odebrać.

Wyszła na korytarz i odebrała połączenie.

— Mac, czy wszystko w porządku?

— To nic wielkiego — powiedział Mac. — Ava została po szkole, bo mieli próbę do szkolnego przedstawienia — Odchrząknął. — Wdała się w bójkę i jest w biurze dyrektora.

Morgan na chwilę zamarła ze zdumienia.

— Ava wdała się w bójkę?

— Tak powiedział dyrektor — westchnął Mac. — Czy mam po nią pojechać, czy wolisz sama to załatwić?

— Pojadę po nią, dzięki, Mac. — Morgan zakończyła połączenie, zatroskana. Wróciła do biura i wyjaśniła sytuację Lance'owi i Sharpowi. — Przepraszam, muszę ją odebrać, a nawet nie mam tu mojego samochodu.

— Zawiozę cię. Ale to nie ma sensu. — Lance zmarszczył brwi. — Ava to najgrzeczniejsze dziecko na świecie.

— Wiem! Zawsze przestrzega zasad! — Morgan wrzuciła dokumenty do torby i poszła z Lancem do jeepa.

Zawiózł ją do szkoły. Nim zaparkował przed budynkiem, żołądek Morgan zaczął się skręcać z poczucia winy. Dużo pracowała poza domem, czy Ava czuła się zaniedbana?

Przeszli przez parking i Lance otworzył przed nią drzwi. W poczekalni przez gabinetem kilka plastikowych krzesełek stało naprzeciwko biurka sekretarki. Ava siedziała w rogu. Jej buzia pokryta była rozmazanymi łzami, a oczy zaczerwienione. Jedno puste krzeselko oddziało ją od chłopca, który wyglądał na co najmniej osiem

lat i kobiety, która jak Morgan założyła, była jego matką. Matka i syn mieli takie same rude włosy i widać było ewidentne rodzinne podobieństwo.

Ava podciągnęła kolana pod brodę i kulila się kącie, jakby chcąc znaleźć się jak najdalej od chłopca i jego matki. Nic dziwnego. Matka wpatrywała się w nią wściekłym wzrokiem, podczas gdy chłopiec zerkał na nią z zadowolonym z siebie uśmiechem.

Gdy tylko dostrzegła Morgan, Ava rzuciła się w jej objęcia. Morgan pochyliła się i złapała ją, obejmując mocno drżące ciało córki.

— *Ciii*, wszystko w porządku.

— Zdecydowanie *nie* jest w porządku — Rudowłosa kobieta wstała, krzywiąc się w ich stronę. Zmarszczyła czoło i oszacowała Lance'a od stóp do głów. Następnie odwróciła się w stronę Morgan, marszcząc brwi. — Pani córka kopnęła mojego syna w jego... hm, intymne części ciała.

Z gabinetu wyszła dyrektorka.

— Pani Dane, *wreszcie* pani dotarła. Możemy teraz przedyskutować ten incydent. — Spojrzała surowo na Lance'a, unosząc jedną brew.

Morgan przedstawiła go.

— Pani dyrektor Small, to Lance Kruger.

Dyrektorka wskazała na niewielką salę konferencyjną przylegającą do jej gabinetu.

— Pani Sloan czeka.

Pani Sloan była nauczycielką muzyki.

— Zaczekaj tutaj — powiedziała matka do swojego syna, ruszając w stronę otwartych drzwi.

— Za moment przyjdę, gdy już porozmawiam z moją córką. — Morgan wyprostowała się, kładąc dłoń na ramieniu Avy.

— Już i tak czekamy. — Dyrektorka skrzyżowała ręce na piersi.

— Doceniam to. Za moment przyjdę. — Morgan wyprowadziła Awę na korytarz i przykucnęła przy niej. Lance oparł się o ścianę. Morgan odgarnęła włosy córki z jej twarzy. Jej skóra była spocona i gorąca. — Weź głęboki oddech i powiedz mi, co się stało.

Oddech Avy był urywany po długim płaczu.

— Bret ciągle ciągnął mnie za włosy. — Pociągnęła nosem i otarła go ręką. —

Prosiłam go, żeby przestał, ale. — Kolejne pociągnięcie nosem. — Nie słuchał mnie. To bolało.

— Czy powiedziałaś o tym nauczycielce? — zapytała Morgan.

Ava skinęła głową.

— Pani Sloan powiedziała, że pewnie mnie lubi. Skoro mnie lubi, to dlaczego tak robił, żeby mnie bolało?

— Twoja nauczycielka się myli. — Morgan z trudem pohamowała irytację. — Chłopcy nie robią krzywdy dziewczynkom, które lubią.

Robią to, ponieważ sprawia im to przyjemność i jeśli nikt ich nie nauczy odpowiednich manier, wyrastają na mężczyzn pozbawionych szacunku dla innych, jak Warren Fox lub asystent prokuratora okręgowego Esposito.

— A więc nauczycielka nie poprosiła go, żeby przestał? — zapytała Morgan.

— Nie, ciągnął mnie jeszcze mocniej potem. — Potarła punkt za uchem i świeże łzy napłynęły jej do oczu. — Powiedział, że pożałuję, jeśli jeszcze raz na niego naskarzę.

Morgan wyłowiła z torby chusteczkę i podała ją Avie. Następnie delikatnie obróciła ją i sprawdziła miejsce, które miała pocierać. Poczowała jak wzbiera w niej gniew. Za uchem Avy widać było spuchnięty, zaczerwieniony łysy placek wielkości momenty ćwierćdolarowej.

Ten łobuz wyrwał Avie kosmyk włosów.

Lance pochylił się. Jego twarz napięła się.

Morgan zaczerpnęła powietrza, starając się opanować.

— A więc kopnęłaś Breta?

Ava powoli skinęła powoli głową.

— Dziadek pokazał mi, jak sprawić, żeby chłopiec przestał mnie dotykać, gdy tego nie chcę.

Dziadek...

Morgan pohamowała uśmiech. Ona i jej siostry dostały od dziadka tę samą lekcję i też dobrze im się przysłużyła.

— Pani Sloan powiedziała, że będę miała duże kłopoty. — Ava wytarła nos chusteczką.

— Czy to prawda?

— Nie. — Morgan przytuliła ją. — Dobrze postąpiłaś. Poprosiłaś najpierw o

pomoc i obroniłaś się, gdy nie miałaś innego wyjścia. Porozmawiam z panią Sloan.

Wstała, wzięła córkę za rękę i we trójkę weszli z powrotem do poczekalni przed gabinetem dyrektorki.

— Czy możesz zostać tu z Avą? — poprosiła Lance’a.

— Z przyjemnością. — Lance wyciągnął rękę i Ava ją złapała. Przysunęła się do niego bliżej, przyklejając się do jego nogi. Gdy Lance usiadł na jednym z plastikowych krzesełek, wdrapała mu się na kolana. Objął ją swoimi potężnymi ramionami, a ona wtuliła się w niego i wreszcie rozluźniła, niewątpliwie po raz pierwszy w czasie tego popołudnia czując się wreszcie bezpiecznie.

Morgan niemal zawstydziała się, gdy poczuła przyływ przyjemności na widok tego, jak chłopak przesunął się na ostatnie wolne krzeselko, żeby znaleźć się możliwie jak najdalej od Lance’a.

Niemal.

Nauczycielka, dyrektorka i matka chłopca siedziały przy okrągłym stole w pokoju konferencyjnym.

Dyrektorka wskazała na nauczycielkę.

— Pani Sloan prowadzi próby do szkolnego przedstawienia.

Pani Sloan zmrużyła oczy.

— Podczas dzisiejszej próby pani córka kopnęła Breta. Mogła mu zrobić poważną krzywdę.

Morgan usiadła.

— Czy moja córka zwróciła się do pani wcześniej o pomoc?

— Cóż, tak — pani Sloan wydeła usta. — Ale to była taki drobiazg. Dzieciaki są teraz takie przewrażliwione, muszą być trochę twardsze.

— O co dokładnie poprosiła Ava? — zapytała Morgan.

Pani Sloan uniosła podbródek.

— Chciała, żebym powiedziała Bretowi, żeby nie ciągnął jej za włosy.

— Czy użyła słowa „ciągnąć”? — Morgan weszła w tryb przesłuchania.

— Nie przypominam sobie jej dokładnych słów — prychnęła pani Sloan.

— Jak załatwiła pani tę sytuację? — Morgan spojrzała na nią twardo.

Pani Sloan poruszyła się na krześle.

— Powiedziałam mu, żeby przestał. Dzieci to dzieci. Pani córka musi się trochę uodpornić.

— Trzymanie rąk przy sobie to prosta zasada, którą wszystkie dzieci powinny przyswoić.

— Uściśliła Morgan. Nie miała ochoty wysłuchiwać tłumaczeń, że chłopcy zawsze rozrabiają.

Matka Breta prychnęła.

— Na pewno Bret po prostu chciał się zaprzyjaźnić.

Morgan zignorowała ją. Ta kobieta nie miała pojęcia, co wyprawiał jej syn.

— Czy wyegzekwowała to pani? — zapytała Morgan panią Sloan. Wyobraziła sobie zajętą nauczycielkę, zirytowaną czymś, co wydawało jej się błahym zakłóceniem porządku.

— Nie wiem, do czego pani zmierza, pani Dane — wtrąciła się dyrektorka. — Pani córka przyznała się, że kopnęła Breta. Koniec historii.

— Och, wcale nie. To nawet nie jest bliskie końca — powiedziała Morgan. — Macie obowiązek chronić moją córkę, gdy znajduje się pod waszą opieką. Nie zrobiliście tego. Zmusiłyście sześciolatkę, by broniła się przed dużo starszym dzieckiem. Bret wyrwał jej kosmyk włosów, tak że skóra na jej głowie krwawi.

— Ja... — pani Sloan odchyliła się do tyłu.

Najwyraźniej zabrakło jej słów. Morgan mówiła dalej.

— Ten chłopiec jest starszy od Avy. Jest dwa razy od niej większy i dokuczał mojej córce. Pani nie sprawiła, że przestał. To *on* powinien mieć kłopoty, nie moja córka.

Pełen zadowolenia uśmiech zniknął z twarzy jego matki.

Czy niektóre dzieci rodziły się wredne czy też uczyły się tego od rodziców?

To nie miało znaczenia.

Nie wszystkie dzieci były miłe. Nie wszyscy ludzie byli mili. To był fakt i dlatego dziadek uczył wszystkie dzieci w rodzinie, jak sobie radzić.

— Zawsze karzemy wszystkich uczestników bójek — powiedziała rzeczowo dyrektorka tonem kończącym dyskusję. — Nasza szkoła ma politykę zero tolerancji dla przemocy. Nie mam wyboru. Oboje dzieci zostaje zawieszonych na dwa dni. Dzisiaj jest środa. Ava może wrócić do szkoły w poniedziałek.

— Daje pani mojej córce karę zawieszenia? Ona ma *sześć lat!* — wykrzyknęła z niedowierzaniem Morgan. — A dokuczenie innym jest dopuszczalnym zachowaniem?

— Nie mam wyboru — powtórzyła dyrektorka. — Bret również zostanie ukarany.

Takie mamy zasady.

— Bret groził Avie i zaatakował ją — powiedziała Morgan. — Gdyby osoba dorosła zrobiła coś takiego innej osobie dorosłej, mogłaby być oskarżona o napaść i pobicie.

Z twarzy dyrektorki odpłynęły wszelkie kolory.

— To tylko dzieci.

Morgan pochyliła się do przodu, spoglądając dyrektorce w oczy.

— Gdybym sięgnęła i wyrwała pani kosmyk włosów, co by pani zrobiła? Czy uznałaby to pani za błażostkę? Czy też by to pani zlekceważyła? Jestem od pani wyższa i silniejsza, mogłabym to z łatwością zrobić.

Morgan zamilkła na chwilę.

— A więc nie tolerowałaby pani takiego zachowania wobec siebie, ale spodziewa się, że moja córka powinna być *twardsza*? Wydaje mi się, że jest dostatecznie twarda.

— Nie wiedziałam, że zrobił jej krzywdę — powiedziała słabym głosem pani Sloan.

Nie zadała sobie pani trudu, by to sprawdzić.

— Jeśli dzieci będą się obawiały bronić, to wasza polityka będzie chronić chuliganów i łobuzów — zwróciła się Morgan do dyrektorki. — Czy wiedziała pani, że kiedyś byłam asystentką prokuratora okręgowego, a teraz jestem prawnikiem, zajmującym się prawem karnym?

— Nie. — Dyrektorka wyglądała, jakby po usłyszeniu tej informacji zrobiło jej się niedobrze.

— Czy wiedziała pani, że można pozwać rodziców dziecka, które dopuszcza się przemocy? — zwróciła się Morgan do matki chłopca.

Matka Breta otworzyła usta. Najwyraźniej jedynym, co docierało do tej kobiety, była perspektywa, że ten incydent może ją kosztować pieniądze, nie to, że jej syn skrzywdził inne dziecko.

— Teraz już pani wie. — Morgan wstała. — Jutro wszystkie panie dostaniecie e-maile z podsumowaniem dzisiejszej rozmowy. Jako że dotyczy to spraw dyscyplinarnych, prześlę kopię radzie szkoły i kuratorium. Osobiście uważam, że moja córka zachowała się w tej sytuacji bez zarzutu.

Nikt nie odpowiedział, jednak Morgan tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi. Nie spodziewała się też, żeby Bret jeszcze kiedyś dokuczał Avie. Nie

miała wprawdzie nadziei, że matka z nim porozmawia, ale dobrze wycelowany kopniak Avy powinien go czegoś nauczyć. Większość tego typu łobuzów nie czepiała się dzieci, które odpowiadały atakiem na atak.

— Do widzenia. — Sfrustrowana Morgan wyszła z pokoju.

Ava wyprostowała się na jej widok.

— Mam kłopoty?

— Nie, skarbie. I będziesz miała kilka dni wolnego od szkoły. Może ty i Gianna będziecie mogli porobić coś fajnego.

— Ale ja chcę chodzić do szkoły. — Do oczu Avy napłynęły łzy i wtuliła się w Lance'a.

— Wiem, skarbie i przykro mi. — Morgan pogłaskała ją po głowie. — Ale postąpiłaś słusznie. Zawsze masz prawo się bronić.

Lance spojrzał na Morgan, zaciskając usta. Wstał, wciąż trzymając Avę w objęciach.

— Zawieźmy was do domu.

Postawił Avę, a ona wsunęła swoją drobną rączkę w jego potężną dłoń, tak jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

— Czy możemy iść na lody? — zapytała Ava z nieśmiałym uśmiechem.

Morgan spojrzała na zalaną łzami twarz córki.

— Oczywiście. Wiesz co, kupimy lody dla wszystkich.

— Zwłaszcza dla dziadka. — Ava ruszyła żywszym krokiem, gdy wyszli z budynku.

— Tak, zwłaszcza dla dziadka — zgodziła się Morgan.

Wsiadli do auta.

— Może zostaniesz wieczorem z dziećmi? — zaproponował Lance. — Wezmę ze sobą Sharpa.

— Na pewno? — Morgan zerknęła na tylne siedzenie. Widok Avy z główką opartą smutno o zagłówek fotelika sprawił, że ścisnęło jej się serce. Czasami znajdowanie równowagi między macierzyństwem, a pracą zawodową przypominało zonglowanie surowym jajkiem, odbezpieczonym granatem i piłą łańcuchową. W każdej chwili coś mogło pęknąć, wybuchnąć lub pociąć ją na kawałki.

— Sharp i ja poradzimy sobie z jedną rozmową. Ava cię dziś potrzebuje.

— Masz rację, dziękuję.

Lance wskazał głową w kierunku tylnego siedzenia.

— Dzisiaj *ona* jest najważniejsza.

Kupili kilka pojemników lodów i Lance odwiózł Morgan i Avę do domu. Morgan została jak zwykle powitana przez gromadkę dzieci i psów, tworzących radosny chaos.

Mac stał za nimi wszystkimi.

— Jeśli nie potrzebujesz już niczego dzisiaj wieczorem, to pojedę do domu zobaczyć się ze Stellą, zanim wyjdzie do pracy. Ma dzisiaj jakieś zebranie.

— Poradzimy sobie. — Morgan uściskała Maca. — Dziękuję za wszystko.

Mac wyszedł. Morgan zamknęła drzwi frontowe, rzuciła płaszcz i torbę na fotel. Zniosła lody do kuchni i schowała je do zamrażarki.

Gianna zajrzała do piekarnika.

— Zapiekanka z makaronem i serem już prawie gotowa. Dziewczynki, idźcie umyć ręce.

— Gianna zrobiła chleb czosnkowy! — zawołała Mia, wychodząc z resztą dziewczynek za Gianną z kuchni.

— Co się wydarzyło w szkole? — zapytał dziadek.

Morgan wyjaśniła mu.

— Nie zyskałam sobie w szkole nowych przyjaciół. — Morgan nie mogła przestać odtwarzać w myślach rozmowy z gabinetu dyrektorki. Ile razy będzie jeszcze w siebie wątpić? — Czy uważasz, że zareagowałam przesadnie?

Pomyślała o tym, jak Warren Fox ją złapał, o tym, jak śmierdział, o tym, że zostawił na jej ramieniu siniaki. Incydent z Esposito nie był aż tak brutalny, ale on również próbował ją zastraszyć. Dotknęła szyi, na której dwa miesiące wcześniej miała siniaki po tym, jak dusił ją Tyler Green. A teraz musiała też liczyć się z możliwością, że Tyler ją prześladowuje.

Czy dzisiejsze zajęcia z udziałem Avy uderzyły w jej wrażliwy punkt i pozwoliła, by jej emocje wzięły nad nią górę?

Dziadek prychnął.

— Czy powinnaś była odpuścić, żeby *być miłą* dla dyrektorki i nauczycielki?

— Nie. — Morgan sięgnęła po stos poczty na blacie. — Nie będę się kłaniać przed tymi, którzy odwracają wzrok, zamiast zająć się trudną sprawą. Założę się, że to nie ostatni raz, gdy Bret kogoś prześladowuje.

— Ale raczej nie będzie już wybierał za cel Avy. — W głosie dziadka zabrzmiało

zadowolenie. — Chyba że będzie miał suspensor.

— Będę miała dzieci w tej szkole przez kolejne dziewięć lat — powiedziała Morgan. — Zapewne już uznali mnie za kogoś, kto sprawia kłopoty.

— A może twoja reakcja wpłynie na to, jak szkoła w przyszłości będzie załatwiała takie sprawy.

— Może. — Morgan nie spojrzała na to w ten sposób. — Ale byłam wściekła. Naprawdę, a rzadko tracę nad sobą panowanie. Jestem dorosła, ale to naprawdę wytrąciło mnie z równowagi.

— Ktoś skrzywdził twoje dziecko, a ty zachowałeś się jak matka niedźwiedzica. — Dziadek skrzyżował ramiona. — Teraz będą wiedzieli, że nie należy zadzierać z tobą, ani z Avą. Nie ma w tym nic złego.

Morgan przejrzała pocztę. Głównie śmieci. Odłożyła te listy na bok. Obok kopert na blacie leżało kwadratowe kartonowe pudełko. Imię, nazwisko i adres Morgan były wydrukowane na górze, jednak nie było żadnego adresu zwrotnego.

— Co to?

Dziadek wykręcił szyję, by zerknąć na paczkę.

— Gianna mówiła, że przyniosła to sąsiadka, mieszkająca dwa domy dalej. Powiedziała, że ktoś zostawił to na jej ganku popołudniu. Najwyraźniej kurier pomylił domy.

— Nie ma żadnego znaczka ani etykiety. — Morgan poczuła instynktowny niepokój.

Tak samo jak dziadek.

— Powinienem był zwrócić na to uwagę. Nie dotykaj tego. Powinniśmy zadzwonić do Stelli.

— Może nie działajmy pochopnie. To może być cokolwiek. — Morgan podeszła do krzesła przy drzwiach frontowych i wyjęła ze swojej torby parę gumowych rękawiczek. Wróciła do kuchni i za pomocą nożyczek rozcięła taśmę na rogach pudełka. Gdy je otworzyła, znalazła zdjęcia, ułożone na pogniecionym brązowym papierze.

Morgan podniosła je. Pierwsze przedstawiało ją, wychodzącą z sądu. Fotografujący najwyraźniej ją śledził. Kolejne zdjęcia przedstawiały ją w drodze do minivana, jak również zdjęcia, jak przyjeżdża pod dom, wysiada z samochodu, podchodzi do drzwi frontowych i wita się z dziećmi.

Moje dzieci!

Poczuła, jak przeszywa ją zimno i osadza się w jej piersi. Ręce zaczęły jej drżeć. Fakt, że jej prześladowca widział jej córki, sprawił, że Morgan poczuła się chora ze strachu.

Jednak dzieci nie były obiektem gniewu nadawcy listu. Każde zdjęcie miało narysowany krwistoczerwony krzyżyk na twarzy Morgan. Niektóre linie były wydrapane na zdjęciach, tak jakby ręka przyciskająca marker przyciskała tak mocno, by złamać jego końcówkę.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało zbliżenie twarzy Morgan. Zamiast czerwonego krzyżyka, widniały w nim otwory po kulach, tak jakby zdjęcie zostało użyte jako cel na strzelnicy. U dołu zdjęcia drukowanymi literami wypisana była wiadomość:

ZEMSTA TO PRAWDZIWA SUKA.

ROZDZIAŁ 24

Niewielki domek stał samotnie przy cichej, wiejskiej drodze. W pobliżu nie było innych domów ani żadnych innych pojazdów.

Nikogo dostatecznie blisko, by mógł usłyszeć krzyk.

Ponownie sprawdził adres. 212 Country Line Road, miejsce zamieszkania kolejnej osoby z jego listy.

Zaparkował samochód przy drodze i obserwował dom. Za wyjątkiem jednego pokoju od frontu, pozostałe okna były ciemne. Co dwoje starszych ludzi mogło robić wieczorem w tygodniu? Siedzieli w salonie i oglądali telewizję.

Gdy przez dziesięć minut nie zauważył żadnego ruchu, przestawił samochód trochę dalej i zaparkował za drzewami. Następnie wysiadł, nałożył kominiarkę i rękawiczki. Czarne spodnie i bluza powinny pozwolić mu wtopić się w ciemności. Przerzucił przez ramię czarna poszewkę na poduszkę i przeszedł przez podwórko, obok przygotowanego na zimę warzywnika.

Niebo było zachmurzone i panował półmrok. Nie mógł ryzykować, że ktoś go przedwcześnie zobaczy. Biorąc pod uwagę, że tych w środku było dwoje, musiał ich zaskoczyć. Światło świeciło w jednym oknie. Pochylił się i przemknął do kolejnego. Wspiął się na palce, osłonił oczy dłonią i zajrzał przez ciemne szkło do pustej kuchni. Spod drzwi, prowadzących do pokoju dziennego, sączyła się smuga światła.

Czekał, nasłuchując.

Słyszał odgłos grającego telewizora. P.J. i jego żona musieli być oboje głusi jak pień. Obszedł dom dookoła, zaglądnął do każdego okna i starając się rozpoznać układ pomieszczeń. Oprócz salonu i kuchni znajdujących się od frontu, zauważył też trzy pokoje, z których jeden przekształcony został na biuro, drugi był sypialnią, a trzeci zawierał dziecięce mebelki i zabawki, zapewne z myślą o wnukach.

Tylne drzwi miały w górnej połowie dziewięć szybek. Mógł przez nie zajrzeć wprost do salonu. Ponad oparciem sofy widział dwie siwe głowy. Starszy mężczyzna nie będzie w stanie z nim walczyć, starsza kobieta również nie stanowiła poważnego zagrożenia.

Spojrzał na latarkę, którą trzymał w dłoni. Równie łatwo byłoby powalić ich oboje

ciosem w głowę. Jednak to impulsywne zachowanie sprawiło, że znalazł się w tej sytuacji. Nie mógł ryzykować, że jedno z nich będzie miało dość czasu, żeby zadzwonić po pomoc. Mając dwa cele, będzie musiał działać szybko. Poza tym w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć strzał.

Położył dłoń w rękawiczce na klamce i obrócił ją. Najwyraźniej ani P.J. ani jego żona nie uważali, żeby istniała potrzeba zamykania drzwi, gdy mieszka się na wsi. Zazwyczaj mieliby rację. Tyle, że nie dzisiaj.

Popchnął drzwi, przestąpił próg i przekradł się krótkim korytarzykiem obok pralni i toalety. Stał w drzwiach. Żadna z siwych głów nie obróciła się w jego stronę. Telewizor zagłuszał jego kroki. Podszedł bliżej, wyjmując pistolet z kieszeni. Dywan tłumił odgłos jego kroków. Kobieta pochylała się nad krzyżówką. P.J. skierował pilota w stronę telewizora i zmieniał kanały, aż natrafił na wiadomości.

Dłoń starego człowieka drżała. Czy będzie w stanie w ogóle wstać? Błękitna koszula i dżinsy zwisały z jego wychudłego ciała. Miał zapadnięte policzki, jakby już był na wpół trupem. Kobieta była równie krucha, nie mogła ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Żona P.J.-a nagle zamarła i odwróciła głowę. Nie wydał żadnego dźwięku, musiała go wyczuć w inny sposób. Skoczyła na równe nogi, otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

P.J. z trudem wstał i wymierzył drżący, pokrzywiony palec w niego.

— Stój tam, gdzie stoisz!

Starzec zmrużył oczy, patrząc na niego.

— Znam cię.

Większość ludzi wahała się, nim zabiła inną ludzką istotę. Ale nie on. On nie zawahał się nawet na chwilę.

Wycelował w starca i pociągnął za spust. Na jasnoniebieskiej koszuli wykwitła czerwona plama. Stary człowiek upadł na kolana.

— Nie! — krzyknęła kobieta i rzuciła się w stronę męża. Szlochając, przycisnęła dłoń do rany od kuli. Gdy spojrzała na niego z płaczem, w jej twarzy nie było niczego poza niedowierzaniem i niezrozumieniem tego, co się stało.

Nie było jej na jego liście, ale nie mógł darować jej życia.

Zanim otrząsnęła się z pierwotnego szoku, pociągnął za spust jeszcze raz, trafiając ją w twarz. Krew i mózg bryznęły na dywan. Upadła bokiem na ciało męża.

Podszedł bliżej i najpierw sprawdził puls mężczyzny, a potem kobiety. Oboje nie

żyli. Skreślił kolejne nazwiska ze swojej listy.

Teraz musiał zająć się miejscem zbrodni.

Diament w pierścionku zaręczynowym kobiety był przyzwoitej wielkości. Zdarł jej go z palca i wrzucił w poszewkę. Następnie przestąpił przez ciała i wszedł do sypialni. Znalazł kasetkę z biżuterią na komodzie i wrzucił ją do poszewki. Poruszając się szybciej, podszedł do szafki nocnej i opróżnił leżący na niej skórzany składany portfel mężczyzny. Zostawił opróżniony, otwarty portfel na szafce.

Wrócił do pokoju dziennego, otworzył biurko i znalazł niewielki zapas gotówki. Zostawił wywróconą szufladę na dywanie i wcisnął pieniądze do poszewki. Zostawił iPada i laptopa. Nie chciał zabierać niczego, co mogłoby być wyposażone w GPS. Otworzył jeszcze kilka szuflad i zostawił je wybebeszone i otwarte. Następnie ruszył do kuchni.

Odgłos trzaśnięcia drzwi od samochodu zatrzymał go w miejscu.

Ktoś był na zewnątrz.

Odłożył poszewkę przy tylnych drzwiach i podkradł się do okna w salonie, wyglądając ostrożnie zza ramy.

Ktoś nadchodził ścieżką od frontu.

ROZDZIAŁ 25

Sharp zaparkował przed niewielkim domem P.J.-a Hoolihana w Grey's Hollow. Po tym, jak trzy lata wcześniej przeszedł wylew, P.J. i jego żona przeprowadzili się do tego małego domku na wsi. Według ich syna, P.J. musiał mieć dom jednokondygnacyjny, jednak jako że był człowiekiem kochającym wieś, nie chciał się przeprowadzić na osiedle dla seniorów. Potrzebował ciszy, spokoju i kawałka własnej ziemi.

Sharp odłączył telefon od ładowarki samochodowej. Bateria ledwo się podładowała, może kabelek nie stykał. Wetknął telefon do kieszeni.

Sharp podszedł chodnikiem do drzwi frontowych i zastukał. Nikt nie odpowiedział. Sharp odwrócił się i rozejrzał po podwórku. Na podjeździe stał zaparkowany niewielki sedan. Sharp poczuł, jak włoski na karku mu się jeżą.

Osłonił dłonią oczy i zajrzał przez wąskie okienko obok drzwi do środka.

Pomiędzy sofą a telewizorem dostrzegł dwa ciała. Ciemne plany rozlewały się wokół nich na dywanie.

Nie!

Wyjął telefon i zadzwonił pod 911. Wiedząc, że ma do czynienia z miejscem zbrodni, Sharp wyjął z kieszeni rękawiczki i naciągnął je na dłonie. Sprawdził klamkę i omal nie wpadł do środka, gdy drzwi ustąpiły.

Przez dwadzieścia pięć lat służył w policji, jednak drgnął, gdy wszedł do salonu i z bliska przyjrzał się ofiarom.

P.J. patrzył w sufit. Został postrzelony w środek klatki piersiowej. Ale jego żona...

Leżała przerzucona przez brzuch męża. Połowa jej twarzy zniknęła. Fragmenty kości i mózgu obryzgały jasny dywan. Krwiste ślady znaczyły ekran telewizora. Sharp przykucnął przy ciałach. Zdjął rękawiczkę i palcem sprawdził puls na szyi P.J., a potem jego żony. Obydwoje nie żyli, jednak śmierć musiała nastąpić przed chwilą. Serca przestały pompować krew, jednak grawitacja wciąż działała i krew wypływała z twarzy pani Hoolihan. P.J. musiał umrzeć szybko. Jego rana na piersi prawie nie krwawiła.

Czy strzelec nadal znajdował się w pobliżu?

Sharp poczuł gonitwę myśli w głowie. Ten, kto zastrzelił tych biedaków, nie chciał, by P.J. mówił o Mary. Dlaczego? Prawdopodobnie zabójca był tym, kto zabił Mary. Czy zabił też Victora?

Sharp rozejrzał się po pokoju, ogarniając jednym spojrzeniem wybebeszone szuflady i ślady przeszukania. Wiedział jednak, że to nie był napad rabunkowy i nie nabrał się na to nawet przez chwilę.

Za oknem poruszył się cień.

Strzelec wyszedł tylnymi drzwiami i okrążył dom.

Sharp podkraść się do drzwi. Człowiek, który znajdował się na zewnątrz, mógł być kluczem do zagadki, która zrujnowała dwa życia i pożarła dwadzieścia trzy lata kariery Sharpa.

Uchylił ostrożnie drzwi i wyjrzał na zewnątrz przez szparę.

Postać dotarła do linii ozdobnych drzewek, rosnących, jak zakładał Sharp, na granicy działki. Zapewne gdzieś tam miała zaparkowany samochód.

A skoro miała samochód, to może będzie można go wykorzystać, by ją zidentyfikować.

Sharp wyslizgnął się ze środka i przymknął za sobą drzwi. Wytężając wzrok w ciemnościach, próbował odszukać postać w cieniach, jednak nie dostrzegł niczego. Schylając się, przebiegł przez trawnik w kierunku drzew, licząc na to, że może uda mu się dostrzec tego mężczyznę, jego samochód lub numery rejestracyjne.

Cokolwiek.

Gdyby zatrzymał się, aby zadzwonić po szeryfa, napastnik zniknąłby na długo przed przybyciem pomocy.

Sharp dotarł do drzew. Schował się za dorodną sosną i wyjrzał zza pnia, jednak nikogo nie dostrzegł. Czy morderca uciekł? Sharp nasłuchiwał odgłosu silnika, jednak słyszał tylko szum wiatru w koronach drzew i łomotanie własnego serca.

Gdzieś w ciemnościach czaił się uzbrojony morderca, który nie miał oporów przed korzystaniem z broni. Morderca, którego należało powstrzymać.

Sharp przekradł się przez kilka metrów otwartej przestrzeni do kolejnego drzewa, które jednak nie było dostatecznie szerokie, żeby zapewnić mu odpowiednią ochronę. Nie marnując czasu, ruszył w kierunku kolejnego.

Dziesięć metrów dalej zza drzewa wynurzyła się postać. Pistolet wypalił z rozbłyskiem pomarańczowego światła. Sharp poczuł rozdzierający ból w ramieniu.

Padł na ziemię i przeturlał się za drzewo. Dysząc ciężko, wyjrzał zza drzewa i zobaczył, jak ubrana na czarno postać znika wśród gęściejszych zarośli. Chwilę później usłyszał odgłos uruchamianego silnika i odjeżdżający samochód.

Sharp przetoczył się na plecy i przycisnął dłoń do zranionego bicepsa. Krew sączyła się między jego palcami.

Cholera!

Staął na nogach i ruszył do swojego samochodu, żeby poczekać na pomoc. Wyjął apteczkę, zdjął zniszczoną kurtkę i odciął rękaw koszuli. Potrzebował szwów, ale nie wyglądało, by miał się wkrótce wykrwawić. Polał krwawiącą ranę środkiem dezynfekującym, co paliło, jakby polał ją benzyną i podpalił. Otworzył boczne drzwi, usiadł bokiem na siedzeniu i zwiesił głowę między kolana. Gdy grunt przestał się kołysać, wyprostował się i owinął ranę bandażem.

Funkcjonariusze szeryfa przyjeżdżali kolejno, jednak jego samego nadal nie było trzydzieści minut później. Może miał szczęście. Może szeryf King nie był dostępny. W tym tygodniu miał wiele na głowie i nie mógł przecież być wszędzie. Sharp był zadowolony, że zamiast tego jego zeznanie spisze któryś z funkcjonariuszy.

Kolejne piętnaście minut później jego uwagę zwrócił odgłos nadjeżdżającego samochodu. Po chwili na drodze zaparkował samochód szeryfa.

Sharp zazgrzytał zębami. Nie był w nastroju na radzenie sobie z szeryfem. Ramię go paliło.

King przeszedł przez drogę, oparł dłonie na biodrach i nachylił się nad Sharpem.

— Co tu robisz, Sharp?

Sharp wzruszył ramionami.

— Przyjechałem, żeby wypytać P.J.-a o Mary. — Zerknął na samochód patologa zaparkowany przy krawężniku. — Wygląda na to, że ktoś nie chciał, by P.J. mówił.

Szeryf King pokiwał palcem w stronę nosa Sharpa.

— Nie ruszaj się stąd.

Sharp oparł się o samochód, skrzyżował ramiona na piersi i czekał. Jego ramię paliło, jakby ktoś przypiekał je nad ogniskiem.

Dwadzieścia minut później szeryf wyszedł z domu, ściągając po drodze rękawiczki.

— Miałem porozmawiać rano z P.J.-em — powiedział ze złością. — Powiedz mi, co dokładnie się wydarzyło.

Sharp powtórzył swoje zeznanie.

— A więc pozwól, że to podsumuję. Nie jesteś uzbrojony, jednak poszedłeś za mordercą.

— Szeryf potrząsnął głową.

— Tak. — Patrząc wstecz, nie był to przykład zdrowego rozsądku ze strony Sharpa. — Chyba adrenalina mną kierowała.

Oraz gniew i desperacja. Ścigał tego człowieka od ponad dwóch dekad. Dzisiaj był opętany myślą, żeby go dopaść, człowieka, który zabił Mary, Crystal — i być może również Vica.

— Jak wyglądał strzelec? — zapytał King.

— Nie wiem. Było ciemno. Miał na sobie luźne czarne ubrania i czapkę, a twarz miał zakrytą kominiarką. Był zbyt daleko, żebym mógł ocenić jego wzrost i wagę. Był średniego lub wysokiego wzrostu, szczupły lub o normalnej budowie ciała.

— Nie potrafisz powiedzieć nic więcej niż średni do wysokiego wzrost, ciemny strój, nie gruby?

— Nie. — Sharp odtworzył w myślach pościg jeszcze raz. — Czy odkryłeś coś o Mary, co P.J. mógłby wiedzieć? Coś na tyle ważnego, by z tego powodu ktoś ją zabił?

Szeryf King spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

— Nie będę się dzielił informacjami na temat trwającego śledztwa w sprawie o zabójstwo. To moja sprawa. Trzymajcie się od niej z daleka.

— Śmierć Mary Fox jest związana ze zniknięciem Victora Krugera — powiedział Sharp. Rana na ramieniu pulsowała w rytmie uderzeń jego serca i czuł, że jeśli wkrótce się nie położy, zwymiotuje.

Szeryf odwrócił się i zrobił dwa kroki w przeciwnym kierunku. Oparł dłonie na biodrach i pochylił głowę, wyrażając postawą nastawienie w stylu „Boże, daj mi siły”. Jego cały tors poruszył się, gdy nabrał potężny haust powietrza. Znowu odwrócił się w stronę Sharpa.

— Jeśli staniesz mi na drodze, zarówno ty, jak i Kruger traficie do celi pod zarzutem utrudniania śledztwa.

— Nie utrudnialiśmy ci śledztwa w najmniejszym stopniu. — Ból w ramieniu sprawił, że Sharpowi zaczynało się kręcić w głowie, a w jego słowach nie było ognia. — Nie chcesz wiedzieć, dlaczego P.J. Hoolihan i jego żona zostali zamordowani, zanim miałeś szansę porozmawiać z nim o Mary Fox?

W odpowiedzi szeryf prychnął ze złością i spojrzął na niego gniewnie.

— Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć. Nie potrzebujesz karetki?

— Nie — odpowiedział. To była głupota. Oczywiście, że jej potrzebował.

King przewrócił oczami.

— Cóż, nie możesz jechać sam do szpitala. Daj mi pięć minut, znajdę funkcjonariusza, który zawiezie cię na oddział ratunkowy.

— Dzięki — powiedział niechętnie Sharp.

— Zostaw kluczyki w samochodzie, na wypadek, gdybyśmy musieli go przestawić — rzucił szeryf na odchodnym.

Sharp miał ochotę zaprotestować, jednak nie zrobił tego. Już i tak miał dość problemów z szeryfem. Nikt nie ukradnie jego samochodu z miejsca zbrodni.

Czekając, postanowił zadzwonić do Lance'a.

— Gdzie jesteś? — zapytał Sharp.

— Właśnie wychodzę z treningu hokeja i jadę do motelu — odparł Lance.

— Ktoś zastrzelił P.J.-a i jego żonę. — Sharp podsumował zdarzenia ostatniej godziny.

— Zostałem draśnięty kulą w ramię. Ktoś mnie zawiezie do szpitala.

— Zostałeś postrzelony? — krzyknął Lance.

Sharp odsunął telefon od ucha.

— To tylko draśnięcie.

— Z draśnięciem nie jedzie się do szpitala.

— Potrzebuję kilku szwów — przyznał Sharp. — I czystej koszuli.

— Jadę. — Przez głos Lance'a przebił się chrzęst opon po żwirze i odgłos przyspieszającego silnika. Gdziekolwiek się znajdował, Lance zawracał. — Spotkam się z tobą w szpitalu.

Sharp zakończył połączenie. Funkcjonariusz pomachał do niego, stojąc obok samochodu patrolowego. Sharp wsiadł na siedzenie pasażera i przez całą drogę do szpitala patrzył w okno.

Co takiego wiedział P.J.?

ROZDZIAŁ 26

Lance odsunął zasłonkę na wydziale ratowniczym. Gdy zobaczył Sharpa siedzącego na leżance, odetchnął z ulgą. Pielęgniarka właśnie bandażowała jego biceps.

— I jak to wygląda? — Lance położył na leżance czystą koszulę, którą przywiózł Sharpowi.

— Piętnaście szwów. — Pielęgniarka przykleiła końcówkę bandaża i odsunęła się, ściągając niebieskie rękawiczki. — Zaraz wrócę z wypisem.

Krzywiąc się, Sharp sięgnął po koszulę. Lance pomógł mu ją naciągnąć na zranioną rękę i ramię, następnie pomógł Sharpowi nałożyć polarową bluzę.

— Dzięki. — Sharp skubał dziurę w rękawie bluzy.

— To mogła być twoja głowa — powiedział Lance.

— Wiem, przepraszam.

— Co właściwie się stało? — zapytał Lance.

Sharp opowiedział mu o tym, jak znalazł P.J.-a i jego żonę martwych, jak gonił za zabójcą i został postrzelony. Nim dokończył opowieść, wróciła pielęgniarka.

— Szwy będzie można ściągnąć po siedmiu do dziesięciu dniach. — Wręczyła Sharpowi stos dokumentów. — Znajdzie tu pan też receptę na środki przeciwbólowe.

Lance schował złożoną kartkę do kieszeni i zszedł z leżanki. Jego ruchy były powolne i sztywne, chociaż zazwyczaj poruszał się energicznie i żwawo. Najwyraźniej odczuwał większy ból niż chciał się do tego przyznać.

Mógł zginąć. Gdyby kula uderzyła kilkanaście centymetrów w bok, Sharp miałby ziejącą dziurę w piersi, a nie jedynie draśnięcie. Lance potarł bolące miejsce tuż pod swoim mostkiem. Sharp nigdy wcześniej nie został postrzelony, był przerażając zdrowy, nigdy nawet nie miał stłuczki samochodowej. W oczach Lance'a uchodził za niezwykłego. Jednak nawet budząca podziw kondycja fizyczna Sharpa nie była w stanie ukryć faktu, że nie był Supermanem. Kule były kryptonitem dla każdego.

Podeszli do jeepa.

— Muszę odebrać mój samochód — powiedział Sharp.

Lance potrząsnął głową.

— Jutro. Dzisiaj nie powinieneś prowadzić.

Nie widział tego, ale wyczuł, że Sharp przewrócił oczami.

— Nic mi nie jest, Lance.

— Wiem. — Lance skierował jeepa w stronę biura.

Sharp potrząsnął głową.

— Jedźmy do „Motelu Przy Drodze”. — Sharp oparł głowę na zagłówek i zamknął oczy.

Lance nie zmienił kursu.

— Wstąpimy do biura, żebyś mógł wziąć swój pistolet. Wiem, że nie przepadasz za bronią, ale jeśli ktoś będzie do ciebie strzelał, będziesz mógł się bronić.

— Masz rację — westchnął Sharp.

Lance zaparkował przed budynkiem ich biura. Toyota prius Sharpa stała zaparkowana na podjeździe.

— Skąd mój samochód się tu wziął? — zapytał Sharp.

— Widocznie szeryf poprosił, żeby ktoś go tu podrzucił.

— A niech to! — Sharp uderzył w podłokietnik. — Właśnie w momencie, gdy mam ochotę żywić głęboką nienawiść do tego typu, on zachowuje się przyzwoicie.

Lance zaparkował przy krawężniku. Sharp wysiadł z samochodu, zatrzymał się przy toyocie, by zabrać kluczyk i wszedł zewnętrzną klatką schodową do swojego mieszkania. Wrócił kilka minut później z pistoletem u boku i w nowej kurtce bez dziury po kuli.

— Jesteś pewien, że chcesz ze mną jechać do motelu? — zapytał Lance, gdy Sharp usiadł na siedzeniu pasażera. — Nie poruszasz się z taką gracją jak zwykle.

— Nic mi nie jest — burknął Sharp i zerknął na zegarek. — Jedźmy już.

Nim Lance zdążył ruszyć, jego telefon zawibrował. Nie rozpoznał numeru na wyświetlaczu.

— Kruger — powiedział odebrawszy połączenie.

— Lance? — zapytał męski głos.

— Tak — potwierdził Lance, ruszając.

— Mówi Kevin Munro, przyjaciel twojej matki.

Kevin?

Zaniepokojony Lance znowu zatrzymał samochód.

— Co się dzieje?

— Martwię się o Jenny. — Głos Kevina stał się wyższy. — Rozmawiamy każdego wieczoru. Wysłałem jej trzy wiadomości i dzwoniłem dwa razy, nie odebrała. Zawsze odpowiada na moje wiadomości w ciągu mniej więcej dwudziestu minut.

— Może pracuje? — Jednak nawet mówiąc to, Lance zdawał sobie sprawę, że to nie trzyma się kupy. Jego matka spędzała większość czasu online. Pracowała online. Jeśli odebrała trzy wiadomości od Kevina, na pewno by mu odpowiedziała.

— Sam nie wiem. — W głosie Kevina brzmiał niepokój.

— Pojadę do niej od razu — zdecydował Lance i zawrócił jeepa.

— Czy dasz mi znać? — zapytał Kevin.

— Oczywiście. — Lance wdusił gaz i zakończył połączenie.

Sharp już dzwonił ze swojego telefonu. Po chwili potrząsnął głową.

— Nie odbiera.

Lance wdusił pedał mocniej. Jego matka zawsze odbierała telefony od Sharpa.

— Może medytuje albo ćwiczy jogę — powiedział Sharp, chwytając za podłokietnik, gdy Lance ostro skręcił.

— Może.

Ale żaden z nich w to nie wierzył. Matka Lance'a była zbyt przewidywalna, zbyt zależna od swojej rutyny.

Serce waliło Lance'owi szybciej, niż obracał się silnik jeepa. W trzy minuty dojechali na miejsce. Sharp jeszcze dwukrotnie wybierał numer, ale nikt nie odbierał.

Lance z rykiem wjechał na podjazd. Otworzył drzwi, jeszcze zanim samochód się zatrzymał na dobre. Podbiegli do drzwi frontowych. Lance otworzył je swoim kluczem i popchnął na oścież. Z korytarza widzieli pusty, ciemny pokój dzienny. W domu panowała cisza, w czym jeszcze nie było niczego niezwykłego. Jego matka spędzała większość czasu w swoim biurze na tyłach domu. Jednak poza brakiem dźwięków wyczuwało się też jakiś niepokojący *bezruch*, który sprawił, że Lance'owi włosy zjeżyły się na karku.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Ruszył wzdłuż korytarza, czując jak żołądek zaciska mu się w kulę strachu.

— Mamo?

Cisza, zakłócona tylko przez szum lodówki i echo uderzeń jego serca, pulsujące mu w uszach.

Sharp szedł tuż za nim, nawołując. Przyspieszył kroku, również wyczuwając

dziwną atmosferę.

— Jenny?

Czując, jak panika zaciska mu płuca, Lance wszedł do kuchni. Schludne pomieszczenie było puste. Jedno krzesło było odsunięte od stołu.

— Mamo? — Głos Lance'a uniósł się z niepokoju. Wszedł do krótkiego korytarzyka prowadzącego do dalszych pokoi. Biuro jego matki kiedyś było trzecią sypialnią. Światło na biurku paliło się, jednak monitory komputerów były ciemne.

Lance wyszedł z biura i ruszył w kierunku sypialni matki. Drzwi były zamknięte, jednak przez szparę pod drzwiami sączyła się smuga światła. Zapukał. Może mama była pod prysznicem.

Jednak odrzucił tę myśl natychmiast, jak się pojawiła. Jego matka brała prysznic rano. Jennifer Kruger nie zmieniała swoich zwyczajów pod wpływem kaprysu.

Zapukał do drzwi.

— Mamo, tu Lance. Otwórz.

Zwinął dłoń i zapukał jeszcze raz, mocniej. Nic.

— Wchodzę! — krzyknął. Pot moczył mu tył koszuli.

Drzwi były zamknięte. Przesunął dłonią po górnej krawędzi framugi, gdzie zawsze, odkąd jeszcze był dzieckiem, leżały klucze do drzwi wewnętrznych. Znalazł klucz i otworzył za jego pomocą prosty zamek. Drzwi odtworzyły się.

W sypialni było pusto.

Sharp szedł tuż za nim. Lance szybko przeszedł po dywanie do głównej łazienki. Zapukał tylko raz, następnie sprawdził klamkę, która nie ustąpiła. Otworzył drzwi kluczem i popchnął je. Ustąpiły tylko o kilka centymetrów i zatrzymały się, jakby coś je blokowało.

— Mamo! — Lance popchnął drzwi na tyle mocno, że zdołał włożyć do środka głowę.

Nie coś. Jego matka.

Leżała na podłodze, skulona w pozycji płodowej, ze stopami na dywaniku łazienkowym i twarzą na kafelkach. Jej twarz była odwrócona od niego, jednak jej ciało było nieruchome, a skóra miała blady kolor kości słoniowej, podobnie jak kafle.

Zamarł na pół sekundy z łomoczącym sercem, przyglądając się, czy jej pierś unosi się w oddechu, jednak niczego nie dostrzegł.

Nie mogła być martwa, nie mogła.

Sharp zadzwonił na pogotowie w czasie, gdy Lance przepchnął drzwi na tyle, by móc się przez nie wsunąć do środka. Przykląkł i przyłożył dwa drżące palce do szyi matki. Jej puls pulsował słabo pod jego opuszkami i dostrzegł lekki ruch jej żeber, gdy wzięła płytki oddech.

Poczuł, jak ulga przeszywa go z szybkością myśliwca.

— Żyje.

Sharp podał dyspozytorowi adres i poprosił o karetkę i zespół ratowników, następnie wszedł do środka i przykucnął po drugiej stronie jego matki w niewielkiej łazience. Lance zmierzył jej puls i policzył oddechy, po czym przesunął jej nogi i otworzył drzwi na pełną szerokość. Wziął koc z łóżka i przykrył ją.

— Może upadła i uderzyła się w głowę? — Sharp delikatnie pogładził jej głowę. — Nie czuję guzów ani nie widzę krwi, ale to o niczym nie świadczy.

Lance wstał i rozejrzał się po łazience. Gdy wszedł do środka, skupiony był tylko na swojej matce. Teraz spojrzał w kierunku umywalki i zobaczył dwie pomarańczowe fiołki po lekach leżące w białej umywalce.

Obydwie otwarte i puste.

Nie!

Nie zrobiłaby tego.

Jego spojrzenie powędrowało do jej twarzy.

Sharp spojrzał w kierunku umywalki i mimo że był twardy, jego twarz poszarzała na widok pustych opakowań po lekach.

Lance padł na kolana.

— Och, mamoo_ — Pochylił głowę i położył dłoń na jej czole, a potem odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów. Nie zareagowała. Jej powieki nawet nie zadrżały. — Nie spodziewałem się tego.

Sharp chwycił go za ramię.

— To nie twoja wina.

— Wiem. — Lance wziął jej dłoń w swoją. Jej palce były zimne. Naciągnął jej koc na ramiona, następnie znowu sprawdził puls i oddech. — Gdy wcześniej stąd wychodziłem, wszystko wydawało się w porządku. Jak mogłem przegapić wszystkie oznaki? Byłem u niej zaledwie kilka godzin temu.

— Oddycha — powiedział Sharp. — Nie spisuj jej na straty.

Puls nie zmienił się, jednak oddech spowolnił. Policzył jej oddechy i trzymał palce

na pulsie, gotowy do rozpoczęcia akcji reanimacyjnej natychmiast, gdyby przestała oddychać lub serce przestało bić.

Czas wydawał się płynąć w zwolnionym tempie.

Mimo długiej i pełnej problemów przeszłości jego matki nie mógł uwierzyć, że próbowała się zabić.

Dziesięć minut później usłyszeli zbliżające się syreny. Lance poszedł do drzwi i wpuścił ratowników do domu. Pobiegli z noszami do sypialni i położyli je tuż przed drzwiami łazienki, do której weszli, by zbadać jego matkę. Lance został za drzwiami, trzymając dłonie zwinięte w pięści z frustracji.

Sharp położył dłoń na ramieniu Lance'a i pociągnął go w tył.

— Daj im trochę przestrzeni.

Ratownicy sprawdzili czynności życiowe i podłączyli kroplówkę. Ich pospieszna skuteczność świadczyła o powadze sytuacji. Jeden z nich wstrzyknął coś do kroplówki.

Sharp podrapał się w głowę. Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie.

— To niepodobne do twojej matki. Nawet gdy miała etapy autodestrukcyjne, nigdy nie myślała o samobójstwie. Tak naprawdę gdy miała napady lęków, nie była w stanie myśleć dostatecznie jasno, by zrobić cokolwiek poza ukryciem się w ciemnej dziurze.

— Nie wiem, co myśleć — powiedział Lance.

— Co dokładnie wzięła? — zapytał jeden z ratowników.

— Fiolki są w umywalce — powiedział Lance. — Jeden to lek na depresję, drugi bierze na lęki i napady paniki. W zeszłym tygodniu wykupiłem jej recepty, tak więc obie były prawie pełne. Lek przeciwlękowy bierze od stosunkowo niedawna.

Kiedyś brała więcej leków, jednak nowe lekarstwo zastąpiło kilka starych. Lance pochylił głowę i rozmasowywał dłonią kark.

Sharp zmarszczył brwi.

— Dobrze się czujesz?

— Tak. — Jednak Lance nie wiedział, jak się czuł. Jego ciało było jakby odrętwiałe, ale czuł też ból. Ból zakopany tak głęboko w jego sercu, że trzeba by chyba skalpela, żeby wydobyć go na zewnątrz.

— Niewydolność oddechowa! — zawołał jeden z ratowników. — Musimy ją zaintubować.

Lance zamknął oczy, słysząc słowa swojej matki w głowie.

Nie chcę być dla was ciężarem.

Czy obawiała się, że kolejne jej załamanie byłoby zbyt ciężkie *dla niego*?

Ratownicy położyli jego matkę na nosze i wywieźli na zewnątrz.

Lance'a na chwilę ogarnął gniew. Na siebie, na sytuację, na cały pieprzony świat. Odwrócił się do ściany i dał temu ujście, waląc w płytę. Poczul ból w kostkach i jego gniew się rozproszył.

Sharp wziął jego rękę i przyjrzał się jej.

— Dobrze, że nie natrafiłeś na żadne śruby.

Kostki były pokaleczone, ale rany były powierzchowne.

Sharp wziął od Lance'a kluczyki.

— Ja prowadzę.

Lance nie sprzeczał się. Wyszli na zewnątrz. Usiadł na siedzeniu pasażera i przez całą drogę patrzył na migające światła jadącej przed nimi karetki.

Karetką zajechała przed drzwi oddziału ratunkowego.

— Powinieneś zadzwonić do Morgan — powiedział Sharp parkując.

— Jeszcze nie. — Lance potrząsnął głową. — Poczekamy aż dowiemy się czegoś więcej.

— Morgan chciałaby wiedzieć. Chciałaby tu być.

Lance spojrzal na zegar. Siódma. Wyobraził sobie Morgan siedzącą na zamkniętej klapie sedesu, nadzorującą kąpiel dzieci, opatulającą je w łóżeczkach i czytającą im książeczki.

— Teraz i tak nic tu nie pomoże. Zadzwonię do niej, jak tylko będę coś wiedział.

Teraz mogli jedynie czekać.

ROZDZIAŁ 27

Morgan chodziła niespokojnie po pokoju. Myśląc o przesłanych jej zdjęciach, nie wiedziała, czy bardziej się boi czy jest wściekła. Uznała, że w sumie jedno i drugie się sprawdza.

— Stella wzięła zdjęcia, by zbadać odciski palców — powiedział dziadek. — Zadzwoń, jak tylko będzie coś wiedziała.

— Nie będzie żadnych odcisków palców. — Prześladowca Morgan był zbyt sprytny. Krew ścinała jej się w żyłach, gdy myślała o tym, że parkował na jej ulicy i teleobiektywem robił zdjęcia, jak przytula swoje dzieci.

— Jesteśmy tu bezpieczni. — Dziadek poklepał koc na swoich kolanach. — Oboje jesteśmy uzbrojeni. Mamy świetny system alarmowy, a Rakieta da nam znać, gdyby ktokolwiek był na zewnątrz.

Wzięła głęboki oddech. Dziadek miał rację. Jej siostra załatwiła też, by samochód patrolowy przejechał obok jej domu kilka razy w nocy.

— Z zupełnie innej beczki, przejrzałem akta zniknięcia Victora Krugera i notatki Sharpa w sprawie — powiedział dziadek. — Prowadził śledztwo bardzo dokładnie, nie widzę tam żadnych niedociągnięć. — Dziadek zmarszczył brwi. — Nie sądzę, żeby istniały wtedy jakiegokolwiek inne tropy, którymi mógłby pójść.

— Dziękuję, że się starałeś.

— Lubię czuć się potrzebny. Chciałbym pomóc bardziej. — Dziadek odsunął swój wózek od stołu. — Będę w swoim pokoju.

— Ja też idę się położyć. Dobranoc. — Morgan odłożyła pistolet na szafę, poza zasięg dzieci. Nałożyła spodnie od piżamy i stary t-shirt i położyła się do łóżka. Wciąż wpatrywała się w sufit, gdy jej telefon zadzwonił. Wzięła go ze stolika, mając nadzieję na wieści od Lance'a. Snoozer i Rakieta poruszyli się, po czym wrócili do spania.

Na ekranie widać jednak było numer Sharpa.

— Tak?

— Dzwonił do ciebie? — zapytał Sharp.

— Nie. — Morgan usiadła, czując narastający niepokój. — Co powiedziała Abigail?

— Nie dotarliśmy do motelu. — Głos Sharpa sprawił, że Morgan pokryła się gęsią skórką.

— Co się stało?

— Jenny próbowała się zabić. — Głos Sharpa załamał się. — Przedawkowała tabletki.

— Nie. — Poczwała niedowierzanie, które obezwładniło ją na chwilę. Po chwili wyskoczyła z łóżka, ściągnęła piżamę i naciągnęła dzinsy. — Czy Lance jest w szpitalu? — Wsunęła stopy w stare tenisówki, które trzymała przy łóżku na wypadek, gdyby w środku nocy trzeba było wyjść z któryms z psów.

— Nie, pojechał do domu przespać się trochę. Jenny leży pod respiratorem i prawdopodobnie potrzeba kilku dni, nim leki zostaną wypłukane z jej organizmu. Pielęgniarka kazała mu zbierać siły na moment, w którym się obudzi. Nie wiadomo jeszcze, czy nie będzie trwałych uszkodzeń ciała lub mózgu.

O, nie.

— Jak Lance się trzyma? — zapytała Morgan.

— Powiedział, że chce być sam, ale sądzę, że jest w szoku. — Sharp westchnął ciężko. — Potrzebuje cię.

Poprzez jej troskę przebiło się też rozczarowanie.

Nie zadzwonił do mnie.

— Jadę — powiedziała Morgan i zakończyła połączenie, po czym zadzwoniła do swojej siostry. Stella zgodziła się od razu przyjechać i pojawia się pod drzwiami w ciągu dziesięciu minut. Mac czekał w samochodzie i pojechał za nią do domu Lance'a.

Dotarła tam tuż po północy.

Słyszała dźwięki fortepianu, gdy stanęła na ganku. Serce jej się ścisnęło na dźwięki rozdzierająco smutnej melodii. *Hurt* w wykonaniu Lance'a było bliższe wersji Johnny'ego Casha niż Nine Inch Nails. Dzisiejszej nocy emocje sprawiły, że jego głos zachrypł i Morgan poczuła dreszcze.

Otworzyła drzwi swoim kluczem. Smutek wypełniał dom tak samo jak muzyka. Morgan weszła do jadalni, w której stał fortepian zamiast stołu. Lance grał, a nad klawiaturą stała szklaneczka whiskey.

— Sharp do mnie zadzwonił. — Usiadła na stołku obok niego. — Szkoda, że ty tego nie zrobiłeś.

Przerwał grę. Jego dłonie zawisły nad klawiaturą drżąc, jakby palce nie mogły

odnaleźć właściwych klawiszy.

— Wiem, przepraszam. Nie myślałem jasno.

Objęła go za szerokie ramiona, czując jak serce jej pęka.

— Nic nie szkodzi.

Nie odrywając wzroku od klawiatury, Lance potrząsnął głową.

— Nie jestem w stanie pojąć, co się dzisiaj zdarzyło. — Emanował z niego smutek, gęsty jak melodia, którą grał przed chwilą. Westchnął ciężko. Zaczepnął powietrza jakby z wysiłkiem.

— Przyzwyczailem się radzić sobie sam ze swoimi katastrofami. Ty i tak masz tyle na głowie.

— Czy nasz związek jest tak jednostronny? Jeśli tak jest, to ja powinnam przepraszać ciebie.

Spojrzał na nią, unosząc brwi w zdumieniu.

— Nie rozumiem. Ty i twoje dziewczynki zasługujecie na kogoś, dla kogo będziecie na pierwszym miejscu.

— Wiem, że tego nie rozumiesz i na tym polega problem. — Morgan szukała właściwych słów. — Nie chodzi o miejsce w życiu. Nie ma potrzeby ustawiać tych, których się kocha, w hierarchii ważności. Ludzie mają różne potrzeby w różnym czasie. Wiem, że jesteś przyzwyczajony radzić sobie samemu, ale to nie jest najlepszy sposób.

Wziął niewielki łyżeczek whiskey.

— Ty pomagasz *mi* przez cały czas — mówiła dalej. — Chronisz mnie i moją rodzinę. Przyjąłeś mnie, moje dzieci i ich *nianię* do swojego domu, gdy potrzebowaliśmy miejsca, gdzie mogłybyśmy się zatrzymać. W zeszłym tygodniu pomogłeś mojemu dziadkowi wziąć prysznic!

— Uniosła głos pod wpływem frustracji i wzięła kilka wdechów, by się opanować. — Ale opierasz się, byśmy pomogli tobie, dlaczego?

— I tak wiele przeszłaś. Zasługujesz na szczęście.

Jak mogła do niego dotrzeć?

— Chyba masz o mnie niezbyt dobre zdanie.

Uniósł głowę i niezrozumienie przebiło smutek w jego oczach.

— Co?

— Czy sądzisz, że mogłabym cię zostawić, bo przechodzisz osobisty kryzys? Że

jestem kimś, kto odwróciłby się do ciebie plecami, bo dla odmiany ty potrzebujesz mnie?

Odwrócił wzrok. Jego dłonie zwinęły się w pięści i wylądowały na klawiaturze, wywołując kakofonię dźwięków.

— A jeśli teraz myślisz o tym, żeby zgrywać twardziela i powiedzieć, że nie potrzebujesz pomocy, to daruj sobie — powiedziała. — To było pytanie retoryczne.

Jak mogła sprawić, by zrozumiał? Wydawał się niezdolny do mówienia, jakby w szoku. Jednak jeśli była jedna rzecz, którą rozumiała, to był nią smutek, to ciemne miejsce, które wciągnęło ją na dwa lata. To odrętwienie, to ciśnienie czarnej dziury, które zżerało ją od środka. Nie mogła pozwolić, by utonął w smutku tak jak ona kiedyś. Były takie chwile, w których nie była w stanie zaczerpnąć głębokiego oddechu.

Ale jak miała to zrobić? Nawet nie nawiązywał z nią kontaktu wzrokowego.

Morgan odwróciła się w jego stronę. Przerzuciła jedną nogę przez jego udo i usiadła mu na kolanach.

— Nigdzie się nie wybieram.

Położył dłonie na jej biodrach i odchylił się do tyłu, niemal nieufnie, odsuwając się od niej na tyle, na ile ich pozycja na to pozwalała.

Usiadła na jego udach, zaplotła dłonie na jego szyi i spojrzała na niego. Ból, widoczny w jego twarzy rozdzierał jej serce.

— Morgan... — Jego głos był schrypnięty, jakby dobywał go z trudem.

— *Ciii* — pocałowała go lekko w skroń. Gdy się wyprostowała, jego oczy były przymknięte, szczęki zaciśnięte, jakby starał się nad sobą zapanować.

Po chwili uniósł powieki, odsłaniając niebieskie oczy pełne wątpliwości i bólu.

— Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

— Niczego — powiedziała. — Teraz moja kolej.

— Nie musisz tego robić. — Potrząsnął głową.

— Wydaje się, że trochę nie rozumiesz, jak działa związek, więc ci to wyjaśnię. Po prostu. Żadnej ściemy. — Spojrzała mu w oczy. — Udany związek dorosłych ludzi wymaga wsparcia i dzielenia się z *obu* stron. To nie jest ulica jednokierunkowa, nie może być tak, że jedna osoba tylko daje, a druga tylko bierze.

Mrugnął i opuścił wzrok.

Ujęła jego twarz w dłonie i uniosła podbródek, jednak nadal unikał jej wzroku.

— Kocham cię.

Oczy wypełniły się jej łzami. Chciała, by pierwszy raz, gdy wyzna mu miłość, nastąpił w jakichś romantycznych okolicznościach, jednak potrzebował to usłyszeć teraz.

Jego spojrzenie znowu wróciło do jej oczu.

Przeciągnęła kciukami wzdłuż jego kanciastej szczęki, ujmując ją w dłonie, czując pod palcami jego szorstki zarost. Jego siła ją zadziwiła. Jak radził sobie przez te wszystkie lata, mając tak naprawdę tylko jedną bliską osobę? Sharp był jedynym, któremu Lance zdradzał się ze swoim cierpieniem, prawdopodobnie dlatego, że Sharp był jego świadkiem od samego początku, gdy Lance był jeszcze za mały, żeby go odepchnąć. Znając Sharpa, niczym buldożer przedarłby się przez wszystkie ściany, jakie Lance zbudowałby wokół siebie.

Jej słowa nie wydawały się do niego docierać, więc powtórzyła je jeszcze raz, czując jak serce się jej rozgrzewa. Mówiła szczerze, gdy powiedziała, że z niego nie zrezygnuje.

— Kocham cię i nie chcę, by to zabrzmiało jakbym była zarozumiała, czy coś, ale jestem pewna, że czujesz to samo. Kilka miesięcy temu nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek mogę być szczęśliwa. Nie sądziłam, że możliwe jest pokochać po raz drugi. Ale tak się stało i zakochałam się w tobie.

Jego oczy zamgliły się. Jego uścisk stał się mocniejszy. Ona jednak jeszcze nie skończyła. Ten niewiarygodny mężczyzna zaakceptował chaos w jej rodzinie. Wygnał ciemność z jej duszy i pokazał jej światło nowego dnia.

— Posłuchaj mnie, szanowny panie. Nie ma szans, bym z ciebie zrezygnowała. Jesteś na mnie skazany. Ilekroć którekolwiek z nas stanie wobec jakichś problemów, zmierzmy się z nimi razem. Czy to jasne?

Lance przełknął ślinę, mięśnie na jego szyi poruszyły się. Odchrząknął.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nie musisz nic mówić. — Przycisnęła wargi do jego ust, wkładając w ten pocałunek całe serce. Mimo ich pozycji nie chciała, by ten pocałunek był zmysłowy, chciała jedynie zwrócić jego uwagę, nawiązać kontakt, ogrzać to zimne miejsce w jego duszy. Uniosła głowę i oparła dłonie na jego ramionach.

Czy udało jej się do niego dotrzeć?

ROZDZIAŁ 28

Lance poczuł, że niemal brakuje mu tchu.

Burzyła jego mury. Każde słowo, każdy pocałunek rozbijały go na kawałki, aż bariery, które przez dziesięciolecia budował wokół swojego serca potrzaskały się w tysiące kawałków, niczym blok lodu zrzucony z dziesięciopiętrowca.

Przycisnęła wargi do jego szczęki, przesunęła nimi po jego policzku, znowu odnajdując jego usta.

A gdy już padły jego obronne mury, nie był w stanie powstrzymać powodzi emocji, które wcześniej kryły się za nimi.

Spojrzał w jej zdeterminowane oczy i uderzyła go jej doskonałość. Inteligencja, siła i szczodrość.

Kochała z pełną siłą i nie akceptowała jego beznadziejnych wymówek.

Fakt, że wybrała *jego*, rozkładał go na łopatki.

Odgarnął za ucho kosmyk jej włosów.

— Czym sobie na ciebie zasłużyłem?

— Byłeś sobą. — Uśmiechnęła się lekko.

Pocałował ją. Odchyliła się do tyłu, miękkość jej ciała ustępowała przed twardością jego ciała. Ale nie brał jej miękkiego ciała ani dobroci serca za słabość. Była najsilniejszą kobietą — najsilniejszym człowiekiem — jakiego kiedykolwiek spotkał.

Widział w jej niebieskich oczach oprócz determinacji oznaki wyczerpania.

Wziął ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Położył ją delikatnie na łóżku i wyciągnął się obok niej.

— Jesteś pewna, że chcesz mieć do czynienia z chaosem mojego życia?

— Wydawało mi się, że jasno się wyraziłam.

— Zupełnie jasno, chciałem się tylko upewnić. — Mimo tego, jak koszmarne były ostatnie dni, uśmiechnął się. Musnął dłonią kobiecą krągłość jej biodra.

Zwlekał z powiedzeniem jej, że ją kocha, wmawiając sobie, że nie chce jej wystraszyć ani przytłoczyć. Teraz uświadomił sobie, że chronił w ten sposób swoje serce, ze strachu, że ona nie odwzajemnia jego uczuć i że liczył, iż ona mu to powie

pierwsza. Wolaliby narazić się na kule, niż ją stracić.

Jednak koniec z byciem emocjonalnym tchórzem. Zasługiwała na coś lepszego.

Uniósł jej dłoń do ust.

— Kocham cię. Serce i duszę. Ciało i ducha. Może to głupi frazes, ale naprawdę czuję, że mnie dopełniasz.

Wzięła go za rękę i splelił palce.

— W takim razie przejdziemy przez to razem.

— Nie wiem, jak mogłem sądzić, że poradzę sobie z tym sam. — Był idiotą.

Dała mu część swojej siły. Czuł się, jak człowiek umierający z głodu, który nagle napatoczył się na szwedzki stół.

— Chcesz o tym porozmawiać? — Musnęła palcami jego skroń.

— Nie teraz. — Przetoczył się na plecy.

Morgan oparła się o jego pierś, znowu zmuszając go do kontaktu, gdy on instynktownie chciał się odsunąć.

Będzie musiał zmienić ten nawyk.

— Muszę ci coś powiedzieć — powiedziała. — Gdy dzisiaj wróciłam do domu, czekała tam na mnie paczka.

Jej opowieść wyparła poczucie odrętwienia, budząc wściekłość.

— Mam ochotę znaleźć Tylera Greena i sprać go na kwaśne jabłko. — Wepchnął poduszkę pod ramiona i spojrzał jej w oczy.

— Nie możemy tego zrobić. — Oparła głowę na jego piersi i rozpostarła palce na jego sercu. — Nie jesteśmy nawet pewni, że to on.

Lance jednak nie zgadzał się z nią.

— Tyler to szumowina. Już cię napadł. Zasługuje na porządne baty.

— Teraz brzmisz jak szeryf King; masz ochotę stać się łobuzem i sam wymierzać sprawiedliwość po swojemu.

— To nie jest pochlebne porównanie.

— Ale sprawiedliwe — upierała się Morgan. — Nasz system sprawiedliwości może nie jest doskonały, ale musimy pracować w jego ramach. Nie możesz kogoś ukarać nie mając dowodów, że jest winny.

Lance prychnął. Miała rację, ale nie podobało mu się, że czuł się bezradny. Miał ochotę zabić wszystkie smoki dla Morgan.

— Na razie wszyscy są bezpieczni, a Stella stara się zidentyfikować mojego

prześladowcę. Najlepszym, co możemy zrobić dziś w nocy, jest zapomnieć o tym i spróbować złapać kilka godzin snu.

Lance jednak patrzył w sufit, nie mogąc myśleć o niczym innym. Był pewny jednego: nie spuści z niej oka, dopóki nie upora się z Tylerem.

ROZDZIAŁ 29

Sharp wszedł do domu Jenny. Przy krawężniku zaparkował ciemnoniebieski sedan. Stella i jej partner, funkcjonariusz Brody McNamara, wysiedli z niego i ruszyli szybkim krokiem w stronę domu. Sharp przytrzymał otwarte drzwi.

Brody przestąpił przez próg.

— Słyszałem, że zostałeś postrzelony. Dobrze się czujesz?

— To było tylko draśnięcie — skłamał Sharp. Ramię paliło go żywym ogniem, szwy ciągnęły przy każdym ruchu. Jednak nie był w stanie spocząć. — Dziękuję, że przyjechaliście.

Ruszył do sypialni, Stella i Brody poszli za nim.

— Co możemy zrobić? — zapytała Stella.

Na dywanie leżały resztki przyborów medycznych. Sharp wspomniiał przerażające wydarzenia wieczoru, to jak ratownicy ratowali Jenny. Lance stojący tuż za nimi, ze złączonymi i przyciśniętymi do głowy dłońmi i zagubionym spojrzeniem.

I złamanym sercem.

Sharp odepchnął na bok współczucie.

— Coś tu się nie zgadza — stwierdził.

Stella i jej partner wymienili spojrzenia.

Sharp uniósł dłonie.

— Wiem, że jestem zbyt bliski sprawie, by spojrzeć na nią obiektywnie, dlatego poprosiłem, żebyście przyjechali. Ale znam Jenny.

Czuł to, wiedział, że jakiś fragment układanki nie pasuje do całości. Jego instynkt był niczym ostrzegawcza czerwona flaga.

Co przeoczyłem?

— Dwie osoby związane z tą sprawą zginęły w tym tygodniu — powiedział. — W jednym przypadku wyglądało to na napad rabunkowy. W drugim jak samobójstwo. Jenny byłaby trzecim przypadkiem. Dostaję wysypki na tak dużo zbiegów okoliczności.

— Dlatego przyjechaliśmy. — Stella sięgnęła do kieszeni swojej czarnej kurtki i wyjęła parę fioletowych gumowych rękawiczek. — Ktoś wysłał mojej siostrze zdjęcia

z pogróżkami wczoraj wieczorem.

— Co takiego? — zapytał Sharp.

Stella opowiedziała mu o przesyłce, którą dostała Morgan.

— Wygląda na to, że ten, kto zostawił tę przesyłkę, wiedział, iż dom jest monitorowany. Zostawił ją na ganku sąsiada wczesnym popołudniem, gdy nikogo nie było w domu.

— To sprytne — powiedział Sharp. — Czy sądzisz, że to Tyler Green?

— Mamy zamiar z nim porozmawiać rano — wyjaśniła Stella. — Po prostu uznaliśmy, że powinniśmy wiedzieć.

— Dzięki — westchnął Sharp. — Dacie znać?

— Jasne. — Stella odwróciła się, przyglądając się pomieszczeniu. — A teraz dowiedzmy się, co się przydarzyło Jenny.

Na pozór nic nie wskazywało, by było to coś innego, niż próba samobójcza, jednak przyjechali na jego prośbę.

— Opowiedz nam o niej — poprosił Brody, zakładając rękawiczki.

Mieli podstawowe dane na jej temat, jednak Sharp musiał im podać więcej osobistych informacji.

Sharp opowiadał im o osobistych problemach Jenny, skanując wzrokiem pokój, starając się spojrzeć na niego świeżymi oczami.

— Jenny trzymała się ściśle rutyny, jeśli chodzi o rozkład dnia. Miała kiedyś tendencje do gromadzenia przedmiotów, teraz jednak utrzymuje obsesyjny i pedantyczny porządek.

Łóżko było zaścielone. Dwa koty leżały pośrodku kapy. Szafka nocna i toaletka były schludne jak zawsze. Na widoku nie było żadnych śmieci czy niepotrzebnych przedmiotów, zupełnie jakby jeden przedmiot nie na swoim miejscu mógł sprawić, że z powrotem pogrążyłaby się w chaosie.

Sharp podszedł do drzwi łazienki.

— W umywalce były dwie fiołki po lekarstwach, obydwie puste. Ratownicy zabrali je z nią do szpitala.

Dlaczego w umywalce?

Sharp nałożył rękawiczki. Jednym palcem otworzył szafkę na leki. Wszystko stało poukładane w schludnych rzędkach. Brody podszedł do niego od tyłu.

— Są w porządku alfabetycznym — zauważył Brody ponad ramieniem Sharpa.

— Mówiłem, że ma skłonności do zaburzeń kompulsywno-obsesyjnych — wyjaśnił Sharp. — Dlaczego wrzuciła puste fiołki do umywalki? Kosz stoi tutaj — Wskazał na kosz stojący pomiędzy toaletką i ubikacją. — Nie widzę też żadnego kubeczka. Jeśli wzięła pigułki w łazience, potrzebowałyby wody do ich popicia.

— Może zabrała szklankę do kuchni — zasugerowała Stella.

— Ale znaleźliśmy ją na podłodze w łazience, a skoro miała dość czasu, żeby pójść do kuchni i z powrotem, dlaczego nie wyrzuciła fiołek po tabletkach? Dlaczego nie położyła się w łóżku?

— Może wróciła do łazienki, bo zrobiło jej się niedobrze? — Stella otworzyła trzy szuflady toaletki i sprawdziła szafkę pod umywalką. Przykucnęła i przejrzała zawartość kosza na śmieci. Wyprostowała się, marszcząc brwi. — Sama nie wiem, czego szukam.

— Ja też nie. — Sharp wyszedł z łazienki. — Ale za każdym razem, gdy widziałem, jak stan Jenny się pogarszał, nie była na tyle ogarnięta, by zaplanować samobójstwo. Była wtedy niespójna, oszalała, jej oczy były zaszklone i oszołomione, przerażone ponad wszelkie racjonalne wyjaśnienia. Dosłownie wczołgiwała się do szafy.

— Ale nie wiesz, jak zachowywała się przed tym, nim zaczynała się chować? — zapytała Stella. — Albo jak długo trwał atak, nim podjęła działania? A może ten raz był zupełnie inny?

Słuszna uwaga.

— Nie — przyznał. — Jednak na początku jej choroby było trochę prób i błędów jeśli chodzi o dobór leków. Ostatnio było dużo lepiej.

— Co wywoływało ataki? — zapytał Brody, otwierając szafę.

Ubrania Jenny posegregowane były według rodzajów i kolorów. Wisiały w swoim zwykłym porządku, równo rozmieszczone. Nic nie wskazywało, żeby Jenny przesunęła cokolwiek, by móc się schować.

— Raz to była przerwa w dostawie prądu podczas zimowej burzy — powiedział Sharp. — Zamknęli szkoły. Lance wrócił do domu wcześniej i znalazł ją w szafie w stanie niemal przypominającym katatonię. Miał wtedy dwanaście lat.

Lance mieszkał u Sharpa do czasu aż Jenny wyszła ze szpitala tydzień później. Sharp zainstalował w domu generator, by taka sytuacja się więcej nie powtórzyła.

— Jakiś rok później miała kolejny epizod, gdy Lance spóźnił się dwie godziny z

treningu hokeja. Miał go odwiedzić rodzic innego chłopca, samochód się popsuł i musieli czekać na holowanie. Jenny była przekonana, że Lance nie żyje. — Zadzwoiła do Sharpa, który znalazł Lance'a i przywiózł go do domu, ale do tego czasu sprawy zaszły już za daleko. — Od dawna już nie miała takiego napadu jak wtedy. Lekarze mówili, że zmiany hormonalne sprawiały, że trudno było dobrać dawkę leków. Od dziesięciu lat jest stabilniejsza. Nie jest normalna, ale stabilna.

— Jednak odkrycie samochodu jej męża w tym tygodniu musiało nią wstrząsnąć — zauważył Brody.

— Tak. — Sharp poszedł za Stellą i Brodym do kuchni. — Ale przyjęła tę informację lepiej, niż się spodziewałem.

Sharp rozejrzał się po kuchni.

— Krzesło odsunięte od stołu to nietypowe dla Jenny. Lubi, żeby wszystko było na swoich miejscach.

Podszedł do zlewu, który był pusty. Sharp otworzył zmywarkę i zauważył od razu dwa talerzyki deserowe stojące na górnej kratce.

— To się nie zgadza.

Stella stanęła obok niego.

— Co takiego?

Sharp wskazał.

— Jenny nigdy nie dałaby talerzyka na górną półkę, tylko szklanki i kubki.

— Sądzisz, że był tu ktoś inny? — zapytał Brody.

— Tak — potwierdził Sharp. — Mam takie właśnie wrażenie.

Zbyt wiele drobiazgów było nie na swoich miejscach.

Poczuł podniecenie w żyłach. Niezależnie od stanu, w jakim znajdowała się Jenny, nigdy nie zmieniłaby sposobu, w jaki wkładała naczynia do zmywarki.

— Czy Jenny wpuściłaby nieznajomego do domu? — zapytała Stella.

— Nie sądzę — powiedział Sharp. — Ale nie mogę być pewien.

— Czy uruchamia zmywarkę codziennie? — zapytała Stella.

— Tak, bez wyjątków — podkreślił Sharp.

Stella wskazała na wnętrze zmywarki.

— Widzę dwa kubki po kawie na górnej półce.

Uniosła kubek i odwróciła go. Na dnie znajdowały się zaschnięte resztki kawy.

Sharp zerknął jej przez ramię.

— Jenny dokładnie myje naczynia przed włożeniem ich do zmywarki. Ktoś inny musiał je tu włożyć.

— Zapakujmy je jako dowody — postanowiła Stella.

— Jako że widzę też dwa talerzyki deserowe — powiedział Sharp — możliwe, że miała towarzystwo.

— Talerzyki też weźmiemy do badania — stwierdził Brody z drugiego końca pomieszczenia.

Sharp podszedł do lodówki i otworzył ją, nie znalazł tam jednak niczego nieoczekiwanego.

Brody podszedł do śmietnika i nacisnął na pedał.

— Są tu resztki placka, a właściwie wygląda to na cały kawałek.

— Placek z jabłkami to ulubiona rzecz Jenny. Dlaczego miałyby ukroić sobie kawałek, a potem go wyrzucić? — zapytał Sharp. — A skoro już o tym mowa, to gdzie jest ten placek? Nie przypominam sobie, żeby Lance jej przynosił placek w tym tygodniu, ale nawet gdyby to zrobił, pudełko powinno być albo na blacie albo w śmieciach.

— Nie ma pudełka w śmieciach — powiedział Brody.

— Sprawdź w kuble na zewnątrz. — Stella wyjęła z kieszeni niewielką latarkę i wyszła z kuchni. Wróciła parę minut później. — Nie ma pudełka po placku.

— A zatem gdzie się podział? — zainteresował się Sharp.

— Może jej gość przyniósł go i zabrał z powrotem? — zasugerował Brody, rozglądając się po kuchni.

— To wszystko nie pasuje. — Sharp czuł, że rana go boli. Włożył dłoń do kieszeni, by trochę odciążyc ramię. — Jenny nie miewa gości.

— Zainscenizowanie samobójstwa jest mało prawdopodobne. Z drugiej strony jednak, dwa samobójstwa jedno po drugim w tej samej sprawie też nie są prawdopodobne. — Spojrzenie Brody'ego omiotło pokój, po czym wróciło do twarzy Sharpa. — Ale jeśli masz rację...

— To ona jest nadal w niebezpieczeństwie — dokończył Sharp. Wiedział, że ma rację. Znał Jenny lepiej niż ktokolwiek inny, może nawet lepiej niż Lance. Trzymała się swojej rutyny kurczowo, niczym alpinista haków w ścianie, tak jakby rezygnacja z jakiegokolwiek elementu rutyny mogłaby sprawić, iż poleciałaby w dół jak kamień. Im większy niepokój odczuwała, tym bardziej naciskała na trzymanie się określonego

porządku.

— Wezwijmy tu techników — postanowił Brody. — Chcę, żeby pobrali odciski palców. Zbadamy talerzyki, kubki po kawie i resztki placka.

— Powinniśmy też poprosić lekarzy, żeby wykonali pełny panel toksykologiczny — powiedziała Stella. — Na wypadek, gdyby ktoś dał jej coś oprócz jej własnych leków.

— Muszę mieć kogoś w jej pokoju, kto będzie ją chronił. — Sharp zamarł. — Macie wolnego człowieka?

Brody potrząsnął głową.

— Nie ma mowy, żeby komendant zgodził się na przydzielenie strażnika Jenny. Nie mamy na razie żadnych dowodów, że doszło do przestępstwa, a w szpitalu leży na oddziale intensywnej terapii, który jest ściśle monitorowany.

— Nie dość ściśle. — Sharp zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu. — Żałuję, że nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie.

— Daj mi chwilę, zobaczę, co da się zrobić. — Brody wyjął telefon i wyszedł do drugiego pokoju. Wrócił po dwóch minutach. — Hannah przyjdzie do szpitala i będzie siedziała przy Jenny.

— Hannah? — zapytał Sharp. — Czy ona jest policjantką?

Brody potrząsnął głową.

— Nie. Hannah Barrett to moja dziewczyna. Jest prawniczką, ale wychowała się w dość szczególnych warunkach i mogę ci obiecać, że nikt się przez nią nie przedrze. Zadbaj o bezpieczeństwo Jenny.

— Dlaczego ktoś chciałby zabić Jenny? — zapytała Stella.

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód — stwierdził Sharp. — Musi to być związane ze zniknięciem Victora. Ona musi coś wiedzieć.

ROZDZIAŁ 30

Nie umarła.

Jak mógł się tak pomylić?

Oszacował jej wagę. Odliczył odpowiednią dawkę lekarstwa, pogniótł pigułki na proszek i dodał trochę do jej kawy, a trochę do placka. Na wszelki wypadek dodał też do ciasta trochę heroiny. Martwił się, że wyczuje smak lekarstw, ale zjadła wszystko co do okruszka. Wymył cholerne talerzyki i schował kubki do zmywarki.

Nie powinna była przeżyć.

Jak to się stało, że nadal żyła?

Ściągnął czapkę z daszkiem niżej na czoło i wślizgnął się na oddział intensywnej terapii z innym odwiedzającym, zrównując z nim krok. Opuścił głowę, zgarbił ramiona i odwrócił twarz od zamontowanych przy suficie kamer.

Oddział roił się od ludzi. Wokół drzwi z numerem trzy zgromadziło się kilkoro lekarzy i pielęgniarek, ubranych w kombinezony, jakby wybierali się z misją na Marsa. Maski na twarzach, kombinezony zakrywające całe ciało, podwójne rękawiczki. Brzęknął alarm, zamigotało światelko nad drzwiami. Lekarze wykrzykiwali polecenia. Ponad pół tuzina ludzi w specjalnych strojach weszło do przypominającego akwarium pomieszczenia.

Szedł dalej, trzymając się na dystans.

Wtapiając się w tłum.

Personel szpitala był zajęty utrzymywaniem kogoś przy życiu i nikt nie zwracał na niego uwagi. Nawet ta część personelu, która nie była zajęta pacjentem w stanie krytycznym, obserwowała z uwagą, jak rozstrzygnie się kwestia życia i śmierci.

Poszedł do pokoju numer osiem, przeszedł obok niemal nie zwalniając, by zajrzeć do środka i zatrzymał się przed kolejną salą. Stanął w drzwiach, udając, że obserwuje, jak drobny, zasuszony starzec śpi. Zasłony w szklanym przepierzeniu oddzielającym jego pokój od pokoju Jenny Kruger były otwarte i mógł zajrzeć do środka.

Jenny leżała nieruchomo, otoczona przez czujniki i rurki. Płyn kapał powoli przez kroplówkę, którą miała podłączoną do ramienia. Respirator obok jej łóżka pracował w równym rytmie, rząd monitorów notował każdy oddech i każde uderzenie serca.

Czasami personel medyczny za bardzo ufał tym urządzeniom i nie sprawdzał osobiście stanu pacjenta dostatecznie często. Niemal drgnął, gdy zobaczył kobietę siedzącą obok łóżka Jenny z otwartą książką na kolanach.

Kobieta wstała i rozejrzała się, jakby wyczuwając jego spojrzenie. Przyjrzała się urządzeniom, monitorującym stan Jenny, po czym usiadła z powrotem, jednak jej zainteresowanie książką wydawało się zniknąć. Spojrzała czujnie w kierunku drzwi. Miała na sobie dżinsy i sportowe buty, była wysoka, miała krótkie blond włosy i ostrą twarz. Lekkie wybrzuszenie pod swetrem sugerowało, że może być uzbrojona. W podmiejskim szpitalu nie było wykrywacza metalu przy wejściu.

Kim ona była?

Nie wyglądała na policjantkę, ale też nie wyglądała, jakby dała sobie w kaszę dmuchać.

Włożył ręce do kieszeni i zastanowił się nad tym, jakie ma możliwości.

Woźny w zielonym fartuchu pchał wózek z pojemnikami na odpadki. Zatrzymywał się przy każdych drzwiach, zaglądał do pokoju i wyrzucał niemedyczne odpadki do swojego wózka. Udając, że kaszle, by zasłonić twarz, odsunął się na bok, gdy sprzątac opróżniał kosz z pokoju starego człowieka.

Zacisnął palce na strzykawce w swojej kieszeni. Heroina. Jeśli wstrzyknie ją w mięsień, trochę potrwa, nim zacznie działać. Już dawno go tu nie będzie, gdy Jenny Kruger zareaguje na narkotyk w organizmie. Nikt nie będzie podejrzewał przedawkowania heroiny u pacjenta leżącego w szpitalu.

Planował odczekać, aż nikt nie będzie widział, wślizgnąć się do jej pokoju i dać jej zastrzyk. To zajęłoby minutę lub dwie w najgorszym przypadku. Zawsze były jakieś kody i pilne przypadki, które zajmowały uwagę personelu, jak teraz ten przypadek na początku korytarza. Jednak obecność blondwłosej kobiety wszystko popsuła.

Mógł poczekać, aż wyjdzie z pokoju. W którymś momencie to będzie musiało nastąpić, musi przecież jeść.

Ale to wymagałoby czasu, którego mu brakowało.

Miał sprawy do załatwienia, musiał się spotkać z pewnymi ludźmi — chociaż nikt z nich nie był tak ważny jak Jenny.

W chwili, gdy otworzy oczy — i usta — jego gra się zakończy.

Udało mu się zachować sekret przez dwadzieścia trzy lata i z całą pewnością nie zamierzał teraz zrezygnować.

Wydawało się, że Jenny jest pogrążona w śpiączce. Istniał cień szansy, że umrze bez jego interwencji. Nie mógł zabić i Jenny, i blondynki w tym samym czasie, bez zwracania na siebie uwagi. Zwłaszcza jeśli blondynka była uzbrojona.

Śmierć na oddziale intensywnej terapii musiała być szybka, cicha i dyskretna. Musiała wyglądać na niefortunne komplikacje po przedawkowaniu leków przez Jenny.

Poprawił czapkę, pochylił głowę i ruszył wzdłuż korytarza. Będzie musiał wrócić później.

Opuścił oddział intensywnej terapii w taki sam sposób, jak tu wszedł. W pokoju numer trzy pielęgniarka właśnie zasłaniała twarz pacjenta prześcieradłem. Wśród ludzi wychodzących powoli z pomieszczenia dawało się wyczuć atmosferę przygnębienia i klęski. Niektórzy mieli nawet łzy w oczach. Pocieszali się wzajemnie uściskami i poklepywaniem po plecach.

Starali się. Próbowali. A jednak pacjent i tak zmarł.

Może będzie miał szczęście i to samo przydarzy się Jenny.

Przycisnął srebrny kwadrat na ścianie. Automatyczne podwójne drzwi otworzyły się z głośnym świshnięciem. Wróci tu jeszcze. Nie miał wyboru. Musi upewnić się w jakiś sposób, że Jenny Kruger nigdy się nie obudzi.

ROZDZIAŁ 31

Morgan pożyczyła spodenki i koszulkę i powędrowała do kuchni. Lance stał przy blacie, tłukąc jajka do miseczki. Wziął trzepaczkę i zaczął je ubijać.

Podeszła do niego od tyłu i objęła go ramionami wokół talii.

— Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś Sharpowi wyrzucić swój ekspres do kawy.

— Mówi, że kawa niekorzystnie wpływa na nadnercza. Zielona herbata jest zdrowsza.

— Na pewno ma rację, ale nie daje mi takiego kopa, jakiego potrzebuję, by mój mózg ruszył.

Lance przyjął styl życia Sharpa razem z jego organicznym pożywieniem. Morgan nie.

Wskazał głową w kierunku szafki.

— Mam dla ciebie niespodziankę.

Otworzyła szafkę. Na półce stał niewielki ekspres Keurig, pozwalający zrobić jeden kubek kawy. Miała w tej chwili tak ogromną ochotę na kawę, że wyobraziła sobie padający na niego snop światła i rozbrzmiewające chóry anielskie.

— Gdybym nie wyraziła tego dostatecznie jasno wczoraj wieczorem, kocham cię.
— Wzięła ekspres z półki.

Pochylił się i pocałował ją.

— Ja też cię kocham. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

— Pokazałeś mi to, dając mi kawę. — Ustawiła maszynę na blacie, podłączyła wszystko i przygotowała, po czym wcisnęła start. — To lepsze niż diamenty.

— Zapamiętam to sobie. — Lance wlał jajka na patelnię.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

— Otworzę. — Morgan wyszła do przedpokoju i wyjrzała przez niewielkie okienko obok drzwi. Otwierając drzwi, zawołała w głąb mieszkania: — To Sharp.

Sharp wszedł do środka.

— Jak on się miewa?

— Trzyma się. — Morgan weszła z nim do kuchni. — A jak ty się czujesz?

— W porządku — powiedział Sharp, jednak poruszał się sztywno i trzymał rękę

przyciśniętą do tułowia.

— Jesteś głodny? — zapytał Lance. — To organiczne jajka.

— Nie, dzięki. — Sharp potrząsnął głową. — Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

Nie przestając mieszać jajek, Lance zmarszczył brwi.

— Na jaki temat?

— Poprosiłem wczoraj Stellę i Brody'ego, by rozejrzeli się w domu twojej mamy — zaczął Sharp.

— Czemu? — Lance nałożył jajka na dwa talerze, podał jeden z nich Morgan i wziął widelec.

Sharp oparł się o blat. Najwyraźniej nie spał przez całą noc, bo pod oczami miał ciemne obwódki.

— Bo nie sądzę, żeby próbowała się zabić.

Dłoń z widelcem zamarła w połowie drogi do ust Lance'a.

— Niemal boję się zapytać, czemu tak uważasz.

Sharp wyjaśnił, co on, Stella i Brody znaleźli poprzedniego wieczoru.

— Ktoś był wczoraj w domu twojej matki.

Morgan nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę. Czy lepiej, że ktoś próbował zabić Jenny czy że sama chciała to zrobić?

— Nigdy nie wpuściłaby do domu nieznajomego. — Lance odłożył widelec, nie tknąwszy jedzenia.

— Wiem — przyznał Sharp. — Brody powiedział, że spróbuje przyspieszyć wykonanie testów. Poprosi też lekarzy o pełne badania toksykologiczne twojej mamy. Kiedy będzie można z nią porozmawiać według lekarzy?

— Lekarz z oddziału intensywnej terapii szacował, że po około czterdziestu ośmiu godzinach — powiedział Lance. — Rozmawiałem rano z pielęgniarką. Nie było żadnej zmiany w jej stanie.

— Cieszę się, że jest na intensywnej terapii. Na zwykły oddział zbyt łatwo jest wejść — stwierdził Sharp.

Morgan poczuła zimny dreszcz.

— Nie powinna być sama.

— Muszę przy niej być. — Lance odstawił talerz na blat i ruszył w kierunku drzwi kuchennych. — Jeśli ktoś chciał ją zabić, to musiał mieć jakiś powód, a to oznacza, że spróbuje znowu, gdy dowie się, że mu się nie udało.

Sharp uniósł dłoń i stanął przed Lancem, zastępując mu drogę.

— Już się tym zająłem. Dziewczyna Brody'ego, Hannah, siedzi przy łóżku twojej mamy.

— Hannah Barrett? — zapytał Lance, próbując wyminąć Sharpa.

— To siostra Maca — powiedziała Morgan. — Zaufałabym jej.

— Tak. Brody mówi, że Hannah poradzi sobie. — Sharp położył dłoń na ramieniu Lance'a. — Musimy się dowiedzieć, kto to zrobił. To jedyny sposób, by zapewnić bezpieczeństwo twojej mamie.

— Masz rację, ale jak to zrobić? — Lance potarł oczy. — Nic nie ma sensu.

— Ale najwyraźniej sprawiliśmy, że ktoś poczuł niepokój — zauważył Sharp. — Sprawdźmy, czy nie uda nam się jeszcze trochę szturchnąć sprawy. Chciałbym przejrzeć najświeższe wiadomości e-mail twojej mamy i wyciągi telefoniczne. Nie sądzę, żeby tak po prostu otworzyła drzwi nieznanemu.

— Chyba żeby wcześniej zadzwonił — dokończył jego myśl Lance. — Właśnie przekazałem te informacje szeryfowi. Zaraz ci podam dane do logowania na jej konto.

— Muszę się ubrać. — Morgan ruszyła w stronę sypialni. — Chciałabym być w stanie potwierdzić, że śmierć Crystal to nie było samobójstwo. Wolałabym więcej dowodów niż tylko przeczucie.

— Czasami fakt, że nie jesteśmy z policji, utrudnia robotę — przyznał Sharp, odpychając się od blatu i zaczynając chodzić w kółko. — Oficjalne wyniki sekcji mogą nie być dostępne jeszcze przez parę miesięcy.

— Musimy jeszcze raz przejrzeć zdjęcia i sprawdzić, czy coś nam nie wpadnie w oko — stwierdziła Morgan.

— Już na nie patrzyliśmy. — Sharp potrząsnął głową. — Tak naprawdę potrzebujemy, by obejrzał je ktoś, kto widział więcej miejsc zbrodni niż my wszyscy razem. Ja byłem raczej od wszystkiego, widziałem w życiu tylko kilku powieszonych. Ale komu moglibyśmy pokazać zdjęcia, których nie powinniśmy mieć? Czy sądzisz, że twój dziadek byłby skłonny pomóc?

— Jestem pewna, że tak — zapewniła Morgan. — Ma więcej doświadczenia w sprawach o zabójstwo niż my wszyscy razem wzięci. Zadzwoń do niego.

— Zadzwoń do niego z auta — powiedziała Lance.

— Daj mi dwie minuty. — Morgan pognała do sypialni i przebrała się w stare dzinsy i koszulkę, które miała na sobie poprzedniej nocy. Drugą minutę wykorzystała

na umycie zębów.

Gdy wyszła z sypialni, Lance chwycił z blatu kluczyki.

— Jedziemy.

— Do zobaczenia potem w biurze — powiedział Sharp. — Twój dziadek i ja możemy przejrzeć w tym czasie zdjęcia.

— Zadzwoń do Abigail i zapytam, czy możemy dziś rano przyjechać do motelu — powiedziała Morgan. — Nie chcę czekać aż do wieczora.

Pojechali do domu Morgan. Dziadek zgodził się, tak jak Morgan się tego spodziewała. Morgan przebrała się, Lance pomógł w przygotowaniach dziadkowi. Zapakowanie go do jeepa wymagało niemałego wysiłku, jednak jakaś godzinę później Sharp i Lance przenieśli wózek przez próg siedziby Sharp Investigations.

— Dzwoniłaś do Abigail Wright? — zapytał Sharp.

— Tak — powiedziała Morgan. — Powiedziała, żebyśmy jechali do motelu. Zadzwoiła do menedżera i powiedziała mu, żeby wpuścił nas do składziku. Spotka się tam z nami po spotkaniu klubu ogrodniczego.

Lance i Morgan zostawili dziadka z Sharpem i pojechali do motelu.

— Spodziewałem się, że to miejsce będzie wyglądało obskurnie — stwierdził Lance. — Ale nie pasuje mi to do obrazu motelu prowadzonego przez drobną starszą panią, która gra na organach w kościele i przewodzi lokalnemu kółku ogrodniczemu.

Motel mieścił się w pobliżu autostrady i mieścił się w niskim, brudnym budynku. W pobliżu nie było innych zabudowań, co bez wątplenia pozwalało na zachowanie anonimowości gościom, którzy nie chcieli się upubliczniać ze swoimi preferencjami. Na znaku na skraju parkingu widniał napis WOLNE POKOJE. Recepcja mieściła się w lewym skraju budynku.

— Wypożyczają pokoje na godziny. Będziemy potrzebowali prysznic po wizycie tutaj.

— Wzdrygnęła się Morgan. — Przynajmniej nie ubrałam się elegancko.

— Też żałuję, że nie mamy kombinezonów ochronnych — zgodził się Lance. — Nie chcę nawet myśleć, co pokazałoby się w pokojach po spryskaniu luminolem i poświeceniu światłem ultrafioletowym.

Weszli razem do biura. Młody człowiek z bujną brodą okalającą tylko zarys dolnej szczęki siedział na wysokim stołku za kontuarem i oglądał telewizję. Gdy weszli, ześlizgnął się ze stołka.

— Potrzebujecie pokoju?

— Nie. — Morgan potrząsnęła głową. — Abigail powiedziała, że możemy zajrzeć do składziku. Miała zadzwonić i uprzedzić.

— Spoko. — Poprowadził ich korytarzem na zaplecze i otworzył drzwi do niewielkiego pomieszczenia. Pstryknął włącznikiem i górne światło oświetliło zakurzoną, cuchnącą pleśnią przestrzeń. Całą ścianę zajmowały szafki na dokumenty. Po drugiej stronie pomieszczenia stało biurko.

Morgan przycisnęła palce do nosa i stłumiła kichnięcie.

— Stare rejestry są w tych szafkach. Nie są jakoś dokładnie poukładane, więc powodzenia. — Chłopak wyszedł, zostawiając ich w pomieszczeniu.

— Zacznę od lewej. — Morgan rzuciła płaszcz na biurko i zakasała rękawy bluzy.

Lance nałożył rękawiczki i podał jej parę. Następnie zaczął od szafki po prawej. Wyjął teczkę i otworzył ją, następnie sprawdził kolejną. Przejrzał dwie szafki, losowo sprawdzając daty dokumentów.

W czasie kolejnej pół godziny Morgan przejrzała kilka szuflad z dokumentami.

— Znalazłam tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty — oznajmiła w końcu. Przejrzała rząd dokumentów i znalazła pożółkłą księgę.

— Mam sierpień.

Lance podszedł do niej i zerknął jej przez ramię. Przerzucała kartki, dotykając tylko krawędzi stron. W zależności od warunków, czasami udawało się zebrać odciski palców z tak porowatych powierzchni jak papier nawet wiele lat po tym, jak zostały złożone. Zatrzymała się na dacie dziesiątego sierpnia. Wpisy zapisane były niebieskim długopisem.

Jej palec zawisł nad stroną.

— Jest.

— Pan Joshua.

— Zameldował się o siódmej wieczorem i zapłacił za godzinę. — Morgan wsunęła księgę w dużą kopertę, którą opisała swoim nazwiskiem, datą i miejscem znalezienia, po czym odłożyła ją na szafkę — Sprawdźmy, czy uda nam się odnaleźć tę kartę meldunkową.

Trzydzieści minut później, Lance znalazł ją w innej szafce z dokumentami.

— Mam ją.

Razem się jej przyjrzeni.

— Nie ma tu żadnych osobistych informacji. Nie ma numeru rejestracji samochodowej, adres podany jest jako ulica Główna 123, Miasteczko, stan Nowy Jork. Numer telefonu to 123-4567.

— Ale wiemy, że tu był.

Morgan podeszła do okna i wyjrzała na parking. Przed biurem zaparkowany był czerwony sedan.

— Abigail przyjechała.

— W takim razie porozmawiajmy z nią. — Lance zamknął szufladę z dokumentami. — Masz zdjęcie mojego ojca, by je jej pokazać?

— Tak. Jak się czujesz? — zapytała. Lance miał się za chwilę dowiedzieć, czy jego ojciec był klientem prostytutki.

— W porządku. — Lance otworzył przed nią drzwi. — Słuchaj, całe życie stawiałem mojego ojca na piedestale, ale on był zwykłym człowiekiem. To co, jeśli nie był doskonały? Robił, co mógł, żeby opiekować się mną i moją matką. Muszę otworzyć oczy, jeśli chcę poznać prawdę.

Uścisnęła jego rękę, nim weszli do biura.

Abigail siedziała za komputerem przy biurku.

— Znaleźliście to, czego szukaliście?

— Tak sądzę. — Morgan wyjęła z torby zdjęcie Victora, które zdjęła z tablicy w siedzibie Sharp Investigations.

Obok niej Lance spiął się i odsunął, by wyjrzeć przez okno na parking.

Morgan wskazała na Vica.

— Czy rozpoznajesz tego mężczyznę jako jednego z klientów Mary?

Abigail zmrużyła oczy i spojrzała na zdjęcie. Uniosła okulary wiszące na łańcuszku wokół jej szyi i nałożyła je na nos.

— Nie, w ogóle nie wygląda znajomo.

Nawet z tej odległości, w której stał, Morgan poczuła, jak Lance się rozluźnił.

— Ale znam tego człowieka. To był jeden ze stałych klientów Mary — Abigail pochyliła się nad zdjęciem i postukała w nie palcem. — To jest pan Joshua.

Jej palec wylądował na twarzy Briana Leeda.

Morgan w zdumieniu zapatrzyła się na zdjęcie.

Lance przeszedł przez pokój dwoma długimi krokami.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie — powiedziała Abigail. — Wtedy jeździł czarnym pontiakiem trans am. Próbował go ukryć za ścianą budynku, ale silnik był za głośny. Gdy wyjeżdżał z parkingu, żwir pryskał na wszystkie strony.

Morgan pochwyciła spojrzenie Lance'a. Był równie zszokowany, jak ona.

Brian Leed był panem Joshua.

— Dziękuję. — Morgan podniosła kopertę, do której zapakowała wcześniej dokumenty. — Czy możemy zabrać rejestr z nami? Zwrócimy go.

Biorąc pod uwagę, że morderca deptał im po piętach, Morgan nie chciała zostawiać rejestru tam, gdzie mógłby go znaleźć. Wolą już osobiście go zawieźć szeryfowi.

— Oczywiście. — Abigail skinęła głową.

Morgan ruszyła do drzwi, po czym odwróciła się w progu. Informacja o Brianie sprawiła, że niemal zapomniała zapytać o byłego Crystal.

— Kiedy ostatnio widziałaś Warrena Foxa?

Abigail zdjęła okulary.

— Kręcił się tu jakieś dwa tygodnie temu, nękając Crystal. Chciał się z powrotem do niej wprowadzić.

To tyle, jeśli chodzi o jego zapewnienia, że nie widział Crystal od miesiący. Czy ktokolwiek w tej sprawie mówił prawdę?

— Uważaj na siebie, Abigail — powiedziała Morgan. — Posiadanie informacji na temat tej sprawy okazało się dla innych szkodliwe.

Abigail sięgnęła pod blat i wyciągnęła strzelbę.

— Dziękuję za troskę, kochana. Będę uważała.

Morgan wyszła za Lancem na zewnątrz i wsiedli do jeepa.

Lance zabębnił palcami w kierownicę.

— Wydaje się, że wszyscy kłamią. Czy Brian Leed nie miał w garażu jakiegoś sportowego samochodu przykrytego plandeką?

— Miał — potwierdziła Morgan. — Brian Leed jest panem Joshua, był stałym klientem Mary. Był z nią w noc, w którą zaginął twój ojciec.

Lance ruszył z miejsca.

— Czyli wtedy, kiedy Mary prawdopodobnie zabito. Czas złożyć Brianowi kolejną wizytę.

ROZDZIAŁ 32

Starając się opanować, Lance zaparkował przed domem Briana Leeda. Drzwi od garażu były otwarte. Na podjeździe Brian pucował irchą lśniące czarne porsche 911.

Lance i Morgan podeszli i stanęli obok samochodu.

— Cześć, Brian. — Lance spojrzął na samochód. — Który to rocznik?

— 2007 — odparł Brian, podziwiając efekt swojej pracy.

— Niski przebieg? — zapytał Lance.

— Osiemdziesiąt tysięcy — Brian potrząsnął głową. — Takie auta są po to, by nimi jeździć. To grzech pozwolić im kisać w garażu.

Brian wie wszystko o grzechu.

Lance poczuł, jak w piersi pali go gniew. Spojrzął na chwilę w niebo, żeby nad sobą zapanować.

— Co was tu znowu sprowadza? — Brian wytarł plamkę na bocznym lusterku.

— Mamy jeszcze kilka dodatkowych pytań — powiedział Lance. — Zawsze miałeś czarne sportowe samochody, prawda?

— Tak, miałem ich parę, jasne. — Brian starł kroplę wody z maski.

— Czym wtedy jeździłeś? — zapytał Lance. — Pamiętałem tylko, że był strasznie głośny.

— To musiał być trans am. — Brian gwizdnął. — To było auto! Wtedy nie mogłem sobie pozwolić na porsche, miałem małe dzieci. I masz rację — Uśmiechnął się. — Ten silnik nie mrucał, on ryczał.

Lance pochylił się i zajrzał do środka.

— Mieliście problemy finansowe?

— Dzieci kosztują. — Brian odwrócił się od samochodu, z jego twarzy zniknął uśmiech, a oczy zmrużyły się, jakby właśnie uświadomił sobie, że ton Lance'a nie jest taki niefrasobliwy. Jego spojrzenie wędrowało od Lance'a do Morgan i zaśniła w nim podejrzliwość. — Wiecie co? Jestem umówiony. Czy jest jakiś konkretny powód, po co tu przyszliście?

Twoje alibi poszło się bujać.

— Owszem. — Lance zrobił krok do przodu, z gniewu zwijając dłonie w pięści.

Brian kłamał przez te wszystkie lata.

Morgan położyła dłoń na ramieniu Lance'a, tak jakby mogła go powstrzymać.

— Możesz nie chcieć, by sąsiedzi słyszeli pytania, które chcemy ci zadać.

Brian odchylił się na piętach, przyglądając się im.

— Nie jesteście z policji — stwierdził z zadowoleniem. — Wcale nie muszę z wami rozmawiać.

— Jeśli wolałbyś porozmawiać z szeryfem, to da się załatwić. — Lance wyjął z kieszeni telefon. — Mogę od razu do niego zadzwonić.

Jabłko Adama na szyi Briana poruszyło się. Mięśnie jego szczęk napięły się, tak jakby je zacisnął. Zerknął na ulicę, następnie przeniósł ciężar ciała na palce i odwrócił się w stronę otwartego garażu.

— Dobrze, ale nie mam zbyt wiele czasu.

Weszli za nim do domu. Nie zaproponował im kawy, ani żeby usiedli. Odwrócił się i wypalił:

— O co chodzi?

Lance zatrzymał się pośrodku kuchni.

— Ile Mary liczyła ci za seks?

Twarz Briana stała się bielsza niż kwarcowe blaty. Cofnął się o krok.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Czy imię pan Joshua coś ci mówi? — zapytała Morgan.

— Nie. — Brian zrobił kolejny krok w tył i zatrzymał się, trafiając plecami w ścianę.

— Byłeś przyjacielem mojego ojca. — Lance miał wrażenie, że te słowa drapią go w gardle. — I okłamałeś policję w sprawie tej nocy, gdy zaginął. W jakiej jeszcze sprawie kłamałeś?

Czy Brian zabił Mary? A co z Crystal? Lance nie był w stanie nawet sobie wyobrazić, że Brian mógłby też próbować zabić Jenny.

Brian spojrzał na niego z wściekłością i wydał pierś.

— Musicie wyjść.

— Musiało być ciężko znaleźć pieniądze na prostytutkę w rodzinnym budżecie. — Wściekłość kłębiła się w piersi Lance'a, moszcząc się tam wygodnie, jakby planowała zostać na dłużej.

— Płaciłeś Mary za seks regularnie. — Morgan odeszła bliżej, wysuwając się

ramieniem przed Lance'a, najwyraźniej niepokojąc się, że Lance mógłby mieć ochotę go udusić. — Właścicielka „Motelu Przy Drodze” rozpoznała cię jako jednego ze stałych klientów Mary. Używałeś pseudonimu pan Joshua i byłeś w motelu tej nocy, gdy Vic zaginął. Możemy domniemywać, że była to również noc, w którą Mary została zabita.

— Wyjść! — Twarz Briana poczerwieniała.

Lance przycisnął się bliżej, odsuwając Morgan. Miał ochotę złapać Briana za szyję i wytrząsnąć z niego informacje.

— Co jeszcze wiesz o nocy, gdy zginął mój ojciec?

— Nic! — Brian zacisnął oczy.

— Co wydarzyło się tej nocy, Brian? — Morgan zacisnęła palce na ramieniu Lance'a.

Jednak jej szczupłe dłonie nie mogły go powstrzymać. Lance pochylił się do przodu, zbliżając twarz do twarzy Briana.

— Gdzie jest mój ojciec?

— Nie wiem! — wrzasnął Brian.

Lance strząsnął z siebie dłoń Morgan i chwycił Briana za przód koszulki polo.

— Czy zabiłeś Mary?

— Boże, nie. — Brian próbował się wyrwać, jednak ściana za nim ograniczała jego ruchy. — Mówię prawdę. Nie widziałem twojego ojca tego wieczoru. Odwiozłem Mary potem do P.J.-a. — Brian nie próbował odwrócić wzroku. — Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Nie wiedziałem, że nie żyje, dopóki mi o tym nie powiedzieliście.

Czy to była prawda? Brian już udowodnił, że potrafił być utalentowanym kłamcą.

Lance cofnął się nieco, dając Brianowi więcej przestrzeni. Miał wrażenie, że śliskość Briana jest zaraźliwa. Miał być przyjacielem Victora, kimś, komu jego ojciec się zwierzał z problemów małżeńskich, opowiadał o problemach żony i syna. Brian zdradził jednego ze swoich najbliższych przyjaciół.

— Dwadzieścia trzy lata temu ktoś zamordował Mary Fox. — Lance ledwo rozpoznawał swój głos. — Ale odkąd znaleziono jej ciało, zginęło dwóch potencjalnych świadków i ktoś próbował zabić moją matkę. Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

— Miałem spotkanie, a potem kolację z klientem — powiedział Brian. — Byłem

zajęty od piątej po południu do dziesiątej.

— Czy ten klient to potwierdzi?

— Tak. — Brian skinął głową. — To było spotkanie w interesach. Nie ma powodu, dla którego nie miałby tego potwierdzić. Byliśmy w restauracji, mam wydruk z karty kredytowej.

Wyjął portfel i wyciągnął z niego kwitek. Lance zerknął na niego. Wydruk był z godziny dziewiątej trzydzieści sześć wieczorem. Data się zgadzała, a rachunek był dostatecznie wysoki, by mogła to być kolacja trwająca kilka godzin. Jeśli alibi Briana zostanie potwierdzone, to nie mógł zabić P.J.-a ani próbować zabić Jenny.

— Na twoim miejscu byłbym bardzo, bardzo ostrożny — powiedział Lance. — Ktoś bardzo się troszczy o to, żeby nikt, kto ma jakieś informacje na temat śmierci Mary, nie mógł o tym opowiedzieć.

Brian zerknął ponad ramieniem Lance'a.

— Cholera.

Lance odwrócił się. W progu stała Natalie. Czy był tam dostatecznie długo, by słyszeć, jak Brian przyznał się do cudzołóstwa?

— Ty draniu! — wrzasnęła.

Najwyraźniej tak. Twarz Briana była biała jak kreda, lecz policzki Natalie płonęły czerwienią.

— Nat... — zaczął Brian i przełknął ślinę.

— Zawsze wiedziałam, że mnie zdradzałeś, ale z dziwką? — Natalie zrobiła dwa kroki, wchodząc do kuchni. — Kto wie, jakie choróbka roznosisz.

— To była tylko ona — wydukał Brian. — Nie było nikogo.

— Och, zamknij się. Myślisz, że jestem głupia? Zawsze mnie zdradzałeś, ale nie mogłeś robić tego dyskretniej? — wrzasnęła. — Nawet w tym jesteś leniwy. Ile tych dziwek było, Brian?

— Nie było więcej, przysięgam. Mary nie była tak naprawdę dziwką. Była. — Brian nie był w stanie dokończyć zdania.

— Pieprzoną dziwką! — ryknęła Natalie. — Płaciłeś jej za seks. To proste.

— Ty nigdy nie lubiłaś seksu — powiedział Brian, a jego spojrzenie stało się złośliwe. — Mężczyźni mają swoje potrzeby.

— To nieprawda, że nie lubiłam seksu. Nie lubiłam jedynie seksu z *tobą*. — Zgrzytnęła zębami Natalie. Jej wściekłe spojrzenie powędrowało do Lance'a i

Morgan. Na kilka sekund spod jej wściekłości przybiło upokorzenie i bezradność. Potem jej uwaga z pełną siłą skoncentrowała się z powrotem na mężu. — Brianowi nie staje, jeśli nie ma tam przemocy. Lubi zadawać ból. Mnie to nie kręci. Czy Mary pozwalała ci szarpać się za włosy? Czy lubiła, żebyś ja wiązał, dręczył i poniżał? Wiesz chyba, że te bzdury o dominacji zupełnie nie rekompensują tego, że masz małego penisa?

Brian wyglądał, jakby lada chwila miał dostać zawału. Otwierał i zamykał usta, jakby nie był w stanie nabrać powietrza.

— Jesteś żaloszny — syknęła Natalie.

Lance odsunął się na bok, dystansując się zarówno od Briana, jak też od strumienia wściekłości, którym zalewała go jego żona.

— Natalie. — Głos Morgan był łagodny i miękki. — Gdzie byłeś tej nocy, gdy zaginął ojciec Lance'a?

Lance zamarł.

Czy Natalie zabiła Mary?

— Byłam tutaj. *Ktoś* musiał być w domu z dziećmi. — Natalie nie przestawała patrzeć na Briana.

Nikt nie byłby w stanie dać jej alibi.

— Czy zabiłaś Mary? — zapytała Morgan łagodnym głosem, tonem sugerującym, że w tych okolicznościach byłoby to całkiem zrozumiałe.

Natalie mrugnęła i spojrzała na Morgan.

— Dlaczego miałabym ją zabijać? To nie jej wina, że mój mąż jest obrzydliwy. — Po jej policzku spłynęła łza. Wydawała się tego nie zauważać. Znowu skupiła się na Brianie, a w jej oczach zapłonął świeży blask wściekłości. — Aż do tej pory nawet nie wiedziałam, że to była Mary.

Brian zdradził nie tylko Vica. Zdradził też swoją żonę, wszystko w nim było fałszywe.

Z kim teraz sypiał?

— Natalie, czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, że byłeś tu tej nocy? — zapytała Morgan.

— Nie. Dzieci już leżały w łóżkach. — Z oczu Natalie popłynęły łzy gniewu. — Ale możecie mi wierzyć, gdy powiem, że jedyną osobą, jaką kiedykolwiek chciałam zabić, jest Brian. — Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej olbrzymi pistolet.

Lance zrobił trzy kroki w bok i zasłonił Morgan, ramieniem odsuwając ją za siebie, a drugą ręką sięgając po swoją broń. Jednak jedynym powodem, dla którego mógłby strzelić do Natalie, byłoby gdyby wymierzyła w niego lub w Morgan. Brian musiał radzić sobie sam. Życiowa lekcja: jeśli kładziesz się spać w szemranym towarzystwie, możesz już się nie obudzić.

— Skąd to masz? — zaskrzeczał Brian.

— Kupiłam go, dupku — odpaliła. — To nie takie trudne. Wychodzisz wieczorami, siedzę tu sama, nie lubisz psów. Potrzebowałam czegoś do obrony.

— Odłóż to! Przecież mnie nie zastrzelisz. — Brian zrobił krok do przodu z bezczelną miną.

Lance nie był tego taki pewien.

— Koleś, nie robiłbym tego — ostrzegł.

Pistolet Natalie wypalił. Słoik na ciastka w kształcie koguta, znajdujący się po prawej stronie Briana, rozprysnął się na drobne kawałki. Kawałki gliny i ciastek poleciały na wszystkie strony.

Brian odwrócił się w stronę otwartych drzwi po swojej lewej stronie, lecz Natalie znowu wypaliła, odcinając mu drogę. Uwięziony, Brian rozejrzał się za drogą ucieczki.

— Chcesz mnie zabić?

— Och, błagam. Biorę lekcję od miesięcy, nie żebyś to zauważył. Czy sądzisz, że kupiłabym broń, gdybym nie wiedziała, jak z niej korzystać? Gdybym chciała cię trafić, to byś krwawił. — Opuściła pistolet, kierując lufę w podłogę. — Wynoś się z mojego domu.

— To nie jest...

Lufa uniosła się odrobinę do góry.

— Brian... — powiedział Lance ostrzegawczym tonem.

— Masz trzy sekundy. — Natalie postukała czubkiem swoich wygodnych butów w kuchenne kafle. — Raz.

— Ale to mój... — zaczął kwilić Brian.

— Dwa — kontynuowała Natalie.

Brian prześlizgnął się wzdłuż ściany. Natalie zeszła mu z drogi, zachowując dystans kilku kroków, lecz nie odwracając się plecami. Powoli obracała się za nim, gdy ją mijał.

Trzasnęły drzwi frontowe. Kilka sekund później usłyszeli ryk potężnego silnika i porsche odjechało.

— Wróci — powiedziała Natalie, wkładając pistolet do torebki. — To najlepszy zakup, jaki zrobiłam od lat. Nigdy nie byłam kimś, kto potrafiłby się bronić.

— Co się zmieniło? — zapytała Morgan.

— Kilka miesięcy temu przyjaciółka namówiła mnie na grupę wsparcia. To, w jaki sposób inne kobiety mówiły o tym, jak wyzwoliły się z kiepskich małżeństw, sprawiło, iż pomyślałam, że ja też mogłabym to zrobić. Planowałam w sekrecie odejście od niego już od paru miesięcy, ale wykopanie go dało mi jeszcze większą satysfakcję.

— Powinniśmy już iść. — Lance trącił Morgan w ramię. Ktoś zapewne zadzwonił na policję. Strzały nie były czymś zwyczajnym w tej okolicy.

Natalie przeszła przez kuchnię. Kawałki słoja zgrzytały jej pod nogami. Wzięła miotłę ze schowka i zaczęła zamiatać.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Morgan.

Natalie zatrzymała się na chwilę.

— Czuję się lepiej, niż czułam się od lat. Jestem wściekła, że zmarnowałam tyle lat życia. Mogłam być szczęśliwa. Dlaczego tyle lat znosiłam tego dupka?

Pytanie było retoryczne. Lance nie odezwał się.

Natalie zmiotła czerwono-żółte skorupy na stos.

— Zawsze nienawidziłam tego słoja. Brian go dla mnie kupił. — Trąciła stopą głowę koguta, po czym zmiotła ją pod butem. — Głupi kogut.

Lance nie chciał czekać, aż zjawi się policja. Złapał Morgan pod łokieć i skierował ją w stronę drzwi frontowych.

— Ostatnie, czego teraz pragnę, to kolejne spotkanie z wydziałem szeryfa.

— To prawda — zgodziła się, gdy wyszli na zewnątrz. — Z celi nie będziesz w stanie rozwiązać tej sprawy.

— Pytałaś, co robiła Natalie w noc, gdy zginął mój ojciec. Naprawdę sądzisz, że mogłaby to zrobić? — spytał Lance, siadając za kierownicą. Rozejrzał się dookoła, lecz nie zauważył żadnych ciekawskich sąsiadów ani policji.

Morgan usiadła na siedzeniu pasażera.

— Gdy teraz o tym myślę, to nie. Myślę, że zabójcą był mężczyzna. Uduszenie młodej kobiety i wrzucenie jej do bagażnika wymagałoby siły fizycznej. Wątpię, bym

była w stanie podnieść martwe ciało. Powieszenie Crystal też wymagało siły.

— Musimy powiedzieć szeryfowi Kingowi o Brianie. — Lance ruszył. — Brian kłamał w swoich zeznaniach.

— Okłamał Sharpa dwadzieścia trzy lata temu — powiedziała Morgan. — Zarzuty o fałszywe zeznania już się przedawniły.

— Ale to, że się przyznał do fałszywych zeznań, oznacza, że nie ma alibi na czas morderstwa Mary.

— Przyznał się też, że był z nią tej nocy — dodała Morgan. — Powiedział, że odwiózł ją do P.J.-a, ale kto by wierzył notorycznemu kłamcy?

— Skoro jednak Brian ma alibi na czas, gdy zginął P.J. Hoolihan i ktoś usiłował zabić moją matkę, to prawdopodobnie nie zabił też Mary.

ROZDZIAŁ 33

Morgan weszła do biura. Dziadek przyglądał się tablicy, siedząc na swoim wózku. Trzymał w dłoni jeden z zielonych koktajli proteinowych Sharpa. Obok niego Sharp wskazywał mazakiem na tablicy kolejne punkty.

— Co robicie? — W drodze do biurka Morgan dotknęła ramienia dziadka.

— Sharp zrobił mi to do picia. — Dziadek przyjrzał się zawartości szklanki. — Wygląda obrzydliwie, ale nie smakuje źle.

— Dzięki twojemu dziadkowi mamy kilka nowych poszlak — powiedział Sharp. — Art nie zapomniał, jak prowadzi się śledztwo.

Do pokoju wszedł Lance i w niewielkim pomieszczeniu zrobiło się tłoczno.

Sharp odłożył mazak.

— Co zaszło z Brianem Leedem?

Nim Lance skończył opowieść, Sharp i dziadek potrząsali głowami ze zdumienia.

— Dobrze widzieć, jak karma dochodzi do głosu. Nie mogę uwierzyć, że kłamał przez tyle lat — parsknął Sharp.

— Moim zdaniem Brian nadal jest głównym podejrzanym w sprawie morderstwa Mary — stwierdził dziadek, dopijając swój koktajl. — Podejrzewamy, że obecny morderca to osoba, która zabiła Mary, ale tak naprawdę nie wiemy tego na pewno. I wybaczenie, ale nie wierzę Brianowi na słowo, że tej nocy odwiózł Mary z powrotem do P.J.-a. Tak naprawdę nie wierzę również w inne jego zapewnienia. Skoro skłamał w jednej sprawie, mógł skłamać i w innych.

— Jego słowo nie ma wartości. — Sharp narysował dużą gwiazdkę obok imienia Briana.

— Warren Fox również jest kłamcą. Powiedział nam, że nie widział Crystal od miesięcy, ale Abigail powiedziała, że kręcił się ostatnio w pobliżu jej motelu. — Lance wskazał na tablicę.

— Musimy mu się bliżej przyjrzeć.

— Musimy też przeprowadzić kolejną rozmowę ze Stanem — powiedziała Morgan. — Jeśli Brian skłamał o tym, gdzie był tamtej nocy, to tak samo Stan. Czy jedynie krył przyjaciela, czy też istnieje jeszcze inny powód, dla którego skłamał?

— W tym momencie mamy więcej kłamstw niż prawdy. — Potrząsnął głową Lance.

— A co wasza dwójka dzisiaj odkryła? — zapytała Morgan Sharpa.

— Po pierwsze, Art znalazł wskazówki, mówiące, że Crystal mogła zostać zamordowana.

— Sharp otworzył laptopa stojącego na biurku Morgan.

Całą czwórką zgromadzili się wokół ekranu. Sharp otworzył zdjęcie Crystal. Morgan wzdrygnęła się na ten widok, mimo że widziała je już wcześniej.

Dziadek wskazał na ekran i zrobił zbliżenie na dłoń Crystal.

— Przyjrzyjcie się jej palcom.

— Ma złamany paznokieć — powiedziała Morgan. — I widzę żółtą nitkę i odrobinę krwi pod paznokciem.

— Dobry wzrok. — Dziadek zrobił jeszcze większe zbliżenie. — Szarpała za linę. Ma zadrapania na szyi, co też *mogłoby* sugerować, że walczyła z napastnikiem *albo* że gdy jej mózg uświadomił sobie, że umiera, włączył się instynkt samozachowawczy i próbowała zerwać linę z szyi. Gdy sznur nie jest dostatecznie długi, żeby złamać kark, śmierć przez powieszenie może trwać kilka minut.

Morgan miała przed oczami obraz wiszącej kobiety, kopiącej nogami, przewracającej krzesło, szarpiącej paznokciami linę na szyi.

— Jednak w tym momencie nie była w stanie już się uwolnić.

— To prawda. — Dziadek przeszedł do kolejnego zdjęcia, zbliżenia liny wokół szyi. — Czy widzicie, jak lina przesunęła się na jej szyi?

Morgan pochyliła się i wskazała na ekran.

— To zadrapanie?

— Ale gdy zeszła z krzesła, lina mogła się trochę przesunąć — zauważył stojący obok Morgan Lance.

— Tak — potwierdził dziadek. — Ale dla mnie wygląda to jak dwa różne ślady, jeden jest poziomy, a drugi biegnie pod kątem, a zadrapanie je łączy.

Właśnie w takich sprawach doświadczenie dziadka okazywało się bezcenne.

Morgan wyprostowała się.

— Jak jakby ktoś stał za nią i dusił ją liną, a dopiero *potem* ją powiesił.

— I pętla zmieniła pozycję, gdy jej ciało obciążęło linę — dodał Lance. — Może nie popełniła samobójstwa. Może została *zamordowana*.

— Nie możemy tego udowodnić — powiedział Sharp.

— Jak możemy o tym poinformować patologa? — zapytała Morgan. — Nie powinniśmy mieć tych zdjęć.

— Nie będziemy go informować — zdecydował Lance. — Frank tego nie przeoczy. Będzie miał do czynienia z ciałem, te ślady będą dla niego wyraźnie widoczne. Czy to wystarczy, by uznać śmierć za podejrzaną?

— Zależy, co jeszcze zostanie odkryte podczas sekcji. — Dziadek przyglądał się ekranowi przez kilka sekund.

Bez jego wiedzy, *oni* nie mieliby tych informacji do czasu oficjalnego raportu z sekcji, co mogło potrwać kilka miesięcy, jako że patolog musiał czekać na wyniki z laboratorium i badań toksykologicznych, zanim będzie mógł podać oficjalną przyczynę zgonu. Szeryf King zaś nigdy nie udostępniłby im wstępnych wyników sekcji.

— Co teraz? — zapytał Lance.

Morgan przyjrzała się tablicy.

— Co wiedzieli zarówno Crystal, jak i P.J. oraz Jenny?

— Crystal i P.J.-a łatwiej powiązać poprzez Mary. Nie wiem, jak wpisuje się tu Jenny. — Sharp postukał zamkniętym markerem w podbródek. — Była w domu, gdy Vic zaginął.

Sharp zaczął rysować kolejną kolumnę.

— Art ma jeszcze kilka pomysłów.

— Dobrze jest czuć się użytecznym. — Dziadek zamknął laptopa i spojrzał na tablicę. — Im dłużej czytałem akta, tym bardziej byłem przekonany, że nie chodziło o twojego ojca, Lance. Vic miał żonę, u której zaczynała się rozwijać choroba psychiczna, miał problemy finansowe i dziesięcioletniego syna, którego starał się przed tym wszystkim ochronić. Nie miał czasu na to, by zrobić coś złego. Ledwie udawało mu się w tygodniu znaleźć godzinę lub dwie, żeby wyskoczyć na piwo z przyjaciółmi. Nie był nawet w stanie dłużej grać w baseball i rzucił swoją drużynę, bo nie miał czasu.

Sharp podparł swoje ranne ramię.

— Dopóki nie pojawiły się kości Mary, nie mieliśmy żadnej innej zbrodni, która mogłaby się łączyć ze zniknięciem Vica.

Dziadek skinął głową.

— A odkąd odkryto jej szczątki, staraliście się znaleźć powiązanie pomiędzy Victorem i Mary. Możliwe, że tym ogniwem był Brian, ale co jeśli nie ma żadnego połączenia?

— Sądysz, że mój ojciec był przypadkową ofiarą? — zapytał Lance.

Morgan obserwowała go. Jak się czuł? Jak mógł obiektywnie rozmawiać o losie swojego ojca? Jego twarz była napięta, jej wyraz ponury.

— Możliwe, że Vic zginął przypadkowo w związku z Mary. — Sharp odłożył marker na półeczkę pod tablicą. — Jednak Art i ja sprawdzaliśmy też doniesienia na temat innych wydarzeń w tym okresie. Rozważamy, czy przypadkiem i on i Mary nie zostali wciągnięci przypadkowo w coś, co nie miało związku z żadnym z nich.

— Udało wam się coś znaleźć? — zapytała Morgan.

— W tygodniu, w którym przypadał dziesiąty sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego roku, najważniejszymi zdarzeniami był śmiertelny wypadek samochodowy na międzystanowej, dwa włamania i aresztowanie trzech podpitych mężczyzn za awanturowanie się i napaść — przemawiał Sharp, krążąc po pokoju.

— Z początku nie widzieliśmy nic niezwykłego w żadnym z tych wydarzeń — powiedział dziadek. — Ale zaczęliśmy grzebać głębiej i dowiedzieliśmy się, że niejaki Lou Ford, jeden z zatrzymanych po pijaku, zmarł na skutek urazu głowy.

— Nie widzę, jaki to może mieć związek — powiedział Lance.

— Został aresztowany podczas bójki w barze dziesiątego sierpnia — Sharp zawiesił głos. — W barze P.J.-a.

— Och. — Lance opadł na krzesło i roztarł skronie. — Brian powiedział, że odwiózł tam Mary około ósmej wieczorem.

Dziadek zaczął czegoś szukać w papierach.

— Lou Ford został aresztowany o ósmej trzydzieści.

Morgan postukała długopisem w biurko.

— Jeśli Brian mówił *prawdę*, to Mary mogła widzieć bójkę.

— I co z tego? W jaki sposób skończyło się to śmiercią Mary?

— Zobaczyła coś? — zasugerował Lance. — Może w tej bójce było coś więcej, niż zdołała ustalić policja. Kto dokonał aresztowania?

Sharp zerknął do notatek.

— Funkcjonariusz Owen Walsh. Owen przeszedł na emeryturę i wyjechał na Florydę kilka lat temu. Rodzina Forda pozwała biuro szeryfa.

— Czy pozew miał podstawy? — Morgan ożywiła się.

— Pozostali dwaj mężczyźni zostali zawiezieni na pogotowie od razu, bo wymagali opatrzenia i szwów. Ford wydawał się nie być ranny, jedynie pijany. Został przywieziony na posterunek szeryfa i umieszczony w celi tymczasowej, gdzie zmarł. Podczas sekcji patolog stwierdził uraz głowy. Rodzina wygrała niewielkie odszkodowanie w sprawie z powodztwa cywilnego. Ford miał długą historię pijaństwa i rozrób po pijanemu, to nie była jego pierwsza bójka w barze. Wielu świadków potwierdziło, że to on był agresorem, więc przysięgli byli do niego nastawieni nieprzychylnie. Przyznali powodce racje w niewielkiej części, jednak ugoda opiewała na zbyt niewielką kwotę, by miało to jakieś znaczenie. Owenowi Walshowi nie postawiono żadnych zarzutów, chociaż po tym zdarzeniu wydział szeryfa zmienił niektóre procedury.

— Musimy porozmawiać z Owenem — stwierdził Lance.

Sharp skinął głową.

— Nagrałem mu już wiadomość. Ford miał pięćdziesiąt pięć lat i nie był żonaty, gdy zginął. Pozew przeciwko biuru szeryfa złożyła jego siostra. Próbuję ją odnaleźć, jednak wyprowadziła się z tej okolicy. Dam znać, jeśli znajdę jakieś informacje na jej temat lub Owena Walsha.

— Ta sprawa staje się coraz bardziej skomplikowana — powiedziała Morgan.

— Czekaj, to jeszcze nie wszystko — wtrącił Sharp. — Dowiedziałem się też, że prokurator zawarł ugodę w sprawie Ricky'ego Jacksona. Musi iść na odwyk.

— Ten dzieciak, który okradał dom Crystal w czasie, gdy w salonie wisiały jej zwłoki? — upewnił się dziadek.

— Tenże sam. — Lance nastawił sobie z trzaskiem ramię. — Powinniśmy znowu porozmawiać z panem Jacksonem. Gdy z nim rozmawialiśmy, nie wiedzieliśmy, że Warren mógł molestować Mary, gdy była dzieckiem.

Dziadek zapadł się w swoim wózku. Mimo tego, że jego spojrzenie było ożywione, zgarbił się.

Morgan położyła dłoń na jego ramieniu.

— Wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest. — Poklepał ją po dłoni.

— Lance i ja zawieziemy cię do domu — powiedziała, zmartwiona.

Dziadek nie protestował, co oznaczało, że jest naprawdę wyczerpany.

— Morgan i ja złożymy kolejną wizytę Warrenowi. — Lance wstał i rozciągnął szyję.

— Nie przejrzałem jeszcze tych dokumentów. — Dziadek uniósł plik papierów. — Mogę je zabrać ze sobą do domu?

— Zrobię ci kopie. — Sharp wziął od niego dokumenty i wyszedł z pokoju. Wrócił po kilku minutach i położył dziadkowi na kolanach teczkę. — Dziękuję jeszcze raz za pomoc, Art.

Sharp też nie wyglądał najlepiej. Jego twarz była napięta i blada i poruszał się sztywno, niczym stary człowiek. Morgan funkcjonowała tylko dzięki kawie, a Lance też zaczynał odczuwać skutki braku snu i stresu.

Jednak nie mieli czasu na odpoczynek. Zabójca wciąż był o krok przed nimi.

ROZDZIAŁ 34

Lance wniósł torbę z zakupami, które on i Morgan zrobili dla Elijaha Jacksona na ganek. Dzień po południu stał się ciemny i zimny. Drząc z zimna Morgan zapukała do drzwi.

Starszy człowiek otworzył im i gestem zaprosił do środka.

— Wchodźcie.

Oczy pana Jacksona zaszły łzami, gdy Lance wniósł zakupy do środka.

— Nie wiem, jak wam dziękować.

— Nie musi pan. — Lance poszedł za nim do kuchni i postawił torbę na blacie. W sąsiednim pokoju płonął niewielki ogień.

Morgan rozpięła płaszcz, zaczęła go ściągać, po czym rozmyśliła się i naciągnęła go z powrotem na ramiona.

Lance ściągnął skórzaną kurtkę i zawiesił ją na oparciu krzesła. We wnętrzu domu nie było o wiele cieplej niż na zewnątrz. Czy starszy człowiek miał jakiegokolwiek ogrzewanie poza kominkiem? Lance podszedł do okna. Niewielki stos drewna — bardzo niewielki - zgromadzony był obok tylnej werandy.

Pan Jackson uśmiechnął się na widok paczki kawy w torbie, po czym rozpakował resztę zakupów.

— Placek! Od wieków nie jadłem placeka. Usiądźcie. Zaraz zaparzę kawy.

Lance upierał się, żeby kupili tylko niezbędne rzeczy. Morgan stwierdziła, że kawa i placek są niezbędne.

— Dziękujemy, ale nie możemy zostać dłużej — powiedziała. — Chcieliśmy tylko zadać kilka szybkich pytań.

— Możecie pytać, o co tylko chcecie. Zrobię kawy. Nie miałem kawy od miesiąca. — Starszy człowiek ożywił się i wyprostował, gdy nasypał kawy do ekspresu. Otworzył górną szafkę.

— Słyszeliśmy, że Ricky'emu zaoferowano odwyk zamiast odsiadki — powiedziała Morgan. — To dobrze, prawda?

Pan Jackson zatrzymał się i położył obydwie ręce na blacie.

— Byłoby, gdyby pomogli mu się na niego dostać. I gdyby było mnie na to stać.

Ricky nie ma ubezpieczenia, a wszystkie centra, które dzisiaj obdzwoniłem, są zarezerwowane na najbliższe miesiące. Ricky musi zostać w więzieniu, dopóki nie dostanie się na odwyk. Wiem, że nie można mu ufać, ale ktoś w kościele powiedział mi, że w więzieniu można dostać heroinę. Nigdy nie sądziłem, że tak jest. Chciałbym mu pomóc. Straciłem syna przez narkotyki. Zrobiłbym wszystko, żeby odzyskać wnuka.

— Istnieją centra, które mają zmienny cennik, w zależności od tego, ile ktoś jest w stanie zapłacić — podsunęła Morgan. — Powinien pan być w stanie znaleźć coś online. To powinno przyspieszyć sprawy, chociaż prawdopodobnie Ricky będzie musiał poczekać na swoją kolej, jako że liczba miejsc jest ograniczona.

— Nie mam komputera. — Pan Jackson wyjął kubek z szafki. — Ale może mógłbym skorzystać z niego w bibliotece.

— Mogę z tym pomóc — zaoferowała się Morgan. Jak zawsze.

— Zrobiłaby to pani? — Uśmiechnął się do niej.

Skinęła głową.

— Mogę znaleźć informacje szybciej, niż pan dotarłby do biblioteki.

— Jest pani kochana — powiedział pan Jackson.

Lance skierował rozmowę na właściwe tory. Nie miał wątpliwości, że Morgan adoptowałaby pana Jacksona, gdyby dać jej taką możliwość, tak samo jak to robiła ze wszystkimi.

— Chcieliśmy zapytać pana o męża Crystal.

— Warrena? — Pan Jackson skrzywił się. — Jest kompletnie bezużyteczny.

— Czy widywał go pan ostatnio w okolicach domu Crystal? — zapytał Lance.

Pan Jackson nalał sobie kubek kawy i wciągnął jej zapach.

— Warren zawsze się tu gdzieś kręci. Sądziłem, że znowu się zejda.

— Czy widział go pan w dniu, w którym Crystal zginęła? — zapytał Lance.

— Nie, ale był tu w ostatnią niedzielę. Gdy wracałem do domu z kościoła, widziałem jego samochód przed jej domem. — Pan Jackson pociągnął łyk kawy i przytknął oczy z zadowoleniem.

— Czy kiedykolwiek był pan świadkiem, jak Warren groził Crystal? — zapytała Morgan.

Pan Jackson odstawił kubek.

— Nie. Nie spędzałem czasu z żadnym z nich. Przykro mi, nie jestem w stanie

powiedzieć wam nic więcej. Jesteście pewni, że nie chcecie placka?

— Nie, musimy lecieć, ale dziękujemy za pomoc. — Lance nałożył kurtkę. — Trafimy do wyjścia.

Morgan ruszyła za Lancem, po czym odwróciła się z powrotem.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy kiedykolwiek podejrzewał pan, że Warren mógł molestować Mary, gdy była dzieckiem?

— Nie, ale nie wykluczałbym tego. — Pan Jackson zmarszczył brwi.

— Jeszcze raz dziękuję — powiedziała Morgan.

Wyszli w chwili, w której pan Jackson odkrajał sobie kawałek placka, niemal śmiejąc się ze szczęścia.

— Mówiłam ci, że kawa i placek to artykuły pierwszej potrzeby — powiedziała Morgan, siadając na siedzeniu pasażera. — Ten biedak nie ma w życiu zbyt wielu przyjemności.

Lance ruszył w stronę centrum recyklingu. Zerknął na zegar. Druga po południu.

— Możemy jeszcze złapać Warrena w pracy. Gdy już dotrze do domu, na pewno nam nie otworzy.

Lance podjechał na wysypisko i zaparkował. Wsiadł z samochodu.

Morgan obeszła auto od tyłu i zrównała z nim krok.

— Tym razem trzymajmy się razem.

— Nie sądzę, żeby Warren znowu próbował cię zaatakować. — Ale Lance zamierzał trzymać się blisko, tak na wszelki wypadek. Zbyt wiele się działo, zbyt wiele osób kłamało, zbyt wiele było możliwych motywów i ofiar.

Weszli do niewielkiego biura. Zamiast Warrena Foxa za poobijanym biurkiem siedział ciemnowłosy mężczyzna, który oglądał coś na swojej komórce.

Lance stanął przed biurkiem.

— Szukamy Warrena.

— Zadzwoił, że jest chory — powiedział czarnowłosy mężczyzna nie odrywając wzroku od ekranie.

— Dzięki. — Morgan wyszła z budynku i wróciła do jeepa.

Lance wślizgnął się za kierownicę.

— Mamy adres zamieszkania Warrena?

— Tak.

W czasie, gdy Morgan szukała adresu i wpisywała go w nawigację w telefonie,

Lance zadzwonił do szpitala, żeby zapytać się o stan swojej matki. Nic się nie zmieniło.

Gdy uruchomił silnik, zadzwonił telefon..

— To Sharp — poinformował Lance i odebrał.

— Szeryf King chce się z nami spotkać za pół godziny u siebie na posterunku. Groził, że nas aresztuje, jeśli nie przyjedziemy w ciągu trzydziestu minut — powiedział Sharp, nie tracąc czasu na powitania.

— Jestem w drodze. Przywiozę prawnika — odparł Lance.

— I dobrze. Wydaje mi się, że będziemy jej potrzebować.

ROZDZIAŁ 35

Siedząc w sali konferencyjnej na posterunku szeryfa, Morgan trzymała rękę na ramieniu Lance'a. Siedzący po jej drugiej stronie Sharp przyciskał do siebie ranną rękę i wiercił się na krześle, jakby nie mógł sobie znaleźć wygodnej pozycji.

— Próbuje rozwiązać sprawę o morderstwo. Czy konkurujecie ze mną? — Szeryf chodził w wąskim przejściu pomiędzy stołem a ścianą. — Zwłaszcza ty! — Wskazał na Lance'a. — Nie chcesz wiedzieć, co stało się z twoim ojcem?

— Oczywiście, że chcemy to wiedzieć — wtrąciła Morgan, obawiając się tego, co mógłby powiedzieć Lance.

— Pojechałem do Abigail Wright do „Motelu Przy Drodze”. Poprosiłem ją o księgi meldunkowe z dziesiątego sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego. Wiecie co mi powiedziała? Że już je zabraliście! — Szeryf odwrócił się i położył obie dłonie płasko na blacie. — To otwarte śledztwo w sprawie morderstwa. Powinienem aresztować całą waszą trójkę za utrudnianie śledztwa.

Morgan spojrzała mu w oczy, nie mrugając.

— Zapewne mielibyśmy większe szanse na sukces, gdybyśmy współpracowali, zamiast prowadzić równoległe śledztwa.

— Zabraliście z motelu dowody — powiedział szeryf tonem, który sugerował, że z całej siły próbuje się opanować.

— I mieliśmy zamiar przekazać je panu — powiedziała Morgan, wyciągając z torby dużą papierową kopertę. — W środku znajduje się księga meldunkowa, jak również formularz zameldowania wypełniony przez *pana Joshuę*.

— Dlaczego to zabraliście? — zapytał King.

— Biorąc pod uwagę tempo, w jakim giną potencjalni świadkowie, uznaliśmy, że te dokumenty mogą nie być bezpieczne w motelu — powiedziała Morgan.

Szeryf prychnął. Nie wierzył jej.

— Sądzymy, że Crystal Fox została zamordowana — powiedział Sharp.

— Wstępne wyniki sekcji nie są rozstrzygające. — Szeryf usiadł ciężko na krześle i położył przed sobą żółty notatnik.

Sharp złożył ręce.

— Wydział policji ze Scarlet Falls prowadzi śledztwo, mające na celu ustalenie, czy Jenny Kruger próbowała popełnić samobójstwo, czy też była to próba zabójstwa.

— Słyszałem, że przedawkowała. — Szeryf King przesunął spojrzenie na Lance'a.
— Jak się teraz miewa?

— Wciąż jest w stanie krytycznym — odparł Lance.

— Przykro mi to słyszeć. — Szeryf zmarszczył brwi, wziął ołówek i zapisał coś w notesie. — Wydaje się miłą kobietą.

Sharp wyliczył niespójności, które zauważyli w domu Jenny.

— Nie uważa pan, że to nieco zbyt duży zbieg okoliczności, że w ciągu zaledwie kilku dni mamy dwa samobójstwa, obydwa związane ze sprawą Mary Fox? A co z P.J.-em Hoolihanem i jego żoną? P.J. znał Mary i pracował w barze wieczorem dziesiątego sierpnia. Naprawdę uważa pan, że zginął w napadzie rabunkowym?

— Nigdy tak nie twierdziłem. — Szeryf pochylił się do przodu, wyjął z koperty księgę meldunkową i otworzył ją. — Zaoszczędźcie mi trochę czasu. Czego tu szukam?

— Brian Leed był klientem Mary i używał pseudonimu Pan Joshua — wyjaśniła Morgan.

— Pan Joshua był w motelu z Mary dziesiątego sierpnia wieczorem.

Szeryf złamał ołówek na pół.

— Brian Leed skłamał, mówiąc o miejscu swojego pobytu w noc, w którą zaginął Victor — powiedziała Morgan. — Nie był ze Stanem, lecz z Mary. Brian powiedział nam, że odwiózł Mary do baru P.J.-a około ósmej wieczorem.

— Do diabła! — Szeryf zapisał coś w notesie ułamanym kikutem ołówka. — Czy ktokolwiek mówi prawdę?

— Dowiedzieliśmy się też, że tej nocy w barze doszło do bójki. — Sharp wskazał kciukiem na drzwi. — I że w areszcie tymczasowym zmarł człowiek.

Szeryf uniósł dłoń.

— Zaraz, zaraz. Czy sądzicie, że ta bójka w barze jest związana ze śmiercią Mary?

— Rozważamy wszystkie możliwości — powiedziała Morgan. — Nie mamy żadnych dowodów, łączących bójkę z Mary, poza tym, że doszło do niej u P.J.-a w noc, w którą zaginął Vic, i że Mary prawdopodobnie wtedy tam była.

— Przyjrzę się temu. — Szeryf zrobił notatkę i otoczył ją kółkiem, a następnie odłożył ołówek.

— Chcielibyśmy kopie raportów z aresztowania z tej bójki — powiedział Sharp.

— Nie! — Szeryf walnął dłonią w stół, aż połówki ołówka podskoczyły. — Trzymajcie się z daleka. Czy pamiętasz, co zdarzyło się ostatnio, gdy zacząłeś wtykać nos w niebezpieczne sprawy? — King urwał na chwilę. — Musiał em przybyć na odsiecz i uratować wasze tyłki.

W minionym miesiącu szeryf *rzeczywiście* przybył na ratunek Morgan i Lance'owi.

King wstał i wskazał dłonią drzwi.

— Wynoście się z mojego posterunku, zanim znajdę jakiś powód, by aresztować całą waszą trójkę.

Lance otworzył usta. Morgan uciszyła go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Jeszcze jedno. — Morgan postanowiła wyciągnąć dłoń z gałązką oliwną. Nie sądziła, żeby szeryf naprawdę miał ochotę ich aresztować, po prostu był sfrustrowany. Wyprzedzili go w drodze do wszystkich ważnych wskazówek. — Samochód Warrena Foxa widziano pod domem Crystal w niedzielę poprzedzającą jej śmierć.

— Wiem o tym. Rozmawiałem z jej sąsiadem. Naprawdę sądzicie, że cały dzień tylko pierdzę w stołek? Ja też prowadzę śledztwo. — Oczy szeryfa pociemniały i Morgan poczuła, że zasoby jego cierpliwości są na wykończeniu.

Czas się zbierać.

Jeśli nie byli aresztowani, to szeryf nie mógł ich przetrzymywać ani zmusić ich do odpowiedzi na pytanie, ale musieli szanować jego autorytet. To była kwestia delikatnej równowagi.

— Proszę zadzwonić, gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania — powiedziała Morgan. — Naprawdę chcemy w pełni współpracować w prowadzonym przez pana śledztwie. Tak jak mówiłam wcześniej, możemy osiągnąć więcej, pracując jako zespół.

Spojrzał na nią z wściekłością.

— Daliśmy panu Briana — przypomniała.

Szeryf King wyglądał na nieco mniej zirytowanego, gdy wychodzili z pokoju konferencyjnego. Nie marnując czasu, Morgan wypchnęła z niej przed sobą Lance'a i Sharpa, zanim którykolwiek z nich powiedziałby coś, co na nowo mogłoby rozwścieczyć szeryfa.

Przeszli przez parking w kierunku samochodów. Słońce zachodziło i robiło się

chłodniej.

Sharp zatrzymał się obok swojej toyoty prius.

— Jeśli szeryf nie pokaże nam raportów z aresztowania, to musimy dotrzeć do rejestru komendy. Obecnie wiele wydziałów policji publikuje informacje o aresztowaniach online, jednak przed laty były one publikowane raz w tygodniu w gazecie „Randolph County Times”. Nazywali to „kryminalnym podsumowaniem tygodnia”.

— Zapewne nie można dotrzeć do tych informacji online? — Morgan zadrżała i wsunęła rękę do kieszeni.

— Nie. — Sharp potrząsnął głową. — Przypuszczam, że trzeba by posiedzieć nad mikrofilmami w piwnicy biblioteki.

Morgan przytupnęła w miejscu.

— Nawet nie wiedziałam, że mikrofilmy jeszcze istnieją.

— Tutaj tak. Piwnica biblioteki jest z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego czy jakoś tak. Hrabstwo Randolph nie ma funduszy, by zająć się digitalizacją starych archiwów. — Sharp przeciągnął ramię, jakby mu zeszywniało. — Walczą o przetrwanie. Dam ci znać, co uda mi się znaleźć. — Zerknął na telefon. — Znowu padła mi bateria. Muszę się rozejrzeć za nowym telefonem.

— A jak z namierzeniem tego funkcjonariusza, który aresztował Forda... Jak on się nazywał... Owen Walsh? — zapytała Morgan.

— Nie udało mi się jeszcze skontaktować, nagrałem mu kolejną wiadomość — wyjaśnił Sharp. — Nie oddzwonił do mnie. Zadzwońię do mojego znajomego na Florydzie i poproszę, by porozmawiał z Walshem. Trudniej zignorować kogoś, kto stoi na twoim progu. Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem. Umówiłem się z chłopakami na wczesny lunch w barze, może któryś z nich będzie pamiętał tę sprawę.

Każdy z „chłopaków” miał ponad pięćdziesiąt lat. Sharp regularnie widywał się ze swoimi kolegami ze służby, z których część już przeszła na emeryturę lub była tuż przed nią.

— Nadal chcesz odnaleźć Warrena Foxa? — zapytał Lance, zwracając się do Morgan.

— Tak. — Morgan szczelniej otuliła się płaszczem, po czym uruchomiła nawigację w telefonie. Telefon obliczył nową trasę z ich obecnego miejsca pobytu. — Nie podoba mi się, że nie wiem, gdzie jest Warren.

— Ani co robi.

Telefon Morgan zadzwonił jej w dłoni.

— To Stella — powiedziała i odebrała.

— Właśnie rozmawiałam przez telefon z policją w Redhaven — powiedziała Stella zdyszczanym głosem. Redhaven było niewielkim miasteczkiem około dwadzieścia pięć kilometrów od Scarlet Falls. — Wczoraj około południa aresztowali Tylera Greena za złamanie zakazu zbliżania się do byłej żony.

Morgan zamarła.

— Koło południa?

— Tak — potwierdziła ponuro Stella. — Tyler Green nie podrzucił wczoraj tej paczki.

— Cholera. — Zimny wiatr chłostał Morgan po twarzy.

— Uważaj na siebie — powiedziała Stella.

— Będę. — Morgan zakończyła połączenie. Poczowała zimny dreszcz i zapięła guziki płaszcza. — Słyszeliście, co powiedziała Stella?

— Tak — odparł Lance z zaciętą twarzą.

Morgan wetknęła ręce do kieszeni.

— Jeśli to nie Tyler mnie prześladowuje, to kto?

— Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna osoba, która jest mściwa i zła na ciebie — powiedział Lance, krzyżując ramiona.

Morgan przypomniało się zajście w sądzie. Zgarbiła się pod smagnięciami wiatru.

— Esposito?

— Próbował cię zastraszyć — zauważył Sharp.

To prawda.

— Ale jest zastępcą prokuratora... — Morgan trudno było uwierzyć, by nowy prokurator był na nią *aż tak* wściekły za to, że go przechytrzyła.

— Wygląda na typ, który nie lubi przegrywać — stwierdził Lance.

— Nie obchodziły go wina lub niewinność, tylko wygranie sprawy — dodał Sharp.

— Jest dobrym kandydatem — przyznała Morgan.

— Jeszcze jedno. Esposito prowadził sprawę Tylera — dorzucił Lance. — Czy sądzisz, że to możliwe, iż obniżył zarzuty wobec Tylera ze złości na ciebie? Może to była część jego planu, by cię nękać i straszyć.

— Dziewięćdziesiąt procent spraw kończy się ugodą. Nie możemy udowodnić, że Esposito miał jakikolwiek inny motyw poza zakończeniem sprawy — powiedziała Morgan, jednak tak naprawdę miało to sens. Niestety, nie mogła w tym momencie nic z tym zrobić. Zarzuty leżały w gestii urzędu prokuratora. — Na razie musimy odstawić tę sprawę na dalszy plan. Musimy się skupić na znalezieniu tego, kto zabija.

ROZDZIAŁ 36

Jeśli nie uda się za pierwszym razem, spróbuj znowu.

Ale lepiej.

Mądrzej.

Naciągnął zieloną czapeczkę niżej na czoło. Dłoni w rękawiczkach chwycił rączkę wózka na śmieci, który toczył z pokoju do pokoju. Trzymał głowę opuszczoną i upewnił się, że identyfikator jest odwrócony tak, by nie dało się go przeczytać. Nie wyglądał jak latynoski sprzątac, któremu go ukradł. Pilnował też, żeby nie patrzeć w kamery nad głową.

W korytarzach panował spokój. Nikt nawet na niego nie spojrział. Sprzątacze byli jakby niewidzialni. Pielęgniarka, która zajmowała się Jenny Kruger i druga, która miała pod pieczę salę obok, stały za kontuarem. Jedna z nich rozmawiała przez telefon.

Przeszedł obok pokoju Jenny Kruger. Blondynka nadal tam była. Czy nie potrzebowała snu? Nie mógł wejść do pokoju Jenny, musiał wymyślić inny plan. Zauważył wózek z lekami stojący przed jej drzwiami. Etykieta z przodu miała jej numer pokoju. Na wózku leżały dwa duże worki do kroplówek. Biorąc pod uwagę ich rozmiar i to, że leżały w ogólnodostępnym miejscu, domyślił się, że to sól fizjologiczna. Leki były trzymane pod kluczem.

Jeśli mógłby się do nich dostać tak, żeby nikt nie zauważył, mógłby wstrzyknąć heroinę do kroplówki. To, że w ten sposób narkotyk dłużej przenikałby do jej organizmu dałoby mu szansę, by się oddalić.

Starszy człowiek nadal leżał w pokoju obok. Podeszedł do jego łóżka, wyjął z kieszeni strzykawkę, otworzył wenflon i wstrzyknął jej zawartość do środka. Nie znał się na tym, ale ewentualny bąbelek powietrza stanowił najmniejszy z problemów starca. Kilka sekund później opróżnił kosz na śmieci w pokoju i niespiesznie wyszedł.

Uważając na kamery bezpieczeństwa, ustawił się tak, by jego twarz nie była widoczna. Pod workowatym strojem miał poduszeczki, by zmienić kształt swojej sylwetki, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi, gdy przechodził z pokoju do pokoju.

Był już trzy pokoje dalej, gdy rozbrzmiał alarm. Chwilę później przez megafony

ogłoszono kod niebieski. Rozległy się pospieszne kroki. Wyjrzał na korytarz i przekonał się, że wszyscy robią to samo. Pielęgniarki i lekarze popędzili do pokoju starca, włącznie z pielęgniarką oddziałową. Ludzie roili się, wchodząc i wychodząc z pokoju.

Nawet ci z pracowników, którzy nie brali udziału w akcji ratowniczej byli nią pochłonięci. Podszedł bliżej i zatrzymał się za dwoma niewysokimi pielęgniarkami w pobliżu pokoju Jenny Kruger. Nad ich głowami mógł zaglądać do pokoju starca. Ktoś wdrapał się na jego łóżko, by prowadzić sztuczne oddychanie. Ktoś inny przygotowywał defibrylator. Podawano mu zastrzyki. Mężczyzna w niebieskim fartuchu obserwował monitory i wykrzykiwał rozkazy. Wszystko sprawiało wrażenie dobrze zorganizowanego chaosu.

Nastrój zmienił się, gdy wysiłki mające na celu uratowanie mężczyzny nie przynosiły rezultatu.

Zerknął na wózek z lekami obok drzwi pokoju Jenny. Torby od kroplówek wciąż leżały na najwyższej półce. Trzymając ręce nisko, przesunął się w bok, wyjął z kieszeni drugą strzykawkę i wstrzyknął jej zawartość do worka z kroplówką przez samozamykający się pomarańczowy zawór. Ze względu na to, że heroina miała zostać rozcieńczona, wstrzyknął kolejną strzykawkę. To powinno wystarczyć. Biorąc pod uwagę ogólny stan Jenny Kruger, jej serce po tym musiało stanąć.

Ludzie zaczęli wychodzić z pokoju starca. Z ich gestów i postaw emanowało rozczarowanie. Oddalił się od wózka i ruszył w głąb korytarza, zanim inni gapie zaczęli się rozchodzić. Dopchał wózek ze śmieciami do końca korytarza i zostawił go w składziku, po czym przycisnął kwadratowy srebrny przycisk i wyszedł z oddziału intensywnej terapii.

Nie mógł kontrolować, kiedy Jenny Kruger dostanie kroplówkę, ani tego, jak szybko będzie się sączyła w jej żyły, ale to nie miało znaczenia. Nim noc dobiegnie końca, Jenny Kruger będzie martwa.

ROZDZIAŁ 37

Morgan rozgrzała dłonie pod wentylatorem. Temperatura spadała z każdą chwilą wraz ze znikającym światłem dnia.

Lance zgodnie ze wskazówkami nawigacji podjechał do niewielkiego ceglanego budynku wielorodzinnego w pobliżu stacji kolejowej w Grey's Hollow. Budynek podzielony był na osiem mieszkań, cztery na górze i cztery na dole. Warren mieszkał w dolnym skrajnym mieszkaniu. Morgan i Lance wysiedli z jeepa, przeszli przez ulice i doszli chodnikiem do drzwi. Lance zapukał. Nikt nie otwierał, co nie było zaskoczeniem dla Morgan.

Odwróciła się i rozejrzała dookoła.

— Nie widzę jego samochodu.

Nawet gdyby Warren był w domu, czy otworzyłby im drzwi?

Morgan weszła na trawnik, osłoniła oczy dłonią i zajrzała do środka przez okno.

— Widzisz coś? — zapytał Lance.

— Nie, firanki są zaciągnięte. — Morgan wróciła na chodnik.

Lance obszedł dom, jednak wszystkie okna były zasłonięte. Spróbował zajrzeć do środka przez kilkucentymetrową szparę w zasłonach w jednym z frontowych okien.

— Nic nie widzę.

Z mieszkania obok wyszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w niebieski roboczy kombinezon. Zmarszczył brwi i spojrzał podejrzliwie na Lance'a.

— Dzień dobry — powiedziała do niego Morgan, uśmiechając się niewinnie.

Mężczyzna nie wyglądał na przekonanego.

— Mogę w czymś pomóc?

Morgan uśmiechnęła się jeszcze szerzej i sięgnęła do kieszeni po wizytówkę.

— Szukamy Warrena Foxa...

— Jesteśmy prywatnymi detektywami. — Lance położył jej dłoń na ramieniu, zatrzymując jej dłoń w kieszeni. — Warren mógł odziedziczyć jakieś pieniądze, czy widział go pan może?

— Przykro mi — Sąsiad rozluźnił się i pokręcił głową. — Chciałbym pomóc, ale nie widziałem dzisiaj Warrena. Możecie sprawdzić na wysypisku. Nie wiem, o której

kończy, ale tam pracuje.

— Dobrze pan go zna? — zapytała Morgan.

— Nie. — Ton odpowiedzi sugerował, że to sytuacja z wyboru.

— Czy nie wie pan, gdzie jeszcze mógłby być? — zapytał Lance. — Będzie chciał z nami porozmawiać.

Sąsiad poprawił zamek w kombinezonie.

— Możecie spróbować w Czarnej Tawernie. To jego wodopój. A teraz przepraszam, spieszę się do pracy. — Odwrócił się i ruszył w stronę zaparkowanego przed budynkiem sedana.

— Dziękujemy! — zawołała za nim Morgan.

Wrócili do jeepa.

— Okłamałeś go — zauważyła Morgan, zamykając drzwi z większą siłą niż to było konieczne. — Co, jeśli powie o tym szeryfowi?

— Powiedziałem, że *mógł* odziedziczyć pieniądze — uściślił Lance. — I dlatego właśnie nie daliśmy mu wizytówki ani nie przedstawiliśmy się.

Morgan westchnęła.

— Szeryf będzie wiedział, że to my. To właśnie tego typu numery sprawiają, że go wkurzamy.

— Jest niemożliwy.

Morgan była pewna, że szeryf ma takie samo zdanie o Lansie.

— Wiem, że jesteś sfrustrowany, ale musimy dobrze wybierać bitwy — powiedziała. — Czy ci się to podoba czy nie, on reprezentuje prawo. Niektórych bitew po prostu nie możemy wygrać. Lepiej dobrowolnie z pewnych kwestii zrezygnować, wtedy sprawia się wrażenie, że jest się chętnym do współpracy.

— Wiem. Masz rację, ale umierają ludzie. — W głosie Lance'a brzmiała frustracja. — Moja matka prawie umarła i nadal nie wiemy, co się stało z moim ojcem.

— Może pojedziemy teraz odwiedzić twoją matkę? — zasugerowała Morgan.

Lance zerknął na mapę w telefonie.

— Najpierw wstąpimy do Czarnej Tawerny. To na końcu ulicy, a szpital jest w przeciwnym kierunku.

Zjechał z krawężnika. Tawerna znajdowała się jakiś kilometr od mieszkania. Warren mógł nawet po pijaku trafić bez problemów do domu. Wspominając jego

oddech, Morgan pomyślała sobie, że zapewne ta lokalizacja była dla niego dogodna.

Lance zaparkował i weszli do środka. Wyraźnie był to lokal dla miejscowych, niewielki, z zaledwie tuzinem stolików i tyłoma miejscami przy wysłużonym barze. Powietrze pachniało kwaśnym piwem i życiowym rozczarowaniem. Na tablicy na ścianie głoszono, że piwo lane kosztuje jedynie dolara podczas szczęśliwej godziny. Była piąta trzydzieści i kilkoro stałych bywalców korzystało z tej zniżki, gapiąc się na mecz hokeja w wiszącym na ścianie telewizorze z płaskim ekranem. Kilkoro z nich garbiło się, wyraźnie już pod wpływem alkoholu, mimo że szczęśliwa godzina dopiero się zaczynała.

Dwóch mężczyzn siedzących na końcu baru przyglądało się Morgan. Lance ustawił się między nimi a Morgan. Ten gest wprawdzie nie był konieczny, ale Morgan doceniła to.

Podeszli do baru. Podłoga była brudna, Morgan czuła, jak piasek zgrzyta jej pod butami.

Barman, ubrany w czarną koszulkę, miał całe ręce wytatuowane.

— Co mogę podać? — zapytał.

Morgan pochyliła się nad barem.

— Szukamy Warrena Foxa.

Barman ledwo na nią spojrzał.

Lance oparł przedramiona na barze i cicho dodał:

— Warren mógł odziedziczyć jakieś pieniądze.

Barman podrapał się w czerwoną gulkę na tatuażu robota na nadgarstku. Po wewnętrznej stronie jego ramion było więcej takich śladów. *Narkoman*. Przyjacielskim uśmiechem nic się z nim nie załatwi. Narkomanom zależało tylko na jednym: na pieniądzech, aby kupić kolejną działkę.

Lance wyjął z kieszeni dwudziestodolarowy banknot i położył go na barze. Drugi trzymał między palcami. *To* zwróciło uwagę barmana. Schował pieniądze i spojrzał na Lance'a uważniej.

— Chciałbym pomóc, ale nie widziałem dzisiaj Warrena.

— Jak często tu zwykle przychodzi? — zapytał Lance.

— Praktycznie codziennie. — Barman wskazał na drugi koniec baru. — Zwykle o czwartej trzydzieści już siedzi na tym stołku.

Warrena nie było w pracy, w domu ani w barze, gdzie zwykle przebywał. Czy był

winny, znalazł się w niebezpieczeństwie, czy też po prostu upił się gdzieś indziej?

— Kiedy go ostatnio widziałeś? — zapytał Lance.

— Jak tak o tym myślę, to wczoraj też go tu nie było. — Barman podrapał się po brzuchu.

Jego świad wydawał się zaraźliwy. Morgan cofnęła się lekko.

— Może postanowił napić się w domu. — Wzruszył ramionami barman. — Albo jest spłukany. Ta zdzira, z którą był żonaty, czyhała na jego pieniądze. Może udało jej się coś dostać.

Lance przesunął drugi banknot po barze.

— Czy wiesz, gdzie jeszcze Warren mógłby pójść?

— Przykro mi. — Barman schował banknot. — Z tego co wiem, albo jest w pracy, albo w domu, albo tutaj.

— Dzięki. — Lance poprowadził Morgan w kierunku innych gości, trzymając ją nieco za swoim lewym ramieniem. Wyjął z kieszeni kolejną dwudziestkę. — Czy ktoś z was wie, gdzie mógł się podziać Warren Fox?

Morgan nie wątpiła, że wszyscy słyszeli rozmowę Lance'a z barmanem.

— Możesz sprawdzić u jego żony. — Jeden z mężczyzn zachwiał się na stołku. — Próbował się z nią na nowo spiknąć. Nienawidził jej, ale i kochał, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Niezupełnie.

— Czy ktoś wie coś więcej? — Lance pomachał złożonym banknotem.

Inni westchnęli i wrócili do swoich piw.

Lance dał pijanemu mężczyźnie dwudziestkę, a następnie wyprowadził Morgan z baru. Powietrze na zewnątrz było zimne, lecz przyjemnie świeże.

— Warren nie był w barze od dwóch wieczorów. — Morgan sięgnęła do torby i wyjęła z niej niewielką buteleczkę antybakteryjnego mydła do rąk. Zaproponowała je Lance'owi.

— Niczego nie dotykałaś — powiedział, potrząsając głową.

— Ale i tak czuję się brudna. — Roztarła żel między palcami. Miał rację, ale zapach żelu sprawił, że poczuła się czyściejsza. — Paskudne miejsce. Barman jest narkomanem.

Lance skinął głową.

— Dlatego udzielił nam informacji za czterdzieści dolców bez cienia wyrzutów

sumienia.

Wsiadli do jeepa.

— Powinniśmy zadzwonić do szeryfa. — Morgan wygładziła płaszcz i zapięła pasy. — Biorąc pod uwagę to, co się działo w tym śledztwie, Warren może leżeć martwy w swoim mieszkaniu.

— Z dużą niechęcią muszę się z tobą zgodzić — powiedział Lance. — Zadzwoń do niego.

Morgan westchnęła i wyjęła telefon. Zakryła głośnik palcami.

— Nie odbiera.

Nagrała wiadomość, żeby szeryf zadzwonił do niej w sprawie.

— Idealnie. Spełniliśmy swój obowiązek i nie musiałaś rozmawiać z szeryfem.

— I tak czuję się winna. — Morgan opuściła telefon na kolana. — Czy powinniśmy zadzwonić na 911?

Lance wjechał na ekspresówkę.

— Pewnie nie możemy po prostu do niego wejść?

— Nie, zdecydowanie nie. — Morgan wykonała telefon, podała dyspozytorowi swoje nazwisko i poprosiła o sprawdzenie losów Warrena, podając jego adres. — Nie będą się w tym spieszyć.

— Jeśli nie żyje, to godzina czy dwie nie zrobi mu różnicy.

Szpital znajdował się pół godziny jazdy od Czarnej Tawerny. Gdy zajęchali na parking, była prawie siódma wieczorem.

— Przepraszam, powinniśmy byli zatrzymać się, żeby coś zjeść — powiedział Lance.

— Nie szkodzi — Morgan wyjęła z torby dwa batoniki i zaproponowała jeden Lance'owi.

— Nie jestem głodny — powiedział, potrząsając głową.

Schowała jeden z batoników do torby i w drodze przez parking pochłonęła drugi. Przeszli przez automatyczne drzwi, odebrali identyfikatory dla odwiedzających w recepcji i pojechali windą na trzecie piętro. Ruszyli korytarzem w stronę oddziału intensywnej terapii. Jeden z techników właśnie wychodził i prześlizgnęli się przez drzwi, dopóki były otwarte.

Morgan od razu wyczuła ponury nastrój panujący na oddziale. Pielęgniarki rozmawiały przyciszonymi głosami. Lance przyspieszył kroku. On też to poczuł.

Morgan mocno ujęła jego dłoń.

Ktoś umarł.

ROZDZIAŁ 38

Lance wyczuwał smutek, rzeczywisty niczym nagłe obniżenie temperatury w pomieszczeniu.

Nie zadzwonili do niego.

Więc to nie mogła być mama.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami pokoju swojej matki. Przerazenie spowalniało mu kroki, tak jakby ktoś wypełnił mu buty cementem. On i jego matka walczyli z jej chorobą umysłową od dekad. Mieszkające w niej demony rozgościły się na stałe. Jednak za każdym razem, gdy ruszały do ataku, mobilizowała się i udawało jej się je zagonić do kątów. Przez całe życie toczyła jedną bitwę za drugą. Niektóre wygrała, inne nie. Jednak w ogólnym rozrachunku wygrywała wojnę. Cał za całem, powiększała swoją przewagę. I właśnie wtedy, gdy wydawało się, że naprawdę wszystko jest na najlepszej drodze, padła ofiarą w chorej grze kogoś innego.

Z wysiłkiem zrobił ostatnie dwa kroki. Morgan mocniej ścisnęła jego rękę.

Jednak w pokoju jego matki wszystko wyglądało tak, jak wcześniej. Matka spała, respirator szumiał, monitor serca pikał w równym rytmie.

Nie chodziło o nią.

Wypuścił powietrze i przez chwilę zakręciło mu się w głowie.

Siedząca na krześle obok łóżka Hannah Barrett uniosła głowę. Jej twarz była poważna, oczy smutne. Lance zerknął do pokoju obok. Na głowę pacjenta na łóżku naciągnięte było prześcieradło. Dwie kobiety w fartuchach rozłączały sprzęt i odłączały różne rurki, zwijając je na łóżku.

Stary człowiek umarł.

Lance poczuł w równej mierze ulgę i winę. Ten człowiek też był czyimś ojcem lub dziadkiem. Ktoś inny będzie miał złamane serce, gdy usłyszy o jego śmierci.

Wszedł do pokoju, trzymając Morgan za rękę. Weszła pielęgniarka i zawiesiła nowy worek z kroplówką. Jej oczy i nos były zaczerwienione od płaczu.

— Jak ona się miewa? — zapytał Lance.

— Trzyma się — Pielęgniarka pociągnęła nosem, po czym pokrótce opisała jej stan. — Jej parametry nerkowe dzisiaj się nieco poprawiły. — Przeplukała port

kroplówki, podłączyła nową torebkę z płynem i przycisnęła jakieś guziki na pompie infuzyjnej.

Łóżko i sprzęt medyczny zajmowały połowę dużego pokoju. W drugiej części znajdowała się szafka na przybory i komputer. Ściana od strony korytarza była przeszklona, jednak w razie potrzeby można było zaciągnąć zasłonę.

Pielęgniarka sprawdziła odczyty monitorów, podeszła do komputera, zapisała coś, po czym wyszła z sali ze słowami:

— Proszę dać znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Hannah wstała i przywitała się z nimi.

— Nie mogę wyrazić, jak jestem wdzięczny, że tu jesteś — powiedział Lance.

— Nie ma problemu. — Hannah odgarnęła z czoła kosmyk krótkich, jasnych włosów. — Czy macie jakiś pomysł na to, kto mógł jej to zrobić?

— Mamy kilku poważnych podejrzanych. — „Ale nie dość poważnych” — pomyślał sobie Lance. — Byłaś tu przez cały dzień?

Hannah skinęła głową.

— Wkrótce przyjedzie Brody zmienić mnie na wieczór, a Stella powiedziała, że weźmie nocną zmianę. Jedno z nas będzie z nią przez cały czas.

— Jestem wam niezmiernie wdzięczny — powiedział.

— Nikt nie jest w stanie być w dwóch miejscach równocześnie. — Hannah ruszyła w stronę drzwi. — Skoro tu jesteście, rozprostuję trochę nogi i napiję się herbaty.

Morgan uścisnęła dłoń Lance'a.

— Chcesz zostać z nią kilka minut sam na sam?

Lance skinął głową. Morgan wyszła wraz z Hannah z pokoju.

Podszedł do łóżka i ujął dłoń swojej matki. Jej palce były lodowate. Chwylił mocniej jej dłoń, by ją ogrzać. Lekarze sądzili, że przeżyje, ale czy tak będzie? A jeśli tak, to czy nie pozostaną jej jakieś trwałe urazy?

Pielęgniarka wydawała się zadowolona z jej postępów, ale Lance ich nie dostrzegał. Twarz jego matki była bez życia, skóra pozbawiona koloru, niemal niebieskawa. Jej wargi były zupełnie bezbarwne. Wydawała się znikać przed jego oczami.

Jedna z maszyn obok jej łóżka zaczęła pikać. W drzwiach pojawiła się pielęgniarka. Na widok odczytów monitorów zacisnęła usta. Rozległ się alarm.

Lance wzdrygnął się. Pot zaczął mu spływać między łopatkami, żołądek fiknął mu

kozła.

— Co się dzieje?

— Jej tętno spada — powiedziała pielęgniarka. Przycisnęła guzik i rękaw do pomiaru ciśnienia napełnił się.

Do pokoju wbiegł doktor.

— Ciśnienie i tętno spadają. — Pielęgniarka zaczęła wyliczać odczyty. — Jeszcze dziesięć minut temu jej wskaźniki życiowe były w normie.

Do pokoju wbiegło więcej pielęgniarek. Jedna z nich zepchnęła Lance'a na bok. Ustąpił, cofając się w stronę drzwi.

— Paznokcie niebieskie. — Lekarz uniósł powieki Jenny kciukiem. — Żrenice zwężone. — Podeszedł do komputera i przewinął coś na ekranie. — Gdyby nie to, że leży na oddziale intensywnej terapii, podejrzewałbym, że znowu przedawkowała opiaty. Jej pierwotne badanie toksykologiczne potwierdziło obecność opiatów.

Mieli rację.

— Ktoś ją otruł — powiedział Lance. — To nie była próba samobójcza.

Czy ktoś mógł się wślizgnąć na oddział i podać jego matce narkotyki?

— Czy ktoś jeszcze wchodził do tego pokoju? — Lance rozejrzał się po pomieszczeniu, następnie spojrzął w stronę drzwi. Korytarzem chodzili ludzie. Personel medyczny miał na sobie identyfikatory. Goście musieli zameldować się na recepcji i odebrać identyfikatory do gości. Ale jak trudno byłoby wślizgnąć się na oddział? To nie było duże miasto. Szpital komunalny zapewniał doskonałą opiekę, ale nie było w nim nawet wykrywaczy metalu. Nawet jeśli ktoś zdołałby wejść na oddział, Hannah mówiła, że siedziała przy jego matce cały dzień. Była tu po to, żeby ją chronić. Czy wychodziła na kawę lub do toalety?

— Czy sugeruje pan... — Spojrzał na niego lekarz.

— Ktoś próbował ją zabić raz — odparł Lance. — Nie wiem, jak mogliby się tu do niej dostać, ale panuje tu duży ruch.

Wokół łóżka zgromadziło się więcej personelu.

— Czy ktoś mógł podmienić leki? — Lance odsunął się jeszcze dalej, aż dotknął ramieniem szklanej ściany przy drzwiach.

— Mamy ścisłe protokoły wydawania leków — rozmawiając z Lancem, lekarz nie odrywał wzroku od monitorów. — Leki są sprawdzane i to nie raz.

— Jej tętno wciąż spada — zawołał ktoś.

— Spróbujmy naloksonu — zdecydował lekarz.

Lance obejrzał się przez ramię. Po drugiej stronie szyby na wózku leżały dwa worki z solą fizjologiczną do kroplówki, a obok nich inne materiały. Każdy mógł mieć do nich dostęp. Nikt ich nie pilnował.

— Pielęgniarka podpięła nowy worek z kroplówką pięć minut przed tym, nim to się stało.

Lekarz odłączył kroplówkę.

— Dajcie świeży worek z solą fizjologiczną.

— Ale nie ten, który leżał w korytarzu — krzyknął Lance za pielęgniarką, która wybiegła na zewnątrz. Patrzył bezradnie na działania ratowników, którzy zasłaniali mu widok na matkę.

— Zatrzymaj tę torebkę — powiedział do pielęgniarki, która ściągała worek od kroplówki ze stojaka. — To może stanowić dowód.

Odłożyła ją na bok.

Pielęgniarka zrobiła zastrzyk przez wenflon. Nalokson odwracał skutki przedawkowania opiatów i blokował ich działanie. Gdy jeszcze pracował jako policjant, Lance zawsze woził w samochodzie jedną dawkę leku. Liczba uzależnionych od heroiny i przypadków przedawkowania drastycznie wzrosła w ciągu ostatniej dekady. Nalokson działał szybko i w przypadku osób uzależnionych natychmiast wpędzał je w zespół odstawienny. Jeśli jego matce podano opiaty, antidotum powinno zadziałać w ciągu kilku minut.

Jeśli Lance się mylił, nalokson nie miałby wpływu na jej stan. Straciliby tylko cenny czas, w trakcie którego zapewne czułaby się coraz gorzej.

No, dawaj.

Lance słyszał w uszach łomotanie własnego serca. Pot płynął mu po plecach, czuł, że dłonie zaciśnięte w pięści u jego boków też stają się wilgotne. Wszystko w nim zwinęło się w ciasną kulkę w oczekiwaniu. Zimno owinęło go niczym koc, tak jakby chciał się emocjonalnie przygotować na najgorsze.

Proszę.

Był tak odrętwiały i tak skupiony na tym, co się dzieje, że nie widział Morgan i Hannah nadchodzących korytarzem.

— Co się stało? — Morgan chwyciła go za ramię.

Nie był w stanie oderwać wzroku od ekranów.

Tik tak.

— Tętno jest wyższe i nadal rośnie — powiedział lekarz.

Cały zespół ratowników odetchnął z ulgą. W ciągu dziesięciu minut puls i ciśnienie wróciły do normy.

Lance wypuścił powietrze, które trzymał w płucach.

Morgan objęła go ramieniem.

— W porządku?

— Tak. — Potarł twarz. Była mokra. Otarł ją dłońmi.

— Wyjdźmy na korytarz. — Morgan wyprowadziła go z pokoju. — Co się stało?

Lance wyjaśnił.

— Nie wychodziłam z pokoju nawet na kawę — powiedziała Hannah. — Pielęgniarki przynosiły mi jedzenia. Do pokoju nie wchodził nikt poza pielęgniarką i lekarzami i tylko pielęgniarka podawała jej leki. — Hannah zmrużyła oczy. — Obserwowałam ją.

— To musiało być w soli fizjologicznej. — Lance nabrał powietrza, mając wrażenie, że płuca mu drżą. Czuł się, jakby przez ostatnie piętnaście minut przeżył trzy dni. — Ktoś musiał do niej coś wstrzyknąć, gdy leżała na korytarzu. Muszę zadzwonić do Stelli lub Brody'ego, oni mogą zdobyć dostęp do nagrań z kamer bezpieczeństwa. — Zerknął przez szklaną ścianę.

Pielęgniarki i lekarze wciąż otaczali jego matkę.

— Zadzwonię do Brody'ego — powiedziała Hannah. Z telefonem w dłoni ruszyła korytarzem.

Z pokoju Jenny wyszedł lekarz.

— Jej stan wydaje się stabilny.

— Na ile to wpłynie na jej rekonwalescencję? — zapytał Lance. Już wcześniej istniało ryzyko trwałego uszczerbku na zdrowiu.

— Trudno powiedzieć. — Lekarz ściągnął rękawiczki. — Nie wiem, jak mogło do tego dojść.

Obok nich przeszła kobieta, zasłaniając twarz dłonią. Ze szlochem weszła do pokoju obok pokoju Jenny.

Stary człowiek.

— Czy wcześniej mieliście sytuację alarmową? — zapytał Lance.

— Tak. — Lekarz powędrował za jego spojrzeniem. — Tuż przed tym. Ale ten

mężczyzna chorował od długiego czasu. Leżał tu od tygodni. Jego śmierć nie jest zaskoczeniem.

— Ale w sytuacji alarmu panuje tu zamieszanie — powiedział Lance.

— Tak — zgodził się lekarz i odwrócił z powrotem w stronę Jenny. — Przepraszam na chwilę. — Wszedł do pokoju i sprawdził jeszcze raz odczyty monitorów.

— Alarm mógł stanowić dogodną okazję — powiedziała ponuro Morgan.

— Powinni sprawdzić, czy temu staruszkowi nie podano opiatów — stwierdził Lance. — Na wypadek, gdyby on został zamordowany.

— Stella przyjedzie z Brodym — powiedział Hannah, wracając. — Zwrócą się o przyznanie nadzoru policyjnego twojej matce.

Jednak prawdopodobnie ktoś wstrzyknął coś do soli fizjologicznej poza pokojem jego matki. Ten morderca mordował poprzez uduszenie, powieszenie, strzał z broni palnej i truciznę. Wykorzystywał wszystkie metody, jakie pozwalały mu osiągnąć skutek.

— Zadzwoń do Sharpa i powiem mu, co się stało. — Morgan ruszyła w głąb korytarza.

Kto mógł wiedzieć, ile potrwa, nim Jenny się obudzi? I czy w ogóle będzie w stanie wskazać tożsamość truciciela... Lance odepchnął od siebie tę myśl. Nie mógł teraz znieść możliwości, że jego matka miałaby jakieś uszkodzenie mózgu. Nie dziś. Teraz musiał się skupić na tym, żeby w ogóle przeżyła.

Wkrótce przyjechali Brody i Stella i przejęli śledztwo. Lance podsumował dla nich swoje przemyślenia. Gdy opisywał to, co stało się tego wieczoru, poczuł, jak opuszcza go odrętwienie, jak znikający cień w południe, a na jego miejscu pozostawał gniew, jasny i ostry niczym zimowe słońce.

Znajdzie człowieka, który to zrobił.

Może to ten sam człowiek, który zabił ojca Lance'a, może nie. Jednak Lance wiedział, że ten, kto skrzywdził jego matkę, będzie znał odpowiedź.

— Za kilka minut jeden z policjantów na patrolu przywiezie połowy test na obecność narkotyków — powiedziała Stella. — Wkrótce będziemy wiedzieli, czy kroplówka została skażona.

Policjant przyjechał wkrótce. Lance niecierpliwie chodził po korytarzu. Policjant otworzył w rogu pokoju Jenny walizeczkę i wyjął z niej zestaw do testów. Pobrał

próbkę zawartości kroplówki. Policjanci często musieli wykonywać badanie różnych substancji na obecność narkotyków, Lance sam robił to wielokrotnie w swojej karierze. Dużo lepiej było sprawdzić każdy podejrzany biały proszek niż aresztować kogoś za posiadanie kokainy podczas gdy tak naprawdę byłby to proszek do pieczenia.

Po kilku minutach policjant uniósł głowę znad testu.

— Test potwierdza obecność opiatów.

Jenny została otruta. Dwukrotnie.

ROZDZIAŁ 39

Telefon Sharpa nie odpowiadał i przełączył się na pocztę głosową. Morgan nagrała mu krótką wiadomość, obserwując wydarzenia w szpitalu i koncentrując się głównie na Lance'ie, który nerwowo krążył pod drzwiami pokoju swojej matki. Potwierdzenie otrucia wywołało natychmiastową reakcję zarówno u policji, jak i u Lance'a.

Policjanci przełączyli się na wyższy bieg.

Z Lance'a emanowało napięcie niczym gorąco z paleniska. Jego ciało pozostawało w nieustającym ruchu, tak jakby jego emocje były zbyt wzburzone, by pozwolić mu znieruchomieć.

Jakby ledwo nad sobą panował.

Był człowiekiem czynu i jego naturalną reakcją było przekucie lęku i smutku w plan bitwy.

Brody i Stella przeszukiwali załogę szpitala, uzyskali nagrania z kamer bezpieczeństwa i wezwali zespół techników.

Telefon Morgan zawibrował. Wyjęła go z torebki i zobaczyła na ekranie numer dziadka. Puls jej przyspieszył. Dziadek nie dzwonił do niej bez powodu. Czy z dziewczynkami wszystko w porządku? Zatrzymała się na końcu korytarza i odebrała telefon.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak — urwał.

Wyprostowała się. Coś było nie tak.

— Ale?

— Przeglądałem dzisiaj e-maile i wykaz rozmów telefonicznych Jenny. Poza Lance'em, tobą lub Sharpem nie dzwoni do niej wiele osób, wczoraj jednak odebrała telefon z nieznanego numeru. Sądziłem, że mógł to być telemarketer, jednak postanowiłem to sprawdzić. Trochę potrwało, nim udało mi się ustalić tożsamość dzwoniącego. Sprawy trochę się zmieniły, odkąd prowadziłem śledztwa. Nigdy nie zgadniesz, kto dzwonił do Jenny.

— Kto? — zapytała Morgan.

— Stan Adams.

Umysł Morgan połączył fakty.

— Pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć od razu — dodał dziadek.

— Miałaś rację. — Morgan opowiedziała mu, co się stało z Jenny.

— O, nie! — zawołał dziadek i przeklął, co rzadko mu się zdarzało. — Chciałbym móc pomóc.

— Byłeś bardzo pomocny.

— Dawaj mi znać na bieżąco — powiedział dziadek. — Kocham cię.

— Ja ciebie też — zakończyła rozmowę Morgan.

Podchwyciła spojrzenie Lance'a.

Podszedł do niej.

— Co się stało?

— Dzwonił mój dziadek. — Morgan przełknęła ślinę. — Przejrzał e-maile i wykaz rozmów telefonicznych twojej matki. Ktoś dzwonił do niej wczoraj.

— Kto? — zapytał Lance, natychmiast przechodząc w stan wytężonej uwagi.

— Stan Adams.

Wiedzieli, że Stan kłamał mówiąc o tym, gdzie był w noc zaginięcia Vica, ale jeszcze nie mieli okazji go ponownie przesłuchać.

Lance odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

Morgan pospieszyła za nim.

— Dokąd idziesz?

Po wszystkim, co się zdarzyło tej nocy, nie miała zamiaru pozwolić mu iść gdziekolwiek samemu. Był zbyt nabuzowany.

— Porozmawiać ze Stanem — rzucił przez ramię.

— Stój! — zawołała za nim.

Lance odwrócił się.

— Musimy powiedzieć o tym Stelli i Brody'emu.

Lance potrząsnął głową.

— Będą musieli zdobyć własną kopię wykazu rozmów, a to potrwa, poza tym dzisiaj są uwięzani tutaj. Zanim będą w stanie go przesłuchać, będzie rano.

— Nie możesz ich z tego wykluczać.

— Nie. Wyślemy im wiadomość z drogi. — Lance odwrócił się i ruszył ku wyjściu.

— Nie sądzisz, że powinniśmy też poinformować szeryfa? — zapytała Morgan,

zrównując się z nim.

Lance wyszedł z oddziału intensywnej terapii.

— Nie. Każe nam się trzymać z dala od Stana.

— Żyłka mu pęknie, jeśli nie podzielimy się z nim tą informacją — powiedziała Morgan, z trudem dotrzymując mu kroku.

A to nie wpłynie dobrze na naszą współpracę w przyszłości.

— A niechby i dostał wylewu. — Lance dotarł do windy i gniewnie wcisnął guzik. — Graliśmy zgodnie z zasadami i do czego nas to doprowadziło?

— Nic z tego nie jest winą Kinga. — Morgan stanęła z nim twarzą w twarz i położyła dłonie na jego ramionach. — To nie jest dobry pomysł. Wiem, że szeryf King to wrzód na tyłku, ale nie jest głupi i był krok za nami na każdym kroku tego śledztwa.

— Jeśli to w to włączymy, odsunie nas od sprawy. Biorąc pod uwagę, że sam King nie trzyma się litery prawa, to z jego strony hipokryzja.

— Pamiętasz, co się stało poprzednim razem, gdy nie zawiadomiliśmy go o naszych planach? Omal nie zginęliśmy. — Morgan zadrżała, myśląc o tej nocy w lesie.

— Może lepiej będzie, jeśli nie pojedziesz ze mną.

Jego słowa zabolą ją, ale widziała wrzący w nim gniew. Był sfrustrowany i rozgniewany niczym wielki kot w klatce.

— Jadę z tobą — powiedziała Morgan, bojąc się, że ją zostawi, a Bóg jeden wiedział, do czego byłby zdolny, gdyby go nie hamowała. — Jesteśmy zespołem.

Lance spojrzał jej w oczy i na chwilę jego spojrzenie złagodniało.

— Dobrze.

Znowu wcisnął guzik windy.

— A co z twoją matką? — zapytała.

Lance zerknął na zamknięte drzwi oddziału intensywnej terapii.

— Są tu Stella i Brody. Przyjedzie jeszcze więcej policjantów. Jest tak bezpieczna, jak to możliwe w tej chwili. Jednak rzecz w tym, że Brody, Stella i technicy będą tu związani przez większość nocy. Zbieranie dowodów i prowadzenie śledztwa w szpitalu będzie utrudnione. Zespół szpitala nie pozwoli, żeby wpłynęło to negatywnie na innych pacjentów. Jednak jak tylko zespół śledczy stąd wyjdzie, kto ją ochroni? Nie możemy zorganizować laboratorium przed jej drzwiami i sprawdzać każdego leku

przed podaniem. Ktokolwiek próbuje ją zabić jest bystry i elastyczny w działaniu. Nie ma stałego sposobu działania. Zabija, żeby chronić siebie i nie obchodzi go, w jaki sposób dokończy dzieła, ani ile osób zostanie po drodze przypadkowymi ofiarami. Ten starszy człowiek w pokoju obok nic mu nie zrobił, ale jestem gotów się założyć, że został zamordowany tylko po to, by wywołać zamieszanie na oddziale i umożliwić zabójcy dotarcie do mojej matki.

Drzwi windy w końcu otworzyły się i Lance wszedł do środka. Morgan wsiadła za nim. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wysłać w tajemnicy wiadomości do szeryfa, jednak jej lojalność zwyciężyła. Lance potraktowałby to jako zdradę. To *byłaby* zdrada. I tak cierpiał ponad jej zrozumienie. Jego matka stanowiła jego jedyną rodzinę. Jak mogłaby oczekiwać od niego, że pozwoli, by ktoś inny zajął się zagrożeniem jej życia?

Lance miał rację. Szeryf każe im trzymać się z daleka od Stana, a on sam *miał* związane ręce przez prawo. Dokładnie z tego samego powodu Lance i Morgan wpakowali się w kłopoty poprzednim razem. Cała ta sytuacja była zanadto podobna, jak na upodobania Morgan. Cholerne *deja vu*.

Tym razem jednak zamierzała zadbać o to, by mieli zabezpieczone tyły. Oboje byli uzbrojeni i nie wybierali się w nocy do lasu.

Winda zjechała na dół i drzwi się otworzyły.

— Tylko porozmawiamy ze Stanem — powiedziała Morgan wysiadając z windy.

— Tak.

W połowie wyłożonego kafelkami korytarza poczuli zimne powietrze z dworu, gdy drzwi otworzyły się, wpuszczając odwiedzających. Minęli w drzwiach młodą parę, ciągnącą za sobą w powietrz pęk kolorowych balonów z życzeniami powrotu do zdrowia. Powietrze na zewnątrz pachniało śniegiem. Morgan pospiesznie zapięła płaszcz i szybkim krokiem przeszli do jeepa. Wyłuskała kluczyki z dłoni Lance'a. Gdy był w takim stanie, nie chciała by prowadził, poza tym chciała mieć jakąś kontrolę nad ich poczynaniami. Nie zaprotestował.

Morgan otworzyła drzwiczki i odezwała się ponad dachem.

— Musimy dać znać Sharpowi dokąd jedziemy. Ktoś musi mieć informacje o naszych poczynaniach.

— Zgoda.

— I musimy podjąć wszelkie środki ostrożności. Działamy dzisiaj jeden krok na

raz, dobrze? — Chciała, żeby postępował ostrożnie, chociaż nie poprosiłaby go nigdy, żeby zrezygnował z tej sprawy. Gdyby to jej rodzina była zagrożona, też by nie odpuściła.

— Dobrze — westchnął z rezygnacją.

— Nie zrobimy niczego niebezpiecznego. — Sama jednak zdawała sobie sprawę z absurdalności tych słów, już gdy je wypowiadała. — Kocham cię.

Wybierali się przesłuchać potencjalnego zabójcę.

ROZDZIAŁ 40

Lance wysłał wiadomości do Brody'ego i Sharpa.

— Jak się masz? W porządku? — zapytała Morgan, wyciągając do niego rękę.

Ujął ją. W świecie pełnym niepewności, kłamstw i zdrady, to co mu dawała, było czyste. Musiał być szalony, żeby choć przez chwilę pomyśleć o odrzuceniu jej miłości.

Ona mnie kocha.

Gdy to wszystko się skończy, będzie miał czas, by to przyjąć. Na razie czuł, że musi poruszać się naprzód, by nie zatonać.

— Tak. Nie. Nie wiem — przyznał szczerze.

— Wyglądasz na wściekłego.

— Jestem wściekły. — Zaciskał szczęki tak mocno, że mógłby trzonowcami kruszyć orzechy. — Mój ojciec zaginął, a wszyscy myśleli tylko o sobie. Okłamywali policję i być może utrudniali przez to śledztwo.

— Wiem — powiedziała Morgan. — Ale nie uda ci się uzyskać żadnych informacji od Stana, jeśli będziesz nastawiony za bardzo agresywnie.

— A może wywieszę go za okno, trzymając za kostki u nóg? To mogłoby go nakłonić do współpracy.

Morgan ścisnęła jego palce.

— Niech to będzie plan B. Plan A zakłada nakłonienie go do mówienia bez zastosowania przemocy.

Jeśli jednak Stan miał cokolwiek wspólnego ze zniknięciem jego ojca lub próbą zabicia jego matki...

— Nie wciągnę cię w nic niebezpiecznego — powiedział. — Kocham twoje dziewczynki za bardzo, żeby narazić życie ich matki. Zadzwoń do Stana i namów go, żeby spotkał się z nami w jakimś miejscu publicznym.

Miejsce publiczne mogło zarazem powstrzymać Lance'a od zbitcia Stana na krwawą papkę.

Morgan zadzwoniła na komórkę Stana i przełączyła na głośnik.

— Dobry wieczór, panie Adams. Lance Kruger i ja mamy do pana kilka

dotychczasowych pytań. Czy znalazłby pan dla nas trochę czasu dziś wieczorem?

— Nie bardzo — powiedział krótko. W tle słyhać był inne głosy i jakąś aktywność. — Moja firma ma dzisiaj pewne pilne sprawy. Czy to nie może poczekać do rana?

— Przykro mi — odparła Morgan. — To ważne.

— Dobrze — ustąpił Stan. — Ale musicie przyjechać do mojego biura. — Rozłączył się bez pożegnania.

Morgan wyjechała z parkingu szpitala. Jej telefon zadzwieczał. Podała go Lance'owi.

— To wiadomość od Stelli, czy możesz ją przeczytać?

Wpisał jej kod i odczytał wiadomość.

— Stella pyta, gdzie jesteśmy. Chcesz jej odpowiedzieć?

— Nie — westchnęła Morgan. — Powiedziałeś Brody'emu o tym, co znalazł mój dziadek. Sama się domyśli, gdzie pojechaliśmy.

Kilka minut później telefon zaczął dzwonić.

Lance zerknął na wyświetlacz.

— To twoja siostra.

— Nie odbieraj — powiedziała Morgan. — Biorąc pod uwagę, że ona i Brody pracują nad sprawą twojej matki, może nam zakazać widzenia się ze Stanem.

— Przykro mi, jeśli ta sprawa wywoła konflikty między tobą i twoją siostrą — powiedział Lance, opuszczając telefon.

— To nie będzie pierwszy raz. — Morgan skrzyła w lewo na główną drogę. — Czy zawiadomiłeś Sharpa, gdzie jedziemy?

— Wysłałem mu szczegółową wiadomość.

— Grunt, żeby ktoś wiedział, dokąd jedziemy.

Biuro rachunkowe mieściło się w pięciopiętrowym biurowcu, który w tej niemal wiejskiej okolicy wyglądał niemal jak drapacz chmur. Lance i Morgan weszli do holu i pojechali windą na czwarte piętro. Biuro było niewielkie, zatrudniało dwóch starszych księgowych, dwóch młodszych i kilka osób z personelu administracyjnego, jednak zajmowało całe czwarte piętro. Na ścianie naprzeciwko wyjścia z windy wisały duże srebrne litery głoszące ADAMS & BOOKER.

Recepcja urządzona była nieciekawie w czerni i szarości. Morgan podała wizytówkę brunetce w średnim wieku, siedzącej za biurkiem.

— Przyszliśmy zobaczyć się z panem Adamsem.

Za recepcjonistką widać było zabieganych ludzi, zajętych jakąś gorączkową aktywnością.

— Czy spodziewa się państwa? — zapytała brunetka.

— Tak — Uśmiechnęła się Morgan.

Lance nie próbował jej naśladować. Nie byłby w stanie przywołać na twarz przyjacielskiego wyrazu. Trzymał się z tyłu i usiłował wyglądać na niegroźnego.

Biorąc pod uwagę zatroskane spojrzenia, jakie rzucała w jego stronę recepcjonistka, nie do końca mu się udawało.

Wskazała w głąb korytarza.

— Drugie drzwi po lewej.

Morgan stanęła przez Lancem. Spojrzała na niego tak, jakby obawiała się, że zaraz zrobi coś brutalnego. Lance nie zrobiłby tego, nawet jeśli miał na to ochotę. Pragnął odpowiedzi.

Chciał, żeby człowiek, który skrzywdził jego matkę, trafił do więzienia.

Chciał wiedzieć, co się stało z jego ojcem.

Chciał sprawiedliwości.

Drzwi do biura Stana były otwarte. Lance zamknął je, gdy weszli z Morgan do środka. Stan, ubrany w spodnie khaki i niebieską koszulę, wyglądał, jakby się wybierał na pole golfowe. Uniósł wzrok znad komputera, gdy weszli do środka. Wstał i wyciągnął dłoń nad biurkiem. Morgan i Lance uścisnęli ją i usiedli na dwóch krzesłach naprzeciwko Stana.

— Dziękuję, że zgodził się pan z nami spotkać z tak krótkim wyprzedzeniem — zaczęła Morgan.

— Powiedziała pani, że macie jeszcze jakieś pytania. — Stan odchylił się do tyłu na krześle. — Nie mam zbyt wiele czasu.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — powiedziała Morgan.

— Nie. — Machnął ręką, zbywając jej troskę. — Po prostu prośba ze strony klienta w ostatniej chwili.

— Miło, że się tak uwijacie, żeby ją spełnić.

— To jeden z naszych największych klientów — wyjaśnił Stan. — Takie rzeczy się zdarzają.

Lance czuł, że ta wymiana uprzejmości przyprawia go o zgagę. Pochylił się,

opierając przedramiona na kolanach i skupiając uwagę w stu procentach na Stanie.

— Moja matka wczoraj przedawkowała.

— O, nie! — Stan cofnął się. — Tak mi przykro. Czy ona...?

— Jej stan jest krytyczny — powiedział Lance. — Czy rozmawiałeś z nią w tym tygodniu?

Stan opuścił dłoń na biurko i zaczął się bawić spinaczem, turlając go między palcami.

— Dzwoniłem do niej wczoraj.

— Ale nie odwiedzałeś jej? — zapytał Lance.

— Nie. — Stan potrząsnął głową. — Zaproponowałem, że ją odwiedzę, ale powiedziała, że nie przyjmuje gości.

To przynajmniej było prawdą, ale jak Lance mógł uwierzyć w którekolwiek słowa Stana? Już wcześniej przyłapał go na kłamstwie.

— Dlaczego pan do niej dzwonił? — zapytała Morgan.

— Poczułem się winny po naszej rozmowie. — Stan patrzył na wirujący spinacz. — Byłem przyjacielem twojego ojca i zawiodłem go. Nie zająłem się jego rodziną, nie sprawdzałem, co u ciebie, nie upewniłem się, czy twoja matka sobie radzi.

— Gdzie byłeś tamtej nocy? — Lance wydusił to pytanie przez ściśnięte gardło.

— Już wam mówiłem. Byłem z Brianem na boisku. — Stan oblizał wargi. Kręcił nerwowo spinaczem.

Dziwne, że nos nie rósł mu jak u Pinokia.

Lance poczuł ucisk w piersi i stłumił chęć, żeby sięgnąć przez biurko i wytargać Stana za kołnierz.

— To interesujące. — Ton Morgan zmienił się. — Wiemy, że Brian kłamał w kwestii tego, co robił tamtej nocy. Nie był z panem.

Stan upuścił spinacz i milczał.

— Dlaczego okłamał pan policję? — zapytała Morgan.

Stan zastanawiał się przez chwilę, bawiąc się spinaczem na blacie. Czy zastanawiał się nad powiedzeniem prawdy, czy wymyślał kolejne gładkie kłamstwo?

Jak będą się mogli tego dowiedzieć? Lance wyprostował się, oparł dłonie na podłokietnikach i zacisnął je na nich. Chciał mieć zajęte ręce, żeby okiełznać pokusę skręcenia Stanowi karku.

Na szczęście była przy nim Morgan. To pomagało mu się opanować.

— Ponieważ Brian mnie o to prosił — przyznał Stan z obrzydzeniem. — Zakładam, że wiecie, gdzie był?

— Z Mary Fox — Morgan skinęła głową.

— Nie chciał, żeby Natalie dowiedziała się o Mary. — Stan wypuścił spinacz, złączył dłonie i oparł je na blacie. — Musicie zrozumieć — wtedy nie wiedzieliśmy, że doszło do popełnienia przestępstwa. Brian nie uważał, że z byle powodu powinien narazić swoje małżeństwo.

— Mój ojciec to *byle powód*? — zapytał Lance.

Stan wzdrygnął się.

— Nie miałem tego na myśli. Ale nie sądziliśmy, że przydarzyło mu się coś złego. Był pod dużą presją. Sądziliśmy, że po prostu miał dość i wyjechał gdzieś, by odpocząć przez parę dni. Vic był moim dobrym przyjacielem.

— Nie dość dobrym, żebyście ty i Brian podali policji prawdziwe informacje — wytknął Lance.

— Kryłeś Briana, żeby mógł zdradzać żonę — dodała Morgan.

Stan schował twarz w dłoniach.

— Nie mogę temu zaprzeczyć, ale małżeństwo Briana było jego sprawą, nie moją. Nie sądziłem, by to miało cokolwiek wspólnego z twoim ojcem.

— A później? — Lance poczuł gorycz w ustach. — Gdy mój ojciec nigdy nie wrócił?

Stan zgarbił się.

— Gdy już powiedzieliśmy policjantom tę bajeczkę, nie mogliśmy jej zmienić. Nie miałem pojęcia, gdzie jest Victor. Wiedziałem tylko, gdzie i z kim był Brian tamtej nocy. W tamtym czasie nie było niczego, co łączyłoby twojego ojca z Mary. — Uniósł głowę i spojrzał Lance'owi w oczy. — Przepraszam.

Za późno. Za mało.

— Gdzie byłeś dzisiajszego popołudnia? — zapytała Morgan.

— Byłem tutaj przez cały dzień. — Lance wskazał na zamknięte drzwi biura. — Recepcjonistka może zaświadczyć.

— A gdzie byłeś tej nocy, gdy zaginął mój ojciec? — zapytał Lance.

— W domu. Sam. — Stan odwrócił na chwilę wzrok. Nad jego górną wargą kroplił się pot.

Kłamca.

— Na nic lepszego cię nie stać? — Lance zacisnął dłonie na oparciach.

— Wiemy, dlaczego Brian kłamał — powiedziała Morgan. — Ale szczerze wątpię, że okłamałbyś policję tylko po to, by żona twojego przyjaciela nie dowiedziała się, że był z dziwką. Ustaliliśmy już, że nie jesteś najbardziej lojalnym z przyjaciół. Jeśli okłamałeś policję, to dlatego, że sam też coś kombinowałeś tamtej nocy.

Stan zacisnął wargi, jakby nie miał zamiaru odezwać się już ani jednym słowem.

— Czy tej nocy widziałeś się z Brianem i Mary? — zapytał Lance.

Brak odpowiedzi.

— Czy byłeś u P.J.-a? — naciskał Lance.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. — Stan wskazał na drzwi. — Proszę, wyjdźcie i nie wracajcie tu już.

— Nie zrobimy tego. — Lance wstał. — Kolejną osobą, z którą porozmawiasz, będzie szeryf.

Lance nie mógł się już doczekać, żeby nasać szeryfa Kinga na Stana.

Morgan wzięła go pod ramię i wyszli z biura. Lance nie pamiętał, jak jechał windą ani przeszedł przez korytarz. Ocknął się dopiero, gdy zimne powietrze uderzyło go w twarz.

— Kłamał! — Lance skierował się do jeepa. — Nie był wtedy sam w domu.

— Prawdopodobnie nie — zgodziła się Morgan. — Ale co takiego robił Stan, że warto było z tego powodu okłamać policję? Jak możemy się dowiedzieć teraz, dwadzieścia trzy lata później, co wtedy robił?

— Nie był żonaty, więc nie ukrywał kobiety. — Lance złapał ręką za klamkę i mówił ponad dachem jeepa. — Może jednak był z kobietą, która była *mężatką*?

— Może, ale czy nadal by kłamał na ten temat po tylu latach? — zastanowiła się Morgan. — Moim zdaniem robił coś nielegalnego, coś, co mogłoby wpłynąć na jego życie, gdyby wyszło na jaw.

ROZDZIAŁ 41

Morgan usiadła na siedzeniu kierowcy. Kierownica pod jej dłońmi była lodowato zimna.

— Jeśli Stan ma alibi na dzisiaj, to nie mógł być w szpitalu.

— Może. A może nie. — Oddech Lanca zbierał się w obłoczki pary, niczym jego prywatna burzowa chmurka. — Kłamie na temat nocy, gdy zaginął mój ojciec. Nie mam powodu, by wierzyć w inne jego słowa.

— Ale dzisiaj ma świadków — zauważyła Morgan.

— Ma pracowników, którzy powiedzą to, co im każe. Szpital znajduje się piętnaście minut jazdy stąd. Mógł się wymknąć na chwilę i zrobić swoje. Biorąc pod uwagę dojazd, mogło mu to zająć mniej niż godzinę. Recepcjonistka na pewno ma przerwę na lunch.

— I tak mam poczucie, że coś nam umyka. — Morgan zabębniła palcami po kierownicy.

— Naszymi jedynymi podejrzanymi są Brian i Stan, jednak jeden i drugi ma alibi przynajmniej na niektóre z ostatnich morderstw.

— A jeśli współpracowali? — zapytał Lance. — Ich pierwotne fałszywe alibi było wspólne.

— To możliwe. Ale jaki byłby motyw? Jeśli Brian zabił Mary, ponieważ ta zamierzała powiedzieć o wszystkim, to w jaki sposób Stan został w to wciągnięty?

— Brian zadzwonił do niego, żeby pomógł mu usunąć ciało — zasugerował Lance.

— Możliwe, ale czuję, że brakuje nam jakiejś ważnej informacji. — Teoria Lance'a nie przekonywała Morgan. — Kłamanie, by kryć przyjaciela to jedno, ale pomoc w morderstwie to zupełnie co innego.

— I nadal nie wyjaśnia to, co stało się z moim ojcem. — Lance zamknął oczy i potarł krawędź nosa obiema dłońmi.

— Chyba że Vic widział, jak Brian zabija Mary.

— A mój ojciec nie pomógłby mu tego zatuszować. — Lance opuścił dłonie na kolana.

— Mimo że wiem, że zarówno Stan, jak i Brian kłamali, i tak trudno byłoby mi uwierzyć, że zabiliby mojego ojca.

— Co robimy?

— Układamy się wygodnie. — Lance chrupnął szyć. — Nie mam innych pomysłów, niż stary dobry nadzór. W tym momencie Stan jest naszym najlepszym tropem. Chcę zobaczyć, gdzie pojedzie po pracy. — Zerknął na Morgan. — To może potrwać, mam cię zabrać do domu?

— Nie. — Morgan zerknęła na niego z ukosa.

Wydawało się, że Lance panuje nad sobą, ale nie ufała mu na tyle, by zostawić go samego.

Sięgnęła za siedzenie po swoją torbę i położyła ją sobie na kolanach. Rozpięła zamek, wyjęła ze środka akta i podała je Lance'owi.

— Stan jeździ czarnym mercedesem. Znajdźmy go, na wypadek, gdyby wyszedł tylnymi drzwiami.

Lance odczytał numer rejestracyjny. Morgan uruchomiła silnik i włączyła ogrzewanie. Jeździła wzdłuż parkingu, aż zlokalizowali samochód Stana. Zaparkowała kilka rzędów dalej w możliwie najciemniejszym miejscu.

Wyłączyła silnik, po czym wyjęła z torby ostatni batonik. Zdjęła opakowanie i machnęła batonikiem w stronę Lance'a.

— Chcesz połowę?

— Nie jedz tego — powiedział, kręcąc głową.

Za późno.

— Ma w sobie orzeszki. — Pogryzła i przełknęła. — Orzechy są zdrowe.

Lance był zawsze przygotowany na zaimprovizowany posiłek i woził w jeepie odpowiednie zapasy. Otworzył schowek i wyjął z niego dwa batoniki proteinowe. Z torby za swoim siedzeniem wyjął dwie butelki wody i podał jedną Morgan.

Wzięła ją, lecz nie otworzyła. Kto wie, ile przyjdzie im czekać? Po trzech ciążach wiedziała, że czasami lepiej jest ograniczyć przyjmowanie płynów, gdy nie wiadomo kiedy będzie można iść do toalety.

Wyłowiła z kieszeni rękawiczki i postawiła kołnierz. Lance podał jej batonik proteinowy, lecz jego również odłożyła na bok. Czekolada na jakiś czas jej wystarczy. Mogła ich czekać długa noc. Musieli racjonować swoje zapasy. Osunęła się niżej na siedzeniu. Lance zrobił to samo.

Czas płynął powoli, przypominając jej topniejące zegary z obrazów Salvadora Dalego.

Stan wyszedł z budynku tuż po jedenastej w nocy.

Morgan ożywiła się.

— Jest.

Kuląc się pod podmuchami wiatru, Stan przemknął przez parking i wsiadł do swojego mercedesa. W samochodzie zapaliły się światła i po chwili ruszył z miejsca.

Morgan pojechała za nim. Drogi były niemal opustoszałe, więc musiała trzymać się daleko z tyłu. Gdy Stan podjechał do domu, minęła budynek, w którym mieszkał, by zawrócić kawałek dalej.

— Zgaś światła, zanim zawrócisz — poradził Lance.

Osiedle było oświetlone, więc światła nie były potrzebne.

Morgan zaparkowała przy krawężniku, wybierając najciemniejsze miejsce między dwoma latarniami. Widzieli, jak Stan parkuje na podjeździe. Frontowe okna dużego domu były oświetlone. Stan wysiadł z samochodu. Zamknął drzwiczki i rozejrzał się. Czyżby wyczuł, że go obserwują.

Wszedł do domu. Po chwili światła na pierwszym piętrze zgasły.

— Może poszedł prosto do łóżka — powiedziała Morgan. Sama by tak zrobiła.

— Jest późno — zgodził się Lance.

— Czy nadal będziemy go obserwować? Jeśli wybierałby się jeszcze gdzieś, nie pojechałby prosto do domu.

— Chyba że nas zobaczył.

— Jeśli nas zobaczył, równie dobrze możemy jechać do domu. Nigdzie nas dzisiaj nie zaprowadzi, jeśli wie, że jest obserwowany.

Lance zmienił nieco pozycję.

— Pojeźdź dookoła.

Morgan minęła dom Stana i trzykrotnie skręciła w lewo.

— Zatrzymaj się tutaj — powiedział Lance. — Pod tym drzewem.

Morgan zaparkowała za rogiem domu Stana przy krawężniku.

— Strasznie tu jasno. Czuję się widoczna.

Domy były blisko siebie, a ulice jasno oświetlone latarniami. Nie było tu żadnych miejsc, gdzie możnaby się ukryć.

— W tej okolicy nic lepszego nie znajdziemy — powiedział Lance. — Z punktu

widzenia bezpieczeństwa muszę pochwalić, że brak tu ciemnych miejsc, w których mogliby się kryć złodzieje, jednak dla naszych dzisiejszych celów to strasznie niewygodne.

Wysiedli z samochodu. Zamknęli drzwiczki tak cicho jak się dało, wcześniej ręcznie zamykając zamki.

— Daj rękę. — Lance wyciągnął do niej dłoń.

Wsunęła rękę w jego dłoń.

Lance pociągnął ją na chodnik.

— Jesteśmy tylko miłą parą na przechadzce.

Przez chwilę pragnęła, żeby naprawdę tak było. Zimne nocne powietrze szczypało ją w twarz, jednak płaszcz chronił ją przed najgorszym chłodem, a przez jej cienką skórzaną rękawiczkę czuła ciepło jego dłoni. Płatek śniegu powoli spadł z nieba, wirując niczym piórko i osiadł na jej ramieniu.

Gdyby nie to, że obserwowali podejrzanego, to byłoby romantyczne.

Usłyszeli szum opon na asfalcie.

— Zachowuj się, jakby gdyby nigdy nic — Lance przyciągnął Morgan bliżej, obejmując jej ramiona swoim.

Morgan zerknęła za siebie.

— Oho.

Biało-czarny samochód szeryfa zaparkował kilka kroków przed nimi przy krawężniku. Szeryf King wysiadł ze środka, przeszedł przez pas trawnika na chodnik i zablokował im drogę.

— Co tu robicie?

— Spacerujemy sobie — odpowiedział Lance.

— Nie bądź taki sprytny. — Latarnia rzucała światło na twarz szeryfa, rysując na niej ostre, gniewne cienie.

Pomiędzy dwoma mężczyznami wibrowały fale wrogości — i testosteronu.

— Stan Adams zadzwonił do mnie, mówiąc że go nękanie i śledzicie — dodał szeryf.

Morgan ścisnęła dłoń Lance'a.

— Nic nie mów.

Szeryf oparł dłonie na biodrach.

— Czy nie kazałem wam obojgu trzymać się z dala od tej sprawy?

— Moja matka leży w szpitalu... — powiedział Lance.

— Przestań. Gadać — wycedziła Morgan głośniej.

— Powinieneś słuchać swojego prawnika — zwrócił się szeryf do Lance'a.

Najwyraźniej jednak gniew wziął w Lance'ie górę nad zdrowym rozsądkiem.

— Mam prawo chronić moją rodzinę.

— Gówno masz. — Szeryf robił przerwy po każdym słowie dla lepszego efektu.

Morgan wsunęła się między dwóch mężczyzn, próbując załagodzić sytuację.

— Dowiedzieliśmy się, że Stan Adams dzwonił wczoraj do Jenny Kruger, ale pan już to wiedział, prawda? Ma pan dostęp do wykazu jej rozmów telefonicznych.

Szeryf zacisnął usta. Morgan nie była w stanie odgadnąć, czy znał już tę informację wcześniej.

Lance pochylił się do przodu, jakby chciał coś powiedzieć. Morgan pociągnęła go do tyłu.

— Jenny została otruta opiatami — powiedziała. — Dziś w nocy w szpitalu ktoś próbował zrobić to ponownie.

— Czy macie na to dowody? — zapytał szeryf.

— To dopiero się stało — powiedziała Morgan. — Ale ktoś dodał narkotyk do worka z solą fizjologiczną do kroplówki. Policja dopiero rozpoczyna dochodzenie.

— Więc postanowiliście wziąć sprawy we własne ręce? — zapytał King.

Lance potrząsnął głową.

— I właśnie dlatego nie chcieliśmy dzwonić do pana.

— Mam was dość. — Szeryf dziabnął powietrze palcem w kierunku Lance'a. — Jedyнным sposobem, byście nie wchodzili mi w drogę, jest zamknięcie was w celi. Jesteście oboje aresztowani.

— Nie mówi pan poważnie — Lance zrobił krok naprzód.

Szeryf zrobił to samo.

— Ja nie żartuję.

To prawda. Szeryf nie miał poczucia humoru.

— Rób, co mówi. — Morgan chwyciła Lance'a za ramię. Jego mięśnie były napięte i twarde jak kamień.

— Oboje, oddajcie broń. — King wyciągnął pustą dłoń.

Wyjęli pistolety z kabury i podali je szeryfowi, zwracając je rękojeścią w jego stronę.

Szeryf wziął obydwu.

— Ręce na głowę, zapleść palce.

Lance napiął się, lecz posłuchał.

— Ty pierwszy, Kruger. — Szeryf pokiwał palcem w kierunku Lance'a. — Daj mi swoją kurtkę.

Lance wyjął ręce z rękawów kurtki i podał ją szeryfowi.

— Nie może nas pan aresztować.

— Oczywiście, że mogę. Pamiętasz ostatni raz, kiedy bawiłeś się w samozwańczego stróża sprawiedliwości? — Szeryf rzucił kurtkę Lance'a na maskę swojego samochodu. — Omal nie zginąłeś i ty, i pani Dane. A teraz odwróć się.

Lance posłuchał.

Szeryf wziął najpierw jedną, potem drugą rękę Lance'a i spiął je kajdankami. Zrewidował Lance'a, opróżnił liczne kieszenie jego spodni i ułożył zawartość na jego kurtce. Scyzoryk, pełny magazynek do glocka, paski zaciskowe. Następnie szeryf zaprowadził go do swojego samochodu.

— Teraz pani, pani mecenas. — Szeryf wskazał na Morgan. — Poproszę o płaszcz.

Morgan zdjęła płaszcz i podała go szeryfowi. Owiało ją zimne powietrze. Zadrżała i odwróciła się.

— Proszę wywrócić kieszenie dwoma palcami — polecił szeryf.

Morgan wywróciła kieszenie dzinsów na zewnątrz i podała kluczyki do jeepa. Reszta jej rzeczy była w torbie, którą zostawiła w samochodzie. Szeryf skuł ją i pobieżnie przeszukał, omijając intymne części ciała. Morgan była pewna, że nie zrobiłby tego, aresztując nieznaną kobietę. Zachowywał się jak gentleman, aresztując ją, co samo w sobie było absurdalne.

— Jakie są zarzuty? — zapytała Morgan.

— Zacznę od wałęsania się, nękania, prześladowania i utrudniania śledztwa — odparł szeryf. — Jestem pewien, że po drodze wymyślę coś jeszcze.

Chwycił ją za ramię i zaprowadził na tylne siedzenie samochodu. Następnie delikatnie położył rękę na jej głowie, pomagając jej wsiąść do środka.

Prześlizgnięcie się wzdłuż siedzenia ze skutymi rękami okazało się trudniejsze, niż Morgan się spodziewała. Drzwiczki zamknęły się. Kajdanki i przegroda oddzielająca tylne siedzenia od przodu auta wywołały w niej klaustrofobiczne uczucie. Zerknęła

przez ramię i patrzyła, jak szeryf sprawdza kieszenie jej płaszcza. W kurtce Lance'a była jego komórka, miniaturowy śrubokręt i niewielka latarka. Z płaszcza Morgan szeryf wyjął telefon, paczkę chusteczek, balsam do ust i dwa lizaki. Jeden z nich był lepki i pokryty kłaczkami, po tym jak Sophie otworzyła go, polizała i stwierdziła, że nie lubi smaku zielonego jabłuszka. W wyrazem obrzydzenia na twarzy szeryf otarł rękę o spodnie, po czym zapakował do torby ich rzeczy osobiste.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę nas aresztuje. — Lance wyjrzał przez okno.

— Zadzwonimy do Sharpa z posterunku — powiedziała Morgan. — Wyciągnie nas.

Lance potrząsnął głową.

— Znając szeryfa, przetrzyma nas przez noc, tylko po to, by udowodnić, że może.

— Wysłałam wcześniej wiadomość do Sharpa. Wie, gdzie jesteśmy i będzie nas szukał.

— Ale nie pomyśli, żeby zadzwonić do szeryfa.

— Prawdopodobnie nie — zgodziła się Morgan. — Przeżyjemy noc w celi.

— Wiesz, jak te cele wyglądają. — Lance zmarszczył brwi. — To nie jest miejsce dla *ciebie*.

Gdy jeszcze pracowała jako prokurator, Morgan przesłuchiwała mnóstwo przestępców. Cele w areszcie tymczasowym, podobnie zresztą jak inne wnętrza więzienne, były obrzydliwe, miały otwarte toalety i śmierdziały wymiocinami. Nawet z zewnątrz ich smród mógł przyprawić o mdłości. Myśl o spędzeniu nocy w takim miejscu nie była przyjemna.

— Wiem, ale w tej chwili nic z tym nie zrobimy. — Morgan była w mniejszym stopniu niż Lance zaskoczona aresztowaniem. On i szeryf zbyt wiele razy już mieli spięcia. Obaj byli tak samo uparci, jednak szeryf miał po swojej stronie prawo. King ostrzegał ich i Lance miał rację: szeryf był dostatecznie arogancki, żeby udowodnić im, że ma nad nimi przewagę, zatrzymując ich na noc.

Szeryf włożył ich rzeczy osobiste do bagażnika.

— Musisz zachować milczenie — zwróciła się Morgan do Lance'a. — Mówię poważnie. Nie mów ani słowa do szeryfa ani nikogo innego na posterunku.

Kobiety i mężczyźni nie przebywali razem. Morgan podejrzewała, że Lance trafi do celi, a ją szeryf przykuje gdzieś do jakiejś ławki. Wyczuwała, że tym razem naprawdę przeciągnęli strunę.

— Współpracuj, ale wykorzystaj swoje prawo do milczenia. Wszystko, co powiesz, *będzie* użyte przeciwko tobie. *Wszystko*.

— Wiem. — Lance zgarbił się. — Przepraszam. Powinienem cię dzisiaj posłuchać, miałaś rację. Powinniśmy byli zadzwonić do szeryfa i powiedzieć mu o Stanie. Teraz straciliśmy całą noc.

— Wszystko będzie dobrze. — Morgan zadrżała.

Lance przysunął się bliżej, przyciskając się do niej ramieniem.

— Nie mogę chronić mojej matki z celi, a teraz gdy będziemy zamknięci, Stan może zrobić, cokolwiek zechce.

— Stella i Brody będą dzisiaj z twoją matką — przypomniała Morgan.

Szeryf usiadł na siedzeniu kierowcy, kończąc ich rozmowę. Gdy odjeżdżali, Morgan odwróciła się i rzuciła okiem na oświetlone jasno jak w dzień osiedle. Stan musiał widzieć, jak jechali za jego samochodem i przeszedł do ofensywy, sprytnie rozgrywając sytuację na swoją korzyść.

Nikt go teraz nie obserwował.

ROZDZIAŁ 42

Lance obserwował przez okno samochodu szeryfa nocny krajobraz. W powietrzu wirowały białe płatki. Zatrzymali się na skrzyżowaniu i szeryf skręcił w lewo, zamiast w prawo. Dokąd ich zabierał?

— Hej! — zawołał Lance przez siatkę oddzielającą przednie siedzenia od tylnych. — Posterunek jest w drugą stronę.

— Nie jedziemy na posterunek — odparł szeryf. — Musicie dostać lekcję.

Lance zerknął na Morgan.

Szeryf był na tyle wściekły, aby w jakiś sposób zemścić na nim, ale chyba nie skrzywdziłby jej? A może jednak?

— Nie wiem, co zamierzasz mi zrobić, ale najpierw podrzuć gdzieś Morgan — powiedział Lance, zwracając się do odbicia oczu Kinga widocznego we wstecznym lusterku.

King zignorował go.

Morgan trąciła Lance'a łokciem. Jej oczy były rozszerzone i zatroskane. Co jednak mógł zrobić Lance? Byli skuci kajdankami na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, zaprojektowanego tak, by uniemożliwić ucieczkę.

Krajobraz za oknem stawał się coraz bardziej wiejski. Szeryf skręcił w długą wiejską drogę. Lance spojrzał uważniej i zorientował się, dokąd jadą.

Grey Lake.

Kilka minut później wyjechali spomiędzy drzew. Tafla jeziora lśniła w ciemności. Minęli jednak miejsce, w którym wyłowiono samochód ojca Lance'a. Jakież trzy kilometry dalej szeryf skręcił w leśną drogę pomiędzy drzewa. Dyskomfort Lance'a zaczął przechodzić w uczucie paniki, gdy drzewa zaczęły się nad nimi zamykać. Samochód zatrzymał się. Po lewej stronie znajdowała się niewielka polana.

Szeryf wysiadł i otworzył tylne drzwiczki.

— Wyłazić.

Czy chciał ich tutaj zostawić? Zabrał ich wierzchnie okrycia, a temperatura spadła w okolice zera. Z tego co Lance wiedział, najbliższe zabudowania znajdowały się po drugiej stronie jeziora, *co najmniej* kilka kilometrów stąd.

— Nie. — Lance potrząsnął głową. Siedząca obok niego Morgan zadrżała. Szeryf sięgnął, chwycił ją za ramię i wyciągnął z samochodu.

— Hej! — ryknął Lance, czując mieszaninę przerażenia i wściekłości. — Nie rób jej krzywdy!

— To rusz tu swój tyłek! — zawołał szeryf, ciągnąc Morgan w światło reflektorów. Wciąż trzymając ją za rękę, szeryf pokiwał Lance'owi palcem. Twarz Morgan była biała jak wirujące wokół jej ciemnowłosej głowy płatki śniegu.

Lance wygramolił się z samochodu. Cokolwiek zaplanował szeryf, Lance nie mógł pozwolić, by Morgan została sama. Przeszedł przez polanę i zatrzymał się przed szeryfem. King puścił Morgan i odsunął się od niej, robiąc krok w stronę samochodu.

— Nie możesz nas tu zostawić. — Lance stanął pomiędzy Kingiem i Morgan. Znajdowali pośrodku niczego. W tak niskich temperaturach Morgan nie miała szans. Szeryf musiał sobie zdawać z tego sprawę.

King jednak nie odpowiedział.

— Dyspozytor będzie miał nagranie telefonu Stana — powiedział Lance. — Będą wiedzieli, że jesteśmy z tobą.

— Stan nie dzwonił. Naprawdę myślicie, że ten kretyń zdołał was dostrzec? — Parsknął szeryf. — Szukałem was. Nietrudno was było znaleźć. Jesteście przewidywalni, a ja jestem bardzo dobrym myśliwym. Grunt to znać swoją ofiarę i być w stanie przewidzieć jej ruchy.

— Sharp dojdzie do tego. — Lance próbował znaleźć argumenty, jednak czuł, że będzie to daremne. Szeryf już łamał prawo.

I przekraczał granice zdrowego rozsądku.

— Nie martwię się Sharpem — powiedział King.

— Co chcesz zrobić, zostawić nas tutaj? — Morgan otrząsnęła się z szoku. — Nie możesz tego zrobić — dodała, szcękając zębami.

— Mogę zrobić, co tylko zechcę — powiedział King głosem zimnym jak padający śnieg. — Ale nie mam zamiaru zostawiać was tu, żebyście zamarзли.

Lance wziął głęboki oddech. Co za dupek! Ostre powietrze kłuło jego płuca tysiącami igieł. Czy to miało ich zastraszyć? Dać im nauczkę, by już nigdy nie wchodzili mu w drogę?

Morgan drżała na całym ciele, kuliła ramiona z zimna. Wyraz jej twarzy sprawił, że Lance poczuł przypływ wściekłości. Jeśli szeryf sądził, że może wykręcić taki

numer prywatnemu detektywowi i prawnikowi i ujdzie mu to na sucho...

Zaraz.

Nawet szeryf nie miał takiego ego. Jako prywatny detektyw Lance nie mógł mu zbyt wiele zrobić, ale Morgan była prawniczką, była asystentką prokuratora i mogła mu naprawdę zaszkodzić. Morgan miała też znajomości, niemal każdy członek jej rodziny był obecnym lub byłym pracownikiem policji.

— To porwanie — powiedziała Morgan drżącym głosem. — Nie ujdzie ci to na sucho.

Nie, szeryfowi nie uszłoby na sucho, gdyby zostawił ich na zimnie pośrodku lasu. Nie miał zamiaru pozwolić im gdziekolwiek odejść. Lance widział to w jego oczach. Pojawił się w nich dystans, niczym kurtyna oddzielająca jego emocje. Gniew i frustracja ulotniły się, wyparte przez lodowato zimną obojętność.

Miał zamiar ich zabić.

Ale dlaczego?

Lance poczuł zimno w żołądku, jakby najadł się śniegu. Nie miał czasu analizować motywów szeryfa. Niezależnie od przyczyn, przede wszystkim musiał ratować Morgan.

Zamiast wyciągnąć służbową broń, szeryf sięgnął do kieszeni. Lance przeniósł ciężar ciała na pięty. Domyślił się, że szeryf ma inną broń i zanim zdążył ją wyjąć, Lance zaatakował go. Jego ramię uderzyło szeryfa w żebra, wytrącając go z równowagi. King zatoczył się do tyłu. Nie mogąc posługiwać się ramionami dla złapania równowagi, Lance też upadł. Był jednak młodszy i sprawniejszy niż szeryf. Wylądował na barku i przetoczył się, siłą rozpędu powstając z powrotem.

— Morgan, uciekaj! — krzyknął.

Odwróciła się i pobiegła w las. Szeryf przetoczył się na brzuch, podparł jedną nogą i znowu sięgnął po broń. Lance znowu rzucił się na niego, uderzając go całym ciałem. Tym razem szeryf był przygotowany i zdołał utrzymać się na nogach. Lance odskoczył w tył i wymierzył kopniaka w splot słoneczny, jednak szeryf miał na sobie kamizelkę kuloodporną, która złagodziła uderzenie i sprawiła, że jedynie znowu się przewrócił.

King szybko się pozbierał i sięgnął po broń ze zdeterminowanym wyrazem twarzy.

Jeśli udałoby mu się zabić Lance'a, wytropienie Morgan przyjdzie mu z łatwością.

Lance skoczył naprzód i uderzył szeryfa czołem w nos. Trysnęła krew, szeryf usiadł na ziemi, jednak zdołał wcześniej wydobyć pistolet. Zanim zdążył wycelować, Lance kopnął go w ramię i ruszył biegiem w kierunku drzew.

Zabrzmiał wystrzał. Kula trafiła w drzewo kilka kroków na prawo od Lance'a. Odprysk kory trafił Lance'a w twarz, jednak ból szybko minął. Lance obiegł dużą sosnę i biegł przed siebie zygzakiem.

Miał dwa cele: przeżyć i odnaleźć Morgan.

ROZDZIAŁ 43

W powietrzu rozległ się wystrzał. Zaskoczona Morgan potknęła się. Z rękami związanymi za plecami nie mogła się nimi posłużyć, by złapać równowagę. Upadła na kolano, tłukąc je boleśnie, jednak po chwili adrenalina zagłuszyła ból.

Lance!

Czy King go zastrzelił?

Usłyszała trzask gałęzi. Lance?

Czy King...

Biec przed siebie, czy wracać?

Morgan czuła, jak płuca ją palą. Podobnie jak uda i całe ciało.

W ciągu ostatnich sześciu lat najwięcej biegała, gdy uczyła Avę jeździć na rowerku. Teraz z rękoma związanymi za plecami i na nierównym gruncie nie potrafiła poruszać się sprawnie. Nie chciała zostawiać Lance'a, zwłaszcza jeśli był ranny, wiedziała jednak, że jeśli nie jest ranny, z łatwością ją dogoni. To *ona* będzie spowalniała *jego*.

Ustawiła stopy razem i przykucnęła, dotykając piersią ud. Przesunęła związane ręce pod pośladkami, tak że znalazły się pod jej kolanami, następnie przetoczyła się na plecy i udało jej się przesunąć nogi po jednej. Gdy wstała, jej ręce były związane przed nią.

Jej uwagę zwrócił kamień wielkości jej pięści. Chwyciła go, podniosła się i zaczęła znowu biec. Łapała lodowate powietrze ustami. Jeśli to King ją ścigał, mógł usłyszeć jej sapanie z odległości kilometra. Czując jak płuca płoną jej żywym ogniem, schowała się za drzewem.

Trzaski gałęzi rozlegały się coraz bliżej.

Gdy przestała się ruszać, Morgan znowu zaczęła drzeć z zimna. Przycisnęła się do pnia drzewa, wykorzystując je jako tarczę i osłonę przez wiatrem.

Błagam, niech to będzie Lance.

Szykując się, wyjrzała zza drzewa i uniosła kamień nad głowę. Widziała nadbiegającego człowieka. Czarne spodnie. Czarna koszulka. Pewny, szybki sposób poruszania się mimo rąk związanych za plecami.

Lance.

Przez chwilę zrobiło jej się słabo z ulgi. Wyszła z za drzewa i ruszyła w jego stronę.

— Biegnij — szepnął, nie zmieniając tempa.

Ruszyła za nim. Nie miała pojęcia, jak daleko udało jej się pierwotnie odbiec, poza tym, że na pewno nie było to dość daleko.

Lance zwolnił i zaczęli biec ramię w ramię. Dla niego to tempo było tylko lekkim truchtem.

— Gdzie on jest? — wysapała.

— Nie wiem — powiedział Lance. Jego głos był ledwie słyszalny ponad dźwiękami jej kroków. Spojrzył na nią i zmarszczył brwi. — Zwolnijmy na chwilę.

Zwolniła do marszu. Kolka w boku sprawiła, że zgięła się w pół. Przycisnęła dłoń do bolącego miejsca.

Lance obejrzał się przez ramię.

— Jestem prawie pewien, że złamałem mu nos, ale wątpię, by zatrzymało go to na długo. Musimy cały czas się poruszać. Udało ci się przejść przez kajdanki?

— Upadłam — sapiała jak miech kowalski, wciąż czując żywy ogień w płucach. Powietrze było tak zimne, że miała wrażenie, jakby wciągała wraz z nim igły. — To wydawało się dobrą okazją, by spróbować.

Skinął głową i skręcił lekko w lewo.

Morgan wskazała ręką w prawo.

— Droga jest tam.

— Wątpliwe, by teraz przejeżdżał nią jakiś samochód, a przestrzeń tam jest zbyt otwarta. Złapałby nas. Po drugiej stronie jeziora są domy. — Rozejrzył się w ciemnościach. — Najlepiej zrobimy, jeśli będziemy się poruszać, mając jezioro cały czas po jednej stronie.

Oddech i uderzenia serca Morgan lekko spowolniły, jednak od razu zrobiło się jej zimniej.

— Czy teraz będziesz w stanie poruszać się szybciej? — zapytał.

Skinęła głową i zaczęła biec ciężkim truchtem. Potknęła się. Cienka gałązka chrupnęła pod jej stopą i dźwięk poniósł się po cichym lesie. Odzyskała równowagę, jednak zmęczenie i niska temperatura zaczynały wywierać na nią wpływ. Poruszała się niezdarne.

Biegła tak szybko, jak była w stanie. Lance nawet się nie zasapał. Bez niej byłby w stanie poruszać się o wiele szybciej. Spowalniała go. Zginie przez nią.

— Powinieneś pobiec przodem i sprowadzić pomoc — powiedziała. — Nie dam rady. Jest za zimno, a ja nie jestem w formie.

— Nie zostawię cię. Razem jesteśmy silniejsi, pamiętasz?

Dzisiejszej nocy to ona jednak była słabszym ogniwem. Fizycznie nie była w stanie dorównać Lance'owi, który był silniejszy i bardziej wysportowany.

Nawet nie zaczęła się zastanawiać nad tym, co zrobił szeryf. Czy to oznaczało, że King zabił Crystal i Hoolihanów? A co z Mary? Czy szeryf próbował zabić matkę Lance'a? *Dlaczego?*

Przyczyna musiała być związana ze śmiercią Mary i zniknięciem Vica. King był zastępcą szeryfa w 1994. Tylko jedna rzecz łączyła wydział szeryfa z wydarzeniami z dziesiątego sierpnia 1994 roku: śmierć Lou Forda.

W jej głowie pojawił się obraz posiniaczonej twarzy Erica. *Uderzyłem twarzą w podłogę, gdy szeryf zakuwał mnie w kajdanki.*

Aresztując Erica, szeryf zachował się nadmiernie brutalnie. Czy był jakoś zaangażowany w śmierć Lou Forda? W jaki sposób? To nie on dokonał aresztowania. Czy jako zastępca szeryfa zaangażował się w zacieranie śladów?

Morgan potknęła się o kamień i upadła na kolana. Ból przywrócił ją teraźniejszości.

Lance wykorzystał jej upadek na to, by położyć się na plecach i przewlec skute dłonie do przodu w taki sam sposób, jak wcześniej zrobiła to Morgan.

Morgan wstała, chwiejąc się z braku tlenu.

Zatrzymali się na chwilę. Morgan łapała dech, Lance nasłuchiwał.

— Nie słyszę go — wyszeptał jej do ucha.

— Gdzieś tu jest. — Morgan wyczuwała obecność szeryfa w pobliżu niczym cień, zagrożenie, na które jej ciało reagowało, mimo że jej uszy i oczy nie potrafiły go zlokalizować.

— Przestań o tym myśleć — wyszeptał. — Po prostu stawiaj jedną nogę przed drugą.

Oboje jednak wiedzieli, że King nie odpuści. Był blisko i polował na nich.

ROZDZIAŁ 44

Powinien był wiedzieć, że Kruger nie podda się bez walki.

Twarz go bolała. Wstał i schował pistolet do kabury. Kruger był zbyt daleko, by trafić do niego z pistoletu. King patrzył, jak skuty mężczyzna znika pomiędzy drzewami, poruszając się z imponującą zwinnością i szybkością.

Jednak King nie martwił się.

Podszedł do tyłu swojego samochodu i otworzył bagażnik. Wziął apteczkę i umył twarz z krwi. Przyłożył do nosa suchy lód. Kruger prawdopodobnie mu go złamał. Jeśli przytrzyma zimny kompres przez kilka minut, może uda mu się ograniczyć opuchliznę. Zatkany nos go spowolni.

Poza tym, nie spieszyło mu się. Znajdowali się wiele kilometrów od ludzkich siedzib i nikt tu nie mógł udzielić im pomocy. Nawet Kruger nie będzie w stanie biec z pełną prędkością przez ciemny las. Prywatny detektyw będzie musiał zwolnić, żeby nie ryzykować złamania kostki. Poza tym King nie musiał wcale złapać Krugera, który był w stanie poruszać się szybko. Wystarczy, że złapie panią Dane. Pani mecenas była bystra, lojalna i zdeterminowana, ale nie była wysportowana.

A Kruger nigdy by jej nie zostawił.

Grunt to znać swoją ofiarę i być w stanie przewidzieć jej ruchy.

Oboje byli skuci kajdankami i nieuzbrojeni. Nikt nie wiedział, gdzie się znajdują.

Odsunął na bok torbę z rzeczami Kruger i Dane. Wkładając ich telefony do bagażnika wyjął z nich baterie. Nikt nie będzie w stanie ich namierzyć. Ich ostatnie znane miejsce pobytu to ulica przed domem Stana Adamsa. Jeśli siostra Morgan, policjantka, będzie jej szukać, zacznie właśnie tam.

Może mógłby podrzucić jakieś dowody do domu Stana...

Tym jednak zajmie się później. Dzisiaj musiał powstrzymać Krugera i Dane. Ta dwójka była niestrudzona i uparta. Dowiedzieli się o śmierci Lou Forda. Kwestią czasu było, nim uda im się połączyć śmierć Forda z Mary.

Wyjął baterie ze swojego telefonu. Nie potrzebował, by GPS zapisywał *jego* rychłą wędrówkę po lesie.

Odłożył kompres z suchego lodu na bok i wyjął z apteczki dwie tabletki

ibuprofenu. Połknął je, popijając wodą. Zdjął koszulę od munduru i kamizelkę z kevlaru. Wrzucił je do bagażnika. Ani Kruger ani Lance nie byli uzbrojeni, a kamizelka krępowiała i spowalniała ruchy. Założył koszulkę termiczną z długim rękawem i polarową bluzę, następnie z powrotem włożył kurtkę. Zamiast służbowej czapki włożył wełnianą.

Następnie zaczął napełniać kieszenie: batoniki proteinowe, woda, zapasowe pełne magazynki, latarka, której zamierzał użyć jedynie w razie konieczności, kompas, zestaw do rozpalania ognia i zapalki. Nie planował przebywać na zewnątrz przez całą noc, ale dobry myśliwy był zawsze przygotowany. Sięgnął do bagażnika i wyjął jeszcze srebrną folię termoizolacyjną na wszelki wypadek.

Jego domek myśliwski znajdował się na końcu tej drogi. Znał wszystkie ścieżki zwierzęce wokół jeziora jak własną kieszeń. Nie pozwolił, by Kruger i Dane mu się wymknęli. Jego przyszłość zależała od tego, czy ich złapie.

Odłożył apteczkę do bagażnika i zdjął z uchwytu pod klapą karabin AR-15, żałując, że nie zabrał swojej prywatnej strzelby myśliwskiej. Na polowanie na jelenie wolał kaliber 30-06.

Jego prywatna broń miała większy zasięg i większy kaliber. Widział zbyt wiele jeleni, które po postrzeleniu z AR-15 wstawały i uciekały, tak że trzeba je było tropić i dobijać. Jednak w panujących ciemnościach i tak będzie się musiał bardzo zbliżyć do celu i w miarę możliwości postara się nie korzystać ze służbowej broni.

Znalazł pistolet, który upuścił, gdy Lance go kopnął. Odebrał go pewnemu głupiemu dzieciakowi parę miesięcy wcześniej i zatrzymał na wypadek, gdyby potrzebował pistoletu, który będzie musiał podrzucić jakiemuś podejrzanemu. Wsunął broń do kieszeni. Planował wykorzystać broń, którą będzie mógł wyrzucić, żeby zabić Krugera i Dane, nim uciekną.

Nie spodziewał się, że będzie musiał ich tropić. Reakcja Krugera pokrzyżowała mu plany. Powinien był to przewidzieć. Detektyw był bardziej niebezpieczny, niż przypuszczał. Drugi raz go nie zlekceważył.

Karabin leżał wygodnie w jego dłoniach. Wystarczy mu. Zamknął bagażnik i skierował się do lasu.

Czas na polowanie.

ROZDZIAŁ 45

Sharp wyszedł ze sklepu z nowym telefonem w dłoni. Pobrał swoje dane z chmury na nowe urządzenie. Otworzył kilka wiadomości od Lance'a. Sharp odczytał je. Wiadomość, że ktoś próbował zabić Jenny na oddziale intensywnej terapii, zszokowała go, tak samo jak to, że Stan był teraz głównym podejrzanym. Wykręcił numer Lance'a, jednak połączenie od razu zostało przekierowane na pocztę głosową.

Zostawił wiadomość.

— Zadzwoń do mnie, gdy ty i Morgan przesłuchacie Stana. Jeden z chłopaków umówił mnie na spotkanie z kimś, kto był na posterunku szeryfa dziesiątego sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego roku. Dam wam znać, jeśli dowiem się czegoś interesującego.

Sharp zakończył połączenie i schował telefon do kieszeni. Pojechał na miejsce umówione spotkania w Bridge Park. Zaparkował swoją toyotę prius przy kamiennym moście przerzuconym przez Scarlet River, przed pomnikiem upamiętniającym wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych, obok starego chervroleta chevette. Nad rzeką na jednej z trzech drewnianych ławeczek kuliła się jakaś postać.

Sharp zapiął kurtkę, upewniając się, że ma dostęp do broni. Nie lubił jej nosić, jednak biorąc pod uwagę tempo, w jakim ginęli ludzie związani z tą sprawą, postanowił zrobić wyjątek.

Wysiadł z samochodu. Śnieg wirował w leniwych podmuchach wiatru i zbierał się na trawniku, przez który przechodził.

Postać siedząca na ławce wstała.

— Jesteś Sharp?

— Ned?

— Tak. — Ned usiadł z powrotem na ławce. Mógł być po siedemdziesiątce. Wełniany płaszcz i kapelusz, które miał na sobie, były wytarte i stare.

— Mogliśmy się spotkać w jakimś cieplejszym miejscu. — Sharp odwrócił twarz od wiatru.

Ned potrząsnął głową.

— To spotkanie nie jest oficjalne. Zgodziłem się, ponieważ byłem winien Billowi

przysługę. Lata temu wyciągnął moje dziecko z wraku samochodu. — Ned rozejrzał się nerwowo, wyginając szyję.

— Czego się boisz? — zapytał Sharp.

— Słyszałeś o tych wszystkich śmierciach ostatnio? — Ton Neda wskazywał, że jego strach jest oczywisty i uzasadniony. — Bill mówi, że prowadzisz śledztwo w sprawie tego szkieletu, który kilka dni temu wydobyto z jeziora.

— Tak — potwierdził Sharp. — Szczątki zostały zidentyfikowane jako Mary Fox. Zniknęła dziesiątego sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego. Bill mówi, że byłeś tamtej nocy na służbie.

Ned skinął głową.

— Ale nikt nie wie, że coś widziałem, i chcę, żeby tak zostało. — Nabrał głośno powietrza. — W tych dniach byłem woźnym. Zajmowałem się posterunkiem szeryfa i kilkoma innymi niewielkimi budynkami hrabstwa. Posterunek sprzątny był dwa razy w tygodniu. — Ned zaczął się bawić dziurką w swojej skórzanej rękawiczce. — Byłem w schowku i przygotowywałem się do mycia podłóg. W korytarzu wybuchło jakieś zamieszanie. Drzwi były uchylone i wyrzałem przez szparę. King, który był wtedy zastępcą szeryfa, wprowadził przez tylne drzwi młodą kobietę.

Sharp poczuł zimno w żołądku. *Mary?*

— W tamtych czasach nie było kamer, obejmujących każdy centymetr komisariatu — mówił dalej Ned. — Tylne korytarz stanowił ślepy punkt. Posterunkowy Walsh walczył z jakimś pijanym aresztantem. King przykuł tę kobietę do kółka obok telefonu, który tam wtedy wisiał na ścianie. Dał jej ćwierćdolarówkę, powiedział, że może wykonać swój telefon i poszedł pomóc Walshowi. Pijak robił straszną awanturę, przeklinał, wrzeszczał i rozbijał wszystko dookoła. King i Walsh stracili cierpliwość, zaczęli go bić i nagle zrobiło się zupełnie cicho.

Lou Ford.

Ned urwał dla złapania oddechu. Uniósł wzrok i spojrzął za rzekę.

— Wycofałem się w najciemniejszy kąt schowka. Nie chciałem, żeby którykolwiek z nich wiedział, co widziałem. Nie wyszedłem, aż obydwaj nie wyszli.

— Co się stało z kobietą? — zapytał Sharp.

— Słyszałem, jak King oferował jej układ. Obiecał zrezygnować z zarzutów przeciwko niej, jeśli obieca, że nikomu nie powie o tym, co widziała. — Ned urwał. — Wyprowadził ją przez tylne drzwi, nigdy nie weszła dalej na posterunek.

King mógł zaoferować Mary układ, ale nie dotrzymał swojej jego części.

Ned oparł dłonie na udach i wstał.

— Nie wiem nic więcej. To wszystko, co widziałem. — Uniósł dłoń, zwróconą wnętrzem do Sharpa. — Zanim zapytasz, nie będę zeznawać ani nie przyznam się, że ta rozmowa miała miejsce, chyba że King znajdzie się kilka metrów pod ziemią lub w więziennej celi. Nie jest typem człowieka, który darowuje takie rzeczy.

— Sądzisz, że szeryf King zabija ludzi? — zapytał Sharp.

— Nikt inny nie został. Walsh wyprowadził się na Florydę i słyszałem, że jest umierający. — Ned zadrżał. — Walsh był wstrząśnięty, gdy zorientował się, że więzień nie żyje, ale King go zbył, tak jakby nie było to nic wielkiego. Szeryf jest zimnokrwistym skurwielem.

— Dzięki, Ned.

— Nie masz mi za co dziękować. Nie było tej rozmowy. — Ned ruszył w stronę poobijanego chevroleta.

Sharp wrócił do swojego samochodu i uruchomił silnik. Przytknął dłonie do nawiewów i rozważał to, co powiedział mu Ned.

King musiał zabić Mary.

Gdy Sharp to zrozumiał, wszystko zaczęło się układać w całość. Wydarzenia ząbowały się niczym zapadki w zamku, gdy włoży się właściwy klucz. Sądzili, że King prowadzi równoległe śledztwo. Tak naprawdę znał wszystkich zaangażowanych przed nimi i wykorzystywał swoje śledztwo, żeby zabijać potencjalnych świadków.

Jeśli Brian odwiózł tego wieczora Mary do PJ-a, to musiała zostać aresztowana w tym samym czasie, co Lou Ford. Dwóch pozostałych mężczyzn zostało od razu zabranych na pogotowie. Zapewne wszyscy funkcjonariusze na służbie pojechali do bójki. Co najmniej jeden z nich musiał pojechać na pogotowie z rannymi. Jeśli King zobaczył, że Mary kogoś nagabuje, aresztował również ją. Jeśli P.J. widział, że King aresztuje Mary, to po odnalezieniu jej ciała mógłby powiązać jej śmierć z bójką w barze...

Doszli do tych szczegółów podczas rozmowy z szeryfem w jego sali konferencyjnej, co oznaczało, że Sharp, Lance i Morgan też byli narażeni na niebezpieczeństwo.

Sharp wziął telefon, czując, że robi mu się niedobrze. Zadzwoił do Lance'a. Nadal brak odpowiedzi. Czując narastający niepokój, zadzwonił do Morgan, która też

nie odbierała. Wysłał każdemu z nich wiadomość. Morgan, która zawsze martwiła się o swoją rodzinę, zwracała baczną uwagę na swój telefon.

Sharp opuścił telefon, wciąż rozważając w myślach możliwości.

Co się stało z Victorem? Dlaczego King musiał zabić Crystal i próbował zabić Jenny? Czy Mary udało się wtedy wykonać ten telefon? Na pewno zadzwoniłaby do Crystal. Ta musiała wiedzieć, że Mary została aresztowana. Czy King starał się wyeliminować wszystkich, którzy wiedzieli, że tej nocy aresztował Mary?

P.J. i Crystal byliby w stanie połączyć Mary i Kinga w noc dziesiątego sierpnia. Nie miało to znaczenia, dopóki nie odnaleziono jej ciała. Sharp jednak nadal nie rozumiał, w jaki sposób Vic lub Jenny wpisywali się w ten scenariusz.

Jego telefon zawibrował kilka sekund później. Sharp chwycił go gwałtownie, mając nadzieję, że to Lance. Z rozczarowaniem zobaczył na ekranie nazwisko swojego znajomego z Florydy.

— Sharp — odebrał.

Detektyw z Florydy od razu przeszedł do rzeczy.

— Owen Walsh jest w hospicjum w terminalnym stadium raka. W tej chwili śpi pod wpływem leków. Nie ma żadnej rodziny, która mogłaby wyrazić sprzeciw, więc siedzę przy nim, mając nadzieję, że się obudzi i zechce rozmawiać. Dam ci znać, jeśli czegokolwiek się dowiem.

— Dzięki — powiedział Sharp. — Przyciśnij go, jeśli chodzi o śmierć Lou Forda. Przekonaj go, że chciałby stanąć przed stwórcą z czystym sumieniem.

— Macie przełom w sprawie?

— Tak. Teraz potrzebuję wyznania na łożu śmierci. — Sharp zakończył rozmowę i zapatrzył się w ekran telefonu.

Morgan powinna już odpowiedzieć na jego wiadomość.

Uruchomił aplikację, pozwalającą mu namierzyć telefon Lance'a. Symbol oczekiwania kręcił się w kółko bardzo długo.

Nie znaleziono urzędnika.

Sharp przypomniał sobie słowa Neda.

Szeryf to zimnokrwisty skurwiol.

Sharp musiał odnaleźć Lance'a i Morgan i to jak najszybciej. Potrzebował pomocy.

Zadzwonił do Brody'ego.

ROZDZIAŁ 46

Na ziemi leżał centymetr śniegu. Lance dostrzegł wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę i pociągnął na nią Morgan, uznając, że będzie jej łatwiej iść tamtędy i będzie mniejsza szansa, że się potknie.

Z drugiej strony obawiał się, że będą też łatwiejsi do wytropienia, jeśli będą poruszać się po ścieżce. Nie miał pojęcia, jak daleko za nimi znajdował się szeryf. King nie był biegaczem, ale był doświadczonym myśliwym i potrafił poruszać się w lesie. Łatwo mu ich będzie wytropić niezależnie od tego, którądy będą się poruszać.

Lance miał nadzieję, że ścieżka prowadzi do jeziora. Jeśli cały czas będą mieli wodę po swojej prawej, przynajmniej będą mogli być pewni, że z tamtej strony nie nadejdzie atak. Szeryf będzie musiał poruszać się za nimi lub po ich lewej stronie.

Lance nie wątpił, że King w końcu ich dogoni. Morgan była wyczerpana, było jej zimno i poruszała się jedynie dzięki sile woli. Nie mógł pozwolić, by się zatrzymała. Gdy przestanie się poruszać, będzie jej groziła hipotermia, chociaż Lance liczył na to, że w razie czego będzie w stanie ją nieść. Nie mieli okryć wierzchnich, nie mieli jedzenia, wody ani sposobu na komunikację. Jediną szansą pozostawało poruszanie się i modlenie się, by udało im się znaleźć pomoc, nim King ich dopadnie.

Lance przyjrzał się włosom Morgan, marząc o uwolnieniu się z kajdanek. Jej długie włosy opadały jej na ramiona i wprawdzie uwielbiał ten widok, dzisiaj jednak wolałby, żeby miała jeden z tych swoich koków, które upinała dziesiątkami spinek. Potrafił nieźle radzić sobie z zamkami.

— Nie masz przypadkiem spinki do włosów?

— Przykro mi — odpowiedziała, szcękając zębami. Jej głos drżał.

Lance poczuł przypływ bezradności. Nie był w stanie zrobić niczego, żeby ją ochronić. Rozejrzał się wokół. Czy udało im się przejść chociaż ze dwa kilometry?

Jak blisko mógł być King? Szeryf miał ciepłe, suche ubrania i broń. Nie będzie musiał się spieszyć. Wytropi ich ze spokojną determinacją.

Śniegu robiło się więcej, był już na tyle głęboki, że zostawiali w nim ślady idąc, jednak nie padał na tyle intensywnie, żeby je zasypywać za nimi. Ich ciemne ubrania, które wcześniej stanowiły idealny kamuflaż, teraz sprawiały, że na jasnym tle ich

sylwetki wyraźnie się odcinały.

Zimno przenikało przez cienkie rękawy jego koszuli. Zadrżał. Istniało ryzyko, że zimno zabije ich szybciej, niż kule.

Morgan znowu się potknęła. Lance złapał ją za ramię. Czy mógłby ją gdzieś ukryć i spróbować odciągnąć od niej szeryfa? Odrzucił ten pomysł. Gdyby szeryf go zastrzelił, Morgan nie miałaby szans. Ogień naprowadziłby szeryfa prosto na nią, a bez ognia hipotermia zabiłaby ją przed nadejściem świtu.

Usłyszał w ciemności szum wody. Jezioro?

Gałęzie iglaków chłostały go po twarzy i zasłaniały niebo. Stawały się gęściejsze. Puścił ramię Morgan, żeby rozgarnąć gałęzie. Gdy zbliżyli się do źródła dźwięku, uświadomił sobie, że wcześniej nie słyszeli jeziora, lecz strumień, który prawdopodobnie do niego wpadał.

Ścieżka nagle rozszerzyła się. Grunt opadł w dół i Lance zahamował na krawędzi urwiska. Gdyby nie biel śniegu pod nogami, nie zwróciłby uwagi nagły spadek.

Stanął Morgan na drodze.

Wpadła na niego i zamarła w bezruchu.

— Co to takiego? — zapytała ponad jego ramieniem, szepcząc mu do ucha.

Przechylił się na bok, żeby lepiej widzieć. Teraz, gdy przycisnęła się do niego ciałem, czuł, jak drży z zimna. Trzęsa się tak mocno, że ledwo była w stanie utrzymać się w pionie.

Strumień płynął pośrodku głębokiego na kilka metrów wąwozu. Prawdopodobnie wiosną stan wody był wyższy. Lance był pewien, że gdzieś musiała znajdować się ścieżka prowadząca do wody.

— Idziemy dalej — wyszeptał, odwracając głowę, po czym lekko popchnął ją w kierunku ścieżki prowadzącej nad brzegiem wąwozu. Martwiło go, że Morgan tak łatwo traciła równowagę. — Połóż mi rękę na ramieniu — polecił.

Jej uchwyt był słaby i drżący. Zamarzała. Morgan była szczuplejsza i ważyła mniej niż on. Jej długie kończyny i szczupłe ciało sprawiały, że szybciej traciła ciepło.

Teraz jednak nie mógł zrobić niczego, by jej pomóc. Ze ścigającym ich Kingiem nie mogli się zatrzymać, żeby rozpałcić ognisko lub zbudować schronienie.

Musieli znaleźć miejsce, gdzie będą w stanie przejść przez strumień. Śnieg sprawiał, że grunt pod ich nogami był lepiej widoczny, jednak ukształtowanie terenu ich spowalniało. Wlekli się noga za nogą wzdłuż wąwozu, ostrożnie stawiając kroki.

Ciszę zasypanego śniegiem lasu zakłócało tylko gulgotanie strumyka.

Lance wyteżał wzrok, starając się dostrzec coś przed nimi. Był w stanie widzieć w miarę dobrze na kilka metrów do przodu, dalej las przekształcał się w ciemną pustkę.

W końcu ścieżka stała się szersza, a brzeg na tyle łagodny, że mogliby być stanie nim zejść, nie robiąc sobie krzywdy.

Wskazał Morgan to miejsce, zerkając na nią przez ramię. Skinęła głową i maszerowała dalej.

Opady śniegu stawały się bardziej intensywne. Rzut okiem za siebie ukazał mu, że płatki osiadają w ich śladach. Może King nie będzie w stanie ich znaleźć. Może jeszcze mieli szansę.

Morgan potknęła się. Lance odwrócił się i próbował ją złapać, jednak ześlizgnęła się z krawędzi. Próbowana chwycić gałęzie nad głową. Lance chwycił ją za ramię i jego stopy ześlizgnęły się po śniegu. Starał się znaleźć oparcie, jednak jego buty zjeżdżały coraz bliżej krawędzi. Jej oczy były szeroko otwarte i pełne przerażenia.

Jeśli spadnie...

But Lance'a trafił na kamień. Zaparł się o niego i wciągnął ją z powrotem na ścieżkę. Serce waliło mu jak młotem. Morgan opadła na kolana, ale była bezpieczna.

Kamień przesunął się. Grunt usunął się Lance'owi spod nóg. Rzucił się naprzód, trafiając w pnie drzew. Połamane gałęzie kaleczyły jego ciało. Uczuł palący ból w nodze. Upadł na kamienie. Chrupnęła kość, przez jego bok przetoczyła się fala bólu.

A potem wszystko stało się czarne.

ROZDZIAŁ 47

Morgan uklękła na krawędzi wąwozu. Uczucie paniki dodało jej sił. Chwyła się drzewa i spojrzała w dół.

— Lance?

Zmieniła pozycję, starając się coś dostrzec przez zarośla. Pod jej kolanami ziemia kruszyła się. Kolejny fragment zbocza odłamał się i poturlał w dół. Morgan cofnęła się, szukając solidniejszego oparcia.

Gdzie on jest?

Zsunęła się nogami do przodu, opierając stopy na korzeniach drzewa. Palec ześlizgnął się jej z pnia, który trzymała. Udało jej się chwycić kamienia, jednak jej dłoń krwawiła. Przemyśla ją śniegiem, po czym naciągnęła rękaw bluzki na skaleczenie. Nie chciała zostawiać po sobie *aż tak* oczywistych śladów. Była zbyt odrętwiała z zimna, by odczuwać ból skaleczenia. Poruszała się powoli, sprawdzając czy oparcie dla dłoni i stóp wytrzyma przez każdym kolejnym krokiem. Jeśli i ona spadnie, nie będzie w stanie pomóc Lance'owi. To, że jej ręce cięż były skute, sprawiało, że jej wędrówka w dół była trudna.

Wydawało się, że droga w dół trwała wiecznie.

Była już blisko dna, gdy dostrzegła jego ubrane na czarno ciało i jasnoblonde włosy na śniegu. Leżał nieruchomo u podnóża zbocza, tuż obok wijącego się strumienia.

Gdyby poleciał trochę dalej, mógłby utonąć.

Musi być cały.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli poruszył się. Uniósł głowę i obrócił nią, rozglądając się dookoła.

Ześlizgnęła się w dół do końca i uklękła przy nim. Próbowwała dotykiem ocenić jego obrażenia, ale nic nie potrafiła wyczuć. Jej dłonie i stopy były jak ciężkie kawałki lodu. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego nóg. Na wysokości jego łydki poczuła wilgoć i zobaczyła rozcięcie w spodniach. Rozsunęła materiał i znalazła głęboką, krwawiącą ranę. Nie podejrzewała jednak, żeby to była przyczyna, dla której nie wstawał.

— Gdzie jeszcze cię boli?

— Żebra, noga — wysyczał zbielełymi wargami. — Pomóż mi się podnieść.

— Jesteś pewny?

Usiadł. Twarz mu poszarzała, a skóra napięła się jak na bębnie. Mimo zimna najwyraźniej odczuwał ból swoich obrażeń.

— Musimy się ruszać.

— Musimy zatamować krwawienie. — Wsunęła ramię pod jego bark, jednak przeszkadzały jej kajdanki. Zdołał wstać i przejść dwa kroki, po czym zgiął się w pół z bólu, przyciskając dłonie do żeber.

— Złamane? — zapytała.

— Nie wiem. Może nie.

— Poczekaj. Zostawiamy krew na śniegu. — Czego mogła użyć do zatamowania krwawienia? Nie mieli niczego przy sobie. Niczego. Jej pasek ani jego sznurówki nic by nie dały, bez jakiegoś rodzaju bandaża. Musiała znaleźć coś, co mogłaby zawiązać wokół jego nogi... Przyszła jej do głowy tylko jedna rzecz.

Wsunęła lodowate dłonie w dekolt swetra i zsunęła ramiączka biustonosza. Chwilę mocowała się z odpięciem ich zlodowaciałymi palcami. Odwróciła się do Lance'a plecami.

— Rozepnij mi biustonosz.

— Co? — zakrztusił się Lance.

— Tylko tego mogę użyć jako bandaża.

— Sprytnie. — Wsunął dłonie pod jej sweter. Ponieważ wcześniej odpięła ramiączka, biustonosz zsunął się jej na talię. Wyjęła go spod swetra.

— To będzie bolało. Może lepiej usiądź. — Złożyła biustonosz na ból.

— Wstanie było zbyt trudne. — Chwycił mocno pień drzewa.

Przycisnęła miseczki biustonosza do rany, następnie zamocowała go dookoła nogi. Opatrunek jednak nie trzymał się zbyt dobrze. Zdjęła jeszcze pasek i owinęła nim jego łydkę. Teraz opatrunek był dobrze zamocowany, a lekko wyściełane miseczki dobrze pochłaniały krew.

— Nic lepszego nie wymyślę — powiedziała.

— Jestem pod wrażeniem. — Lance zrobił krok do przodu. Skrzywił się z bólu, jednak nie zostawiał już za sobą krwawego śladu. — Musimy ocenić jakie mamy możliwości.

— Mamy jakieś możliwości? — Morgan przycisnęła ramiona do ciała, zwijając dłonie pod brodą. Płatki śniegu pokrywały rękawy jej swetra. Było jej tak zimno, że

miała wrażenie, iż jej mózg zamarzł i nie jest w stanie myśleć.

— Możemy iść wzdłuż strumienia. Gdy dotrzemy do strumienia będziemy przynajmniej wiedzieli, gdzie jesteśmy i ocenimy, ile mamy do przejścia. Jednak przez to, że spadłem, teraz możemy się poruszać bardzo powoli.

Morgan spojrzała za siebie na wyraźne odciski ich stóp w śniegu.

— I on nas dogoni.

Wzięła gałąź i zamiotła nim ślad za nimi, starając się zakryć ich ślady, jednak w naturze nie zadziałało to tak dobrze, jak na filmach.

Lance zerknął przez ramię.

— Wiemy, że jest myśliwym. Ma doświadczenie w lesie. Ma zapasy i czas jest po jego stronie.

— Możemy się poruszać szybciej, jeśli oprzesz się o mnie — zaproponowała.

— Jestem za ciężki, a ty już jesteś wyczerpana. Jedno z nas musi być w stanie w razie czego wyrwać się i uciec, jeśli to konieczne. — Wciąż trzymając się za żebra, spojrzał na swoją nogę i zmarszczył brwi. — Teraz to nie będę ja.

— Nigdy byś mnie nie zostawił, a ja nie zostawię ciebie, więc możemy to teraz wykluczyć.

Westchnął.

— Musimy zachować otwarty umysł. Gdy mówiłem o możliwościach, nie mówiłem, że którakolwiek z ich jest naprawdę dobra.

— A inna możliwość? — zapytała.

Jego umykające spojrzenie powiedziało jej, że na pewno jej się to nie spodoba.

— Zostawisz mnie i pobiegiesz sprowadzić pomoc — powiedział.

Zdławiony dźwięk, który wyrwał się jej z gardła częściowo był wynikiem wyczerpania, a częściowo przerażenia. Sama myśl o tym, że ich życie może zależeć od tego, czy będzie w stanie biec daleko i szybko nawet w dobrych warunkach była przerażająca. Wychowała się w mieście. Jej rodzina przeprowadziła się do Scarlet Falls dopiero gdy była w szkole średniej, a jej ojciec zginął na służbie. Las nie był jej naturalnym środowiskiem, a w tym zimnie czuła się niczym mała żyrafa stawiająca pierwsze kroki. Drżała na całym ciele. Ledwie udawało jej się stawiać krok za krokiem. W każdej chwili mogła paść twarzą w śnieg.

— Jak daleko zdołałabym dojść? — zapytała. — Nawet ranny, prawdopodobnie dotarłbyś dalej.

Potrząsnął głową. *Jak poważnie był ranny?*

— Zatem wracamy do tego, że cię tu nie zostawię.

— Nie jestem bezradny — powiedział.

— Jaki karabin ma szeryf? — Zerknęła na niego z ukosa. — To nie jest żadna ujmą dla twojej męskości, ale jakie masz szanse w starciu z AR-15?

— Słuchaj, jeśli tylko jedno z nas ma wyjść z tego cało, to musisz to być ty. Ja nie mam trójki dzieci w domu. Twoje córki już straciły ojca. Nie pozwolę, żeby straciły też matkę.

Tak właśnie była natura Lance'a. Niemal pod każdym względem różnił się od jej zmarłego męża. John był wysoki i szczupły, radosny i beztroski w sposobie bycia. Lance był wysportowany, mocno umięśniony i pełen determinacji. Jednak obydwaj mężczyźni, których kochała mieli jedną cechę wspólną. W głębi serca obydwaj byli bohaterami. John oddał życie za swój kraj, a Lance był gotowy umrzeć za nią i jej córki tu i teraz.

Nie mogła jednak dopuścić myśli o tym, że się dla niej poświęci.

— Musimy wymyślić coś innego.

Ale co?

— Musimy przechytryć szeryfa. Potrzebujemy planu. — Szukała jakiegokolwiek pomysłu.

Co takiego powiedział King?

Grunt to znać swoją ofiarę i być w stanie przewidzieć jej ruchy.

Zamiast zimna czuła coraz większe odrętwienie. Potknęła się o własnego buta. Gdy próbowała się wyprostować, kolana się pod nią ugięły. Przytrzymała się gałęzi.

Jeśli ujdiesz z tego z życiem, zaczniesz ćwiczyć. Jednak takie obietnice teraz nie mogły jej pomóc.

— Musimy zrobić coś, czego się nie spodziewa — powiedziała. — Musimy wykorzystać to, co o nim wiemy, by przewidzieć jego ruchy. Jaki jest jego cel?

Lance wrócił na ścieżkę. Jego noga znowu krwawiła.

— King pragnie jedynie naszej śmierci.

Trzasnęła gałązka. Lance popchnął Morgan w krzaki.

— Schowaj się.

Opadła na dłonie i kolana i wczołgała się pod gałęzie srebrnego świerka.

ROZDZIAŁ 48

King przykucnął i przyjrzał się ziemi. Ich ślady były absurdalnie łatwe do zauważenia w śniegu. To nawet nie było wyzwanie. Nie mogli zejść daleko, inaczej śnieg zdążyłby już zasypać ich ślady.

Szli zwierzęcą ścieżką w stronę jeziora. Gdy do niego dotrą, Kruger poprowadzi ich na zamieszkałą stronę jeziora. To nie był głupi plan.

Jednak pani Dane nie była w dobrej formie. Była bystra i twarda, jednak fizycznie słaba. To nie była obraza. Naprawdę była wspaniałą kobietą, chociaż może nieco za inteligentną. Jego zdaniem kobiety nie powinny próbować konkurować z mężczyznami. Jednak nawet z tą wadą, pani Dane była jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek podziwiał. Nie, żeby jej pragnął. Nie był zainteresowany bliską relacją z kimkolwiek. Lubił być sam. Jednak po raz pierwszy w życiu mógł naprawdę żałować zabicia kogoś.

Nie żeby go to miało powstrzymać.

Jeśli musiał wybrać między panią Dane a sobą, to wybór był cholernie prosty. Poza tym kobiety czyniły mężczyzn słabymi. Pani Dane będzie stanowiła koniec Krugera. Niczym wilk, osaczający najsłabszego członka stada, który pozostawał w tyle, King musiał tylko dogonić ją. Wiedział, że Kruger będzie blisko.

Zabije ich oboje i usunie ciała. Nikt ich nigdy nie znajdzie. Pożyczy łódź i zatopi ich w jeziorze, albo zakopie tam, gdzie zostawił Vica w dziewięćdziesiątym czwartym.

Czy to nie byłaby ironia, gdyby Kruger spoczął obok swojego ojca, którego szukał przez te wszystkie lata?

Wyprostował się i ruszył po śladach. Śnieg rozjaśniał krajobraz na tyle, że nie potrzebował latarki. Szedł ich tropem w stronę strumienia prowadzącego do jeziora. Las przerzedzał się przy wąwozie. Gdyby nie wiedział, że tam jest, mógłby do niego wpaść.

Ślady skręciły w stronę jeziora, kierując się w stronę spływu wody. Trzymał się jak najdalej od krawędzi wąwozu i zatrzymał się, widząc zarwany brzeg. Przykucnął. Wyjął latarkę z kieszeni i omiótł nią szybko ścieżkę. Nie chciał spaść. Poniżej

usuwiska zobaczył wyraźny ślad wśród połamanych gałęzi. Coś dużego zsunęło się w dół.

Jedno z nich spadło.

Poczuł przyjemne oczekiwanie i poświecił latarką wzdłuż zbocza. Ostrożnie zszedł w dół, badając grunt. Dostrzegł coś czerwonego w śniegu. Krew. Jedno z nich było ranne. Dlatego teraz ślady biegły bliżej siebie — kroki stały się krótsze, bardziej przypominały szuranie. Dołem głębokiego wąwozu płynął strumień. Brzegi były strome, trudno byłoby się po nich wspiąć nawet sprawnemu człowiekowi, a co dopiero komuś, kto został ranny. Będą musieli posuwać się wąwozem aż dotrą do jeziora. To stawało się aż nazbyt łatwe.

Ruszył truchtem ich śladem, czując coraz większe podniecenie. Polowanie prawie dobiegało końca.

Gdy już wyeliminuje Krugera i Dane, weźmie się za Sharpa. Wtedy nic już mu nie zagrozi, wszelkie więzi łączące go z Mary zostaną przecięte.

Prawie wszystkie, poprawił się. Ale Owen Walsh niedługo też będzie martwy. Ogarnięty paranoją i poczuciem winy Owen, który żył w strachu od ponad dwóch dekad. Owen zadzwonił do niego, jak tylko Lincoln Sharp spróbował nawiązać z nim kontakt. Owenowi pozostało jednak góra parę tygodni życia. Rak pożerał go tak samo, jak wyrzuty sumienia przez te wszystkie lata. Wkrótce Owen zniknie i tylko on będzie wiedział, co wydarzyło się tamtej nocy.

Na parkingu przed barem PJ-a ocenił zajście. Trzech pijanych idiotów pobiło się z powodu kobiety. Gdyby ci trzej byli mniej pijani i bardziej inteligentni, przynajmniej jeden z nich uświadomiłby sobie, że Mary była dziwką. Mogłaby obsłużyć ich wszystkich po kolei za odpowiednią kwotę. Co za banda kretynów.

Był zastępcą szeryfa i jego zadaniem było posprzątać ten bałagan.

Zawołał jednego z funkcjonariuszy.

— Bill, pojedziesz z tymi dwoma idiotami na pogotowie. Gdy ich pozszywają, przywieź ich na posterunek. — Zwrócił się do kolejnego funkcjonariusza. — Owen, zabierz tego dupka na posterunek. — Przekazał mu Lou Forda, który nadal przeklinał i wyrывał się, niczym pijany wrzód na tyłku. Lou miał na koncie wiele awantur po pijanemu.

Mary próbowała się wymknąć z parkingu, jednak ją dostrzegł.

— Ty też jesteś aresztowana — powiedział, dogoniwszy ją.

— Żartujesz? — oparła dłoń na biodrze.

— Oboje wiemy, że nie mam poczuci humoru. — Skuł ją kajdankami i wsadził do swojego wozu patrolowego. Podobnie jak w przypadku Lou Forda, nie była to jej pierwsza przejażdżka na tylnym siedzeniu. — P.J. ma dosyć tego, że nagabujesz klientów. Mówi, że jesteś zwolniona.

Ruszył za Owenem na posterunek. Mary zachowywała się grzecznie, jednak nawet ćwiartka Bourbona nie zdołała spacyfikować Lou Forda. Rzucił się, przeklinał i opierał. Weszli przez tylne drzwi na posterunek. Wprowadził Mary do korytarza.

— Czy nie przysługuje mi jeden telefon? — zaczęła marudzić. — Muszę zadzwonić do mamusi.

— Potrzebuję pomocy — zawołał Owen, stając w drzwiach. Lou zaparł się jak muł, odchylając się do tyłu i nie chcąc ruszyć z miejsca.

Co za cholerny sukin...

Odpiął jedną z kajdanek Mary i przypiął ją do kółka obok telefonu. Sięgnął do kieszeni i dał jej ćwierćdolarówkę.

— Masz swój telefon.

Podszedł do drzwi. Złapał Lou za drugie ramię i pociągnął. Lou zgiął się w pól i zaczął wymiotować. Poczul wściekłość i obrzydzenie.

— Nie rzygaj na moim posterunku! — ryknął.

Owen też już miał tego dość i uniósł pięść. W tym samym momencie, gdy Owen uderzył Lou w głowę, King wymierzył kopniaka. Jedno machnięcie ciężkim, czarnym policyjnym butem sprawiło, że Lou stracił równowagę. Już wcześniej się chwiał pijacko, teraz zaś poleciał ciężko w prawo. Jego głowa uderzyła w ścianę z ohydny dźwiękiem kości uderzającej w mur z pustaków.

Lou padł na podłogę i przestał się ruszać.

— Coś ty zrobił? — wrzasnął Owen.

Trącił Lou czubkiem buta. Nie poruszał się.

Owen pochylił się nad ciałem i dotknął dłonią jego szyi. Po chwili wyprostował się i powiedział niemal bezgłośnie.

— Nie żyje.

King wzruszył ramieniem.

— I tak marnował tylko tlen, a jego wątroba nie pociągnęłaby zbyt długo.

Śmierć tego śmiecia nie martwiła go, ale musiał szybko wymyślić, co zrobić, żeby

uniknąć prawnych konsekwencji. Martwił się jedynie o swoją przyszłość.

— Co teraz zrobimy? — Owen wyprostował się, zdjął czapkę i zaczął się drapać go głowie, jakby chciał tym pobudzić swój mózg do działania.

Powodzenia.

Owen był niezłym gliniarzem, ale nie był Einsteinem.

A ta sytuacja wymagała finezji i dobrego planowania.

Owen opuścił dłoń i nasunął z powrotem czapkę na głowę.

— Musimy zadzwonić do szeryfa.

— Nie. — King gotów był zrobić wszystko, żeby to naprawić. — Nie pozwolę, by moja kariera poszła się bujać z powodu tego śmiecia.

— To co zrobimy? — Owen wskazał na leżące u ich stóp ciało. — Nie możemy udawać, że do tego nie doszło.

— Dlaczego nie? — Sięgnął po ramiona Owena. — Wpakujemy go do celi, żeby się przespał, tak jak robiliśmy to wcześniej. Nie ma w tym nic niezwykłego. Gdy się nie obudzi, będziemy zdziwieni.

Owen zawahał się.

— Wdał się w bójkę w barze — mówił dalej King. — Dlaczego nie miałby się uderzyć w głowę u P.J.-a?

Najlepsze kłamstwa były proste.

— Okej. — Ręce Owena trzęsły się, gdy unieśli ciało i zaciągnęli je do celi.

Posterunek był pusty. Oprócz nich znajdował się tam jedynie dyspozytor, zamknięty w osobnym pokoju. Ułożyli Owena na boku na pryczy, tak jakby spał i tak go zostawili.

King zamknął drzwi celi i uśmiechnął się.

— Załatwione.

— Zapomniałeś o czymś. — Owen spojrzał znacząco w stronę drzwi prowadzących do korytarzyka.

Mary.

Zapomniał o niej. Na nieszczęście Mary, teraz była świadkiem.

— Chodź. — Ruszył w stronę drzwi.

— Co zrobisz? — zapytał Owen.

— Po prostu chodź za mną.

Mary wciąż była przykuta do pierścienia w ścianie. Na ich widok jej oczy

rozszerzyły się, ich białka wyraźnie widoczne w ciemnym korytarzu. Przycisnęła się plecami do ściany. Wiedziała, co zobaczyła i co to oznaczało.

— Może pójdziemy na układ, Mary? — King przysunął się bliżej.

Przełknęła ślinę, aż jej szyja poruszyła się.

— Jaaaki? — zapytała drżącym głosem.

— Nie postawię zarzutów, a ty zapomnisz, że tu byłeś.

Mary szybko, rozpaczliwie skinęła głową.

Zdjął jej kajdanki.

— Zawiozę cię nawet z powrotem do PJ-a.

Trzymając jedną ręką jej ramię, wyprowadził ją tylnymi drzwiami i posadził na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Zerknął przez ramię na Owena.

— Wypełnij dokumenty dotyczące Forda tak, jakby zemdlął, a potem wróć do normalnych zajęć. Potem odkryjemy, że zmarł.

Owen skinął głową.

Następnie King wyjechał z miasteczka, daleko od Grey's Hollow w stronę Scarlet Falls. Gdyby klient zabił Mary, chciałby, żeby od miejsca zbrodni i jej ciała dzieliła go jakaś przestrzeń.

Mary przycisnęła dłonie do bocznego okna.

— Nie jedziemy do PJ-a.

Zjechał na parking. Nigdzie nie było widać innych samochodów. W powietrzu sierpniowego wieczoru buczały owady. Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki.

— Wsiadaj — powiedział.

Posłuchała go. Ubrana w minispódniczkę i buty na niebotycznie wysokim obcasie, zachwiała się, wysiadając z tylnego siedzenia. Przesunęła się wzdłuż zderzaka. Zatrzasnął drzwiczki.

Gdy odwrócił się, by złapać ją za ramię, kopnęła go. Przesunął biodra w bok i jej stopa trafiła go w udo, muskając krocze. Kolana się pod nim ugięły, a ona ruszyła do ucieczki, zrzucając buty.

Cholera!

Trzymając się za krocze, pokuśtykał za nią.

Po dłuższej chwili ból ustąpił, jednak Mary zdążyła już się sporo oddalić. Boso wbiegła na jezdnię, skręciła i pobiegła wzdłuż żółtej linii. Jej boso stopy migają w

zapadającym zmierzchu, jednak stopniowo ją doganiał.

I wtedy zobaczył coś, co mogło przekreślić jego plany.

Światła samochodu.

Mary, krzycząc, trzymała się środka drogi i wymachiwała ramionami. Pojazd zwolnił, potem zatrzymał się. Ze środka wysiadł mężczyzna i stanął w świetle reflektorów.

— Pomocy! — zawołała Mary, zerkając przez ramię. — On chce mnie zabić.

Dogonił ją, gdy Mary podeszła do Dobrego Samarytanina.

Mężczyzna był wysoki i wysportowany.

— Czy wszystko w porządku, panie władzo?

— W jak najlepszym. Aresztuję tę kobietę — powiedział, skuwając ręce Mary za jej plecami.

— Nie! — protestowała Mary. — On mnie zabije, błagam, pomóż mi!

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę. Cholera, nawet jeśli teraz by odjechał i tak stanowił zagrożenie. Był potencjalnym świadkiem. Przez histerię Mary na pewno ją zapamięta.

— Piła. — Wziął Mary za ramię i pociągnął ją za sobą. — Może pan wracać do samochodu, mam sytuację pod kontrolą.

Mężczyzna odwrócił się, powoli i niepewnie. Gdy stanął plecami do Kinga, ten wyjął swoją pałkę i uderzył go w głowę. Mężczyzna upadł ciężko.

Mary znowu krzyknęła.

Musiał ją ściągnąć z drogi.

— Zamknij się. — Gniew szalał w nim, gdy przewrócił ją na ziemię i usiadł na niej. Nie mogła stawić oporu, mając ręce związane z plecami. Zacisnął palce na jej szyi. Ścisnął ją, aż znieruchomiła, cholernie cicha i bez życia.

Przestał, ciężko dysząc.

Nie żyła.

Kurwa! To nie było częścią jego planu.

Jej śmierć miała wyglądać jak wypadek. Teraz, gdy na jej szyi widniały ślady jego palców, nie było na to szans.

I co teraz?

Teraz miał jeszcze dwa trupy do ukrycia. I tyle.

Będzie musiał improwizować. Podbiegł do samochodu mężczyzny i otworzył

bagażnik. Ściągnął Mary z jezdni i włożył do bagażnika. Następnie zaciągnął mężczyznę na tylne siedzenie. Wsunął się za kierownicę, otworzył schowek na rękawiczki i znalazł dowód rejestracyjny. Victor Kruger, mieszkaniec Scarlet Falls.

Poprawka: były mieszkaniec.

Potrzebował planu, by pozbyć się obydwu ciał i samochodu. Samochód mógł zatopić w Grey Lake. Jeśli udałoby mu się ułożyć Victora Krugera za kierownicę, mogłoby to wyglądać jak połączenie morderstwa i samobójstwa. Ale trudno byłoby znaleźć więź łączącą tych dwoje. Morderstwo połączone z samobójstwem było zazwyczaj popełnione z pasji, desperacji, która rodziła się ze skrzywionej miłości.

Jeśli ciała kiedykolwiek zostałyby odkryte, musiał znaleźć sposób, by wyglądało to, jakby Victor zabił Mary, a następnie uciekł z miasta. Samochód mógł zatopić w jeziorze razem z Mary w bagażniku. Victora zakopie w lesie. Znał doskonale miejsce. Gdy to zrobi, zadzwoni do Owena, żeby po niego przyjechał. Owen był współnikiem i będzie trzymał usta na kłódkę.

Gdzieś przed nim trzasnęła gałązka, przypominając mu o zadaniu, które go czekało. Kruger i Dane musieli znajdować się tuż przed nim. Zwolnił, idąc ich śladem. W jednym miejscu odcisków stóp było więcej, jakby zatrzymali się, żeby odpocząć. Jego spojrzenie wyłowiło plamę krwi na śniegu przed nim. Podszedł bliżej. Nie mogli być daleko, tym bardziej, że jedno z nich krwawiło.

Ślady prowadziły w gęste zarośla iglastych drzew. Czyżby próbowali się ukryć? Powoli i cicho ruszył w tamtą stronę i rozgarnął gałęzie. Kuliła się na ziemi, zmoknięta, zmarznięta niczym kupka nieszczęścia lub zagubiony kociak.

— Pani Dane. Miło mi panią widzieć. — Zrobił gest lufą strzelby. Jej dłoń pokryta była krwią.

Podniosła dłonie do góry. Jej skóra i usta były sine, zatoczyła się próbując wstać. Nawet gdyby jej nie znalazł, długo by już nie pociągnęła. To, że w ogóle jeszcze żyła, zawdzięczała czystej determinacji, której musiał przyznać, że jej nie brakowało.

Szkoda, że musiała umrzeć.

— Gdzie jest Kruger? — zapytał.

— Poszedł sprowadzić pomoc. — Zachwiała się. — Nie jestem w stanie dalej iść.

Kruger nigdy by jej nie zostawił.

— Kłamczucha. — King odwrócił strzelbę i uderzył ją kolbą w twarz. Upadła na ziemię i leżała w śniegu bez ruchu. Nie uderzył jej z pełną siłą, nie chciał, żeby

straciła przytomność, jedynie trochę oszołomić. Nie był jednak przyzwyczajony do obcowania z kimś tak delikatnym. Trudno. W tym momencie musiał być elastyczny i nie zapominać o nagrodzie. Teraz mógł wykorzystać ją jako przynętę.

Wycelował karabin w jej twarz.

— Wyłaź, Kruger. Wiem, że mnie słyszysz. Masz trzy sekundy, żeby się ujawnić, nim pociągnę za spust.

ROZDZIAŁ 49

Lance z bijącym sercem wpatrywał się w plecy szeryfa. Zawahał się na ułamek sekundy. Jeśli teraz skoczyłby na niego, King mógłby strzelić do Morgan. Jeśli jednak tego nie spróbuje, King na pewno zastrzeli ich oboje. Nie mógł pozwolić, pod żadnym pozorem, żeby którekolwiek z nich zostało jego więźniem. To byłby koniec.

Zaskoczenie — i nadmierna pewność siebie szeryfa — miały być dla Lance'a najlepszą bronią.

Wziął na tyle głęboki oddech, na ile umożliwiwały mu to jego potłuczone żebra. Odpychając się zdrową nogą, skoczył szeryfowi na plecy. Przełożył skute rękę nad jego głowę i pociągnął mocno, tak że łańcuch spinający kajdanki zaczął się wpijać szeryfowi w szyję. Szeryf upuścił karabin i jego dłonie powędrowały do gardła. Chwytał Lance'a za ręce i usiłował zmniejszyć nacisk. Jednak Lance miał przewagę i nie zamierzał odpuścić. Jeśli to nie zadziała, to zarówno on, jak i Morgan mieli zginąć.

Nie będzie już ucieczki. Nie będzie już gry w kotka i myszkę. Myszki nie miały już siły uciekać.

Szeryf zaczął się dławić. Z jego gardła wrywał się zdławiony dźwięk, gdy walczył, żeby zaczerpnąć powietrza. Rzucił się, drapiąc Lance'a po rękach i usiłując wykorzystać swój wzrost i siłę, by wytrącić Lance'a z równowagi.

King był potężny, silny, wyszkolony w sztukach walki i technikach obezwładniania aresztantów. Opuścił jedną rękę do paska i wyjął nóż z pochwy. Sięgając za ramię, King wymierzył ostrze w głowę Lance'a. Lance uchylił się, jednak to sprawiło, że stracił równowagę.

Szeryf chwycił Lance'a za nadgarstek drugą ręką, co pozwoliło mu zmniejszyć nacisk na swoje gardło i pociągnął Lance'a z całej siły, przyciskając jego nadgarstek do swojego obojczyka. Lance starał się utrzymać swoją pozycję, wykorzystując swój ciężar ciała.

Szeryf dźgnął nożem w kierunku oka Lance'a, który odchylił głowę. Ręce mu drżały. Ból rozrywał jego klatkę piersiową. Wyczerpany, wyziębiony i ranny był już niemal u kresu sił. Wiedział, że ma ostatnią szansę — teraz albo nigdy.

— Ostatnia szansa! — wrzasnął szeryfowi do ucha. — Rzuć nóż.

W odpowiedzi King jeszcze raz wziął zamach w kierunku twarzy Lance'a.

Lance odsunął się, starając się nie puszczać szyi Kinga. Gdyby miał dwie sprawne nogi, mógłby się zaprzeć kolanem o plecy szeryfa, jednak przy tych obrażeniach to cud, że w ogóle trzymał się na nogach.

Nóż znowu świsnął koło jego głowy. Dojrzał błysk metalu, gdy ostrze minęło jego oko o milimetry. Skaleczona brew zapiekła.

Szeryf chrząknął i zaczął ciągnąć Lance'a za nadgarstek, usiłując dać sobie możliwość swobodniejszego oddychania. Lance oparł się o plecy Kinga i ścisnął ramiona do wewnątrz. Jeśli udałoby mu się ucisnąć bok szyi szeryfa, mógłby odciąć mu dopływ krwi do mózgu.

Jednak szeryf nie zamierzał mu tego umożliwić. Ryknął, opuścił nóż, a następnie zamachnął się nożem pod pachą, starając się trafić Lance'a w brzuch. Ostrze musnęło jego ciało, wywołując falę gorąca.

Lance otworzył usta, by kazać Morgan uciekać. Nie był w stanie dużo dłużej powstrzymać Kinga. Nie był w stanie zyskać przewagi ani zmienić pozycji. Nie miał też dość powietrza, żeby krzyknąć. Resztki sił włożył w to, by zaciskać łańcuch na szyi szeryfa.

Sosny wokół niego wirowały. Nie mógł oddychać. Przez oczami tańczyły mu gwiazdki, jego pole widzenia zawężało się w tunel.

Nie uda im się. Szeryf był silny niczym byk. Lance mógł go trzymać, ale nie był w stanie go wykończyć.

Obok ucha Lance'a coś świsnęło i szeryf zwiotczał. Jego ciało opadło, a Lance zobaczył stojącą przed nimi Morgan. Trzymała za lufę karabin szeryfa, którym ogłuszyła Kinga.

Było po wszystkim.

Zrobiło mu się słabo z ulgi. Adrenalina opadła.

Lance puścił szyję szeryfa. Ciężar upadającego ciała pociągnął go na ziemię. Lance upadł na bok i uderzył ramieniem w przysypaną śniegiem trawę. Przetoczył się na plecy. Śnieg padał mu na twarz, gdy patrzył w ciemne niebo i pokryte śniegiem czubki drzew.

I na Morgan.

Stała nad ciałem szeryfa, mierząc z karabinu wprost w jego głowę. Ciemne włosy powiewały wokół jej twarzy, a wokół niej wirowały płatki śniegu. Poprzez zawrót

głowy wywołany osłabieniem, Lance przez chwilę widział ją jako Wonder Woman.

Przypisał to niedoborowi tlenu.

— I co teraz? — Morgan cała się trzęsła, wyglądając, jakby ledwo była w stanie utrzymać karabin.

— Kryj mnie. Zastrzel go, jeśli choćby drgnie. — Lance z trudem wstał na nogi. Solidnym kopniakiem upewnił się, że szeryf jest nieprzytomny, po czym zabrał mu broń i przeszukał pas w poszukiwaniu kluczyków od kajdanek. Znalazł je i uwolnił się. Odłożył kajdanki na bok i ściągnął z szeryfa płaszcz. Następnie zdjął mu kolejne dwie warstwy odzieży i na koniec zaciągnął go do drzewa, posadził przy nim i skuł jego ręce wokół pnia. Odnalazł upuszczony nóż i przeszukał kieszenie szeryfa.

Zdjął Morgan kajdanki i okrył ją ciasno kurtką szeryfa.

Wsunęła dłonie w rękawy. Lance zapiął jej kurtkę pod brodę. Następnie założył na siebie koszulkę szeryfa i polarową bluzę na zamek. Były jeszcze ciepłe od jego ciała, ale Lance'owi to nie przeszkadzało.

Ciepło to ciepło.

Morgan odłożyła karabin i zaczęła przeszukiwać kieszenie, wyciągając z nich wszystko to, co doświadczony myśliwy zabiera do lasu: batoniki proteinowe, latarkę, kompas, koc termiczny.

— Zapałki i zestaw do rozpałki. Możemy zrobić ognisko.

Znalazła też pistolet. Nie była to służbowa broń. Schowała go z powrotem do kieszeni.

— Napelnimy ją śniegiem i rozpuścimy. — Uniosła pustą butelkę na wodę.

— Nie chcę tu spędzać nocy — powiedział Lance. Chciał jak najszybciej wydostać się z lasu, jednak czuł się tak, jakby przejechał go samochód.

— Jak daleko jest do najbliższych zabudowań? — zapytała Morgan.

Lance rozejrzał się dookoła.

— Nie jestem pewien. Wydaje się, że przeszliśmy sporą odległość, jednak na pewno zostało kilka kilometrów.

— Oboje jesteśmy wychłodzeni i grożą nam odmrożenia — powiedziała Morgan. — Rozgrzanie się powinno stanowić nasz priorytet. Głosuję za zrobieniem schronienia i rozpaleniem ogniska. Potem ocenimy nasz stan fizyczny. W tym momencie nie jestem w stanie przejść nawet kilometra.

Lance skinął głową. Miała rację. Oddychanie stawało się dla niego bardziej

bolesne z każdą chwilą.

Morgan zerknęła na ciało szeryfa.

— Jeśli go tu zostawimy, zamarznie na śmierć.

— Prawdopodobnie. — Lance'a to nie obchodziło. — Po tym, co zrobił, zasługuje na to, by zamarznąć.

— King powiedziała by tak samo.

Cholera.

Zawsze miała rację, jednak w tej chwili moralna wyższość wydawała mu się równie osiągalna, co Mount Everest.

— *Dobrze.* Ale ty rozgrzejesz się najpierw. — Lance zaczął szukać w miarę suchego drewna, co nie było łatwe w padającym śniegu, zwłaszcza, gdy miało się wrażenie, jakby na piersi zaparkowała mu ciężarówka. Jednak w końcu udało mu się znaleźć powalony pień, który oczyścił na tyle, żeby nadawał się na ognisko. Morgan, wyglądająca w kurtce i rękawiczkach szeryfa jak dziecko, przyniosła jakieś w miarę suche gałązki i ułożyła je pod jodłą, która chroniła ich przed najgorszymi opadami. Jeśli Lance'owi udałoby się rozpaścić ogień i zjadłby batonik, może zebrałby siły na tyle, żeby z gałęzi przygotować im lepsze schronienie.

Morgan jednak już się za to zabrała.

— Potrzebuje twoich sznurówek.

Ściągnęła w dół dwie gałęzie, robiąc z nich coś w rodzaju zasłony przed wiatrem i przywiązała je sznurówkami Lance'a.

W ciągu dwudziestu minut udało im się rozpaścić ogień na tyle duży, żeby ogrzać przy nim ręce. Lance dorzucił trochę gałęzi i płomień buchnął wyżej. Następnie niechętnie okrył szeryfa folią termoizolacyjną.

Skuleni przy niewielkim ognisku zjedli batoniki proteinowe i wypili wodę z roztopionego śniegu. Lance oparł się od drzewo, czując jak teraz, gdy minęło najgorsze niebezpieczeństwo, dopadają go ból i wyczerpanie. Położył karabin na swoich udach, lufą w stronę szeryfa. Morgan miała w dłoni służbowy pistolet szeryfa, a dodatkową broń w kieszeni. Oparła się o jego ramię.

Szeryf, siedzący o dwadzieścia kroków od ich niewielkiego schronienia, nie poruszał się. ***

Trzask łamanej gałązki obudził Lance'a. Ból przeszył jego żebra, odbierając mu dech. Musiał zasnąć.

Coś poruszyło się w zaroślach tym razem dalej.

Lance uniósł karabin, rozejrzał się po polanie, rozglądając się za szeryfem. Kolejny dźwięk z oddali powiedział mu, że King ucieka.

Siedząca obok niego Morgan natychmiast się obudziła.

— Co to takiego? — powiedziała bezgłośnie.

— King uciekł — wyszeptał.

Jakiś czas później usłyszeli głosy nadchodzące z przeciwnej strony niż ta, w którą uciekł King.

Po dziesięciu minutach na polanę weszli Mac i Sharp. Byli ubrani w turystyczne stroje i mieli na sobie plecaki.

Lance poczuł, jak ulga rozgrzewa go bardziej niż ciepło ogniska.

Morgan wstała i Mac objął ją.

Sharp opadł na kolano obok Lance'a.

— Żyjesz?

— Tak. — Lance z trudem usiadł. Niebo pojaśniało. Czyżby zbliżał się świt? — Jak nas znaleźliście?

— Poczekaj, podam koordynaty ratownikom. — Sharp zaczął coś mówić do krótkofalówki. Opuścił ją po chwili i wskazał kciukiem Maca. — Ten koleś jest niesamowicie dobry w lesie. Tropi niczym pies.

— Nie chcieliśmy czekać, aż zbierze się grupa poszukiwawcza — powiedział Mac. — We dwójkę i tak mogliśmy poruszać się szybciej.

Sharp odstawił plecak na ziemię i otworzył go.

— Ale nie powinni być daleko. Niedługo zabierzemy stąd was oboje. Jako że nie umieracie, nie będziemy wzywać helikoptera. Mac próbuje ustalić, gdzie najbliżej można tu podjechać quadem.

Lance wyprostował się i ból niemal rozerwał go na pół.

— King uciekł, prawdopodobnie tuż przed tym, nim tu dotarliście. Był przykuty do tego drzewa. Chyba się zdrzemnąłem. — Lance miał ochotę wymierzyć sobie kopniaka.

— Raczej *zemdlałeś* — skorygował Sharp. — Nie wyglądasz za dobrze.

Mac kucnął w miejscu, gdzie wcześniej siedział King, po czym wstał i rozejrzał się.

— Poszedł na północ. Jeśli teraz ruszymy, dogonimy go.

— Jestem zdziwiony, że go nie zabiłeś. — Sharp podał Lance'owi mieszankę studencką.

Lance zjadł garść rodzynek i orzechów.

— Miałem na to ochotę.

I gdyby to zrobił, nie musiałby się teraz martwić, że szeryf uciekł.

— Nie dziwię się. — Sharp podał mu butelkę z wodą i poklepał go po ramieniu.

— Dobrze się spisałeś. Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy go.

— Poczekacie na policję, żeby go złapać, prawda? — zapytała Morgan, siedząca po drugiej stronie ogniska na kamieniu. Uśmiechnęła się poprzez dym.

— Jasne — burknął Sharp.

Lance oparł się o drzewo. Wiedział, kto zabił jego ojca, a szeryf nie mógł uciec zbyt daleko. On i Morgan przeżyli i byli razem. Wszystko *będzie* dobrze, tak długo, jak będą razem.

ROZDZIAŁ 50

Godzinę później Sharp wędrował przez las w towarzystwie policji stanowej. Teraz dobrze rozumiał, dlaczego Mac Barrett był cennym zasobem dla każdej ekipy poszukiwawczo-ratunkowej. Biegł śladem bez cienia wysiłku, tropiąc szeryfa niczym golden retriever.

Ślad prowadził na polanę, pośrodku której stała niewielka chatka. Świeże ślady prowadziły do drzwi frontowych. King był w środku, Wszyscy to wiedzieli. Napięcie połączyło wszystkich członków zespołu niczym niewidzialna sieć.

Strażnicy rozeszli się półkolistą, dając znak Sharpowi i Macowi, by szli za nimi.

Niechętnie posłuchali ich.

Ale szli tuż za nimi.

Jeden ze policjantów ruszył pierwszy. Przykucnął przy oknie, wyjął kijek selfie i telefon z kieszeni. Uniósł telefon tuż nad parapet i za pomocą kamery sprawdził, co dzieje się w środku. Po chwili opuścił telefon i podkradł się z powrotem do reszty grupy.

— Stoi na środku pokoju. Jest ranny i uzbrojony.

— Sądysz, że jest szansa, byśmy namówili go, żeby odłożył broń i wyszedł na zewnątrz? — zapytał dowódca.

Wszyscy wymienili spojrzenia mówiące, że *za żadne skarby tak się nie stanie*.

— W takim razie bierzmy go. — Dowódca wskazał na chatkę.

Policjanci otoczyli drzwi. Nie zwracając sobie głowy pukaniem, wyważyli drzwi i wpadli do środka. Ciężkie buty zadudniły po drewnianej podłodze, gdy wykrzykiwali rozkazy.

— Policja!

— Pokaż ręce!

— Rzuć broń!

Sharp wygiął się, żeby móc zajrzeć do środka przez drzwi.

Szeryf stał pośrodku głównego pomieszczenia. Jego twarz była opuchnięta, nos dwukrotnie większy niż zwykle, oczy podbiegnięte krwią. W jednej dłoni trzymał strzelbę, skierowaną w podłogę. Drugą, spuchniętą rękę trzymał przyciśniętą do ciała.

King wybił sobie kciuk, żeby uwolnić się z kajdanek.

Szaleniec.

— Odłóż broń, szeryfie — polecił dowódca.

Wszyscy znali Kinga. Pracowali razem. Jednak i tak nie zawahaliby się przez wpakowaniem w niego kuli, gdyby było trzeba.

King spojrzął ponad policjantami na Sharpa. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Wargi Kinga uniosły się, jakby chciał warknąć.

— Odłóż broń, albo *będziemy* strzelać.

W momencie nawiązania kontaktu wzrokowego Sharp już wiedział, że King nigdy nie pozwoli się aresztować. Nie pozwoli też się zranić. Nie zamierzał trafić do więzienia.

Jednym szybkim ruchem szeryf włożył lufę do ust i pociągnął za spust, odstrzeliwując sobie tył głowy. Krew i fragmenty mózgu trysnęły na drewnianą ścianę za nim.

King odszedł na własnych zasadach.

Sharp miał gdzieś, w jaki sposób to się stało, byle tylko drań trafił do ziemi.

ROZDZIAŁ 51

Późnym rankiem następnego dnia Morgan siedziała w kuchni Lance'a i piła drugi kubek kawy. Lance wciąż spał. Poprzedniego wieczoru nie chciał zostawać w szpitalu. Wrócili do jego domu nad ranem, wleźli do łóżka i spali jak zabici.

Zadzwoił dzwonek. Nie chcąc, by hałas zbudził Lance'a, Morgan pospieszyła do drzwi i otworzyła je. Na progu stali Mac i Stella wraz ze wszystkimi córkami Morgan.

— Gdzie jest Lance? — zapytała Sophie, próbując się wślizgnąć do domu obok nóg Morgan.

— Śpi. — Morgan schwytała małą.

— Chcę go zobaczyć — powiedziała Sophie zakładając ręczki na piersi i wydymając obrażone usteczka.

— Wiem — odparła Morgan. — Pójdę sprawdzić, czy już się obudził. Sharp jest w kuchni.

— Zabierzemy dzieci do kuchni. — Stella wyciągnęła pudełko z pączkami. — Kto chce pączka?

— Zostawcie jednego dla mnie — rzuciła Morgan przez ramię.

— Czy na pewno na niego zasłużyłaś? — spytała Stella. — Gdyby były Święta Bożego Narodzenia, dostałabyś różgę za ten numer, który wczoraj wywinęłaś.

Morgan i Lance złożyli zeznania w szpitalu tego poprzedniego wieczoru.

— Przepraszalam już dwadzieścia razy — powiedziała Morgan z poczuciem winy. — Powinnam była odebrać telefon od ciebie. Powinnam ci była powiedzieć, gdzie jedziemy. Przepraszam.

Stella prychnęła.

— Może *jednego* pączka. — Pogroziła Morgan palcem. — Ale musisz wypić jeden z paskudnych koktajli Sharpa.

— Obiecuję. — Morgan wyciągnęła do góry trzy palce w geście harcerskiego ślubowania.

Potrząsając głową, Stella zniknęła w głębi korytarza. Morgan wiedziała, że jej siostra kocha ją niezależnie od wszystkiego.

Otworzyła drzwi sypialni Lance'a.

— Nie musicie być cicho — powiedział. — Już nie śpię.

Miał otwarte oczy i zepchnął kołdrę na wysokość swojej talii. Fioletowe sińce pokrywały jego klatkę piersiową. Niewielki opatrunek na boku i drugi na brwi zakrywały płytkie rany od noża, które zadał mu szeryf King. Samo patrzenie na jego nagą pierś sprawiło, że Morgan zadrżała. Miała na sobie długą jedwabną bieliznę, a na niej wełniany sweter. Miała wrażenie, że po nocy spędzonej w lesie już nigdy się nie rozgrzeje.

Usiadła ostrożnie z boku łóżka, uważając, by zbyt nim nie zakołysać.

— Dzieci przyszły. Martwiły się o ciebie, więc Stella i Mac je przyprowadzili. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

— Oczywiście, że nie. — Lance wziął ją za rękę i pogładził bandaż na jej dłoni. — Nic mi nie jest.

Potrząsnęła głową.

— Masz trzy pęknięte żebra i dwadzieścia szwów na nodze. Powinieneś być zostać wczoraj w szpitalu.

— *Obserwacja* to szpitalny kod na budzenie cię co trzydzieści minut. Potrzebowałem się porządnie wyspać. A poza tym mogło być gorzej. — Dotknął obolałego miejsca na jej skroni, gdzie uderzenie kolbą zostawiło siniec.

— Niestety nie mogę zaprzeczyć.

Mieli naprawdę ogromne szczęście.

Lance położył dłonie na materacu i popchnął się do pozycji siedzącej. Twarz ściągnęła mu się z bólu.

— Potrzebujesz tabletki. — Morgan sięgnęła po poduszkę i podłożyła mu ją pod plecy. Gdy się skrzywił, powiedziała: — Pamiętaj, co mówił lekarz. Jeśli nie będziesz brał leków, nie będziesz oddychał dostatecznie głęboko i możesz dostać zapalenia płuc.

— Tak, proszę pani. — Oparł się o poduszkę i rozluźnił, gdy zamarł w bezruchu.

Morgan sama miała mnóstwo sińców, jednak samo to, że była żywa i z Lance'em wystarczało, by odczuwała ulgę. Za każdym razem, gdy myślała o tym, co *mogło* się wydarzyć, czuła, jak zasycha jej w gardle i serce jej się ściska.

Otworzyła buteleczkę z lekarstwem i położyła dwie tabletki na jego dłoni, po czym podała mu szklankę wody stojącą na szafce nocnej. Następnie przeniosła lek na najwyższą półkę w jego szafce na leki, tam, gdzie dzieci nie mogłyby go dosięgnąć.

Podniosła koc i kołdrę, by ocenić opatrunek na jego łydce. Miał na sobie tylko bokserki. Przez noc na jego ciele pokazało się więcej sińców. Ciemne plamy pokrywały jego tors i nogi niczym fioletowy kamuflaż. Sama liczba i rozmiar obrażeń świadczyły o tym, jak ciężko walczył o ich ocalenie.

Drzwi sypialni otworzyły się i do środka wślizgnął się Sharp, niosąc zielony koktajl.

— Jak się masz?

— Może dałbyś nam trochę prywatności, Sharp? — Lance nakrył nogi kołdrą i podciągnął ją do talii.

Sharp przewrócił oczami, podszedł do łóżka i postawił koktajl na szafce nocnej.

— Potrzebujesz substancji odżywczych.

— Dopiero się obudziłem — marudził Lance.

— Dla ciebie też przygotowałem śniadanie. — Sharp spojrzał na Morgan. — Nawet się nie waż wcinać tych pączków, które widziałem w kuchni. Twój stan nie jest tak poważny jak Lance'a, ale twoje ciało też musi dokonać pewnych napraw.

Westchnęła. Naprawdę cieszyła się na myśl o pączku i niewielkiej dolewce kawy.

— Jak twoje ramię? — zapytała Sharpa.

— Zaczyna się goić, dziękuję. — Podał Lance'owi koktajl, wygłaszając krótką przemowę na temat witamin, aminokwasów, białka i innych składników, mających działanie przeciwzapalne.

— Wierzę ci. Już piję. — Lance przyjął koktajl i pociągnął długi łyk. — Co się stało z twoją ręką?

Sharp spojrzał na swój zabandażowany palec.

— Pojechałem rano odebrać tego małego pieska od weterynarza. Ugryzła mnie. Weterynarz powiedział, że wydaje się, że suczka nienawidzi mężczyzn.

— O nie — powiedziała Morgan. — Założę się, że Warren Fox miał z tym coś wspólnego.

— A skoro już o nim mowa — wtrącił Sharp. — To nic mu nie jest. Gdy pukaliście do jego drzwi, leżał w domu pijany. Wjechał samochodem do rowu jakiś kilometr od domu i jakoś się tam dowlókł.

— Przynajmniej żyje — powiedziała Morgan. — Co zrobimy z tym psem? Nie mogę mieć psa, który gryzie. Mam trójkę dzieci. — Jednak nie chciała zawieźć psa do schroniska.

— Nie ma zmartwienia. Już jej znalazłem dom. Zawiozłem ją do Natalie Leeds. Powiedziałem jej, że pies nie ma domu i nienawidzi mężczyzn. Uznała, że to się idealnie składa i ona ma tak samo w tej chwili. To była miłość od pierwszego wejrzenia. — Uśmiechnął się Sharp. — A przy okazji, zgadnijcie, co ukrywał Stan Adams? Jest hazardzistą.

— Skąd wiesz? — Lance uniósł szklanę.

— Został dziś rano aresztowany — powiedział Sharp. — Problem w jego firmie nie wynikał z prośby klienta. Brakowało pieniędzy. Stan *pożyczał* pieniądze z firmy, żeby spłacać swoje długi. Okazuje się, że jego partner od dłuższego czasu prowadził śledztwo w jego sprawie.

— Zastanawiam się, jak długo to się ciągnęło i czy miało coś wspólnego z tym, że Stan nie chciał powiedzieć, gdzie naprawdę znajdował się tej noc, gdy mój ojciec zaginął. — Lance pociągnął kolejny łyk.

Sharp wzruszył ramionami.

— Wątpię, by teraz nam to powiedział, gdy jest otoczony prawnikami.

Patrząc, jak Sharp troszczy się o Lance'a, Morgan ruszyła w stronę drzwi.

— Przyniosę okład z lodu.

Sophie wślizgnęła się do pokoju, jak tylko otworzyła drzwi. Morgan usiłowała ją złapać, jednak dziecko było szybkie i zwinne. Wskoczyła na łóżko. Nie próbowała dotykać Lance'a, ale materac cały zachybotał. Lance zbladł.

Morgan pospiesznie podbiegła do łóżka, sięgając po Sophie, jednak Lance potrząsnął głową.

— W porządku, mam ją.

Odstawił koktajl i obiema rękami przytrzymał Sophie w pasie, żeby przestała się ruszać.

Sophie szeroko otwartymi oczami patrzyła na jego sińce.

— Wygląda gorzej niż jest naprawdę — uspokoił ją.

— Wygląda, jakby bolało. — Sophie pochyliła się i pocałowała największy, najciemniejszy siniak na jego piersi.

Jego twarz pobladła jeszcze bardziej i przez chwilę wyglądał, jakby miał zemdleć, gdy jej usta dotknęły skóry nad popękkanymi kośćmi. Sophie odchyliła się do tyłu i usiadła po turecku, lekko podskakując.

— Och, skarbie — skrzywiła się Morgan. — Lance musi odpoczywać. Nie...

Lance uniósł dłoń. Był blady jak ściana, jednak w jego oczach lśniło wzruszenie.

— Nie przeszkadza mi. I tak muszę się podnieść.

— Ale lepiej, żebyś nie był wystrzelony jak z katapulty — powiedziała Morgan.

— Sophie, zjadłaś już pączka?

Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na Morgan, marszcząc brwi.

— Chcę zostać z Lance'em.

— Może przyjdę do kuchni? — zaproponował Lance.

Sophie przyjrzała się jego obrażeniom z powątpiewaniem, tak jakby nie sądziła, że może lub powinien wstawać, jednak w końcu zgodziła się.

— Dobrze.

Sharp podniósł ją, pragnąc zaoszczędzić Lance'owi dalszego bujania. Postawił Sophie na podłodze i mała wybiegła z pokoju.

— Zrobię omlet z warzywami — zaproponował Sharp. — Gdy już będziecie w stanie, Stella chce coś z wami omówić.

Sharp zadzwonił, by poinformować ich o samobójstwie Kinga, gdy byli na pogotowiu. Morgan nie była zaskoczona. King stosował się tylko do własnych zasad.

Gdy wypuścili ich ze szpitala, Morgan pojechała z Lance'em, żeby mieć na niego oko.

Upierał się wprawdzie, że nic mu nie jest, ale nie chciała, żeby był sam. Zasnęli jak tylko wrócili do jego domu. Morgan przez całą noc trzymała jedną rękę na jego ciele, tak jakby potrzebowała stałego zapewnienia, że jest cały i zdrowy.

— Czy policja stanowa znalazła coś w jego chatce? — Mówiąc coś, Lance miał na myśli *ludzkie szczątki*.

— Technicy nadal przeszukują chatkę — powiedział Sharp. — Biorąc pod uwagę, że ciało Vica wciąż nie zostało odnalezione, zasugerowałem, żeby przywieźli psa do poszukiwania zwłok. Założę się, że twój ojciec znajduje się niedaleko jeziora.

Nadal jednak nie wiedzieli, *dlaczego* Vic zginął. Czy kiedykolwiek to wyjaśnią? Po tym wszystkim przez co przeszli, Lance i jego matka zasługiwali na prawdę.

— Chcę tam pojechać — powiedział Lance, który zapewne czuł to samo. — I muszę odwiedzić moją matkę.

Zajrzeli do niej po wyjściu z oddziału ratunkowego. Jej stan nie zmienił się.

— Najpierw zobaczymy, jak się poczujesz po tym, jak chwilę pochodzisz, dobrze?

— Sharp wyszedł za Sophie z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Przyniosę ci ubrania. — Morgan otworzyła szufladę komody i wyjęła z niej koszulkę i dresowe spodnie. Położyła je na łóżku. Lance usiadł, zwieszając nogi z łóżka. Uklękała przy nim, oszczędzając mu bólu przy zginaniu się wpół, żeby założyć spodnie.

— Mogę się sam ubrać — zaprotestował Lance.

— Przykro mi z powodu Sophie. Mam nadzieję, że nie zrobiła ci krzywdy.

Lance przełknął ślinę.

— Nie.

— Kłamczuch — powiedziała Morgan.

— Nie rozśmieszaj mnie. — Zaśmiał się i przyłożył dłoń do żeber. — Czuję się zaszczycony. Na początku obawiałem się, że nie uda mi się jej do siebie przekonać.

Morgan wyobraziła sobie Sophie podskakującą na materacu.

— Uważaj, czego sobie życzysz.

ROZDZIAŁ 52

Następnego dnia Lance stał na trawniku za niewielkim domkiem myśliwskim Kinga. Morgan stała obok, trzymając go za rękę. Dzień był jasny i pogodny. Słońce odbijało się od wody i grzało czubek jego głowy.

Pies do poszukiwania zwłok wykonał swoje zadanie błyskawicznie i w ciągu trzydziestu minut od przyjazdu wskazał miejsce. Odpoczywał teraz, podczas gdy zespół techników ostrożnie kopał łopatami, tam, gdzie pokazał. Dziura miała teraz metr głębokości i kopali nadal.

Morgan poszła wcześniej obejrzeć wnętrze domku. Nie widziała ciała szeryfa, jednak plama krwi na ścianie wystarczyła, by ją przekonać, że nie żyje.

Koniec.

No, prawie.

Wciąż nie wiedzieli, gdzie jest Victor ani dlaczego zginął.

Morgan zadrżała i zapięła kurtkę pod szyję.

Stella i Brody przyłączyli się do nich.

— Jakie to typowe, że King zachował wszystkie informacje dla siebie i nadal błądzimy w ciemności — zauważył Brody, patrząc na jezioro. — Żadnego listu, wyjaśnienia, niczego.

— Nigdy bym nie zgadł, że to King stał za tym wszystkim — powiedział Lance. — Ale gdy teraz o tym myślę, to ma sens. Miał dostęp do wszystkich świadków. Zabił tych, którzy mogli połączyć go z Mary. Zakładam, że Mary zadzwoniła wtedy z posterunku do Crystal, tak więc Crystal wiedziała, że została aresztowana.

— P.J. też wiedział, że King aresztował Mary — dodała Stella. — Poprosiliśmy, żeby oficer śledczy z Florydy przesłuchał Owena Walsha. Gdy przyjechał, zastał z nim prywatnego detektywa, znajomego Sharpa. Udało mu się już przekonać Owena do mówienia.

Lance zeszywniał. Żebra go bolały. Za chwilę miał poznać ostatni brakujący fragment układanki.

— Owen umiera na raka żołądka. Wydaje się, że z ulgą przyjął możliwość złożenia zeznań — zwróciła się Stella do Lance'a. — Owen potwierdził to, co woźny

opowiedział Sharpowi. Owen i King pobili Lou Forda, który zmarł na posterunku szeryfa. — Wzięła oddech, dając Lance'owi chwilę na przygotowanie się na kolejne wieści. — Dalszą część historii znamy z drugiej ręki. King zadzwonił do Owena znad Grey Lake, prosząc, żeby go odebrał, i opowiedział mu, co zaszło. King zawiózł Mary na parking w pobliżu Scarlet Falls, żeby ją zabić, jednak udało jej się wyrwać. Twój ojciec nadjechał drogą, zobaczył ją i zatrzymał się, żeby jej pomóc. King zabił go, pochował go tutaj, następnie zatopił w jeziorze samochód z ciałem Mary w bagażniku. Zadzwonił do Owena, żeby odebrał go z drogi w pobliżu Grey Lake. Owen zawiózł go z powrotem do jego samochodu na parkingu.

Takie proste. Kilka zdań podsumowywało śmierć jego ojca. Lance miał wrażenie, że to nie może być prawda, z drugiej strony jednak wszystkie elementy idealnie do siebie pasowały.

Narastał w nim gniew i niedowierzenie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wielokrotnie mieli do czynienia z szeryfem. King rozmawiał z Lance'em, nie okazując najmniejszych oznak poczucia winy. Jaki człowiek mógł zrobić coś takiego? Psychopata. Brak współczucia. Brak wyrzutów sumienia. King nie okazywał poczucia winy, ponieważ jej nie odczuwał.

Lance zerknął na lśniąca taflę jeziora. Wreszcie dostał odpowiedzi, których szukał od dziesięcioleci, jednak nie potrafił ich na razie przyjąć.

Przycisnął ramię do ramienia Morgan. Miał czas i miał ją. Reszta jakoś się ułoży.

— Wiesz, że Tyler Green nigdy cię nie prześladował, prawda? — zwróciła się Stella do Morgan.

— Tak — potwierdziła Morgan. — Był w areszcie w czasie, gdy ktoś podrzucił paczkę na ganek naszego sąsiada.

— Nigdy nie zgadniesz, co znaleziono w chatce Kinga. Pojemnik ze sprejem na szerszenie i pusty pojemnik po wołowej krwi. Szeryf przygotowywał własną przynętę na sumy. Miał tego pełną zamrażarkę. — Stella potrząsnęła głową.

— Dlaczego szeryf przeciął twoje opony i oblał siedzenie krwią? — zapytał Lance. — To znaczy, wiemy, że był zimnokrwistym mordercą, ale wszystko inne, co robił, miało jakąś przyczynę, podczas gdy te działania wydają się być po prostu złośliwe... Albo jakby chciał się zemścić.

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód. Był wściekły, że powiedziałam asystentowi prokuratora, że wymusił fałszywe zeznanie na Ericu — powiedziała

ponuro Morgan.

— Jego ego nie mogło znieść tego, że kobieta go zdemaskowała — powiedział Lance.

— A zawsze miałam wrażenie, że niemal mnie lubi. — Morgan potrząsnęła głową.

— King był z pewnością psychopata. — Lance westchnął. — Oni naśladują emocje innych. Potrafią być czarujący i manipulować innymi. — Przypomniał sobie, jak szarmancko szeryf traktował jego matkę. — Zachowywał się w sposób, który jak sądził pozwoli mu się lepiej wpasować w otoczenie.

— Ted Bundy dokładnie w taki sam sposób przekonywał młode kobiety, żeby mu zaufały.

— To jeszcze nie wszystko — powiedziała Stella. — Nagrania z monitoringu w szpitalu pokazują wysokiego mężczyznę w dżinsach i czapeczce bejsbolowej przed pokojem twojej matki, Lance. Starał się trzymać twarz w cieniu lub odwróconą od kamery, ale to mógł być King. Mamy nagranie kogoś, kto mógł być nim, przebranego za woźnego z nocy, w którą twoja matka została otruta na oddziale intensywnej terapii. Wszedł do pokoju obok i czekał, aż zabrzmiał alarm, gdy starszy człowiek zaczął umierać. Gdy zrobiło się zamieszanie, wstrzyknął coś do worka z kroplówką leżącego przed drzwiami pokoju twojej matki. King szukał informacji na temat leków, które brała twoja matka, na swoim domowym komputerze. Miał dostęp do skonfiskowanej heroiny i broni.

W czasie, gdy technicy przeszukiwali domek Kinga, policja Scarlet Falls, wraz z policją stanową i służbami hrabstwa również nie marnowali czasu.

— Wszystko zaplanował. — Lance poczuł odrętwienie. Jak to możliwe, że ktoś zabił tyle osób, tylko po to, by zamaskować jeden swój błąd?

Psychopaci myślą tylko o swoich potrzebach i o tym, jak manipulować innymi, żeby osiągnąć swoje cele.

— Coś znaleźliśmy! — zawołał jeden z techników.

Lance przesunął się w kierunku dziury, jednak Morgan zatrzymała go w miejscu, chwytając za łokieć.

— Niech Stella i Brody pójdą pierwsi — powiedziała. — Może nie chcesz tego oglądać.

— Muszę to zobaczyć, tak samo jak ty musiałaś zobaczyć wnętrze chatki Kinga. — Uśmiechnął się do niej.

Zacisnęła palce mocniej na jego ramieniu.

— To czaszka — zawołał ktoś.

Lance zerknął do grobu. Z ziemi patrzyła na niego czaszka. Zalał go smutek. W tym dole znajdował się jego ojciec. Nawet z tej odległości Lance widział pęknięcie nad łukiem brwiowym. Uderzenie tępym narzędziem. Policyjną pałką Kinga?

Lance przełknął ślinę, odsunął się i pozwolił technikom pracować. Czekał dwadzieścia trzy lata. Czym było jeszcze kilka godzin?

— Usiądźmy tam. — Morgan pociągnęła go w stronę wyrzeźbionej z pnia drzewa ławeczki, skierowanej w stronę jeziora.

Pozwolił jej się prowadzić.

Nie musieli czekać długo.

Jakąś godzinę później Stella podeszła do nich z plastikową torebką na dowody. W środku znajdowała się srebrna obrączka ślubna. Stella pokazała im grawerunek.

„JENNY & VIC NA ZAWSZE”.

— Dzięki — powiedział Lance schrypniętym głosem.

Stella odniosła obrączkę technikom, po czym wróciła do Morgan i Lance’a.

Oficjalna identyfikacja potrwa dłużej, ale Lance wiedział, że znaleźli jego ojca. Vic Kruger nie porzucił swojej rodziny. Zatrzymał się, żeby pomóc przerażonej kobiecie, i przez to zginął.

Jego matka miała rację. Jego ojciec był dobrym człowiekiem.

Lance poczuł przypływ emocji, tak wielu, że nie był w stanie ich wszystkich rozróżnić i uporządkować. Oddychał powoli, czując ból żeber mimo leków przeciwbólowych.

— Jak się masz? — Morgan wzięła go za rękę. Miała na sobie grube rękawiczki, jednak i tak jej dotyk uspokajał go.

— Dobrze. Wiedziałem, jak tylko tu przyjechaliśmy, że to będzie to miejsce. — Odwrócił się od lśniącej wody.

Niebieskie oczy Morgan pełne były troski.

— W porządku?

— Tak. — Oprócz smutku, wypełniającego jego serce, czuł też nowy spokój, tak jakby turbulencje podczas lotu nagle ustały.

Morgan ścisnęła mocniej jego rękę.

— Muszę teraz odwiedzić moją matkę — powiedział.

Jenny obudziła się tego ranka. Była zagubiona, półprzytomna i przerażona pobylem w szpitalu. Jednak gdy Lance ją odwiedził, uspokoiła się. Fizycznie nie odniosła trwałych uszkodzeń, choć jednak mógł wiedzieć, jakie psychiczne blizny miało to zostawić? Lance jednak nauczył się jednej rzeczy: skupiać się na jednym na raz. Teraz ważne było, że przeżyła. Ze skutkami tych wydarzeń będą sobie radzili później.

— Pojadę z tobą. — Morgan wstała. — Wiem, że martwisz się, czy może wrócić do domu, ale chcę, żebyś zrozumiał, że pomogę wam. Kocham twoją matkę.

— Dziękuję.

— Tak właśnie jest w rodzinie.

Nie sprzeczał się. Chciał, żeby była przy nim. Nie potrafił teraz pojąć, dlaczego kiedykolwiek myślał inaczej.

— Brody i ja też się zabierzemy z wami — powiedziała Stella. — Potrzebujemy jej zadać kilka pytań, jeśli jest w odpowiednio dobrym stanie.

— Nie wiem, na ile będzie przytomna i skłonna do współpracy — ostrzegł Lance, kierując się w stronę jeepa.

— Rozumiem. Powiesz nam, ile jest w stanie znieść. — Stella machnęła na Brody'ego, który ruszył trawnikiem w ich stronę. — To miejsce zbrodni leży w gestii policji stanowej. Nie jesteśmy im tu potrzebni.

— Chcę wstąpić do domu mojej matki i zabrać jej laptopa — powiedział Lance do Morgan. — Będzie się czuła lepiej, mając coś do roboty.

Odjechali z miejsca zbrodni, wstąpili do domu Jenny, a następnie pojechali do szpitala.

Ku zaskoczeniu Lance'a, jego matka została przeniesiona z oddziału intensywnej terapii na oddział otwarty. Lance wszedł do pokoju jako pierwszy, Morgan za nim.

Jego matka usiadła na łóżku i wyciągnęła do niego rękę. Jej wzrok wciąż był lekko zamglony.

— Co się stało z twoją twarzą?

Nie pamiętała jego porannej wizyty. Jej słowa były niewyraźne, tak jakby wciąż znajdowała się pod wpływem środków uspokajających. Zapewne tak było najlepiej. Doświadczyla tyle stresów, że wystarczyłoby, by pokonać nawet najbardziej zrównoważoną osobę.

— To nic takiego. Ale mam dla ciebie wieści. — Opowiedział jej o tym, co stało

się z szeryfem, pomijając informacje o tym, że King próbował zabić jego i Morgan. Nie musiała wiedzieć *wszystkiego*.

— Znaleźli tatę — Lance opowiedział jej o znalezisku w domku myśliwskim.

Gdy skończył opowieść, jego matka wyglądała, jakby przyjęła to... z ulgą.

— Wiedziałam. Wiedziałam, że nie mógł po prostu nas zostawić.

— Miałaś rację.

— Teraz możemy go porządnie pochować. — Jenny pociągnęła nosem.

I zachować w pamięci jego nieskażone wspomnienie. Aż do tej chwili Lance nie zdawał sobie sprawy, jak ważne było dla niego oczyszczenie imienia ojca.

— Jak sobie radzisz? — zapytał.

Oczy jego matki wypełniły się łzami.

— Chcę do domu. Lekarz mówi, że powinni mnie wypisać jutro lub pojutrze. — Oblizwała wargi. — Nie podoba mi się tutaj. Chcę iść do domu dzisiaj.

Lance poklepał ją po ramieniu.

— Wiem. Czy dasz radę odpowiedzieć na kilka pytań policji?

— Nie wiem. — Jego matka wyrwała mu dłoń i zaczęła skubać skórki.

Lance wziął ją z powrotem i przytrzymał w dłoniach.

— Nic nie szkodzi, jeśli nie jesteś jeszcze gotowa. Ten, kto to zrobił, nie żyje. Zamknięcie luźnych wątków śledztwa może poczekać.

— Mogę spróbować. — Usiłowała się wyprostować. — Czy podasz mi wodę?

— Jasne. — Lance uniósł wezglowie łóżka i przytknął kubek z wodą do ust matki. Następnie skinął Morgan, która wyszła na korytarz i wróciła po chwili ze Stellą. Brody zatrzymał się w progu, tak by słyszeć wszystko, lecz nie narzucać się ze swoją obecnością.

Morgan przedstawiła swoją siostrę.

— Kto panią odwiedził w dniu, gdy pani zachorowała? — zapytała Stella.

— Szeryf King przyszedł zadać mi kilka pytań na temat zniknięcia Victora — powiedziała Jenny. — Przyniósł ze sobą placek, ale nie był zbyt dobry. Gdy poszedł do łazienki, wyrzuciłam większość do kosza. Nie chciałam go urazić, więc zostawiłam kilka kęsów, które zjadłam, gdy wrócił.

To, że zjadła zaledwie odrobinę ciasta, ocaliło jej życie.

— W ciągu trzydziestu minut dwukrotnie musiał skorzystać z łazienki. Pomyślałam, że może miał problem z prostatą. Nie miałam pojęcia. — Jenny zadrzała.

Zapewne w łazience zabrał jej leki, a potem poszedł by zostawić puste fiołki w umywalce, pozorując samobójstwo.

— Nikt z nas się nie domyślał. — Lance wciąż miał problem z zaakceptowaniem prawdy.

— Czy domyśla się pani, dlaczego szeryf King próbował panią otruć? — zapytała Stella.

— Nie. — Jenny potrząsnęła głową. — Ale przypomniałam sobie, gdzie go wcześniej widziałam. Nie tylko w telewizji. Oczywiście teraz wyglądał inaczej. Wtedy był o wiele młodszy, dlatego nie poznałam go od razu, gdy przyszedł do mnie do domu po raz pierwszy. Był na służbie tej nocy, gdy Victor zaginął. Pamiętam, że gdy go szukałam, przejeżdżałam obok parkingu i widziałam tam dwa wozy policyjne. Zatrzymałam się, żeby zapytać, czy nie widzieli buicka century.

Lance i Morgan wymienili spojrzenia.

Ostatni kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

— Mamo, czy wspomniałaś o tym szeryfowi, gdy przyszedł sam, żeby cię przesłuchać?

Skinęła głową.

— Tak. Powiedział coś o tym, że świat jest mały.

I próbował ją zabić, zanim zdążyłaby go wydać.

Stella zadała jeszcze kilka pytań, po czym wycofała się.

— Czy będę mogła skontaktować się z panią ponownie, pani Kruger? Odpowiedziała pani na najważniejsze pytanie, ale zapewne będziemy musieli jeszcze wyjaśnić kilka szczegółów, by zamknąć śledztwo.

— Tak, chyba tak. — Jenny skinęła głową.

— Dziękuję za dzisiejszą pomoc. — Stella pożegnała się i wyszła wraz z Brodym. Jenny puściła dłoń Lance'a.

— Oboje wyglądacie strasznie. Powinniście iść do domu odpocząć.

— Czy chciałabyś porozmawiać na wideoczacie z Kevinem? — zapytał Lance. Jego matka uniosła głowę i jej oczy zalśniły.

— Tak, byłoby wspaniale.

Lance podłączył jej laptopa do szpitalnej sieci wi-fi. Morgan przysunęła stoliczek bliżej łóżka. Kilka minut później na ekranie pojawiła się twarz Kevina.

Jenny uśmiechnęła się.

— Zostawimy was teraz, żebyście mogli porozmawiać. — Lance cmoknął matkę w policzek. — Kocham cię, mamo.

— Ja ciebie też. — Uśmiechnęła się do Morgan. — Troszczcie się o siebie nawzajem.

— Tak zrobimy. — Lance wyszedł za Morgan z pokoju.

To właśnie najlepiej potrafili robić.

Lance stał za bandą lodowiska i patrzył, jak Eric wbija gola. Zabrzmiał brzęczyk i niewielka grupka kibiców wybuchła entuzjazmem.

Siedząca obok niego Morgan objęła ramionami Sophie, która siedziała na jej biodrze. Mia i Ava stały na ławce, tak by być w stanie dostrzec coś ponad bandą.

— Wygraliśmy? — zapytała Sophie, kopiąc Morgan po bokach niczym kucyka.

— Tak, wygraliśmy. — Morgan wskazała na tablicę wyników. — Ten mrugający numer cztery to drużyna Lance'a.

— Hulla! — pisnęła Sophie.

Drużyna przejechała przed Lance'em, ściągając rękawiczki i przybijając mu piątkę, gdy go mijali. Zanim zrobił to ostatni członek drużyny, Lance trzymał się za żebra.

— Lance obiecał, że zabierze nas na lodowisko po meczu. — Sophie zaczęła się wiercić.

— Och, skarbie. — Morgan przytuliła córkę. — Lance chyba jeszcze nie jest dostatecznie zdrowy.

— Dam radę — powiedział Lance z urażoną miną.

Morgan rzuciła mu znaczące spojrzenie.

— Lekarz mówił, że twoje żebra potrzebują sześciu tygodni, by się zrosnąć. Minęły dwa dni. Nie powinno cię tu nawet być.

— Nie mogłem przegapić tego meczu. — Lance i tak miał poczucie, że zaniedbywał dzieciaki z drużyny.

Teraz, gdy wreszcie poznał prawdę o swoim ojcu, Lance gotów był żyć. Naprawdę żyć.

Jeden egoistyczny człowiek zmienił bieg jego życia. Lance stracił całą przyszłość ze swoim ojcem. Spędził dwadzieścia trzy lata uwikłany w konsekwencje tych wydarzeń. Dwie dekady bólu, wątpliwości, cieszenia się, że w ogóle udawało mu się

przetrwąć kolejny dzień.

Teraz jednak to się skończyło i uświadomił sobie, że życie jest zbyt cenne, by zmarnować choćby minutę. Miał drugą szansę na szczęście z Morgan i jej córkami i zamierzał ją schwytać pełnymi garściami. Koniec z zadowalaniem się koniecznym minimum, jakie oferowało mu dotąd życie.

Miał przed sobą przyszłość i widział ją w jasnych barwach.

— Wezmę ją. — Eric podał Lance'owi swoje rękawice i kask ponad bandą i wyciągnął ręce.

— Ploszę! — błagała Sophie.

— No dobrze. — Morgan zniosła Sophie do wejścia na taflę. Ava i Mia podreptały za nią. Reszta drużyny zgromadziła się wokół dziewczyny. Eric wziął Sophie za rączkę i pozwolił jej dreptać po lodzie przed nim. Jedyna dziewczyna w drużynie Lance'a, Jamie, podała ręce Avie i Mii.

— Nie za szybko! — zawołała za nimi Morgan.

— Nic im nie będzie. — Lance oparł się o barierkę obok niej. — Ledwo się ruszają.

— Wiem. — Ale i tak się martwiła. — Jak się czujesz?

— Bardzo szczęśliwy, że żyję. — Pocałował jej skroń. — I bardzo szczęśliwy, że mam ciebie.

— Jesteś pewny, że dzisiaj możesz zostać sam? — zapytała. Poprzednią noc spędziła u niego w domu.

— Tak — odparł. — Chociaż mam ochotę powiedzieć, że nie, tylko po to, byś spędziła ze mną noc.

Odwróciła się.

— Dziewczynki nie mają nic przeciwko, bym została się tobą zająć. Martwiły się o ciebie. Masz szczęście, że Sophie nie chciała się bawić w pielęgniarkę.

Lance roześmiał się. Ból ścisnął mu żebra. Przyłożył dłoń do boku.

— Jej podejście do pacjenta wymaga nieco szlifowania.

Morgan zerknęła na telefon.

— Powinniśmy lecieć. Dziewczynki zaraz będą głodne. Wpadniesz na kolację?

— Z przyjemnością.

— Moje dziewczynki cię kochają.

— Wiem. — Odwrócił się. — Kiedyś się o to martwiłem.

— Martwiłeś?

— Relacja z twoimi dziećmi to zupełnie inny poziom odpowiedzialności. Nie chciałem ich rozczarować, gdyby opieka nad moją matką okazała się bardziej absorbująca. Twoje córki zasługują na coś więcej.

— Nigdy byś tego nie zrobił. — Morgan ujęła jego twarz w dłonie i ucałowała go w policzek. — Nigdy nie byłabym z człowiekiem, który nie byłby dobry dla moich córek, ale kocham cię też za to, że się o nie martwiłeś. Jesteś dobrym człowiekiem, Lance'ie Krugerze. Kocham cię i moje dzieci cię kochają. Obawiam się, że nie możesz nic na to poradzić. Jesteś skazany na nas wszystkich, na całą naszą szaloną, chaotyczną gromadkę.

Przyciągnął ją do siebie.

— Byłem idiotą, opierając się temu.

— Opór jest bezcelowy — powiedziała przy jego ustach.

Pocałował ją.

— W takim razie poddaj ę się.

I zrobił to, duszą i sercem.

O AUTORCE

Fot. © 2016 Jared Gruenewald Photography



Melinda Leigh jest autorką bestsellerów „Wall Street Journal”. Kiedyś pracowała w bankowości, jednak zupełnie się z tego wyleczyła. Od zawsze kochała książki i zaczęła pisać, aby ocalić zdrowe zmysły, gdy jej najmłodsze dziecko poszło do pierwszej klasy. W ciągu kolejnych lat nauczyła się tego i owego o pisaniu powieści i doszła do wniosku, że jest to znacznie ciekawsze zajęcie niż analiza sprawozdań finansowych. Została również członkiem stowarzyszenia Romance Writers of America. Debiutancka powieść Melindy *She Can Run* została nominowana do nagrody w kategorii „Najlepszy debiut” przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Autorów Powieści Sensacyjnych. Melinda zdobyła też nagrody Golden Leaf oraz

Silver Falchion, jak również nominacje do nagród RITA i (trzykrotnie) do nagrody Daphne du Maurier. Jej inne powieści to: *She Can Tell*, *She Can Scream*, *She Can Hide*, *She Can Kill*, *Midnight Exposure*, *Midnight Sacrifice*, *Midnight Betrayal*, *Midnight Obsession*, *Hour of Need*, *Minutes to Kill* i *Seconds to Live*. W Polsce ukazały się dotychczas dwie pierwsze części serii poświęconej Morgan Dane, *Proś o wybaczenie* i *Jej ostatnie pożegnanie* (Editio, 2019).

Melinda ma czarny pas w karate Kenpo, prowadzi zajęcia z samoobrony dla kobiet i mieszka w wiecznie zabałaganionym domu z mężem, dwójką nastoletnich dzieci, kilkoma psami i dwoma przygarniętymi kotami.